

LITERACKA NAGRODA NOBLA 2013



Jawne tajemnice



**ALICE
MUNRO**

Jawne tajemnice



ALICE MUNRO

Przełożyła
Anna Przedpełska-Trzeciakowska

*Książkę tę dedykuję moim zawsze wiernym przyjaciółkom –
Daphne i Deirdre, Audrey, Sally, Julie,
Mildred, Anne, Ginger i Mary.*

Za daleko

LISTY

W jadalni Hotelu Kupieckiego Louisa otworzyła list, który właśnie przyszedł do niej zza morza. Zjadła, jak zawsze, stek z kartoflami i popiła kieliszkiem wina. W sali było kilku podróżnych i dentysta, który tu jadał co wieczór, bo był wdowcem. Najpierw jakby się nią trochę interesował, ale powiedział, że nigdy w życiu nie widział, żeby kobieta piła wino czy coś mocniejszego.

– To ze względu na zdrowie – powiedziała poważnie Louisa.

Na białych obrusach, zmienianych co tydzień, leżały dodatkowo ochronne ceratowe podkładki. W zimie jadalnię wypełniał zapach ceraty przeciąganej mokrą szmatą, oparów z węglowego pieca i sosu z wołowiny oraz suszonych pomidorów z cebulą – zapach wcale przyjemny dla kogoś, kto wchodził przemarznięty, głodny. Na każdym stole stała mała podstawka na przyprawy, w niej buteleczka sosu brązowego, sosu pomidorowego i słoiczek chrzanu.

List był adresowany do „Bibliotekarki Miejskiej Biblioteki Publicznej w Carstairs, Ontario”. Datowany przed sześcioma tygodniami – 4 stycznia 1917 roku.

Pewno się Pani zdziwi, że dostaje list od kogoś, kogo Pani nie zna i kto nie pamięta, jak się Pani nazywa. Mam nadzieję, że Pani jest ciągle tą samą Bibliotekarką, chociaż minęło już sporo czasu i mogła się Pani dokądś przenieść.

To, przez co tu jestem, w tym szpitalu, to nic specjalnie poważnego. Widzę naokoło o wiele gorsze rzeczy i odrywam od nich myśli, wyobrażając sobie różności, na przykład czy Pani jest jeszcze w bibliotece. Jeśli Pani jest ta, o której myślę, to jest Pani tak jakoś średniego wzrostu, może trochę mniej, jasna szatynka. Przyszła Pani na kilka miesięcy przed moim powołaniem, po pannie Tamblyn, która była bibliotekarką, odkąd zaczęłam pożyczać książki, jak miałem dziewięć czy dziesięć lat. Za jej czasów książki stały, gdzie która chciała, i człowiek za Chiny nie ryzykował, żeby ją poprosić o najmniejszą pomoc, bo była jak smok. I potem Pani przyszła, i zaraz zmiana, wszystko poszeregowane w działą – Powieść i Literatura Faktu, i Historia, i Podróże, i układała Pani porządnie pisma, i wykładała zaraz, jak przyszły, a nie trzymała gdzieś, żeby pleśniały na zapleczu, aż wszystko się zrobi nieaktualne. Byłem za to wdzięczny, ale nie wiedziałem, jak to powiedzieć. I tak się sam siebie pytałem, co Panią do nas przyprowadziło, przecież Pani jest osoba wykształcona.

Nazywam się Jack Agnew, moja karta jest w szufladzie. Ta ostatnia pożyczona książka była bardzo dobra – H.G. Wells – Mankind in the Making. Edukację skończyłem na drugiej gimnazjalnej, potem poszedłem do Douda, jak wielu innych. Nie zaciągnąłem się zaraz po osiemnastych urodzinach, więc mnie Pani nie znajdzie między Walecznymi. Ja jestem taki, co to lubi

zawsze mieć swoje zdanie. Mój jedyny krewny w Carstairs, i na świecie, to Patrick Agnew, mój ojciec. Pracuje u Douda, ale nie w fabryce, lecz przy domu, w ogrodzie. To samotnik, jeszcze większy niż ja, jak tylko ma chwilę czasu, to jedzie na ryby, na wieś. Piszę czasami do niego, ale nie myślę, żeby to czytał.

Po kolacji Louisa poszła na drugie piętro do saloniku dla pań i usiadła przy biurku, żeby odpisać.

Bardzo mi miło, że Pan docenia to, co zrobiłam w bibliotece, chociaż ja tylko posegregowałam książki, to nie było nic nadzwyczajnego.

Na pewno chciałby Pan otrzymać jakieś wiadomości z domu, ale ja jestem do tego niewłaściwą osobą jako nietutejsza. Rozmawiam z ludźmi w bibliotece i w hotelu. Podróżni w hotelu rozmawiają na ogół o tym, jak idą interesy (idą dobrze, jeśli się uda zdobyć towar), trochę o chorobach i często o wojnie. Roi się od pogłosek, które powstają z pogłosek oraz różnych wyobrażeń, jestem pewna, że alboby się Pan z nich uśmieł, alboby Pana zdenerwowały. Nie będę nawet próbowała ich spisać, bo wiem, że Cenzor poszatkowałby cały ten list.

Pyta Pan, skąd się tu wzięłam. To nic ciekawego. Oboje moi rodzice nie żyją. Ojciec pracował dla Eatona w Toronto, w dziale mebli, a po jego śmierci matka również pracowała u Eatona, w dziale pościeli. I ja tam też jakiś czas pracowałam, w książkach. Można by pewno powiedzieć, że Eaton to był taki nasz Doud. Skończyłam Kolegium Jarvisa. Zapadłam na pewną chorobę, przez co musiałam długo przebywać w szpitalu, ale teraz

jestem już zdrowa. Miałam dużo czasu na czytanie, moi ulubieni pisarze to Thomas Hardy, którego pomawiają o ponuractwo, ale myślę, że jest bardzo bliski życiu, i Willa Cather. Przypadkiem znalazłam się w tym mieście i usłyszałam, że bibliotekarka umarła, pomyślałam, że może to jest praca dla mnie.

Jak to dobrze, że Pani list przyszedł dzisiaj, bo mają mnie stąd wypisać i nie wiem, czy przestaliby go tam, dokąd idę. Cieszę się, że Pani nie uznała mojego listu za przygłupi.

Jeśli Pani wpadnie na mojego Tatę albo kogo tam, to nie potrzebuje Pani mówić, że do siebie pisujemy. To niczyja sprawa, a wiem, że kupa ludzi śmiałyby się ze mnie, że piszę listy do Bibliotekarki, tak jak się wyśmiewali, że chodzę do biblioteki. Po co im robić przyjemność?

Cieszę się, że się stąd wynoszę. Większe mam szczęście niż niektórzy tutaj, co nigdy już nie będą chodzić ani widzieć na oczy i będą się musieli kryć przed ludźmi.

Pytała Pani, gdzie mieszkiałem w Carstairs. Nie mam się czym chwalić. Wie Pani, gdzie jest Vinegar Hill, jak stamtąd skręcić we Flowers Road? To będzie ostatni dom po prawej, malowany żółtą farbą od czasu do czasu. Tata uprawia ziemniaki, a może uprawiał. Ładowałem je na wózek i woziłem po mieście, a za każdy sprzedany wózek dostawałem pięć centów dla siebie.

Wspomniała Pani ulubionych pisarzy. Kiedyś to najbardziej lubiłem Zane'a Greya, ale potem odsunęło mnie od powieści i poniosło do historii i podróży. Wiem, czasem czytam książki, do jakich za wysoko mi sięgać, ale coś z nich jednak wynoszę. Jeden, o którym wzmiankowałem, to H.G. Wells, a drugi to

Robert Ingersoll, on pisze o religii. Dali mi dużo do myślenia. Mam nadzieję, że Pani nie uraziłem, jeśli Pani jest bardzo religijna.

Jednego dnia, jak przyszedłem do biblioteki, to była sobota po południu, a Pani właśnie otworzyła wejście i zapaliła światło, na dworze było ciemno i padało. Złapał Panią deszcz bez płaszcza i parasolki i zmokły Pani włosy. Wyjęła Pani szpilki i pozwoliła się tym włosom rozsypać. Czy to nie za bardzo osobiste pytanie, żeby się dowiedzieć, czy Pani wciąż nosi długie, czy je obcięła? Podeszła Pani do grzejnika i stała, i otrząsała włosy na ten grzejnik, a woda skwierczała jak tłuszcz na patelni. Ja siedziałem i czytałem w „London Illustrated News” o wojnie. Uśmiechnęliśmy się do siebie. (Nie chciałem powiedzieć, jak to pisałem, że miała Pani tłuste włosy).

Nie obciąta włosów, chociaż często o tym myślę. Nie wiem, czy to przez próżność, czy przez lenistwo.

Nie jestem bardzo religijna.

Poszłam na Vinegar Hill i znalazłam Pański dom. Kartofle wyglądają jak okazy zdrowia. Pies policyjny podjął ze mną rozmowę. Czy to Pański?

Robi się coraz cieplej. Rzeka wylała, to się podobno zdarza co roku na wiosnę. Woda dostała się do hotelowej piwnicy i w jakiś sposób skaziła nasze zapasy pitne, dostaliśmy dzięki temu za darmo piwo zwykłe albo imbirowe. Ale tylko stali mieszkańcy albo goście hotelowi. Wyobraża Pan sobie, ile było żartów.

Chciałabym się dowiedzieć, czy jest coś, co mogłabym Panu wystać?

Nie potrzebuję niczego specjalnie. Dostaję tytoń i różne rzeczy od pań z Carstairs, które je dla nas robią. Chciałbym przeczytać jakieś książki tych autorów, których Pani wymieniła, ale tutaj się chyba nie da.

Jednego dnia facet umarł tutaj na atak serca. To była wiadomość nad wiadomości! Słyszała Pani o facecie, który umarł na atak serca? O niczym innym tu nie gadano, w dzień i w noc, na okrągło. Wszyscy się śmiali, może to się wydawać bez serca, ale po prostu nie do pojęcia. Nawet nie było wielkiego ognia, więc nie można przypuszczać, że się przestraszył. (Prawdę mówiąc, akurat pisał list, więc może powinienem uważać). Przed nim i po nim ludzie umierali od kuli albo wybuchu, ale on się zrobił sławny od tej śmierci na atak serca. Ludzie powiadają, taki kawał drogi tu jechał i ile to wszystko musiało kosztować Armię.

Taka susza tego lata, polewaczka codziennie zrasza ulice, żeby słucać kurz. Za nią, z tyłu, tańczą dzieci. Pojawiło się również coś nowego w mieście – wózek z dzwoneczkiem, jechał ulicą i rozwoził lody na sprzedaż, dzieci go nie odstępowały ani na chwilę. Wózek ciągnął człowiek, który miał wypadek w fabryce – pewno Pan wie, o kim mówię, tylko nie pamiętam nazwiska. Stracił rękę aż do łokcia. W moim pokoju hotelowym, na trzecim piętrze, było gorąco jak w piecu, więc często się przechadzałam, niekiedy po północy. To samo robiło wielu ludzi, niektórzy w piżamach. To było jak we śnie. W rzece zostało jeszcze trochę wody, na tyle, żeby się dało wypłynąć łódką, i w sierpniową niedzielę wypłynął jakiś metodystyczny kaznodzieja. Modlił się o deszcz podczas publicznego nabożeństwa. Ale łódź miała

drobny przeciek i woda zaczęła się wlewać do środka, zmoczyła mu nogi i wreszcie łódź zatonięła, a pastor stał tak w wodzie, niemal do pasa. Czy to był wypadek, czy złośliwy kawał? Powiadali, że wszystkie jego modlitwy są wysłuchiwane, tylko na opak.

Często mijam na spacerze dom Douda. Pański ojciec wspinał się utrzymuje trawniki i żywopłoty, wyglądają pięknie. Podoba mi się ten dom, taki oryginalny i – wydawałoby się – przestrzenny. Ale pewno i tam, wewnątrz, nie było chłodno, bo doszedł mnie późną nocą głos matki i malutkiej dziewczynki, tak jakby się znajdowały na dworze, na trawniku.

Chociaż powiedziałem Pani, że niczego mi nie trzeba, to jednak jest coś, czego bym chciał. To znaczy – Pani fotografii. Mam nadzieję, że Pani nie uzna tej prośby za zbyt śmiałą. Może Pani jest z kimś zaręczona albo ma tu w wojsku sympatię i pisze do niego tak samo jak do mnie. Pani przecież nie jest taka zwyczajna i wcale bym się nie zdziwił, żeby się jakiś oficer o Panią starał. Ale teraz, jak już to napisałem, to nie mogę cofnąć i tak zostawię, niech Pani o mnie myśli, co chce.

Louisa miała dwadzieścia pięć lat i raz się kochała w lekarzu, którego poznała w sanatorium. Uczucie zostało wreszcie odwzajemnione, przez co doktor stracił posadę. Nie była całkiem pewna, czy to jemu kazali odejść z sanatorium, czy odszedł z własnej woli, zmęczony tym uwikłaniem. Miał żonę i dzieci. No i jeszcze liczyła się korespondencja. Kiedy odszedł, pisywali do siebie. I po jej wyjściu raz czy dwa. Potem poprosiła, żeby więcej nie pisał, więc nie pisał. Ale brak

tych przychodzących listów wyznał ją z Toronto i sprawił, że wzięła pracę obwoźną. Spotykał ją wtedy tylko jeden zawód tygodniowo: w piątek czy sobotę, po powrocie. Ten jej ostatni list był zdecydowany i stoicki – i z takim właśnie poczuciem, jakby była bohaterką tragedii miłosnej, jeździła po kraju, taszczyła swoje walizki z próbkami w dół i w górę po schodach małych hotelików i rozprawiała o paryskich modach i że te promocyjne kapelusiki są takie urocze, i wychylała w samotności kieliszek wina. Gdyby jednak miała kogoś, z kim mogłaby rozmawiać, toby podobną postawę wyśmiała. Powiedziałyby, że miłość to zawracanie głowy, oszustwo, i wierzyła w to. Ale sama myśl o niej wciąż przynosiła ucieszenie, dreszcz przebiegający wzdłuż nerwów, ustępstwo rozumu, całkowite odrętwienie.

Zrobiła sobie zdjęcie. Wiedziała, jakiego by chciała. Chciałyby mieć na sobie prostą, białą bluzkę, taką wiejską koszulę z tasiemką przy odstoniętej szyi. Nie miała takiej bluzki i prawdę mówiąc, widziała podobne tylko na obrazkach. I chciałyby rozpuścić włosy. Albo jeśli już mają być związane, to chciałyby je luźno zebrać i podwiązać perełkami.

Zamiast tego włożyła swoją niebieską jedwabną bluzkę do pasa i uczesała włosy jak zwykle. Uznała, że wyszła dość blado, z zapadniętymi oczami. Miała ostrzejszy wyraz twarzy, bardziej zniechęcający, niżby chciała. Tak czy inaczej wyszła zdjęcie.

Nie jestem zaręczona i nie mam żadnej sympatii. Raz byłam zakochana, ale trzeba to było zerwać. Czuję się przygnębiona,

ale wiedziałam, że to konieczne, a teraz sądzę, że wyszło na dobre.

Łamała sobie, rzecz jasna, głowę, chcąc go sobie przypomnieć. Nie pamiętała, żeby strzępywała włosy, jak on to opisywał, ani żeby się uśmiechała do jakiegoś młodego człowieka, podczas gdy krople deszczu spadały na grzejnik. Równie dobrze mógł sobie to wszystko wyśnić i może wyśnił.

Zaczęła bardziej szczegółowo śledzić wydarzenia wojenne. Nie próbowała ich dłużej wypychać ze świadomości. Kiedy szła ulicą, czuła, że ma w głowie pełno tych samych podniecających i przygnębiających informacji co wszyscy. Saint-Quentin, Arras, Montdidier, Amiens, potem bitwa nad Sommą, tam chyba już wcześniej toczyły się walki. Otwierała na biurku mapy wojenne drukowane na rozkładówkach tygodników. Patrzyła na naznaczoną kolorową linią ofensywę niemiecką nad Marną i pierwsze uderzenie Amerykanów na Château Thierry. Oglądała sepiowe odbitki rysunków przedstawiających czy to konia przysiadającego na zadzie w momencie wybuchu pocisku, czy żołnierzy w Afryce Wschodniej pijących z łupiny kokosa, czy jeńców niemieckich, z bandażami na głowach i rękach, ponurych, przegranych. Teraz czuła to co wszyscy – nieustanny strach i niepokój, a jednocześnie jakieś uzależniające podniecenie. Człowiek mógł w pewnym momencie swojego życia oderwać się i poczuć, jak świat obok się wali.

Cieszę się, że Pani nie ma sympatii, chociaż wiem, że to samolubstwo z mojej strony. Nie myślę, żebyśmy się kiedykolwiek

spotkali w przyszłości. Nie mówię dlatego, że miałem sen o tym, co się stanie, albo że jestem ponurak zawsze wyglądający nie-szczęścia. Myślę po prostu, że to jest najbardziej prawdopodobne, chociaż wcale nie zwracam sobie tym głowy i codziennie robię wszystko, żeby się nie dać zabić. Nie piszę tego po to, żeby Panią zmartwić ani żeby zdobyć Pani życzliwość, tylko żeby wytłumaczyć, w jaki sposób ta myśl, że nigdy nie wrócę do Carstairs, pozwala mi sobie wyobrażać, że mogę mówić, co chcę. To chyba tak, jak człowiek jest chory i ma gorączkę. Więc powiem, że Panią kocham. Wyobrażam sobie, jak Pani stoi na stołku w bibliotece i odkłada książkę na półkę, a ja podchodzę i ujmuję Panią w tali, i podnoszę Panią, i stawiam, a Pani obraca się w moich ramionach, tak jakbyśmy się we wszystkim zgadzali.

W każde wtorkowe popołudnie panie i dziewczęta z Czerwonego Krzyża zbierały się w Sali Posiedzeń Rady, która znajdowała się za biblioteką, po przeciwnej stronie hallu. Kiedy w bibliotece nikogo akurat nie było, Louisa przeszła przez hall i otworzyła drzwi pokoju pełnego kobiet. Postanowiła zrobić na drutach szalik. Nauczyła się zwykłego ściegu w sanatorium, ale nie umiała albo już zapomniała, jak się zrzuca czy nadkłada oczka.

Starsze panie zajęte były pakowaniem pudeł oraz przycinaniem i składaniem bandaży z rozłożonych na stołach płacht grubego płótna. Ale dziewczęta siedzące przy drzwiach zjadały bułeczki i piły herbatę. Jedna trzymała na wyciągniętych rękach motek wełny, którą druga nawijała na kłębek.

Louisa powiedziała im, czego by się chciała nauczyć.

– Co chcesz wydziergać? – zapytała jedna; trzymała jeszcze w ustach kawałek bułki.

Louisa odpowiedziała, że ciepły szalik. Dla żołnierza.

– Och, to musisz mieć przepisową włóczkę – powiedziała druga trochę grzeczniej i zeskoczyła ze stołu. Wróciła, niosąc kilka kłębków brązowej wełny, wyciągnęła z woreczka zapasową parę drutów i powiedziała Louisie, że może je sobie zatrzymać. – Pomogę ci zacząć – dodała. – Musi mieć również regulaminową szerokość.

Inne dziewczyny zebrały się wokół nich i żartowały z tej, która miała na imię Corrie. Powiadały, że wszystko robi nie tak, jak trzeba.

– Nie gadaj! Chcesz drutem w oko? – odcinała się Corrie. – To dla przyjaciela? – zapytała życzliwie Louise. – Dla przyjaciela za morzem?

– Tak – odpowiedziała Louisa. Będą ją, rzecz jasna, uważały za starą pannę, będą się z niej śmiały albo jej współczuły, zależnie od tego, co przyjdzie im do głowy udawać – życzliwość czy bezczelność.

– Wobec tego weź się porządnie do roboty – powiedziała ta, która skończyła bułkę. – Rób gęste i ścisłe oczka, żeby mu było ciepło.

Jedna z dziewczyn w tej gromadce nazywała się Grace Horne. Była to nieśmiała, ale rezolutna dziewiętnastolatka, miała szeroką twarz, cienkie wargi, często zacisnięte, ciemne włosy przycięte w prostą grzywkę i ponętne, dojrzałe ciało. Zaręczyła się

z Jackiem Agnew przed jego wyjazdem za ocean, postanowili jednak nikomu o tym nie mówić.

HISZPANKA

Louisa poznała się bliżej z kilkoma stałymi bywalcami hotelu. Jednym z nich był Jim Frarey, handlował maszynami do pisania, wyposażeniem biurowym, książkami i najróżniejszą papeterią. Miał jasne włosy, spadziste, ale mocne ramiona, był po czterdziestce. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie kogoś, kto handluje czymś cięższym, bardziej się liczącym w świecie mężczyzn, na przykład narzędziami rolniczymi.

Przez cały czas, kiedy panowała epidemia hiszpanki, Jim Frarey prowadził swój obwoźny handel, chociaż nigdy nie było wiadomo, czy sklepy będą otwarte, czy nie. Czasami i hotele bywały zamknięte, podobnie jak szkoły i kina, a nawet – Jim Frarey uważał to za skandal – kościoły.

– Powinni się wstydzić, tchórze – mówił Louise. – Co komu przyjdzie z tego, że się będzie chował za węgiel i czekał, aż go dopadnie? Ty na przykład nie zamknęłaś biblioteki, co?

Louisa powiedziała, że zamknęła dopiero wtedy, kiedy sama zachorowała. Lekki przypadek, wszystko trwało ledwie tydzień, ale oczywiście musiała iść do szpitala. Nie pozwolili by jej zostać w hotelu.

– Tchórze – powtórzył. – Jak ma cię dopaść, to dopadnie, nie sądzisz?

Rozmawiali o tłoku w szpitalach, o zgonach lekarzy i pielęgniarek, o niekończącym się ponurym widowisku

pochówków. Jim Frarey mieszkał w Toronto przy końcu ulicy, na której znajdował się zakład pogrzebowy. Mówił, że wciąż, dzień po dniu, wyprowadzają kare konie, czarne karawany, cały ten pakiet dla takich, którym trzeba celebry.

– Dzień i noc to samo – mówił. – Dzień i noc. – Podniósł kieliszek. – Za zdrowie wobec tego – powiedział. – Ty sama dobrze wyglądasz.

Naprawdę uważał, że Louisa lepiej teraz wygląda. Może zaczęła się odrobinę różować? Miała jasnooliwkową cerę i często myślał, że jej policzkom przydałoby się trochę rumieńca. Ubierała się nieco śmieiej i bardziej starała się wychodzić do ludzi. Bywała, zależnie od tego, jak jej przyszła ochota, albo bardziej otwarta, albo zamknięta. Na dodatek zaczęła popijać whisky, chociaż zawsze z wodą. Dawniej to był najwyżej kieliszek wina. Zastanawiał się, czy ta odmiana to jakiś wielbiciel. Ale wielbiciel mógł mieć dobry wpływ na jej wygląd, a nie na obudzenie zainteresowania wszystkim, co się dzieje, a to właśnie jego zdaniem miało teraz miejsce. Czas płynął, a wojna zmniejszała szanse na znalezienie męża. To mogło się okazać bodźcem dla kobiety. Była bystrzejsza niż większość mężatek i ładniejsza. Lepszy kompan. Jaki los spotykał takie kobiety? Czasem po prostu brakowało im szczęścia. Albo rozumu w decydujących momentach. Trochę za ostra, za bardzo pewna siebie, dawniej to wprawiało mężczyzn w zakłopotanie.

– Tak czy inaczej życie nie może stanąć w miejscu – powiedział. – Dobrze zrobiłaś, że nie zamknęłaś biblioteki.

Wczesną zimą 1919 roku przyszedł nowy atak grypy, chociaż wszyscy myśleli, że już nie ma zagrożenia. Wydawało

się, jakby byli sami w hotelu. Dochodziła dopiero dziewiąta, ale hotelarz poszedł spać. Miał żonę w szpitalu, z grypą. Jim Frarey przyniósł butelkę whisky z baru zamkniętego z obawy przed infekcją – i siedzieli tak przy stoliku pod oknem w hotelowej jadalni. Na zewnątrz gęstniała zimowa mgła i napięrała na okno. Światło ulicznych lamp czy nielicznych samochodów toczących się ostrożnie po moście ledwo dochodziło tu, do jadalni.

– Och, to nie była kwestia zasad – powiedziała Louisa – to, że trzymałam bibliotekę otwartą. Powód był bardziej osobisty, niż ci się zdaje.

Potem roześmiała się i obiecała, że mu opowie osobliwą historię.

– Ta whisky musiała mi rozluźnić język.

– Nie jestem plotkarzem – zapewnił ją Jim Frarey.

Rzuciła na niego twarde, kpiące spojrzenie i powiedziała, że jeśli ktoś zapewnia, że nie jest plotkarzem, to prawie zawsze nim jest. To tak jak obiecywać, że się nikomu nie powie.

– Możesz to opowiadać, gdzie i kiedy zechcesz, bylebyś nie wymieniał prawdziwych nazwisk i nie rozgłaszał tego w naszej okolicy – powiedziała. – W tym mogę ci chyba zaufać. Chociaż w tej chwili wydaje mi się, że i na to można machnąć ręką. Pewno jak alkohol przestanie działać, to będę myślała inaczej. To nauczka, ta historia. To nauczka, jaką idiotkę może z siebie zrobić kobieta. Więc widzisz, nie ma w tym nic nowego, o takich rzeczach słyszy się codziennie.

Opowiedziała o żołnierzu, który zaczął do niej pisać listy zza morza. Ten żołnierz zapamiętał ją z czasów, kiedy

przychodził do biblioteki. Ale ona go nie pamiętała. W każdym razie odpowiedziała mu życzliwie na pierwszy list i zaczęli ze sobą korespondować. On jej napisał, gdzie mieszkał w mieście, a ona przechodziła obok tego domu, więc mogła mu powiedzieć, jak wszystko wygląda. Pisał jej, jakie książki czytał, a ona odpowiedziała w podobny sposób o swoich lekturach. Krótko mówiąc, obydwójce ujawnili trochę wiadomości o sobie i u obojga zbudziły się uczucia. Najpierw u niego, przynajmniej tak brzmiała deklaracja. Ona nie należała do tych, co się rzucają z głową w dół, jak szaleni. Z początku uważała, że okazuje mu po prostu dobroć. Nawet i później nie chciała go urazić i wprawiać w zakłopotanie. Poprosił ją o fotografię. Zrobiła zdjęcie, nie wyszło tak, jak chciała, ale je wysłała. Zapytał, czy ma sympatię, i odpowiedziała zgodnie z prawdą, że nie ma. Nie przysłał jej swojego zdjęcia, a ona nie prosiła o nie, chociaż, rzecz jasna, była ciekawa, jak też on wygląda. Pewno nie byłoby mu łatwo fotografować się w środku wojny. A ponadto nie chciała wyjść na kobietę, która przestałaby mu być życzliwa, gdyby jego wygląd nie spełniał jej oczekiwań.

Napisał, że nie spodziewa się wrócić do domu. Napisał, że boi się nie tyle śmierci, ile takiego końca, jaki czekał niektórych rannych oglądanych w szpitalu. Nie wchodził w szczegóły, ale przypuszczała, że miał na myśli te przypadki, o jakich dopiero teraz się dowiadują – kikuty, ślepoty, potworne deformacje wskutek oparzeń. Nie rozpaczał nad swoim losem, nie, nie sugerowała nic podobnego. Po prostu spodziewał się, że umrze, wybrał śmierć jako najlepszą spośród możliwości

i myślał o niej, pisał do niej tak, jak mężczyźni piszą do ukochanych w takiej sytuacji.

Po zawarciu pokoju dostała od niego wiadomość dopiero po pewnym czasie. Codziennie oczekiwała listu, ale żaden list nie przychodził. Nic nie przychodziło. Bała się, że może był tym najbardziej nieszczęśliwym z nieszczęśliwych, jednym z tych, co zginęli w ostatnim tygodniu albo ostatniego dnia, albo w ostatniej godzinie. Przeglądała co tydzień miejscową gazetę, jeszcze po Nowym Roku podawano listę ofiar wojennych, ale jego tam nie znalazła. A potem gazeta zaczęła również drukować listę wracających do domu, często z fotografią i krótką wzmianką o świętowaniu powrotu. Kiedy zaczęli wracać liczniej i częściej, mniej było miejsca na te dodatki. I wreszcie zobaczyła jego nazwisko na liście. Nie zginął, nie został ranny – wracał do domu w Carstairs, może już nawet tu był.

To właśnie wtedy postanowiła nie zamykać biblioteki, chociaż szalała grypa. Dzień w dzień spodziewała się, że przyjdzie. Dzień w dzień czekała. Niedziele były męką. Kiedy wchodziła do gmachu ratusza, myślała, że on tam już jest, że stoi oparty o ścianę i czeka na nią. Czasami to przecucie było tak silne, że widziała cień, który brała za sylwetkę mężczyzny. Zrozumiała, jak można wierzyć, że się widzi ducha. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, spodziewała się, że podniesie wzrok na jego twarz. Czasami zawierała ze sobą umowę, że nie spojrzy na niego, zanim nie doliczy do dziesięciu. Z powodu grypy przychodziło niewiele osób. Zmusiła się do robienia zmian w ustawieniu książek, inaczej by zwarowała. Gasiła światła dopiero pięć czy dziesięć minut po

godzinie zamykania. A potem wyobrażała sobie, że on stoi po przeciwnej stronie ulicy na schodkach poczty, zbyt nieśmiały, aby się ruszyć. Martwiła się oczywiście, że może jest chory, zawsze w rozmowach starała się dowiedzieć o ostatnie przypadki grypy. Nikt nie wymówił jego nazwiska.

Mniej więcej w tym czasie przestała czytać. Okładki książek przypominały jej trumny, czy to ozdobne, czy ubogie, a to, co w środku, równie dobrze mogło być prochem.

Trzeba jej wybaczyć, nieprawdaż, trzeba jej wybaczyć, że po tych wszystkich listach jedyną rzeczą niemożliwą do pojęcia było to, żeby on się w ogóle do niej nie zbliżył, żeby w ogóle nie nawiązał z nią kontaktu. Żeby nie przekroczył jej progu po takich wyznaniach. Pod jej oknem przechodziły pogrzeby, na żaden nie zwracała uwagi, póki nie były jego pogrzebem. Nawet kiedy leżała chora w szpitalu, myślała tylko o jednym – że musi wracać, musi wyjść z tego łóżka, zamknięte drzwi nie mogą mu zamykać drogi. Zwlekła się i wróciła do pracy. W upalne popołudnie wywieszała właśnie w czytelni świeżą prasę, kiedy jego nazwisko wyskoczyło na nią jak coś z jej gorączkowych snów.

Przeczytała krótką informację o jego ślubie z panną Grace Horne. Nie знаła tej dziewczyny. Nie było jej w rejestrze czytelników biblioteki.

Panna młoda miała suknię z cielistej jedwabnej krepy obszytą brązową i kremową wypustką oraz beżowy kapelusz słomkowy z brązowymi aksamitnymi serpentynkami.

Zdjęcia nie było. Brązowa i kremowa wypustka. Taki był koniec, taki musiał być koniec jej romansu.

Ale tak jakoś przed kilkoma tygodniami, w sobotę wieczorem, kiedy wszyscy czytelnicy wyszli, a ona zamykała drzwi i gasiła światła, zobaczyła kartkę papieru. Na niej kilka słów. „Byłem zaręczony przed wyjazdem”. Żadnych nazwisk, ani jej, ani jego. I jeszcze jej fotografia wsunięta rogiem pod bibułę.

Przyszedł do biblioteki tego wieczoru. Ruch był spory, musiała często wychodzić zza biurka, by wyszukać książkę, o którą ktoś prosił, albo uporządkować gazety, albo odłożyć książki na półki. Znajdował się w tym samym co ona pokoju, patrzył na nią i wykorzystał sytuację. Ale się jej nie pokazał.

„Byłem zaręczony przed wyjazdem”.

– Czy myślisz, że on mi zrobił kawał? – pytała Louisa. – Czy myślisz, że mężczyzna może być aż tak nikczemny?

– Z mojego doświadczenia wynika, że na takie żarty pozwalają sobie raczej kobiety. Nie, nie. Wyrzuć to z głowy. Bardziej prawdopodobne, że był szczerzy. Tylko go trochę za daleko poniosło. To tak wygląda z pozoru. Zaręczył się przed wyjazdem, nie spodziewał się wrócić w jednym kawałku, ale wrócił. A jak wrócił, to czekała na niego narzeczona – i co innego mógł zrobić?

– No, rzeczywiście, co? – powiedziała Louisa.

– Chapsnął więcej, niż mógł przełknąć.

– No tak, tak – mówiła. – A z mojej strony to była tylko próżność, za którą należała się nauczka. – Wzrok miała szklisty, na twarzy szelmowski wyraz. – Nie myślisz, że spojrział na mnie raz a dobrze, doszedł do wniosku, że oryginał jest jeszcze gorszy niż to nieudane zdjęcie – i się wycofał?

– Nie myślę – powiedział Jim Frarey. – I nie ceń się tak nisko.

– Nie chciałabym, żebyś mnie uważał za idiotkę – ciągnęła. – Nie jestem aż tak głupia i niedoświadczona, jak by można sądzić po tej historii.

– Naprawdę, nie myślę, żebyś była głupia.

– Ale może myślisz, że jestem niedoświadczona?

„No właśnie – pomyślał – to samo co zawsze. Jak ci kobieta opowie jedną historię o sobie, to nie potrafi skończyć, zaraz musi zacząć drugą. Alkohol wprawia je w zupełne pomieszanie, koniec z roztropnością”.

Już raz zwierzyła mu się, że była pacjentką sanatorium. Potem opowiedziała, że kochała się w tamtejszym lekarzu. Sanatorium leżało na pięknych terenach Hamilton Mountain, spotykali się na obrosniętych żywopłotami ścieżkach. Wapienne płyty tworzyły stopnie, a w osłoniętych zakątkach rosły rośliny, jakie rzadko widuje się w Ontario: azalie, rododendrony, magnolie. Ten doktor znał się trochę na botanice i mówił jej, że to jest roślinność karolińska. Całkiem inna niż nasza, bujniejsza, i były jeszcze takie niewielkie laski, cudowne drzewa, ścieżki wydeptane pod drzewami. Drzewami tulipanowymi.

– Tulipany! – zdziwił się Jim Frarey. – Tulipany na drzewach!

– Nie, nie, chodzi o kształt ich liści!

Zaśmiała się do niego wyzywająco, potem przygryzła wargi. Uznał, że może ciągnąć tę rozmowę i powiedział: – Tulipany na drzewach! – Na co ona odparła, że nie, że chodzi o kształt

liści, nie, wcale tak nie powiedziałam, przestań! Przeszli więc do etapu ostrożnych prób, który on dobrze znał i mógł tylko liczyć, że ona też zna, i który był pełen drobnych, miłych niespodzianek, nieco sardonicznych znaków, rosnącej fali zachwiałych nadziei i brzemiennej w skutki życzliwości.

– Sami w całym hotelu – powiedział Jim Frarey. – To się jeszcze nigdy nie zdarzyło, prawda? Może już się więcej nie zdarzy.

Pozwoliła, by wziął ją za rękę, podźwignął z krzesła. Kiedy wychodzili z jadalni, zgasił światło. Szli po schodach, po których tak często wspinali się osobno. Przeszli pod obrazem psa na grobie swego pana, Szkockiej Mary nucającej piosnkę w polu i starego króla o wyłupiastych oczach, spoglądającego z wyrazem sytości i pobłażania.

– Ciemna nocka, nocka ciemna, a mnie znowu bierze chęćka – ni to śpiewał, ni mruczał Jim Frarey, kiedy wchodzili po schodach. Trzymał pewną siebie dłoń na plecach Louisy. – Wszystko w porządku, wszystko w porządku! – powtarzał, kierując nią na półpiętrach. A kiedy wstępowali na odcinek wąskich schodów prowadzący na trzecie piętro, powiedział: – Nigdy jeszcze nie wspiąłem się tak blisko raj.

Ale późną nocą Jim Frarey wydał końcowe sapnięcie i zmusił się do wymamrotania sennej reprimendy:

– Louiso, Louiso, dlaczego mi nie powiedziałaś, że to tak?

– Powiedziałam ci wszystko – odparła Louisa cichym, odpywającym głosem.

– Wydało mi się inaczej – powiedział. – Nie chciałem ci tego zrobić.

– Nic nie zrobiłeś – odparła. Kiedy przestał ją przygniatać i przytrzymywać, czuła się tak, jakby wirowała niepowstrzymanie, jakby materac zmienił się w dziecinną zabawkę, bączka, i wirował razem z nią. Próbowwała mu wytłumaczyć, że te plamy krwi na materacu to ślady jej periodu, ale rzucała słowa w tak nonszalanckiej obfitości, że trudno je było złożyć.

WYPADKI

Idąc z fabryki do domu trochę przed południem, Arthur wołał:

– Nie podchodźcie do mnie, nim się umyję! Był wypadek w pracy!

Nikt mu nie odpowiedział. Pani Feare, gospodyni, rozmawiała w kuchni przez telefon tak głośno, że nie mogła go słyszeć, a córka była oczywiście w szkole. Umył się i wepchnął do kosza wszystko, co miał na sobie, potem wyszorował łazienkę, niczym morderca. Ruszył czysty, nawet włosy miał gładko przylizane, do domu tego człowieka. Musiał pytać, gdzie to jest. Wydawało mu się, że gdzieś koło Vinegar Hill, ale powiedziano mu, że nie, to adres jego ojca – młody człowiek z żoną mieszka po przeciwnej stronie miasta, niedaleko tego miejsca, gdzie przed wojną stała wytwórnia soku jabłkowego.

Znalazł dwa ceglane domki, jeden obok drugiego, i wybrał ten z lewej, tak jak mu powiedziano. Zresztą bez trudu trafiłby na ten właściwy. Wiadomości go wyprzedziły. Drzwi były szeroko otwarte, a dzieci, jeszcze za małe na szkołę, plątały się po ogrodzie. W dziecinnym samochodziku siedziała dziewczynka, nie próbowała jechać, tarasowała mu tylko ścieżkę.

Obszedł ją bokiem. Starsza dziewczynka zwróciła się do niego oficjalnym tonem – ostrzegła.

– Jej tatuś nie żyje. Jej!

Z frontowego pokoju wyszła kobieta z naręczem zasłon, które podała kobiecie stojącej w sieni. Ta, która je przejęła, była siwa, miała proszalny wyraz twarzy. Brakowało jej górnych zębów. Pewno dla wygody zostawiła protezę w domu. Kobieta podająca zasłony była tęga, ale młoda, miała napiętą skórę.

– Niech pan jej powie, żeby nie włąziła na drabinę – zwróciła się do Arthura siwa kobieta. – Skręci kark, jak będzie ściągała te zasłony. Myśli, że trzeba wszystko uprać. Czy pan jest z zakładu pogrzebowego? Och, nie, przepraszam! Pan jest pan Doud. Grace, chodźże tutaj! Grace! To pan Doud!

– Niech pani jej nie kłopotczy – powiedział Arthur.

– Jej się zdaje, że do jutra trzeba pozdejmować i poprać wszystkie zasłony, bo on ma iść do frontowego pokoju. To moja córka. Nie mogę jej przemówić do rozumu.

– Wkrótce się uspokoi – powiedział posępny, ale swobodnie się zachowujący mężczyzna w koloratce, który wyszedł właśnie z głębi domu. Pastor. Ale żadnego z tych kościołów, jakie Arthur znał. Baptyści? Zielonoświątkowcy? Bractwo z Plymouth? Popijał herbatę.

Przyszła jakaś inna kobieta i szybko wzięła od tamtej zasłony.

– Maszyna pełna, idzie cały czas – powiedziała. – W taki dzień jak dzisiaj wszystko wyschnie raz-dwa. Tylko trzymajcie dzieci z daleka.

Pastor musiał zejść na bok i unieść wysoko filiżankę, by mogła przejść ze swoim stosem zasłon.

– Czy żadna z pań nie proponuje filiżanki herbaty panu Doudowi? – zapytał.

– Nie, nie, proszę się nie kłopotać – powiedział Arthur. – Koszty pogrzebu – zwrócił się do siwej kobiety. – Gdyby pani była łaskawa jej powiedzieć...

– Lilian zrobiła w majtki! – oznajmiła triumfalnie dziewczynka przy drzwiach. – Proszę pani! Lilian się zsiusiała!

– Tak, tak – powiedział pastor. – Będą bardzo wdzięczni.

– Działka i pomnik, wszystko – mówił Arthur. – Proszę ją o tym zapewnić. I co będą chcieli na pomniku.

Siwa kobieta wyszła na podwórko. Wróciła z ryczącym dzieckiem w ramionach.

– Biedactwo! Zabronili jej wchodzić do domu, no to gdzie miała iść? Co miała zrobić, jak nie w majtki?

Z frontowego pokoju wyszła młoda kobieta, ciągnąc dywanik.

– Chcę to rzucić na sznur i wytrzepać.

– Grace, przyszedł pan Doud z kondolencjami – powiedział pastor.

– I chciałbym się dowiedzieć, czy mógłbym w czymkolwiek pomóc?

Siwa kobieta zaczęła wchodzić po schodach, trzymając na rękach zmoczone dziecko, za nią ruszyło kilkoro innych.

Grace je dostrzegła.

– O, nie, nie. Wracajcie na dwór.

– Ale tam jest moja mama.

– Tak, twoja mama ma dosyć roboty, nie trzeba, żebyś jej przeszkadzała. Pomaga mi się wyrobić. Nie wiesz, że tata Lilian nie żyje?

– Czy mógłbym pani w czymkolwiek pomóc? – Arthur dawał do zrozumienia, że zamierza wyjść.

Grace patrzyła na niego z otwartymi ustami. Warkot pralki wypełniał cały dom.

– Tak – powiedziała. – Proszę zaczekać.

– Jest załamana – tłumaczył pastor. – Nie chce być niegrzeczna.

Grace wróciła z naręczem książek.

– Te, o tutaj – powiedziała. – Przyniósł je z biblioteki. Nie chcę płacić za nie kary. Chodził tam co sobota wieczór, więc pewno są na jutro do zwrotu. Nie chcę mieć z tym kłopotów.

– Zajmę się nimi – powiedział Arthur. – Bardzo chętnie.

– Ja tylko nie chcę mieć z tym kłopotów.

– Pan Doud powiedział, że zajmie się pogrzebem. – W głosie pastora brzmiało lekkie napomnienie. – Wszystkim, łącznie z nagrobkiem. I napisem, jaki ułożysz.

– Och, nie trzeba nic nadzwyczajnego – powiedziała Grace.

W ostatni piątek przed południem wydarzył się w tartaku należącym do fabryki fortepianów Douda wyjątkowo tragiczny, straszliwy wypadek. Kiedy pan Jack Agnew sięgnął pod główny wał, rękaw jego marynarki zaczepił się o śróbę w sąsiednim kotłnierzu, tak że dłoń z ramieniem zostały wciągnięte pod wał. Wskutek tego głowa nieszczęśnika znalazła się pod piłą tarczową o średnicy jednej stopy. W jednej chwili głowa młodego człowieka została odcięta od korpusu cięciem poniżej lewego ucha w poprzek szyi. Przypuszcza się, że śmierć nastąpiła natychmiast. Nie wymówił słowa ani nie krzyknął, tak że to nie dźwięk, ale

fontanna i potok krwi powiadomił w straszliwy sposób kolegów o nieszczęściu.

To sprawozdanie zostało opublikowane ponownie tydzień później dla tych, którzy albo je przeoczyli, albo chcieli mieć dodatkowy egzemplarz dla przyjaciół czy krewnych spoza miasta (zwłaszcza tych, którzy kiedyś mieszkali w Carstairs, ale się przenieśli). Błąd ortograficzny w tekście został poprawiony. Przepraszono za tę pomyłkę. Była również relacja z ogromnego pogrzebu, na który ściągnęli ludzie nawet z sąsiednich miast, tak odległych jak Walley. Zjeżdżali samochodami i pociągiem, niektórzy bryczkami. Nie znali Jacka Agnew za życia, ale, jak napisano w gazecie, chcieli złożyć hołd jego tragicznej i niezwyklej śmierci. Wszystkie sklepy w Carstairs zostały zamknięte na dwie godziny. Hotelu nie zamknięto, bo przyjezdni musieli gdzieś coś zjeść i wypić.

Osierocona rodzina to żona Grace i czteroletnia córka Lillian. Zmarły walczył dzielnie podczas Wielkiej Wojny, był tylko raz ranny, niezbyt ciężko. W związku z tym wiele osób mówiło o ironii losu.

Pominięcie w relacji żyjącego ojca nie było celowe. Wydawca gazety nie pochodził z Carstairs, a ludzie zapomnieli go poinformować.

Sam ojciec nie miał pretensji o to przeoczenie. W dniu pogrzebu – a dzień był bardzo piękny – wymaszerował z miasta, tak jak wychodził zawsze, kiedy postanawiał spędzić dzień poza ogrodem Douda. Włożył filcowy kapelusz i długi płaszcz, który mógłby mu posłużyć za koc, gdyby chciał się

zdrzemnąć. Kalosze porządnie przymocował do butów krążkami gumy do zamykania słoików. Wybierał się na łowienie podnawek. Sezon jeszcze się nie rozpoczął, ale on zawsze zaczynał ciut wcześniej. Wędkował wiosną i wczesnym latem, gotował i zjadał, co złowił. Na brzegu rzeki trzymał schowany kociołek i patelnię. Kociołek służył do gotowania kuku rydzy, jaką zbierał z pola później, w następnej porze roku, zrywał też owoce z dzikich jabłoni i winorośli. Był zupełnie normalny, tylko nie znosił rozmów. Nie mógł ich całkiem uniknąć w tygodniach po śmierci syna, ale miał sposób, by je ucinać.

– Powinien był patrzeć, co robi.

Kiedy wędrował tego dnia poza miastem, napotkał drugą osobę, która nie brała udziału w pogrzebie. Kobietę. Nie próbowała zacząć rozmowy i w gruncie rzeczy wydawała się równie zawzięta w swojej samotności jak on, przecinając powietrze wokół siebie długimi, gorączkowymi krokami.

Fabryka fortepianów, która pierwotnie produkowała fisharmonie, ciągnęła się po zachodniej stronie miasta niczym mur średniowiecznego grodu. Składała się z dwóch długich budynków – jakby zewnętrznego i wewnętrznego szanca – połączonych zadaszonym mostem, gdzie mieściło się główne biuro. Od strony miasta i ulic, przy których znajdowały się domy robotników, stały piece, tartak, skład drzewa i magazyny. Fabryczny gwizdek o godzinie szóstej oznajmiał, że pora wstawać. Rozlegał się ponownie o godzinę później na rozpoczęcie pracy, o dwunastej na obiad, o pierwszej na powrót

do pracy, a potem o wpół do szóstej informował ludzi, żeby odłożyli narzędzia i szli do domu.

Obok zegara, pod szkłem, wisiał regulamin. Dwa pierwsze punkty brzmiały:

Jedna minuta spóźnienia to piętnaście minut zarobku. Bądź punktualny.

Nie myśl, że nic ci nie grozi. Pilnuj siebie i sąsiada.

W fabryce zdarzały się wypadki i nawet jeden człowiek zginął, przygnieciony ogromnym ładunkiem drewna. Miało to miejsce jeszcze przed czasami Arthura. Innym razem, podczas wojny, jeden z robotników stracił rękę albo część ręki. Tamtego dnia Arthur był w Toronto. Więc nigdy w życiu nie widział wypadku – w każdym razie poważnego. Ale ostatnio gdzieś w tyle jego głowy budziła się myśl, że coś może się stać.

Może stracił pewność, że trzyma nieszczęście na długość kija, jak mu się wydawało przed śmiercią żony. Umarła w 1919 roku wskutek ostatniego ataku hiszpanki, kiedy już wszyscy przestali się bać. Nawet ona sama przestała się bać. To się stało przed pięciu laty i dla Arthura wciąż stanowiło kres beztrioskiej części jego życia. Ale ludziom zawsze wydawał się odpowiedzialny i poważny – nikt nie zauważył w nim szczególnej zmiany.

W jego snach o wypadku zalegała cisza, kończyły się wszelkie działania. Maszyny w zakładzie przestawały wydawać znajome dźwięki, milkły wszystkie ludzkie głosy i Arthur, spojrzawszy przez okno biura, rozumiał, że przyszło

nieszczęście. Nie potrafił sobie później niczego przypomnieć, niczego szczególnego, co by mu to powiedziało. Była tylko przestrzeń, pył na fabrycznym podwórzu, które mówiły: „Stało się”.

Przez tydzień albo coś koło tego książki leżały na podłodze w samochodzie. Bea, jego córka, zapytała:

– Co tu robią te książki?

Wtedy sobie przypomniął.

Bea odczytała autorów i tytuły. *Sir John Franklin i Romans podróży na północny zachód* G.B. Smitha. *Czego światu brakuje?* G.B. Chestertona. *Zdobycie Quebecu* Archibalda Hendry'ego. *Teoria i praktyka bolszewizmu* lorda Bertranda Russella.

– Bol-sze-wis-mu – wymówiła Bea i Arthur powiedział jej, jak należy poprawnie artykułować to słowo. Zapytała, co to jest, a on odparł:

– To coś takiego, co mają w Rosji, sam nie bardzo wiem, na czym rzecz polega. Ale z tego, co słyszę od ludzi, to wstyd.

Bea miała wtedy trzynaście lat. Słyszała o balecie rosyjskim i o derwiszach. Przez kilka następnych lat sądziła, że bolszewizm to jakiś diabelski i chyba nieprzyzwoity taniec. Tak przynajmniej mówiła, kiedy już była dorosła.

Nie wspominała przy tym, że te książki wiązały się z człowiekiem, który miał wypadek. Historia byłaby mniej zabawna. A może naprawdę zapomniała.

Bibliotekarka była poirytowana. W książkach tkwiły kartonowe metryczki, co oznaczało, że te egzemplarze nie zostały

wypożyczone za pokwitowaniem, tylko wyjęte z regałów i wyniesione.

– Ta tutaj... Lorda Russella... została wzięta bardzo dawno.

Arthur nie przywykł do takich napomnień, ale odpowiedział łagodnie:

– Zwracam je w czyims imieniu. Człowieka, który zginął. W fabryce, w wypadku.

Bibliotekarka trzymała w ręku *Franklina*. Patrzyła na obrazek łodzi uwięzłej w lodzie.

– Poprosiła mnie o to jego żona – wyjaśnił Arthur.

Podnosiła kolejno każdą książkę i wytrzępywała, jakby spodziewała się, że coś z niej wyleci. Wsuwała palce pomiędzy kartki. Coś poruszało się niezdarnie w dolnej części jej twarzy, jakby ścisnęła policzki od środka.

– Pewno zabierał je do domu, kiedy mu przyszła ochota – powiedział Arthur.

– Przepraszam? – odezwała się po chwili. – Co pan mówił? Przepraszam.

To ten wypadek, uznał. Myśl, że człowiek, który tak zginął, był ostatnią osobą, jaka otwierała te książki, przewracała strony. Myśl, że mógł w nich zostawić kawałek swojego życia, kawałek papieru albo fidybus jako zakładkę, albo choćby kilka żdźbeł tytoniu. To ją rozkleiło.

– Nic się nie stało – powiedział. – Zaszedłem tylko, żeby je oddać.

Odwrócił się od biurka, ale nie wyszedł od razu z biblioteki. Od lat tu nie zaglądał. Między dwoma frontowymi oknami, tam, gdzie zawsze, wisiał portret jego ojca.

A.V. Doud, założyciel Wytwórni Fisharmonii i patron ni-
niejszej biblioteki. Wierzył w Postęp, Kulturę i Edukację.
Wierny przyjaciel Miasta Carstairs i Robotników.

Biurko bibliotekarki stało w sklepionym przejściu między po-
kojem głównym i tym w głębi. Książki ustawiono szeregami
na regałach w tylnym pomieszczeniu. W przejściach między
nimi zwisały długie sznurki wyłączników lamp z zielonymi
abażurami. Arthur przypomniał sobie, jak to kiedyś, parę lat
temu, na zebraniu rady rozważano wniosek, żeby czterdziesto-
watowe żarówki zastąpić sześćdziesiątkami. To bibliotekarka
postawiła wtedy ten wniosek; został przyjęty.

W pomieszczeniu od frontu znajdowały się dzienniki i ty-
godniki na drewnianych wieszakach oraz kilka ciężkich okrąg-
łych stołów, a także krzesła, żeby można było usiąść i po-
czytać, za szkłem zaś stały szeregi grubych ciemnych ksiąg.
Słowniki, pewno, i atlasy, i encyklopedie. Dwa piękne wyso-
kie okna wychodziły na główną ulicę, między nimi wisiał por-
tret ojca Arthura. Inne obrazy powieszono zbyt blisko sufitu,
były zbyt mroczne i gęste od postaci, by patrzący z dołu mógł
się w nich łatwo rozeznąć. (Później, kiedy Arthur spędził już
wiele godzin w bibliotece, dowiedział się z rozmów z biblio-
tekarką, że jeden przedstawia bitwę pod Flodden Field, kiedy
to król Szkocji prowadzi szarżę w dół zbocza w obłoku dymu,
drugi – pogrzeb dziecięcego króla Rzymu, a trzeci – kłótnię
pomiędzy Oberonem i Tytanią ze *Snu nocy letniej*).

Usiadł za jednym ze stołów, tak żeby być twarzą do
okna. Wziął leżący na stole stary egzemplarz „National

Geographic”. Siadł plecami do bibliotekarki. Uważał, że tak będzie taktowniej, bo sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej. Wchodzili inni ludzie, słyszał, jak ona się do nich zwraca. Teraz jej głos brzmiał już normalnie. Myślał, że trzeba wyjść, ale nie wychodził.

Podobało mu się to wysokie nagie okno wypełnione światłem letniego wieczoru, podobała mu się godność i ład tego pokoju. Był mile zadziwiony myślą o dorosłych ludziach, którzy tu przychodzą i odchodzą, i systematycznie czytają. Tydzień w tydzień, książka po książce, przez całe życie. Sam czytał książki od czasu do czasu, jeśli ktoś mu jakąś podsunął, zazwyczaj mu się podobała, czytał także tygodniki, by wiedzieć, co się dzieje w świecie, ale nigdy nie pomyślał, żeby przeczytać jakąś książkę, póki nie nawinęła mu się kolejna, niemal przypadkiem.

Niewiele zdarzało się momentów, kiedy znajdował się w bibliotece sam na sam z bibliotekarką.

Podczas jednej z takich chwil podeszła bliżej, by wymienić jakieś gazety na wieszakach. Kiedy je już powiesiła, zwróciła się do niego głosem, w którym brzmiało tłumione napięcie.

– Ta relacja z wypadku, ta, która ukazała się w gazecie... przypuszczam, że była mniej więcej dokładna?

Arthur odpowiedział, że była chyba zbyt dokładna.

– Czemu? Dlaczego pan tak mówi?

Zauważył, że czytelnicy mają niepohamowany pociąg do makabrycznych szczegółów. Czy gazeta powinna temu ulegać?

– Och, myślę, że to naturalne – powiedziała bibliotekarka. – To naturalne, że się chce wiedzieć najgorsze. Ludzie

chcą to sobie wyobrazić. Ja też chcę. Nie znam się zupełnie na maszynach. Trudno mi sobie wyobrazić, co się stało. Nawet z pomocą prasowej relacji. Czy maszyna zrobiła coś nieprzewidzianego?

– Nie – odpowiedział Arthur. – Maszyna nie chwyciła go i nie wciągnęła jak zwierzę. Wykonał niewłaściwy ruch, w każdym razie nieostrożny ruch. I to go zgubiło.

Milczała, ale nie odchodziła.

– Człowiek musi być czujny cały czas – ciągnął Arthur. – Nie może się rozpraszać ani na chwilę. Maszyna w służbie człowieka sprawdza się znakomicie, ale w odwrotnej roli okazuje się debilem.

Nie wiedział, czy gdzieś to wyczytał, czy sam wymyślił.

– I pewno nie ma sposobu na zapewnienie ludziom bezpieczeństwa – powiedziała bibliotekarka. – Ale pan przecież o tym wszystkim wie.

Odeszła od niego. Ktoś przyszedł.

Po tym wypadku zrobiło się nagle pogodnie na dworze. Długie wieczory i ciepło łagodnych dni uznano za coś niezwykłego i nieoczekiwanego, jakby zimy nie kończyły się w tej części kraju rok w rok niemal dokładnie tak samo. Bagna w magiczny sposób wchłaniały tafle powodziowej wody, ze zrudziałych gałęzi strzelały liście, a stajenne zapachy ze wsi wnikały do miasta owinięte w woń bżów.

Zamiast chęci na spacer w podobne wieczory przychodziła Arthurowi na myśl biblioteka i często tam kończył, zajmując to samo miejsce, jakie wybrał za pierwszym razem. Przesiadywał tak pół godziny albo godzinę. Przeglądał „London

Illustrated News” albo „Saturday Night”, albo „Colliera”. Te pisma miał u siebie w domu i mógł siedzieć we własnym gabinecie, spoglądając na obsadzone żywopłotem trawniki utrzymywane w jakim takim porządku przez starego Agnew, na rabaty kwiatowe teraz pełne tulipanów we wszystkich jaskrawych kolorach i we wszystkich możliwych kombinacjach. Ale chyba wołał widok głównej ulicy, po której od czasu do czasu przejeżdżał nowy szybki ford albo jakiś gruchot, stary model z płócienną zakurzoną budą. Wołał urząd pocztowy z jego wieżą zegarową pokazującą na cztery różne strony cztery różne godziny – jak ludzie zwykli mówić, każdą nieprawdziwą. I ludzi przechodzących czy wałęsających się po chodnikach. Próbowali uruchomić fontannę pitnej wody, chociaż wodę się puści dopiero pierwszego lipca.

Nie, nie odczuwał potrzeby towarzystwa. Nie przychodził na pogawędkę, chociaż witał po nazwisku ludzi, których znał, a znał ich większość. I mogło się zdarzyć, że zamieniał parę słów z bibliotekarką, chociaż na ogół to było „dzień dobry” przy wejściu i „dobranoc” przy wyjściu. Niczego od nikogo nie potrzebował. Miał poczucie, że jego obecność jest miła, krzepiąca i przede wszystkim naturalna. Wydawało mu się, że coś wnosi przez to, że tu siedzi, czyta i rozmyśla. Ludzie mogli na to liczyć.

Było takie pojęcie, które lubił. Służba publiczna. Ojciec, który na niego patrzył, z podbarwionymi dziecięcym różem policzkami i nieco nadąsanymi ustami starca, nigdy tak o sobie nie myślał. Myślał o sobie bardziej jak o postaci publicznej i dobroczyńcy. Działał, jak chciał i jak los zrządził, nie

przejmował się. Kiedy interes spowalniał, chodził po fabryce i mówił to jednemu, to drugiemu:

– Do domu. Wracaj do domu. I zostań, póki nie będziesz mi potrzebny.

I szli do domu. Uprawiali swoje ogródki albo szli polować na króliki, albo zaciągali długi, kupując to, co niezbędne, i uważali, że inaczej być nie może. Do dziś przypominali sobie w żartach te jego warknięcia: „Do domu!”. Był ich bohaterem i Arthur nigdy nie mógłby się z nim równać, ale też dzisiaj nie pozwoliliby się tak traktować. Podczas wojny przywykli do dobrych zarobków i tego, że jest na nich zapotrzebowanie. Nie przychodziło im do głowy, że żołnierze wracający do domu zapełniali rynek pracy, nigdy nie pomyśleli, że taka firma jak jego z roku na rok, a nawet z sezonu na sezon utrzymuje się przy życiu dzięki szczęściu lub pomysłowości. Nie lubili zmian, nie podobało im się przejście na produkcję pianoli, które, zdaniem Arthura, były nadzieją na przyszłość. Ale Arthur stawiał na swoim, chociaż postępował dokładnie odwrotnie niż ojciec. Najpierw przemysł wszystko, a potem przemysł to jeszcze raz. Trzymaj się w cieniu, chyba że cię zmuszą do wyjścia. Zachowaj godność. Staraj się zawsze być uczciwy.

Oczekiwali, że wszystko będzie im dane. Całe miasto tego oczekiwało. Praca będzie im dana, co było równie oczywiste jak to, że słońce rano wstaje. A podatki nakładane na fabrykę rosły, podobnie jak opłaty za wodę, którą dawniej dostarczano za darmo. Utrzymywanie dróg dojazdowych obciążało teraz fabrykę, nie, jak dawniej, miasto. Kościół metodystów

prosił o pokaźny datek na budowę nowej szkółki niedzielnej. Miejski zespół hokejowy potrzebował nowych strojów. W parku Pamięci Poległych wznoszono kamienne wrota. I rok w rok najzdolniejszy chłopiec z ostatniej klasy szedł na uniwersytet na koszt firmy Douda.

Proście, a będzie wam dane.

W domu również rosły potrzeby. Bea napraszała się o wyjazd do prywatnej szkoły, pani Feare wypatrzyła jakiś nowy kuchenny mikser, a także nową pralkę. Ozdobne gzymsy domu trzeba było w tym roku odmalować. Te najdrobniejsze detale jak z tortu weselnego, które galonami wchłaniają farbę. I pośród tego wszystkiego cóż wymyślił sam Arthur? Otóż zamówił sobie nowy samochód – chryslera sedana.

To była konieczność – musiał jeździć nowym samochodem. Musiał jeździć nowym samochodem, Bea musiała jechać do szkoły, pani Feare musiała mieć najnowsze urządzenia kuchenne, a gzyms musiał wyglądać biało jak śnieg. Inaczej straciliby powszechny szacunek, straciliby zaufanie, ludzie zadawaliby sobie pytanie, czy sprawy nie zaczęły iść w złym kierunku. A przecież wszystko da się zrobić, przy odrobinie szczęścia wszystko da się zrobić.

Przez długie lata po śmierci ojca czuł się jak mistyfikator. Nie wciąż, ale od czasu do czasu. A teraz to uczucie minęło. Mógł sobie tu siedzieć i czuć, że minęło.

Był w biurze, kiedy się zdarzył wypadek, omawiał sprawy ze sprzedawcą forniru. Coś w nim odnotowało zmianę natężenia hałasu, raczej wzrost niż ścichnięcie. Nic, co by go

ostrzegło – jedynie drobne rozdrażnienie. Wypadek zdarzył się w tartaku, dlatego ani w biurach, ani przy piecach, ani w podwórzu nikt o nim nie usłyszał od razu i w kilku działach praca trwała jeszcze kilka minut. W gruncie rzeczy Arthur, który pochylał się nad próbkami forniru leżącymi na biurku, mógł być jedną z ostatnich osób, które zrozumiały, że coś się stało. Zapytał o coś sprzedawcę, a ten nie odpowiedział. Arthur podniósł wzrok i zobaczył szeroko otwarte oczy i przerażoną twarz człowieka, który stracił całą pewność siebie.

Potem usłyszał, jak go wołają – po nazwisku – „Panie Doud”, jak większość, albo – „Arthurze, Arthurze” – tak jak mówili do niego starsi, ci, którzy go znali od małego. I słyszał jeszcze: „piła” i „głowa”, i „Jezu, Jezu, Jezu!”.

Arthur chciał chwili ciszy, tego, by dźwięki i przedmioty cofnęły się, dając mu w ten straszliwy, lecz wyzwalający sposób przestrzeń. Ale było inaczej. Krzyki, pytania, zamęt, w tym wszystkim pchali go do tartaku. Jakiś robotnik zemdlał i upadł tak, że gdyby przed chwilą nie zatrzymano piły, ten również dostałby się pod ostrze. Właśnie jego ciało leżące na ziemi, ale całe, Arthur wziął przez chwilę za ciało ofiary. Och, nie, nie, nie. Pchali go dalej. Trociny były czerwone. Nasiąknięte, lśniące. Sterta drzewa cała wesoło spryskana, ostrza tak samo. Na trocinach leżał stos przesiąkniętego krwią roboczego ubrania i Arthur zdał sobie sprawę, że to jest ciało, korpus wraz z członkami. Wypłynęło tyle krwi, że kształt na pierwszy rzut oka nie był wyraźny, lecz jakby rozmiękczony, niby surowe ciasto.

Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to żeby to nakryć. Ściągnął marynarkę i przykrył ciało. Podeszedł blisko, pod butami

mu zachlupotało. Nikt nie zakrył ciała z tej prostej przyczyny, że nikt poza nim nie nosił marynarki.

– Czy pojechali po doktora? – krzyczał ktoś.

– Po doktora? – spytał ktoś tuż obok Arthura. – Czy doktor mu przyszyje z powrotem głowę? Przyszyje?

Ale Arthur kazał wezwać doktora; wydawało mu się to konieczne. Przecież nie może być śmierci bez doktora. To wprawilo pozostałych w ruch. Doktor, zakład pogrzebowy, trumna, kwiaty, ksiądz. Zacząć ze wszystkim, dać ludziom jakieś zajęcie. Zebrać szuflami trociny, oczyścić piłę. Wystać do mycia tych, którzy stali obok. Zanieść tego, który zemdlał, do stołówki. Czy nic mu nie jest? Kazać sekretarce zrobić herbatę.

Brandy, tego potrzebował. Albo whisky. Ale wydał zakaz picia alkoholu na terenie fabryki.

Czegoś wciąż brakowało. Czego? Tam, mówili. O, tam. Arthur usłyszał, jak ktoś wymiotuje. No dobrze. Albo sam to podniesie, albo każe komuś podnieść. Uratował go ten chlup wymiotów, uspokoił, napełnił niemal pogodnym zdecydowaniem. Podniósł ją. Przeniósł delikatnie i ostrożnie, jakby niósł osobliwy, ale cenny dzban. Przycisnął twarzą do piersi, jakby ją tulił, tak żeby nie była widzialna. Krew przesiąknęła przez koszulę, materiał przylgnął do skóry. Ciepło. Czuł się, jakby został ranny. Był świadom tego, że na niego patrzą, i był świadom samego siebie, tak jak musi być świadom aktor lub kapłan. Co ma z nią zrobić teraz? Odpowiedź na to również przyszła. Połóż ją, ułóż tam, gdzie być powinna, oczywiście nie dopasowuj ściśle, jakby tam miał być szew. Tak, mniej więcej na właściwym miejscu, i podciągnij marynarkę wyżej.

Nie mógł w tej chwili pytać o nazwisko tego człowieka. Musi się tego dowiedzieć w jakiś inny sposób. Wobec intymności wyświadczonej posługi ta niewiedza byłaby uwłaczająca.

Ale okazało się, że wie. Kiedy naciągał róg swojej marynarki na ucho, które było i w dalszym ciągu pozostawało zwrócone do góry, przez co wyglądało świeżo i wciąż użytecznie, nazwisko przyszło samo. Syn tego, co pracował w ogrodzie, nieszczególnie odpowiedzialnego. Młody człowiek przywrócony do pracy po powrocie z wojska. Żonaty? Chyba tak. Trzeba będzie do niej pojechać. Jak najszybciej. Przebrać się.

Bibliotekarka często nosiła ciemnoczerwoną bluzkę. Usta malowała pod kolor, włosy miała równo przycięte. Nie była już młodą kobietą, ale wciąż ubierała się z klasą, przyciągała wzrok. Pamiętał, że kiedy ją przed laty przyjmowali do pracy, pomyślał, że robi bardzo skromne wrażenie. Wtedy nie przycinała włosów – upinała je staroświecko naokoło głowy. Wciąż miały tę samą barwę – ciepły, przyjemny kolor, jak liście – liście, na przykład, kasztanu jesienią. Próbował sobie uświadomić, ile też ona zarabia. Niewiele, na pewno. Nie robiła wrażenia ubogiej – umiała dobrze wydać tę pensję. Gdzie ona mieszka? W jakimś pensjonacie? W tym dla nauczycieli? Nie, nie. Mieszka w Hotelu Kupieckim.

Teraz przyszło mu do głowy coś jeszcze. Nie żadna konkretna, zapamiętana historia. Trudno by stwierdzić, że miała złą reputację. Ale również nie nieskalaną. Powiadano, że lubi się napić z przyjezdnymi. Może ma wśród nich jakiegoś przyjaciela. Jednego albo kilku.

No cóż, jest dorosła i może robić, co jej się podoba. To nie to samo co nauczycielka... nauczycielkę zatrudnia się trochę i po to, żeby dawała przykład. Byleby tylko dobrze wykonywała robotę, a wszyscy przecież widzą, że ją robi dobrze. Ma swoje własne życie, jak każdy. Czy nie lepiej mieć w bibliotece ładną kobietę niż taką starą zrzędę jak Mary Tamblyn? Mogą tu zajrzeć jacyś przyjezdni, będą sądzili miasto po tym, co zobaczą, dobrze mieć tu ładną kobietę z dobrymi manierami.

Dość tego. Kto mówi, że niedobrze? Ważył w głowie argumenty za i przeciwko niej, tak jakby ktoś przyszedł i chciał ją wyrzucić, a on nie zdawał sobie sprawy, że o to chodzi.

A co to było z tymi jej pytaniami, pierwszego wieczoru, o maszyny. O co jej wtedy chodziło? Czy nie sugerowała przypadkiem, że ktoś tu ponosi odpowiedzialność?

Rozmawiał z nią o obrazach, o oświeceniu i nawet jej opowiedział, jak ojciec przysłał tu swoich robotników z fabryki, żeby na jego koszt wykonali półki biblioteczne, ale nigdy nie podjął rozmowy o tym człowieku, który wynosił książki bez jej wiedzy. Na pewno po jednej. Pod marynarką? I zwracał w ten sam sposób. Musiał je zwracać, inaczej miałby w domu stos książek, żona nigdy by mu na to nie pozwoliła. Nie kradł, tyle że na trochę. Nieszkodliwe postępowanie – ale dziwne. Czy istnieje jakiś związek? Pomiędzy myśleniem, że można postępować inaczej niż inni, i myśleniem, że da się wykonać nieostrożny ruch i uniknąć wciągnięcia rękawa i głowy pod piłę?

Mógłby być, mógłby być pewien związek. Pewien rodzaj nastawienia.

– Ten człowiek... wie pani który... z wypadku – zwrócił się do bibliotekarki. – To, jak on stąd wychodził z wybranymi książkami. Jak pani myśli, dlaczego to robił?

– Ludzie robią różne rzeczy – powiedziała. – Wyrrywają kartki. Ponieważ coś im się nie podoba albo coś się podoba. Po prostu robią różne rzeczy. Nie wiem.

– Czy on kiedykolwiek wyrwał jakieś kartki? Czy nigdy go pani nie skarciła? Nie sprawiła, że bał się spojrzeć pani w oczy?

Chciał się z nią trochę podroczyć, zakładając, że przecież nikt nie mógłby się jej bać, ale nie rozumiała tego w ten sposób.

– Skąd mogę wiedzieć, skoro nigdy z nim nie rozmawiałam? Nigdy go nie widziałam. Nigdy nie patrzyłam na niego, tak żebym zdawała sobie sprawę, kim jest.

Odeszła, kładąc kres rozmowie. To znaczy, że nie lubi, żeby się z nią droczyć. Czy ona należy do tych ludzi pełnych zaszpachlowanych pęknięć, które można dojrzeć tylko z bliska? Jakiegoś dawnego nieszczęścia, które w dalszym ciągu boli, jakiejś tajemnicy? Może straciła ukochanego na wojnie.

Później, w sobotni letni wieczór sama wróciła do tematu, którego on nigdy by już nie podjął.

– Czy pamięta pan, że mówiliśmy kiedyś o człowieku, który miał ten wypadek?

Arthur potaknął.

– Chcę panu zadać pytanie, które może się wydać dziwne. Skinął głową.

– I to, że pana pytam – chciałabym prosić, żeby to zostało między nami.

– Oczywiście – powiedział.

– Jak on wyglądał?

Jak wyglądał? Arthur był zaskoczony. Był zaskoczony tym, że ona robi tyle zamętu i tajemnicy wokół tego pytania – przecież to naturalne, że jest ciekawa, jak wyglądał człowiek, który tu przychodził i zabierał książki bez jej wiedzy. Potrząsnął głową, ponieważ nie był w stanie jej odpowiedzieć. Nie potrafił przywołać z pamięci obrazu Jacka Agnew.

– Wysoki – powiedział. – Chyba raczej wysoki. Nic więcej nie mogę pani powiedzieć. Nie jestem właściwą osobą, którą należy pytać. Łatwo rozpoznaję ludzi, ale nie potrafię opisać niczyjego wyglądu, nawet jeśli codziennie widuję tego kogoś.

– Ale wydawało mi się, że to pan... mówiono, że to pan. Że to pan go podniósł... jego głowę.

– Uznałem, że nie można jej tak zostawić na ziemi – powiedział sztywno Arthur. Zawiodła go ta kobieta, speszył się, wstyd mu było za nią. Ale starał się mówić rzeczowo, nie dopuścić, żeby w jego głosie zabrzmiał wyrzut. – Nie potrafię nawet powiedzieć, jakiego koloru miał włosy. Wszystko było... było już ogromnie zniekształcone.

Przez dobrą chwilę milczała, a on patrzył poza nią.

– Musiałam się panu wydać jedną z takich osób... takich, które się fascynują podobnymi wydarzeniami.

Arthur wydał jakiś dźwięk protestu, ale, rzecz jasna, odniósł wrażenie, że jest jedną z takich osób.

– Nie powinnam była pana pytać – powiedziała. – Nie powinnam była o tym wspominać. Nigdy nie będę mogła panu wyjaśnić, dlaczego to zrobiłam. Chciałabym tylko pana prosić, żeby pan, jeśli można, nigdy nie myślał, że jestem tego rodzaju osobą.

Arthur usłyszał słowo „nigdy”. Nigdy nie będzie mu mogła wyjaśnić. On ma nigdy nie myśleć. Mimo doznanego zawodu podchwycił sugestię, że ich rozmowy będą miały ciąg dalszy i może mniej przypadkowy. Wyczuł pokorę w jej głosie, ale to była pokora wynikająca z jakiejś pewności siebie. Niewątpliwie seksualnej.

Ale może tak myślał, ponieważ to był właśnie ten dzień. Sobotni wieczór raz w miesiącu, kiedy jechał do Walley. Akurat się tam wybierał, wpadł tu tylko po drodze, wcale nie zamierzał siedzieć tak długo. Był to wieczór, kiedy jechał w odwiedziny do kobiety, która nazywała się Jane MacFarlane. Jane MacFarlane rozstała się z mężem, ale nie zamierzała przeprowadzać rozwodu. Nie miała dzieci. Zarabiała na życie jako krawcowa. Arthur ją poznał, kiedy przyszła do ich domu uszyć suknię dla jego żony. Nic się wówczas nie wydarzyło i żadnemu z nich nic podobnego nie przyszło do głowy. W jakimś sensie Jane MacFarlane była kobietą z tego gatunku co bibliotekarka – przystojna, choć już nie najmłodsza, śmiała i z klasą, dobrze wykonująca swoją pracę. A pod innymi względami – nie taka podobna. Nie mógł sobie wyobrazić, by Jane kiedykolwiek mogła obarczyć kogoś tajemnicą, uzupełniając to informacją, że tajemnica nigdy nie zostanie wyjawiona. Jane była kobietą, która dawała mężczyźnie pokój. Przyciszona

rozmowa z nią – zmysłowa, płytka, życzliwa – przypominała rozmowy, jakie prowadził z żoną.

Bibliotekarka podeszła do kontaktu przy drzwiach i zgasiła główne światło. Zablokowała zamek wejściowy. Zniknęła wśród półek i bez pośpiechu wyłączała światła między regałami. Zegar miejski wybijał dziewiątą. Widocznie ufała punktualności tego zegara. Na jego zegarku brakowało trzech minut do pełnej godziny.

Czas wstawać, czas wychodzić, czas jechać do Walley.

Kiedy skończyła ze światłami, podeszła i usiadła obok niego przy stole.

– Nigdy nie pomyślałbym o pani w sposób, który mógłby pani sprawić przykrość – powiedział.

Nie powinno się było zrobić tak ciemno po zgaszeniu światła. Przecież jest sam środek lata. Ale chyba akurat w tym momencie nadciągnęły ciężkie deszczowe chmury. Gdy ostatni raz wyglądał na ulicę, wciąż jeszcze wypełniało ją dzieńne światło: przyjezdni ze wsi robili zakupy, chłopcy opryskiwali się przy kranie z wodą, a dziewczyny spacerujące tam i z powrotem w lekkich, tanich, kwiecistych sukienkach wystawiały się na spojrzenia młodych ludzi stojących w różnych grupkach – czy to na schodkach poczty, czy przy wejściu do sklepu spożywczego. A teraz, kiedy podniósł wzrok, zobaczył zamęt na ulicy, bo wiatr niósł pierwsze krople deszczu. Dziewczyny z wrzaskiem i śmiechem osłaniały torebkami głowy, uciekając pod dach, sprzedawcy zwijali markizy i wnosili do sklepów kosze owoców, stojaki z letnim obuwiem i rozłożone na chodniku narzędzia ogrodnicze. Drzwi

do ratusza trzaskały za wbiegającymi do wnętrza kobietami ze wsi, tłoczącymi się razem z zakupami i dziećmi w toalecie dla pań. Ktoś próbował otworzyć drzwi biblioteki. Bibliotekarka widziała to, ale nie drgnęła. W chwilę później kurtyny deszczu omiatały ulicę, a wicher tłukł dach ratusza i szamała czubkami drzew. Ryk i strach trwały parę minut, potem wiatr osłabł. Pozostał tylko odgłos deszczu, który teraz padał pionowo i był tak gęsty, że równie dobrze mogliby się znajdować pod wodospadem.

„Jeśli to samo dzieje się w Walley – pomyślał – to Jane na pewno nie będzie mnie wyglądała”. To była jego ostatnia myśl o niej na bardzo długo.

– Pani Feare nie chciała uprać moich rzeczy – powiedział ku własnemu zaskoczeniu. – Bała się ich dotknąć.

Bibliotekarka powiedziała głosem dziwnie drżącym, wstydliwym i zdecydowanym:

– Myślę, że to, co pan zrobił... myślę, że to było niezwykle.

Nieustanny szum deszczu oszczędził Arthurowi odpowiedzi. Okazało się, że może się łatwo odwrócić i spojrzeć na nią. Deszcz spływający strugami po szybach delikatnie uwidoczniał jej profil. Miała spokojny i śmiały wyraz twarzy. Przynajmniej tak mu się wydawało. Uświadomił sobie, że właściwie nic o niej nie wie – jaki to jest naprawdę człowiek, jakiego rodzaju może mieć tajemnice. Nie potrafił nawet określić, jaką przedstawia dla niej wartość. Wiedział, że ma jakąś i że nie jest przeciętna.

Emocje, jakie mu przekazywała, potrafił określić tylko tak, jak się określa zapach. To jak zetknięcie z prądem. Jak prażone ziarna pszenicy. Nie, jak cierpka pomarańcza. Poddają się.

Nigdy nie przypuszczał, że znajdzie się w podobnej sytuacji, że poczuje taki jednoznaczny nakaz. Ale okazało się, że nie był całkiem nieprzygotowany. Nie zastanawiając się długo, ani nawet raz, w co się pakuje, powiedział:

– Chciałbym...

Mówił za cicho, nie słyszała go.

Podniósł głos.

– Chciałbym, żebyśmy zostali małżeństwem.

Wtedy spojrzała na niego. Zaczęła się śmiać, ale się opanowała.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam. To przez to, co mi przyszło do głowy.

– Co takiego? – spytał.

– Pomyślałam – pomyślałam: już go nigdy więcej nie zobaczę.

– Myli się pani – powiedział Arthur.

MĘCZENNICZY Z TOLPUDDLE

Pociąg osobowy z Carstairs do London przestał kursować podczas drugiej wojny światowej, nawet zdemontowano szyny. Ludzie powiadali, że na rzecz Akcji Wojennej. Kiedy Louisa w połowie lat pięćdziesiątych jechała do kardiologa, musiała wziąć autobus. Już nie wolno jej było prowadzić samochodu.

Lekarz kardiolog powiedział, że ma serce kapryśne, a tętno zbkikowane. Pomyślała, że wobec tego jej serce jest jak komediant, a tętno jak szczeniak na smyczy. Nie po to jechała

pięćdziesiąt siedem mil, żeby ją tak niepoważnie traktowano, ale mniejsza o to, teraz jej uwagę zaprzętało coś, o czym się dowiedziała z prasy w poczekalni lekarskiej. Może właśnie to, co czytała, sprawiło, że jej ciśnienie podskoczyło.

Na środkowej stronie miejscowej gazety zobaczyła tytuł *Ku czci miejscowych męczenników* i czytała dalej, po prostu dla zabicia czasu. Dowiedziała się, że po południu odbędzie się jakaś uroczystość w parku Zwycięstwa. Będzie to uroczystość ku czci męczenników z Tolpuddle. Z gazety wynikało, że niewiele osób słyszało o męczennikach z Tolpuddle, a Louisa z pewnością nie słyszała o nich nigdy. Byli to ludzie, którzy byli sądzeni i zostali skazani za składanie niezgodnych z prawem przysięg. Wskutek tego osobliwego przestępstwa popełnionego przed przeszło stu laty w Anglii, w hrabstwie Dorset, zostali zesłani karnie do Kanady, a niektórzy z nich znaleźli się koniec końców tu, w London, gdzie dożyli swoich dni i pochowano ich zwyczajnie i bez ceremonii. Teraz uznano ich za najstarszych założycieli ruchu Związków Zawodowych i Rada Związków Zawodowych wraz z przedstawicielami Kanadyjskiej Federacji Pracy oraz pastory niektórych miejscowych kościołów zorganizowali uroczystość, która odbędzie się dzisiaj z okazji sto dwudziestej rocznicy ich aresztowania.

„Męczennicy to lekka przesada – pomyślała Louisa. – Przecież ich nie stracono”.

Uroczystość miała się zacząć o godzinie trzeciej, a głównymi mówcami mieli być jeden z miejscowych duszpasterzy oraz pan John (Jack) Agnew, przedstawiciel związków zawodowych z Toronto.

Wyszła z gabinetu doktora piętnaście po drugiej. Autobus do Carstairs odchodził dopiero o szóstej. Pomyślała, że pójdzie na filiżankę herbaty i zje coś na górnym piętrze Simpsona, potem poszuka prezentu ślubnego i jeśli zostanie jej dość czasu, pójdzie na popołudniowy seans filmowy. Park Zwycięstwa znajdował się pomiędzy gabinetem lekarza a domem handlowym Simpsona, postanowiła iść na skos przez park. Dzień był upalny, a cień drzew – zachęcający. Nie mogła nie zauważyć miejsca, w którym ustawiono krzesła, niewielką platformę dla mówców przykrytą żółtą materią, z flagą kanadyjską po jednej, a czymś, co musiało być, jej zdaniem, flagą związkową, po drugiej stronie. Zebrała się już grupka ludzi i Louisa uświadomiła sobie, że zbacza z drogi, żeby im się przyjrzeć. Była wśród nich garstka osób starszych, ubranych bardzo skromnie, ale porządnie, kobiety w chustkach zawiązanych na głowie w upalny dzień, Europejki. Pozostali to robotnicy, mężczyźni w koszulach z krótkimi rękawami, kobiety w świeżych bluzkach i płóciennych spodniach, zwolnione wcześniej z pracy. Niektóre musiały przyjść z domu, bo miały na sobie letnie sukienki i sandały, i starały się nie spuścić z oczu małych dzieci. Pomyślała, że nic ich nie obchodzi to, jak jest ubrana – modnie, jak zawsze, beżowy szantung i czerwony kapelusik z jedwabiu – ale w tym samym momencie dostrzegła kobietę ubraną bardziej niż ona elegancko, w zielonym jedwabiu; włosy miała mocno ściągnięte i zawiązane z tyłu zielono-żółtą wstążką. Mogła mieć około czterdziestki – twarz zniszczoną, ale piękną. Podeszła natychmiast z uśmiechem do Louisy, wskazała jej krzesło i wręczyła jakąś

ulotkę. Louisa nie była w stanie odczytać czerwonego wydruku. Próbowwała rzucić wzrokiem na grupkę mężczyzn rozmawiających za mównicą. Czy są wśród nich przyszli mówcy?

W zbieżności nazwiska nie widziała niczego szczególnego. Ani imię, ani nazwisko nie było niezwykle.

Nie wiedziała, dlaczego usiadła, a tym bardziej – po co tu przysłała. Nachodziło ją mdlące, znajome podniecenie. Nachodziło ją z niczego. Ale kiedy już je poczuła, powiedzenie sobie, że się bierze z niczego, nie pomagało. Pozostawało jedynie wstać i pójść stąd, nim przyjdzie więcej ludzi, którzy ją tu zakleszczą.

Kobieta w zieleni zapytała, czy nic jej nie jest.

– Muszę złapać autobus – odpowiedziała Louisa ochryple. – Zamiejscowy – dodała, lepiej już panując nad głosem, i odeszła, ale nie w kierunku Simpsona. Uznała, że nie pójdzie do Simpsona. Nie pójdzie do Birka po ślubny prezent i do kina też nie pójdzie. Po prostu pójdzie na dworzec, usiądzie sobie i poczeka na autobus do domu.

Niedaleko dworca uświadomiła sobie, że autobus, który ją rano przywiózł, nie tutaj ją wysadził. Dworzec został zburzony i teraz był w trakcie odbudowy, a tymczasowa stacja znajdowała się o kilka przecznic dalej. Nie zwróciła uwagi na nazwę ulicy – czy to York Street, na wschód od właściwego dworca, czy King Street? Tak czy inaczej, musiała iść naokoło, ponieważ obie główne ulice miały zerwane chodniki, i już niemal uznała, że się zgubiła, kiedy stwierdziła nagle, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła się przy

tymczasowej stacji, tylko od tyłu. Budynek był stary – jeden z tych wysokich, z żółtoszarej cegły z czasów, kiedy znajdowała się tu dzielnica mieszkaniowa. Zapewne dostał ostatnią szansę na posługę przed zburzeniem. Kilka okolicznych domów zrównano już z ziemią, tworząc duży, wysypany żwirem podjazd dla autobusów. Na skraju działki pozostało jeszcze kilka drzew, pod nimi ustawiono parę rzędów krzeseł, których nie zauważyła, wysiadając rano z autobusu. Na czymś, co musiało być kiedyś werandą tego domu, siedzieli dwaj mężczyźni w fotelach wyjętych ze starych samochodów. Mieli logo firmy autobusowej na koszulkach, ale okazywali letni stosunek do pracy, nie wstali, kiedy zapytała, czy autobus do Carstairs odjedzie o szóstej, zgodnie z rozkładem i gdzie mogłaby się czegoś napić.

O szóstej, o ile im wiadomo.

Kawiarnia kawałek dalej.

W środku chłodniej, ale została tylko cola i pomarańczowy.

Kupiła coca-colę z chłodziarki w malutkiej brudnej wewnętrznej poczekalni pachnącej niesprzątaną toaletą. Przenosiny dworca do tego rozpadającego się budynku musiały pociągnąć za sobą nieudolność i niedowład w całej firmie. W pokoju, w którym teraz znajdowało się biuro, stał wentylator i Louisa, przechodząc, zobaczyła kartki sfruwające ze stołu. „O, cholera” – powiedziała jedna z urzędniczek i przyspiliła kartki obcasem.

Ustawione w cieniu zakurzonych miejskich drzew stare krzesła ze sztywno sterczącymi oparciami, niegdyś zapewne kolorowe, wyglądały, jakby je tu przyniesiono z rozmaitych,

kuchni. Kawałki wiekowego dywanu i gumowe maty łazienkowe rozłożone na ziemi miały chronić stopy przed zapadaniem w żwir. Wydało się jej, że widzi za pierwszym rzędem krzesel leżącą owcę, ale okazało się, że to brudny biały pies, który przykłusował do niej, obrzucił ją poważnym, na wpół służbowym spojrzeniem, niedbale obwąchał jej buty i odbiegł. Nie zauważyła, czy tam były słomki, ale już nie miała ochoty wracać i sprawdzać. Piła colę z butelki, odchylając głowę, zamknawszy oczy.

Kiedy je otworzyła, na krześle o jedno miejsce dalej siedział mężczyzna, który do niej mówił.

– Przyszedłem najszybciej jak mogłem. Nancy mi powiedziała, że chcesz zdążyć na autobus. Jak tylko skończyłem przemawiać, zaraz wyszedłem. Ale dworzec autobusowy jest w rozbiórce.

– Tymczasowo – powiedziała.

– Poznałem cię natychmiast – ciągnął. – Mimo tylu... tylu lat. Rozmawiałem z kimś, kiedy cię zobaczyłem. Potem rozejrzałem się jeszcze raz, ale już zniknął.

– Ja pana nie poznaję – powiedziała Louisa.

– No, tak – chrząknął. – Pewno, że nie. Oczywiście. Jak żeby inaczej.

Miał na sobie jasnobrązowe spodnie, bladożółtą koszulę z krótkimi rękawami i kremowożółtą fularową chustkę. Jak na związkowca – odrobinę za elegancko. Włosy siwe, ale gęste, falujące, ten rodzaj sprężystych włosów, co to układają się w fale od czoła do tyłu, cera poczerwieniała, twarz w głębokich bruzdach, jakie musiały wyźłobić jego oratorskie

wysiłki – a pewno również bezpośrednie rozmowy z ludźmi, prowadzone z takim samym zapałem i elokwencją co wystąpienia publiczne. Nosił przyciemnione okulary, które teraz zdjął, pewno po to, żeby mogła mu się lepiej przyjrzeć. Oczy jasnyniebieskie, nieco przekrwione, jakby spłoszone. Przystojny mężczyzna, wciąż w dobrej formie, z wyjątkiem niewielkiej apodyktycznej wypukłości nad paskiem, ale ten sprawny, dobry wygląd – staranne sportowe ubranie, obfita siwizna w drobne fale, efektowny sposób mówienia – nie wydały się jej pociągające. O wiele bardziej odpowiadał jej wygląd Arthura. Powściągliwość, godność ciemnego ubrania, którą niektórzy brali za wystudiowaną pozę, to właśnie wydawało się jej takie szlachetne i godne podziwu.

– Chciałem przełamać lody – mówił. – Chciałem z tobą porozmawiać. Powinienem przynajmniej przyjść i się pożegnać. Ale tak nagle zdarzyła się okazja wyjazdu.

Louisa nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć. Westchnął.

– Musiałas być na mnie wściekła – powiedział. – W dalszym ciągu jesteś?

– Nie – odparła i uciekła się, absurdalnie, do zwykłych grzeczności. – Jak się ma Grace? I twoja córka Lilian?

– Grace ma się nie najlepiej. Artretyzm. Otyłość nie pomaga. Z Lilian wszystko w porządku. Wyszła za męża, ale dalej uczy w szkole. Matematyki. Niezbyt typowe dla kobiety.

Jak Louisa mogła go poprawiać? Czy mogła powiedzieć: „Nie, twoja żona wyszła ponownie za męża podczas wojny za farmera, wdowca. Przedtem przychodziła do nas, raz w tygodniu sprzątać dom. Pani Feare się zestarzała. A Lilian nigdy

nie chodziła do liceum, więc w jaki sposób mogłaby zostać nauczycielką w liceum? Wyszła wcześniej za męża, miała kilkoro dzieci, pracowała jako sprzedawczyni w składzie aptecznym. Była twojego wzrostu i miała twoje włosy, tlenione. Często na nią patrzyłam i myślałam, że pewno jest podobna do ciebie. Kiedy dorastała, dawałam jej rzeczy, z których wyrosła moja pasierbica”.

Zamiast tego spytała:

– Ta pani, w zielonej sukni, czy to nie była Lilian?

– Nancy? Och, nie. Nancy to mój anioł stróż. Dba o wszystko, pilnuje, gdzie mam być i kiedy, czy zabrałem przemówienie i co jem, co piję, i czy wziąłem lekarstwo. Mam skłonność do nadciśnienia. Nic niepokojącego. Ale mój sposób życia mi szkodzi. Jestem ciągle w podróży. Dziś wieczór lecę do Ottawy, jutro czeka mnie ciężkie zebranie, a wieczorem będę miał jakiś głupi bankiet.

Uważała, że powinna powiedzieć:

– Słyszałeś, że wyszłam za męża? Za Arthura Douda?

Wydało jej się, że był trochę zdziwiony, ale odparł:

– Tak, słyszałem.

– My też ciężko pracowaliśmy – powiedziała stanowczym tonem. – Arthur umarł sześć lat temu. Przez całe lata trzydzieste nie dopuściliśmy do zamknięcia fabryki, chociaż czasami redukowaliśmy załogę do trzech pracowników. Nie mieliśmy pieniędzy na remonty i pamiętam, jak cięliśmy żaluzje biurowe, które Arthur wnosił po drabinie na górę i łątał nimi dach. Chwytałyśmy się wszystkiego, czego tylko można było się chwytać. Nawet produkcji kręgły dla

wesołych miasteczek. Potem przyszła wojna i nie mogliśmy nadażyć. Bylibyśmy w stanie sprzedać wszystkie wykonane przez nas fortepiany, ale produkowaliśmy również obudowy do radaru dla marynarki. Przez te wszystkie lata pracowałam w biurze.

– To musiała być odmiana. – W jego głosie brzmiała uprzejmość. – Odmiana po bibliotece.

– Praca to praca – odpowiedziała. – W dalszym ciągu pracuję. Bea, moja pasierbica, rozwiodła się i prowadzi mi dom, o tyle o ile. Mój syn skończył wreszcie uniwersytet – rzekomo uczy się teraz zarządzania przedsiębiorstwem, ale tak się jakoś składa, że każde popołudnie ma wolne. Kiedy wracam do domu w porze kolacji, tak zmęczona, że mogłabym paść, słyszę ich śmiech za żywoplotem i lód dzwoniący w szklankach. Och, Mam, wołają, kiedy mnie zobaczą, och, biedna Mam, siadaj i napij się. Mówią do mnie Mam, bo tak mnie nazwał mój syn, kiedy był malutki. Ale to już nie są dzieci. Kiedy wracam, w domu jest chłodno – to śliczny dom, jeśli pamiętasz, zbudowany z trzech warstw, jak tort weselny. W hallu ceramiczna mozaika. Ale ja ciągle myślę o fabryce, tylko to mi siedzi w głowie. Co robić, żeby się utrzymać na powierzchni? Dzisiaj w całej Kanadzie jest tylko pięć wytwórni fortepianów, trzy z nich w Quebecu, z niskimi kosztami pracy. Na pewno to wszystko wiesz. Jak rozmawiam w myślach z Arthurem, to zawsze o tym samym. W dalszym ciągu jestem z nim bardzo blisko, ale nie ma w tym nic z mistyki. Myślałoby się, że w miarę jak człowiek robi się starszy, to jego umysł kieruje się bardziej ku tak zwanym obszarom

ducha, ale mój wydaje się coraz bardziej praktyczny, stara się doprowadzić jakieś sprawy do porządku. Cóż to za temat do rozmowy z umarłym.

Przerwała. Poczwała zakłopotanie. Ale też nie była pewna, czy on tego wszystkiego słuchał i, w gruncie rzeczy, czy ona to wszystko powiedziała.

– To, co mnie pchnęło... – zaczął. – To, co mi dało pierwszego kopa do wszystkiego, co udało mi się potem zrobić, to była biblioteka. Więc ci wiele zawdzięczam.

Położył ręce na kolanach, spuścił bezwładnie głowę.

– Ach, bzdura – powiedział. Jęknął i zakończył ze śmiechem. – Mój ojciec – zawołał. – Ty chyba nie pamiętasz mojego ojca.

– Pamiętam.

– No właśnie. Czasem myślę, że on miał słuszność. – Potem podniósł głowę, potrasnął nią i oświadczył: – Miłość nigdy nie umiera.

Poczwała zniecierpliwienie tak silne, że bliskie odrazy. Do czego może człowieka doprowadzić wiecowanie! Do gadania takich rzeczy. Miłość umiera nieustannie, przynajmniej zaczyna się rozpierzchać, coś ją zaczyna przesłaniać – równie dobrze można by ją uznać za martwą.

– Arthur zwykł przychodzić i przesiadywać w bibliotece – powiedziała. – Z początku mnie to prowokowało. Zwykłam patrzeć na jego kark, myślałam, ha, co by to było, gdyby cię coś tutaj walnęło! To wszystko jest dla ciebie niezrozumiałe. Nie może być zrozumiałe. A okazało się, że ja chcę czegoś zupełnie innego. Chcę wyjść za niego za mąż i żyć normalnym

życiem. Normalnym życiem – powtórzyła, ale zaczęła ją nachodzić jakaś frywolność; ogromna wyrozumiałość dla szaleństwa budziła wrażliwość jej plamiastej dłoni, suchych grubych palców leżących blisko jego dłoni, na oparciu dzielącego ich krzesła. Miłosny pożar komórek, rozbudzenie dawnych chęci. „Och, nigdy nie umiera”.

Przez pokryty żwirem plac nadchodziła gromadka dziwnie ubranych ludzi. Szli zwartą, ciemną grupą. Kobiety nie pokazywały włosów – miały na głowach czarne szale lub kapturki. Mężczyźni nosili szerokoskrzydłe kapelusze i czarne szelki. Dzieci ubrane były dokładnie tak samo jak dorośli, łącznie z kapeluszami i szelkami. Jak strasznie gorąco musiało im być w tych ubraniach – jacy się wydawali zgrzani, zakurzeni, nieufni, onieśmieleni.

– Męczennicy z Tolpuddle – powiedział głosem ni to żartobliwym, ni zrezygnowanym, ni współczującym. – Ach, lepiej do nich pójść. Lepiej pójść z nimi pogadać.

Ta chęć wydania się dowcipnym, niezdarlym gestem życzliwości przypomniał jej kogoś. Kto to był? Kiedy spojrzała z tyłu na jego szerokie ramiona i szerokie, płaskie pośladki, już wiedziała kto.

Jim Frarey.

Och, cóż to za sztuczki się z nią wyprawia, cóż to za sztuczki ona sama ze sobą wyprawia. Dostyc tego. Zebrała się w sobie, usiadła prosto, ta czarna odzież zlewała się w jedną kałużę. Była oszołomiona i upokorzona. Dostyc tego.

Nie wszystko okazało się czarne, kiedy zaczęło się zbliżać. Zobaczyła i ciemny granat męskich koszul, granat i czerwień

niektórych sukienek. Widziała twarze – mężczyzn, okolo-
ne brodami, kobiet spod szerokoskrzydłych kapturków.
W końcu zdała sobie sprawę, kim oni są. To menonici.

Menonici osiedlili się w tej części kraju, chociaż dawniej tu
nie mieszkali. Spotykało się ich w okolicach Bondi, miastecz-
ka leżącego na północ od Carstairs. Będą wracali do domu
tym samym autobusem co ona.

Nie było go wśród nich ani nigdzie wokół.

Zdrajca, bezradny. Wędrowiec.

Kiedy zdała sobie sprawę, że to menonici, a nie jacyś zagu-
bieni nieokreśleni obcy, już nie potrafiła dopatrzeć się w nich
nieśmiałości czy przygnębienia. Właściwie byli całkiem po-
godni, częstowali się cukierkami z podawanej z rąk do rąk
torebki, dorośli razem z dziećmi. Rozsiedli się na krzesłach
dookoła.

Nic dziwnego, że czuje się lepka. Przeszła pod falą, której
nikt nie widział. Można mówić, co kto chce o tym, co się sta-
ło – ale w sumie to było właśnie przejście pod falą. Znalazła
się pod falą, przeszła przez nią i została z chłodnym śluzem na
skórze, dzwonieniem w uszach, uciskiem w piersi i rewolucją
w żołądku. To, czemu musiała teraz stawić czoło, to kom-
pletny zamęt – niszczycielski zamęt. Nieoczekiwane dziury,
jakieś sztuczki znieca i promienne, niknące pocieszenia.

Ale nadejście menonitów to prawdziwe błogostawieństwo.
Kłapnięcie pup na siedzenia krzesel, szelest papierowej to-
rebki, ssanie cukierków w zamyśleniu i ciche rozmowy. Mała
dziewczynka, nie patrząc na Louise, podsuwa torebkę, a Lo-
uisa bierze karmelkową miętówkę. Ze zdumieniem stwierdza,

że trzyma cukierek w ręku, że wargi układają się jej w słowo: „dziękuję”, że czuje w ustach oczekiwany smak. Potem ssie cukierek tak samo jak tamci, bez pośpiechu, starając się, żeby ten smak trwał jak najdłużej.

Zapalają się światła, chociaż jeszcze nie nadszedł wieczór. Ktoś rozwiesił na drzewach nad drewnianymi krzesłami sznur kolorowych lampek, których dotąd nie zauważyła. Budzą myśli o festynach. Karnawale. Łodziach ze śpiewakami na jeziorze.

– Co to za miejscowość? – zapytała siedzącą obok kobietę.

Tego dnia, kiedy umarła panna Tamblyn, Louisa była akurat w Hotelu Kupieckim. Pracowała wówczas jako przedstawicielka firmy oferującej sklepom detalicznym kapelusze, wstążki, chusteczki i dodatki pasmanteryjne oraz damską bieliznę. Słyszała rozmowy w hotelu i przyszło jej do głowy, że miasto będzie potrzebowało nowej bibliotekarki. Bardzo jej ostatnio ciążyło wnoszenie z pociągów i wnoszenie do nich pudeł z modelami, robienie pokazów w hotelach, pakowanie i rozpakowywanie bagażu. Natychmiast poszła na rozmowę do osób, którym biblioteka podlegała. Do pana Douda i pana Macleoda. Ich głosy brzmiały jak duet z wodewilu, ale powierzchowność była różna. Płacę proponowali mizerną, ale znowu prowizja ostatnio też niewiele przynosiła. Powiedziała im, że skończyła liceum w Toronto i pracowała w dziale księgarskim u Eatona, zanim zajęła się akwizycją. Uznała, że nie musi im mówić, iż pracowała tam tylko pięć miesięcy, kiedy to wykryto u niej gruźlicę, z której została wyleczona, więc tak czy inaczej, nie ma sprawy.

W hotelu dostała pokój dla stałych gości, na trzecim piętrze. Widziała stamtąd, ponad dachami, wzgórze pokryte śniegiem. Miasteczko Carstairs leżało w dolinie rzeki. Liczyło trzy czy cztery tysiące mieszkańców i miało długą główną ulicę, która biegła w dół wzgórza, przez rzekę i znowu pod górę. W miasteczku znajdowała się fabryka pianin i organów.

Domy budowano tutaj na całe życie, obejścia były szerokie, a ulice wytyczone szeregiem dojrzałych klonów i wiązów. Nigdy tu nie przyjeżdżała w porze, kiedy drzewa okrywały liście. To będzie zupełnie inny widok. Tyle rzeczy, teraz widocznych, zostanie ukrytych.

Cieszyła się, że zaczyna coś od nowa, w duszy czuła spokój i wdzięczność. W przeszłości już robiła takie nowe początki i sprawy nie toczyły się tak, jak sobie wymarzyła, ale ufała szybkim decyzjom, wierzyła w nieprzewidziane wydarzenia, w wyjątkowość swojego losu.

Miasteczko przepęłniał zapach koni. Z nadejściem wieczoru ciężkie konie z obrośniętymi kopytami ciągnęły sanie przez most, obok hotelu, poza światła uliczne, w ciemność wiejskich gościńców. Gdzieś dalej, na bocznych drogach, gubiły nawzajem dźwięk swoich dzwonek.

Prawdziwe życie

Trafiał się chłop, który się zakochał w Dorrie Beck. A przynajmniej chciał się z nią żenić. Naprawdę.

– Gdyby żył jej brat, nigdy nie potrzebowałyby wychodzić za mąż – powiedziała Millicent. Co miała na myśli? Nic nieprzyzwoitego. I nie chodziło jej też o pieniądze. Chodziło jej o to, że była miłość, była krzepiąca życzliwość i że w tym ubogim, koślawym życiu, jakie wiedli Dorrie z Albertem, nie groziła im samotność. Millicent, sprytna i na swój sposób praktyczna, pod innymi względami była uparcie sentymentalna. Wierzyła w słodczy uczucia, które wykluczało seks.

Uważała, że tego mężczyzną urzekł sposób, w jaki Dorrie posługiwała się widelcem i nożem. Bo naprawdę robiła to tak samo jak on. Trzymała widelec w lewej ręce, a prawej używała tylko do krajania. Nie przekładała bezustannie widelca z ręki do ręki, aby nabrać kolejnej kęsy. To dlatego, że uczęszczała w młodości do żeńskiego kolegium w Whitby. Ostatni rzut na taśmę pieniędzy Becków. I jeszcze nauczyła się tam kaligrafii, i to jej piękne pismo również mogło mieć swoje znaczenie, ponieważ odkąd się poznali, cały romans odbywał się korespondencyjnie. Millicent uwielbiała dźwięk słowa „kolegium” w Whitby i postanowiła w duszy – ale nigdy nie

zwierzyła się nikomu z tego postanowienia – że kiedyś pośle tam swoją córkę.

Sama Millicent nie była niewykształcona. Uczyła w szkole. Odrzuciła dwóch poważnych fatygantów – jednego, ponieważ nie znosiła jego matki, drugiego, ponieważ próbował wsunąć jej język do ust – zanim zgodziła się wyjść za Portera, starszego od niej o dziewiętnaście lat. Był właścicielem trzech farm i obiecał jej łazienkę w ciągu roku oraz komplet mebli do jadalni plus kanapę i krzesła. W noc poślubną powiedział: „Teraz masz, co chciałaś” – ale ona wiedziała, że nie miał nic złego na myśli.

To się działo w 1933 roku.

Urodziła trójkę dzieci, jedno po drugim, a po trzecim pojawiły się pewne komplikacje. Porter był przyzwoity – na ogół później dawał jej spokój.

Dom Becków stał na ziemi Portera, ale to nie on wykupił Becków. Odkupił dom Alberta i Dorrie od człowieka, który go kupił od nich. Tak więc, praktycznie biorąc, wynajmowali swój dawny dom od Portera. Ale w tej sprawie nie o pieniądze chodziło. Albert, za życia, przychodził na cały dzień do pracy, kiedy była jakaś większa robota – podczas wylewania cementu w stodole albo do sianokosów, kiedy trzeba była stawiać stogi. Dorrie wtedy też przychodziła pomagać, także po kolejnym porodzie Millicent, albo na wielkie domowe sprzątanie. Była niezwykle silna, potrafiła przesuwac meble, wykonywać męskie zajęcia, na przykład montować okna zimowe. Zanim zabrała się do ciężkiej pracy – jak choćby przy zdzieraniu tapet w całym pokoju – wypychała do tyłu łopatkę i robiła

głęboki, radosny wdech. Promieniła zdecydowaniem. Duża, mocna kobieta o ciężkich nogach, kasztanowatych włosach, szerokiej, nieśmiałej twarzy i ciemnych piegach jak aksamitne kropki. Pewien człowiek w okolicy nazwał klacz jej imieniem.

Ale chociaż Dorrie lubiła sprzątanie, sama rzadko się do niego zabierała we własnym domu. Ten dom, w którym mieszkała z Albertem – w którym mieszkała sama po jego śmierci – był duży, miał ładne proporcje, ale właściwie bez umeblowania. Meble pojawiały się w rozmowach z Dorrie – dębowy kredens, szafa mamy, łóżko ze ślimakowymi kolumnami – ale zawsze jednak połączone z uwagą, że „to poszło na wyprzedaży”. Wyprzedaż brzmiała jak jakaś naturalna katastrofa, coś jakby sztorm i powódź razem wzięte, przeciwko czemu daremnie protestować. Nie pozostały również ani dywany, ani obrazy. Był tylko kalendarz ze sklepu spożywczego Nunna, w którym Albert pracował. Brak zwykłych przedmiotów i obecność innych – takich jak pułapki i strzelby Dorrie, deski do naciągania skór królików i szczurów piżmowych – obierały pokoje z należącego im charakteru i sprawiały, że myśl o sprzątanii wydawała się wręcz frywolna. Kiedyś w lecie Millicent zobaczyła psią kupę na szczycie schodów. Kupa nie była z ostatniej chwili, ale dostatecznie świeża, by stanowić dowód winy. W ciągu lata przeszła z brązu do szarości. Stała się kamienna, dostojna, trwała i Millicent, ku własnemu zdumieniu, coraz rzadziej widziała w niej coś, co nie ma prawa się tutaj znajdować.

Psem, który ponosił za to odpowiedzialność, była Delila. Czarna suka, miała trochę z labradora. Gonila samochody i ostatecznie przez to zginęła. Po śmierci Alberta zarówno

jej, jak i Dorrie trochę się pokręciło w głowach. Ale tego się z początku nie zauważało. Z początku chodziło o to, że mężczyzna nie wracał do domu i nie szykowało się kolacji o określonej porze. Potem – zabrakło męskich rzeczy, co zlikwidowało konieczność regularnego prania. Nie było do kogo mówić, wskutek czego Dorrie więcej mówiła do Millicent albo do obydwójga – Millicent i Portera. Opowiadała o Albercie i jego pracy, która polegała na rozwożeniu produktów spożywczych ze sklepu Nunna wozem, a później ciężarówką, po całej okolicy. Nie był tępy, chodził do college’u, ale po powrocie z Wielkiej Wojny jakoś zapadł na zdrowiu i uważał, że mu najlepiej na świeżym powietrzu, więc przyjął pracę u Nunna i wykonywał ją do śmierci. Był ogromnie towarzyski i nie tylko rozwoził zakupy. Podwoził ludzi do miasta. Przywoził ich ze szpitala do domów. Miał na swojej trasie jedną wariatkę; kiedyś, kiedy jej wynosił sprawunki z samochodu, odwrócił instynktownie głowę i zobaczył, że kobieta stoi z siekierą w ręce i szykuje się do ciosu. Właściwie już się na niego zamachnęła, ale uskoczył spod siekiery, a cios padł na skrzynkę z zakupami, przecinając funtową paczkę masła. Albert dalej dostarczał jej zakupy, nie miał serca donieść na nią do władz, które by ją odesłały do domu wariatów. Nigdy więcej nie złapała za siekierę, ale dała mu niewielkie ciasteczka posypane podejrzanie wyglądającymi ziarenkami, wyrzucił je w trawę przy wyjeździe na drogę. Jedna kobieta – więcej niż jedna – pokazała mu się naga. Jedna wynurzyła się przed nim ze stojącej na środku kuchni balii, w której się kąpała, a Albert skłonił się nisko i postawił zakupy u jej stóp.

– Czy ludzie nie bywają dziwni? – mówiła Dorrie.

I jeszcze opowiadała o pewnym starym kawalerze, który miał dom pełen szczurów, tak że musiał wieszać jedzenie w workach na belkach stropowych w kuchni. Jednak szczury biegały po belkach, zeskakiwały na worki i darły je na strzępy, więc na koniec musiał zabierać jedzenie ze sobą do łóżka.

– Albert powiadał, że trzeba współczuć ludziom, co mieszkają sami – powiedziała Dorrie, jakby nie zdawała sobie sprawy, że jest teraz jedną z nich.

Albertowi wysiadło serce, zdążył tylko zjechać na pobocze i zatrzymać ciężarówkę. Umarł w pięknym miejscu, tam, gdzie czarne dęby wyrastają z żyznej gleby, a obok drogi płynie czysty, śliczny strumyczek.

Dorrie mówiła również inne rzeczy, o jakich opowiadał jej Albert, o Beckach sprzed lat. Jak to dwaj bracia Beckowie spłynęli tu rzeką na tratwie i zbudowali tartak nad Wielkim Zakolem, a naokoło nie rośło nic, tylko dzikie lasy. I teraz też nic nie ma, oprócz ruin tartaku i zapory. Farma nigdy nie była dochodowa, traktowali ją wyłącznie jako rozrywkę; zbudowali wielki dom i sprowadzili meble z Edynburga. Te wszystkie łoża z baldachimami i krzesła, i rzeźbione komody, co to poszły na wyprzedazy. Wieźli je naokoło Hornu, mówiła Dorrie, i w górę jeziora Huron, i potem w górę rzeki. Och, Dorrie, powiedziała Millicent, to niemożliwe, i przyniosła szkolny podręcznik geografii, żeby jej dowieść, że się myli. Wobec tego to musiał być kanał, powiedziała Dorrie. Tak, przypominam sobie, kanał. Kanał Panamski?

Bardziej prawdopodobne, że to był kanał Erie, powiedziała Millicent. Tak, zgodziła się Dorrie. Naokoło Hornu i kanałem Erie.

– Dorrie to prawdziwa dama, niech kto co chce mówi – zwróciła się Millicent do Portera, który nie zaprzeczył. Przyzwyczajony był do jej arbitralnych sądów o ludziach. – Jest sto razy większą damą niż Muriel Snow. – Millicent wypowiedziała imię osoby, którą można by nazwać jej najlepszą przyjaciółką. – Mówię tak, chociaż bardzo kocham Muriel Snow.

Porter i tę wypowiedź znał dobrze.

– Bardzo kocham Muriel Snow i będę obstawała przy niej choćby nie wiem co – mówiła Millicent. – Kocham Muriel Snow, ale to nie znaczy, że apróbuję wszystko, co ona robi.

Palenie. I mówienie „do cholery”, „rany boskie”, „srać”. „Niemał się zesrałam w majtki”.

Przyjaciółką z pierwszego wyboru, jakiego dokonała Millicent, nie była Muriel Snow. Zaraz po ślubie próbowała sięgnąć wyżej. Pani mecenasowa Nesbitt. Pani doktorowa Finnegan. Pani Doud. Zwały na nią całą ciężką robotę w kościelnej Radzie Pomocy Pań, jednak nigdy jej nie zapraszały na herbatki. Nigdy nie oglądała wewnątrz ich domów, chyba że podczas zebrań. Porter to farmer. Bez względu na to, ile miał farm, pozostawał tylko farmerem. Powinna to była wiedzieć.

Poznała Muriel, kiedy postanowiła, że jej córka, Betty Jean, będzie brała lekcje fortepianu. Muriel uczyła muzyki. Dawała lekcje w szkole i prywatnie. Ponieważ czasy były, jakie były,

brała tylko dwadzieścia centów za lekcję. Grała w kościele na organach i dyrygowała różnymi chórami, ale niektórymi za darmo. Tak szybko się dogadała z Millicent, że po niedługim czasie bywała w jej domu równie często jak ona u niej, chociaż na trochę innej zasadzie.

Muriel miała ponad trzydzistkę i dotąd pozostawała panną. O małżeństwie mówiła otwarcie, żartobliwie i niekiedy jakby tęsknie, zwłaszcza kiedy Porter był w pobliżu.

– Nie zna pan jakichś mężczyzn? – pytała. – Nie znalazłby pan dla mnie jednego przyzwoitego chłopca?

Porter odpowiadał, że może by i znalazł, ale ona pewno nie uznałaby go za zbyt przyzwoitego.

W lecie Muriel jeździła z wizytą do siostry w Montrealu, a raz wyjechała do jakichś kuzynów, których znała tylko korespondencyjnie, do Filadelfii. Natychmiast po powrocie złożyła relację z tego, jak tam wygląda sytuacja mężczyzn.

– Potworna. Wszyscy żenią się bardzo młodo, są katolikami, a ich żony żyją bez końca – są zbyt zajęte rodzeniem dzieci. Och, szykowali tam dla mnie jakiegoś, ale od razu wiedziałam, że z tego nic nie będzie. Jeden z tych, co to mają mamusie. Poznałam innego, ale miał okropną wadę. Nie obcinał paznokci u stóp. Wielkie żółte paznokcie. Dobrze, co? Nie pytacie, w jaki sposób się o tym dowiedziałam?

Muriel zawsze nosiła jakiś odcień niebieskiego. Kobieta, powiadała, powinna wybrać sobie kolor, jaki jej naprawdę odpowiada, i zawsze w nim chodzić. Tak samo perfumy. To powinno być jak podpis. Uważa się powszechnie, że niebieski to kolor dla blondynek, ale niesłusznie. Niebieski często

sprawia, że blondynka wydaje się bardziej wyblakła, niż jest naprawdę. Bardziej odpowiada skórze o ciepłym odcieniu, jak cera Muriel – skórze, która jakby nabrała z początku głębokiej opalenizny i nigdy jej do końca nie straciła. Szatynce o piwnych oczach, takiej jak Muriel. Nie oszczędzała na ubraniu – taka oszczędność to nieporozumienie. Paznokcie zawsze polakierowane – intensywny, rzucający się w oczy kolor, brzoskwiniowy albo krwistorubinowy, albo nawet złoty. Była mała i krągła, ćwiczyła, by zachować należytą talię. Miała z przodu na szyi ciemny pieprzyk, niby klejnot na niewidocznym łańcuszku, i jeszcze jeden, jak łzę, w kąciuku oka.

– Ty nie jesteś ładna – powiedziała pewnego dnia Millicent ku własnemu zaskoczeniu. – Ty jesteś urzekająca. – Zaczerwieniła się, wygłosivszy ten hołd, bo czuła, że jest dziecinny i przesadny.

Muriel też się troszkę zaczerwieniła, ale z zadowolenia. Uwielbiała pochlebstwa, prawdę mówiąc, zabiegała o nie. Kiedyś wpadła tu po drodze na koncert w Walley, spodziewała się nagród. Miała na sobie mieniącą się suknię w zimnym odcieniu niebieskiego.

– I na tym nie koniec – oznajmiła. – Wszystko, co mam na sobie, jest nowe i wszystko jedwabne.

To nieprawda, że nie umiała znaleźć dla siebie mężczyzny. Znajdowała nieraz, ale nigdy takiego, którego mogłaby przyprowadzić na kolację. Znajdowała ich w innych miastach, do których woziła swoje chóry na koncerty, a w Toronto na recitale fortepianowe, jeśli zdarzyło się jej zabrać tam jakiegoś wybitniejszego ucznia. Czasem znajdowała ich w domach

swoich uczniów. Byli to wujowie, ojcowie, dziadkowie, a powodem, z jakiego nie mogli przychodzić do domu Muriel i tylko pozdrawiali ją ruchem ręki – niekiedy drobnym, niekiedy wyszukany – z czekającego samochodu, były ich żony. Żona przykuta do łóżka, żona pijaczka, żona zołza? Być może. Niekiedy nawet bez określenia – żona duch. Towarzyzyli Muriel na koncertach, ponieważ zainteresowania muzyczne stanowiły poręczne wytłumaczenie. Niekiedy nawet w roli szapereona występowało dziecko, które grało na jakimś instrumencie. Zabierali ją na kolacje do restauracji w odległym mieście. Mówiła o nich: przyjaciele. Millicent broniła jej. Cóż mogło być w tym złego, przecież wszystko odbywało się jawnie. Ale jednak nie wszystko, a kończyło się na nieporozumieniach, wymianie ostrych słów, nieprzyjemnościach. Ostrzeżeniem z rady szkoły. Panna Snow musi zmienić swój sposób bycia. Zły przykład. Telefonem od żony. Panno Snow, przykro nam, ale odwołujemy... Albo po prostu ciszą. Nieotrzymanym spotkaniem, liścikiem bez odpowiedzi, imieniem, jakiego nie wolno więcej wymawiać.

– Nie wymagam wiele – mówiła Muriel. – Wymagam tylko, żeby przyjaciel to był przyjaciel. Biorą ogon pod siebie, jak tylko się nadarzy byle kłopot, chociaż przyrzekali stać przy mnie murem. Dlaczego tak się dzieje?

– No wiesz, Muriel – powiedziała kiedyś Millicent – żona to żona. Bardzo miło jest mieć przyjaciół, ale co małżeństwo, to małżeństwo.

Muriel się na to wściekła, powiedziała, że Millicent ma o niej złą opinię, tak samo jak wszyscy inni, i czy nigdy nie

będzie jej wolno się zabawić, niewinnie się zabawić? Trzasnęła drzwiami i przejechała kołem po kępie lilii, na pewno rozmyślnie. Millicent miała cały dzień twarz spuchniętą od płaczu. Ale zapamiętanie nie trwało długo i Muriel wróciła, również cała we łzach, biorąc winę na siebie.

– Byłam od początku idiotką – powiedziała, przechodząc do frontowego pokoju i siadając do fortepianu.

Millicent знаła już ten schemat. Kiedy Muriel była szczęśliwa i miała nowego przyjaciela, grała żalosne, wzruszające pieśni, takie jak *Kwiaty w lesie*. Albo:

*Wdziąka na siebie strój mężczyzny,
Ucieszny był to strój...*

A kiedy była rozczarowana, uderzała w klawisze mocno i szybko i śpiewała pogardliwie:

Hej, Johnny Cope, czyżbyś tu kulasy włócił?...

Niekiedy Millicent spraszała na kolację gości (ale nie Finneganów, Nesbittów czy Doudów) i wtedy zwykła zapraszać również Dorrie i Muriel. Dorrie pomagała jej potem zmywać naczynia i garnki, a Muriel bawiła gości grą na fortepianie.

Zaprosiła na niedzielę wieczór anglikańskiego pastora, żeby przyszedł po wieczornym nabożeństwie razem z przyjacielem, który, jak słyszała, przyjechał do niego z wizytą. Ten anglikański pastor był kawalerem, ale Muriel wcześniej go skreśliła. Ni z pierza, ni z mięsa, mówiła. Do niczego. Millicent lubiła

go przede wszystkim za głos. Wychowywana była w Kościele anglikańskim i chociaż przeniosła się do Zjednoczonego Kościoła, do którego rzekomo należał Porter (tak jak inni, jak wszyscy inni poważni i znaczący ludzie w tym mieście), to jednak wołała obrządek anglikański. Wieczorne nabożeństwa, dzwony kościelne, chór idący nawą, dostojnie, na tyle, na ile się da, ze śpiewem – zamiast takiego zbicia się w kupę i siedzenia w ławkach. Słowa najlepsze z najlepszych. „Ty, Panie, okaż łaskę nam, nieszczęsnym grzesznikom. Oszczędź, Panie, tych, co wyznają swe winy. I przywróć do życia skruszonych, wedle Obietnicy”...

Porter raz z nią poszedł i stwierdził, że to okropne.

Nastąpiły wielkie przygotowania do tej kolacji. Wydobyty został adamaszkowy obrus, srebrna łyżka do półmiska i czarne talerzyki deserowe w ręcznie malowane bratki. Obrus należało odprasować, a srebra wyczyścić, co następnie wzbudziło niepokój, czy czasem nie została gdzieś drobna smużka po paście, szara kleista drobina na zębach widelca albo na gronach zdobiących brzeg ślubnego dzbanka do herbaty. Przez całą niedzielę Millicent rozdarta była między radością i obawą, nadzieją i niepokojem. Mnożyły się scenariusze nieszczęść. Krem bawarski może się nie ściąć (nie mieli jeszcze chłodziarki i latem trzeba było chłodzić potrawy, stawiając je na podłodze w piwnicy). Ciasto anielskie może nie wyrosnąć do pełnej chwały. A jeśli już wyrośnie, to może się okazać suchawe. Grzanki mogą zalatywać nadpsutą mąką albo robak wylezie z sałaty. O godzinie piątej czuła się już tak spięta i tak wyraźnie widziała czającą się katastrofę, że nikt w kuchni nie był

w stanie z nią wytrzymać. Muriel przyjechała wcześniej, żeby pomóc, ale pokrajała kartofle nie dość cienko i otarła sobie kostki palców, trąc marchewkę, wobec tego usłyszała, że jest do niczego, i została odesłana do fortepianu.

Muriel miała na sobie turkusową krepę i pachniała swoimi hiszpańskimi perfumami. Mogła skreślić anglikańskiego duchownego, ale jego gościa nie znała. Kawaler, może wdowiec, bo podróżował samotnie. Bogaty, inaczej by nie podróżował, nie na taką odległość. Przyjechał z Anglii, tak ludzie mówili. Ktoś twierdził, że nie, z Australii.

Próbowała grać *Tańce połowieckie*.

Dorrie się spóźniła. To komplikowało sprawy. Galaretkę z warzyw trzeba było znieść z powrotem do piwnicy, bo się roztopi. Grzanki podgrzewane w piecyku trzeba było wyjąć, bo stwardnieją. Trzej panowie siedzieli na werandzie – tam miała zostać podana kolacja à la fourchette – i popijali musującą cytrynadę. Millicent doświadczyła we własnej rodzinie, czego może dokonać alkohol – jej ojciec zmarł, kiedy miała dziesięć lat – i przed ślubem zażądała od Portera przyrzeczenia, że nigdy więcej nie weźmie alkoholu do ust. Oczywiście brał – chował butelkę w spichrzu – ale jak wypił, to się trzymał od żony z daleka i Millicent była pewna, że mąż dotrzymuje słowa. Taki obyczaj panował powszechnie w owym czasie, przynajmniej wśród farmerów – picie w stodole, abstynencja w domu. Większość mężczyzn uważała, że jeśli kobieta tego nie zażąda, to coś musi być z nią nie w porządku.

Kiedy Muriel na wysokich obcasach i w obcisłej krepie wysła na werandę, zawołała od razu:

– Och, mój ulubiony drink! Gin z cytryną! – Pociągnęła łyk i wydeła usta na gospodarza. – Znowu pan to zrobił. Zapomniał pan nalać ginu! – Potem droczyła się z pastorem, pytając, czy nie ma w kieszeni flaszeczki. Pastor okazał się elegancki, a może z nudów machnął ręką na zasady i powiedział, że żałuje, ale nie ma.

Przybysz, który wstał, by się przedstawić, był wysoki, chudy i ziemisty, o twarzy jakby zwisającej w fałdach, melancholijny i sztywny. Muriel nie okazała zawodu. Usiadła przy nim i zaczęła go energicznie wciągać do rozmowy. Opowiadała mu o swoich lekcjach muzyki, przejeżdżając się po miejscowych chórach i wykonawcach jak po łysych kobyłach. Nie oszczędzała anglikanów. Świergotała w ucho pastora i Portera i opowiadała, jak to kurczęta weszły na scenę podczas koncertu szkółki wiejskiej.

Porter wcześniej zrobił obrządki, umył się i przebrał w garnitur, ale wciąż spoglądał niespokojnie ku oborze, jakby sobie przypominał o czymś, czego zaniedbał. Jedna z krów głośno ryczała na pastwisku, więc wreszcie przeprosił i poszedł zobaczyć, co się z nią dzieje. Okazało się, że jej cielak się udusił, zaplątany w druty ogrodzenia. Porter nie powiedział o stracie, wracając ze świeżo umyтыми rękami, powiedział tylko, że „cielak zaplątał się w druty”. Ale w jakiś sposób powiązał wypadek z odbywającym się przyjęciem, z koniecznością włożenia garnituru i jedzenia z kolan. Pomyślał, że to nie jest naturalne.

– Z tymi krowami taki sam kłopot jak z dziećmi – powiedziała Millicent. – Zawsze żądają twojej uwagi w niewłaściwym

momencie. – Jej własne dzieci, nakarmione wcześniej, przyglądały się znad poręczy potrawom wnoszonym na werandę. – Myślę, że musimy zaczynać bez Dorrie. Panowie są już na pewno wygłodniali. To tylko skromny mały bufet. Lubiemy czasem jadać na dworze w niedzielne wieczory.

– Proszę zaczynać, proszę zaczynać – wołała Muriel, pomagając wnosić kolejne potrawy: sałatkę ziemniaczaną, sałatkę marchewkową, galaretkę z warzyw, sałatkę z kapusty, jajka na ostro, pieczone kurczęta na zimno, tuskę łososia, ciepłe grzanki i przyprawy.

Właśnie w chwili, gdy wszystko zostało wyłożone, zza węgła wyszła Dorrie, rozgrzana czy to spacerem przez pola, czy podnieceniem. Włożyła swoją wyjściową letnią sukienkę, szafirowa organdyna w białe grochy z białym kołnierzykiem, dobra dla małej dziewczynki albo starszej pani. Luźne nitki zaznaczały miejsca, w których je wyciągała z rozerwanej koronki kołnierzyka, zamiast zaszyć dziurę. Z jednego rękawa wychylał się brzeg podkoszulka, mimo że dzień był ciepły. Pantofle miała świeżo i tak nieudolnie oczyszczone, że została na trawie białe ślady.

– Przyszłabym punktualnie – mówiła Dorrie – tylko że musiałam zastrzelić zdziczałego kota. Wałęsał się koło mojego domu i dziwnie się zachowywał. Byłam pewna, że jest wściekły.

Zmoczyła włosy i zebrała je spinkami do tyłu. Z takim uczesaniem i różową, świecąca buzią wyglądała jak lalka, której porcelanowa główka oraz członki przymocowane są do włóczkowego korpusu, mocno wypchanego słomą.

– Najpierw myślałam, że może ma ruję, ale nie zachowywała się tak wcześniej, nie pocierała brzuchem o ziemię. I zauważyłam, że tak jakby pluje. Więc nic, tylko strzelać. Potem wsadziłam ją do worka i zajechałam do Freda Nunna, spytałam, czy nie pojechałby do Walley do weterynarza. Chcę wiedzieć, czy to na pewno była wściekliczna, a Fred zawsze jest chętny do jazdy samochodem. Powiedziałam, żeby zostawił worek na schodach u weterynarza, jeśli go nie zastanie w domu, w końcu jest niedzielny wieczór.

– Ciekawa jestem, co też on sobie pomyśli – powiedziała Muriel. – Że to prezent?

– Nie, na wszelki wypadek przypięłam kartkę. Na pewno widziałam, jak się ślini i strzyka. – Dotknęła policzka, wskazując, skąd brało się to strzykanie. – Czy udała się panu wizyta? – zwróciła się do pastora, który mieszkał tu od trzech lat i odprowadzał jej brata do grobu.

– To pan Speirs przyjechał do nas w goście – powiedziała Millicent.

Dorrie powitała przybyłego, nie okazując zakłopotania z powodu pomyłki. Tłumaczyła, że uznała kota za zdziczałego, bo miał skołtunione, paskudne futro, a wiedziała, że zdziczały kot nigdy nie podejdzie blisko domu, chyba że jest wściekły.

– Ale na wszelki wypadek napiszę wyjaśnienie w gazecie. Byłoby mi przykro, gdyby to był czyjś ulubieniec. Sama straciłam ulubieńca trzy miesiące temu, mojego psa, Delilę. Zginęła pod samochodem.

Dziwnie brzmiało słowo „ulubieniec” w odniesieniu do tego ogromnego czarnego psiska, które zwykło biegać z Dorrie po

okolicy i sadziło zaciekle wielkimi susami przez pola na widok samochodu. Dorrie nie rozpaczała po tej śmierci, powiedziała, że właściwie spodziewała się tego pewnego dnia. Ale Millicent, słysząc teraz słowo „ulubieniec”, pomyślała, że ból niekoniecznie musiał być jawnie okazywany.

– Niechże pan podejdzie i nałoży sobie na talerz, inaczej wszyscy będziemy głodni – zachęcała gościa Muriel. – Pan jest gościem, panu należy się pierwszeństwo. Jeśli zółtka w jajkach wydadzą się panu ciemnawe, to przez karmę, jaką się daje kurom, nie zatruje się pan. Własnoręcznie tarłam marchewkę, więc może trafić się trochę krwi, gdyż zbyt energicznie wzięłam się do roboty i starłam sobie dodatkowo trochę własnej skóry. Lepiej się zamknę, bo Millicent mnie zamorduje.

A Millicent śmiała się gniewnie i powtarzała:

– Och, nic podobnego. Och, wcale tego nie zrobiłaś.

Pan Speirs słuchał bardzo uważnie wszystkiego, co mówiła Dorrie. Może właśnie dlatego Muriel zrobiła się tak kokieteryjna. Millicent pomyślała, że on pewnie widzi w Dorrie jakąś nowość, dziką kobietę kanadyjską, która biega po polach i strzela. Może tak się jej dokładnie przygląda, żeby mógł po powrocie do domu opisać ją swoim przyjaciołom w Anglii.

Dorrie nie odzywała się przy jedzeniu, a jadła sporo. Pan Speirs również sporo jadł – Millicent stwierdziła to z zadowoleniem – i sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy wiele nie mówi. Pastor podtrzymywał rozmowę, opowiadając o książce, którą właśnie czyta. Nosi tytuł *Szlak Oregonu*.

– Cóż za straszliwe trudy – powiedział.

Millicent słyszała o nich.

– Mam jakichś krewnych w Oregonie, ale nie pamiętam nazwy miasta – oznajmiła. – Ciekawa jestem, czy przeszli ten szlak.

Pastor powiedział, że jeśli wyruszyli sto lat temu, to prawdopodobieństwo jest duże.

– Och, nie myślę, żeby to było tak dawno temu. Nazywali się Rafferty.

– Jeden chłop nazwiskiem Rafferty hodował gołębie – oznajmił Porter w nagłym przyływie ożywienia. – Kawał czasu temu, kiedy ludzie częściej to robili. I pieniądze też się na tym robiło. Więc ten chłop zobaczył, że ma kłopot z gołębnikiem, gołębie nie włożą od razu do środka, a to znaczy, że nie następują na przewód i nie zalicza im się powrotu. Więc wziął jajko, na którym siedziała jedna z jego gołębic, wydmuchał je i wsadził do środka chrząszcza. I ten chrząszcz w tym jajku narobił tyle hałasu, że ta gołębicą pomyślała, że pisklak już zaraz się będzie wykluwał. I pofrunęła do domu prosto jak po sznurku, nacisnęła przewód i wszyscy, co na nią stawiali, zarobili mnóstwo forsy. I ten chłop też, oczywiście. Po prawdzie to wszystko było w Irlandii, a ten chłop, co to opowiadał, to za te pieniądze przyjechał do Kanady.

Millicent za nic nie mogła uwierzyć, że ten jegomość nazywał się Rafferty. To tylko pretekst.

– Pani trzyma broń w domu? – spytał Dorrie pastor. – Czy należy przez to rozumieć, że obawia się pani jakichś włóczędzów czy czegoś podobnego?

Dorrie odłożyła nóż i widelec, przeżuła dokładnie kęs, przełknęła i powiedziała:

– Trzymam ją do polowania.

Po chwili dodała, że poluje na króliki i świstaki. Świstaki wozi na drugą stronę miasta i sprzedaje w hodowli norek. Króliki skórkuje, naciąga skóry i sprzedaje w takim jednym punkcie w Walley, gdzie jest duży ośrodek handlu turystycznego. Bardzo lubi królicze mięso, gotowane i smażone, ale nie dałaby rady sama wszystkiego zjeść, więc czasem zawozi króliczą tuszkę, czystą, oskórowaną, jednej z tych rodzin, które są na zasiłku. Bardzo często spotyka się z odmową. Ludzie uważają, że to tak, jakby się jadło psa czy kota. Ale jej się wydaje, że w Chinach nawet i to jest przyjęte.

– To prawda – powiedział pan Speirs. – Jadłem jedno i drugie.

– No, właśnie, widzi pan – ucieszyła się Dorrie. – Ludzie są uprzedzeni.

Pytał o skóry, powiadał, że trzeba je bardzo ostrożnie zdejmować, a Dorrie przytaknęła, tak, to prawda, trzeba mieć do tego dobry nóż. Z przyjemnością opowiadała o pierwszym czystym cięciu, wzdłuż brzucha.

– O wiele trudniej z piżmoszczurem, bo trzeba bardziej uważać na futro, jest o wiele cenniejsze. Gęstsze. Wodoodporne.

– Pani nie strzela do piżmaków? – spytał pan Speirs.

Nie, nie, tłumaczyła Dorrie. Chwyta je w pułapki. Pułapki, ach, tak, powiedział pan Speirs i Dorrie opisała swoją ulubioną pułapkę, w której sama dokonała pewnych

udoskonaleń. Nawet myślała, żeby je opatentować, ale ja-
koś nigdy się do tego nie zabrała jak należy. Mówiła o wio-
sennych ciekach wody, o systemie potoków, jaki następnie
tworzyły, wzdłuż których wędrowała dzień w dzień zaraz
po stopnieniu śniegu, ale jeszcze nim pokazały się liście, bo
wtedy właśnie futro piżmaka osiąga najwyższą jakość. Mil-
licent wiedziała, że Dorrie się tym zajmuje, ale myślała, że
ona to robi dla zdobycia nieco grosza. A teraz, słuchając jej,
człowiek odnosił wrażenie, że Dorrie naprawdę lubi takie
życie. Obłoki czarnych muszek, zimna woda wlewająca się
wierzchem w gumowe buty, szcurze topielce. A pan Speirs
słuchał jak stary pies, może stary pies myśliwski, który sie-
dzi z półprzymkniętymi oczyma i któremu tylko godność
nie pozwala popaść w nieprzystojne osłupienie. Doszła
go woń czegoś, czego nikt inny nie mógł pojąć – powieki
z wolna mu się podnosiły, nos mu drgał, mięśnie reagowały,
po skórze przebiegały drobne fale, niosąc wspomnienie dni
szaleństwa i zapamiętania. Jak daleko, pytał, jest to rozle-
wisko i jak jest głębokie, ile one ważą i na ile można liczyć
w ciągu jednego dnia, i czy do piżmaków używa się takiego
samego noża?

Muriel poprosiła pastora o papierosa i dostała, pociągnęła
kilka razy, po czym zgasiła go, wtykając w krem bawarski.

– Nie zjem go i dzięki temu nie utyję – oznajmiła. Wsta-
ła i zaczęła pomagać przy sprzątaniu ze stołu, ale po chwili
wróciła do fortepianu i do *Tańców połowieckich*.

Millicent była rada, że gość się wciągnął w rozmowę,
choć umykała jej atrakcyjność tematu. Rada też była, że

jedzenie smakowało i nie musiała się wstydzić za jakąś niedomytą łyżeczkę czy dziwny smak.

– Sądziłem – mówił pan Speirs – że wszyscy traperzy żyją na północy. Myślałem, że osiedli za kołem podbiegunowym, a w każdym razie na tarczy kanadyjskiej.

– Kiedyś przyszło mi do głowy, żeby tam jechać. – Głos Dorrie po raz pierwszy wezbrał zakłopotaniem, a może podnieceniem. – Myślałam, że mogłabym mieszkać w chacie i całą zimę zastawiać sidła. Ale miałam brata, nie mogłam zostawić brata. No i znam tutaj wszystko, naokoło.

Późną zimą Dorrie przyjechała do Millicent i przywiozła duży kawał białej satyny. Powiedziała, że chce uszyć z tego suknię ślubną. To wtedy po raz pierwszy usłyszano o ślubie – powiedziała, że odbędzie się w maju – i o tym, jak ma na imię pan Speirs. Okazało się, że Wilkinson. Wilkie.

Gdzie i kiedy Dorrie widziała się z nim po tej kolacji na werandzie?

Nigdzie. Wrócił do Australii, gdzie miał swoją posiadłość. Prowadzili regularną korespondencję, listy chodziły tam i z powrotem.

Na podłodze w stołowym rozłożono prześcieradła, stół został przesunięty pod ścianę. Na prześcieradłach rozpostarto satynę. Jej rozłożysta, jasna szerokość, lśniąca bezbronność wyciszyła cały dom. Dzieci przyszły, żeby na nią popatrzeć, a Millicent wrzasnęła, żeby się wynosiły. Bała się zrobić pierwsze cięcie. A Dorrie, która bez trudu rozcinała brzuch zwierzęcia, odłożyła nożyce. Przyznała się, że ręce jej się trzęsą.

Wysłano po Muriel, żeby wpadła po szkole. Gdy usłyszała nowinę, przycisnęła ręce do piersi i nazwała Dorrie małym spryciarzem, Kleopatrá, która uwiodła milionera.

– Założę się, że to milioner – mówiła. – Posiadłość w Australii – co to może znaczyć? Założę się, że nie świńska farma. Marzę tylko, żeby miał brata. Och, Dorrie, jakaż ja jestem okropna, przecież ci nie pogratulowałam.

Obsypała Dorrie gradem pocałunków, które ta przyjęła, stojąc sztywno, jakby miała pięć lat.

Dorrie powiedziała im, że zamierzają z panem Speirsem zawrzeć „formę małżeństwa”. Co to znaczy, spytała Millicent, czy to znaczy ceremonia ślubna, czy to masz na myśli, a Dorrie odpowiedziała, że tak.

Muriel zrobiła pierwsze cięcie, powiedziała, że ktoś przecież musi to zrobić, chociaż może gdyby miała to robić po raz drugi, to pewnie zaczęłaby niedokładnie w tym samym miejscu.

Przywykły wkrótce do pomyłek. Pomyłek i poprawek. Codziennie późnym popołudniem, po przyjeździe Muriel, rozpoczynały nowy rozdział – wykroj, szpilki, fastryga, ściąg – z zaciśniętymi zębami lub wśród okrzyków rozpaczki. Musiały w czasie roboty zmieniać fason, aby sprostać nieprzewidzianym trudnościom, wynikającym z osobliwości figury Dorrie – takim jak ciasny krój rękawa czy marszczenie grubej satyny w talii. Dorrie była zagrożeniem przy robocie, więc odsyłały ją do zmiatania ścinków i nawijania szpuli. Siadając do maszyny, zawsze wysuwała język spomiędzy zębów. Czasem nie miała nic do roboty i chodziła po domu Millicent,

z pokoju do pokoju, przystawała i patrzyła przez okno na śnieg i błoto, przeciągającą się końcówkę zimy. Albo stała jak potulne zwierzę w wełnianej bieliźnie, pachnącej niczym innym jak jej ciałem, podczas gdy one naciągały i podciągały materiał wokół niej.

Muriel wzięła na siebie wyprawę. Wiedziała, że to jest niezbędne. Niezbędne jest coś więcej niż suknia ślubna. Musi być strój podróżny i ślubna koszula nocna, i pasujący do niej szlafrok, i oczywiście zupełnie nowy komplet bielizny. Jedwabne pończochy i stanik – pierwszy stanik w życiu Dorrie.

Dorrie nie miała o tym wszystkim pojęcia.

– Uważałam, że suknia ślubna to główny problem – tłumaczyła. – Dalej już nie sięgałam.

Śnieg topniał, strumienie wzbierały, piźmaki pływały w zimnej wodzie, kształtne i zręczne, ze swoim bogactwem na grzbietach. Nawet jeśli Dorrie myślała o potrzaskach, to nie mówiła o tym. Jedyne jej spacerowanie w owym czasie to przez pole ze swojego domu do domu Millicent.

Ośmielona doświadczeniem Muriel wykroiła podług szablonu kostium damski z pięknej szarej wełny oraz podszewkę. Próby z chórem kościelnym poszły w ką.

Millicent musiała pomyśleć o śniadaniu weselnym. Miało się odbyć w Hotelu Brunswickim. Ale kogo należało zaprosić, oprócz pastora? Wielu ludzi znało Dorrie, ale znało ją jako panią, która zostawiała tusze królików pod ich drzwiami, która włóczyła się po polach i lasach ze strzelbą i psem i brnęła w wysokich gumiakach wzdłuż wezbranych strumieni. Nie wielu ludzi wiedziało cokolwiek o starych Beckach, chociaż

pamiętali Alberta i lubili go. Dorrie nie była przedmiotem żartów, coś ją przed tym chroniło – albo popularność Alberta, albo jej szorstkość i niezależność, ale wiadomość o jej rychłym zamążpójściu wzbudziła wielkie zainteresowanie, niekoniecznie życzliwe. Mówiono o tym jako o dziwacznym wydarzeniu, niemal niestosownym, być może jak o głupim żarcie. Porter powiedział, że niektórzy robią zakłady o to, czy ten chłop się pojawi.

Wreszcie Millicent przypomniała sobie o jakichś kuzynach, którzy przyjechali na pogrzeb Alberta. Zwyczajni, przyzwoici ludzie. Dorrie miała ich adres, zaproszenia zostały wysłane. A potem jeszcze do braci Nunn ze spożywczego, u których pracował Albert, i do ich żon. Do kilku przyjaciół Alberta od gry w kule na trawie i ich żon. Może do właścicieli fermy nerek, gdzie Dorrie sprzedawała piżmaki? Do tej kobiety od piekarza, która zgodziła się połukrować tort?

Tort upieczono w domu, potem przeniesiono do sklepu, gdzie miała go przybrać kobieta, która gdzieś w Chicago zdobyła dyplom z dekoracji ciast. Zdobić go będą białe róże, koronka w ząbki, serca i girlandy, srebrne listki i takie malutkie srebrne pastylki, na których można połamać zęby. Ale przedtem trzeba go było wyrobić i upiec, i tu właśnie mogły się przydać silne ramiona Dorrie, która ucierała i ucierała masę, i wreszcie utarła ją na tak sztywno, że wyglądała jak same kandyzowane owoce, rodzynki i porzeczki, wszystko to sklezione razem odrobiną ru-dawego ciasta. Kiedy Dorrie postawiła sobie na brzuchu misę i ujęła w rękę pałkę do ucierania, Millicent usłyszała po raz pierwszy od długiego czasu jej pełne satysfakcji sapnięcie.

Muriel stwierdziła, że niezbędna jest druhna. Niekoniecznie musi nią być młoda panienka. Ona sama nie może zostać druhną, ponieważ będzie grała na organach. *O, miłości doskonała*. I Mendelssohna.

Druhną miała zostać Millicent. Muriel nie chciała słyszeć o odmowie. Przyniosła swoją suknię wieczorową, długą, jasnoniebieską, którą rozpruła w talii – jakaż się ona teraz zrobiła pewna siebie i śmiała w sprawach krawieckich – i zaproponowała wstawkę z koronki na brzuchu, w ciemniejszym odcieniu niebieskiego, z koronkowym bolekkiem do pary. Będzie wyglądała jak nowa i pasowała jak ulał, powiedziała.

Millicent śmiała się, przymierzając suknię po raz pierwszy.

– Jak strach na wróble. – Ale cieszyła się. Nie wyprawiali z Porterem hucznego wesela, poszli po prostu na plebanię do pastora, postanowili zaoszczędzić pieniądze na meble. – Będę chyba potrzebowała jeszcze czegoś, jak-to-się zwie – powiedziała. – Czegoś na głowę.

– Welon! – krzyknęła Muriel. – A co z welonem Dorrie? Tak się zajęliśmy sukniami, że całkiem zapomnieliśmy o welonie.

Dorrie włączyła się z nienacka do rozmowy, powiedziała, że nigdy w życiu nie zgodzi się na welon. Nie zniósłaby czegoś takiego upiętego na głowie, przecież to jak pajęczyna. Na słowo „pajęczyna” zarówno Muriel, jak i Millicent drgnęły, ponieważ krążyły dowcipy na temat pajęczyny w całkiem innym miejscu.

– Ma słuszość – oświadczyła Muriel. – Welon to już byłaby przesada. – Zastanawiała się, co zamiast tego. Bukiet

kwiatów? Nie, to też przesada. Fantazyjny kapelusz? Tak, weźmiemy stary kapelusz letni i przybierzemy go białą satyną. A potem weźmiemy drugi i przybierzemy go ciemnoniebieską koronką.

– Tak wygląda menu. – W głosie Millicent brzmiała niepokojąca niepewność. – Krem z kurczaka w foremkach z kruchego ciasta, małe okrągłe grzanecki, foremki z galaretki, sałata z jabłkami i orzechami, różowe i białe lody z tortem...

Myśląc o torcie, Muriel spytała niepewnie:

– Dorrie, czy on czasem nie ma miecza?

– Kto taki? – spytała Dorrie.

– Wilkie. Twój Wilkie. Czy on nie ma miecza?

– A po co by miał mieć miecz? – zdziwiła się Millicent.

– Po prostu pomyślałam, że mógłby mieć.

– Nie potrafisz cię oświecić – powiedziała Dorrie.

Wtedy właśnie przysłała chwila, kiedy wszystkie zamilkły, ponieważ musiały pomyśleć o panu młodym. Musiały go wpuścić do pokoju i umieścić pośród tego wszystkiego. Fantazyjnych kapeluszy. Kremu z kurczaka. Srebrnych liści. Ogarnęły je przemożne wątpliwości. Przynajmniej ogarnęły Millicent. I Muriel. Bały się spojrzeć sobie w oczy.

– Myślałam tylko, że jak on jest Anglikiem czy czymś tam... – powiedziała Muriel.

– Tak czy inaczej, to elegancki mężczyzna – skończyła Millicent.

Ślub został wyznaczony na drugą sobotę maja. Pan Speirs miał przyjechać w środę i zamieszkać u pastora. W poprzedzającą

ten termin sobotę Dorrie miała przyjść do Millicent i Portera na kolację. Muriel też przysłała. Ponieważ Dorrie się nie pokazała, zaczęli jeść bez niej.

W środku kolacji Millicent wstała od stołu.

– Idę do niej – oznajmiła. – Lepiej, żeby była bardziej punktualna na własnym ślubie.

– Pójdę z tobą. – Poderwała się Muriel.

Millicent podziękowała, ale odmówiła. Dwie to będzie jeszcze gorzej.

Jeszcze gorzej niż co?

Nie wiedziała.

Poszła samotnie przez pole. Dzień był ciepły i drzwi kuchenne domu Dorrie stały otworem. Pomiędzy tyłem domu Dorrie a miejscem, gdzie dawniej stała stodoła, rosta kępa orzechów włoskich o gałęziach wciąż jeszcze nagich, bo orzechy włoskie to jedne z drzew najpóźniej okrywających się liśćmi. Wlewające się między gałęziami palące światło słońca sprawiało nienaturalne wrażenie. Stopy Millicent nie budziły w trawie dźwięków.

Na kuchennej werandzie stał stary fotel Alberta, niechowany przez całą zimę.

To, co ją tu gnało, to myśl, że Dorrie mógł się zdarzyć wypadek. Że stało się coś w związku ze strzelbą. Może podczas czyszczenia broni. To się ludziom zdarza. Albo leży gdzieś w polu, albo w lesie wśród martwych liści, kiełkujących porów i krwawników. Spadła, przełaząc przez ogrodzenie. Musiała wyjść jeszcze jeden, ostatni raz. I wtedy, choć tyle razy kończyło się dobrze, strzelba wypaliła. Millicent nigdy

w życiu nie przeżywała takich lęków o Dorrie, wiedziała, że Dorrie jest na swój sposób bardzo ostrożna i odpowiedzialna. Ale to, co się w tym roku wydarzyło, pozwalało brać pod uwagę każdą ewentualność. Propozycja małżeństwa, takie niebywałe szczęście, pozwalała równie dobrze uwierzyć w możliwość nieszczęścia.

Ale to nie wypadek chodził jej po głowie. Zupełnie nie. Pod tymi gorączkowymi wyobrażeniami nieszczęśliwych wypadków skrywała to, czego lękała się naprawdę.

Zawołała Dorrie, stając w otwartych drzwiach. I tak była przygotowana na ciszę w odpowiedzi, złą ciszę i obojętność domu opuszczonego właśnie przez kogoś, kogo spotkało nieszczęście (albo jeszcze nieopuszczonego przez ciało osoby, którą spotkało to nieszczęście, która je ściągnęła) – tak była przygotowana na najgorsze, że doznała wstrząsu, nogi się pod nią ugięły na widok Dorrie w starych roboczych spodniach i koszuli.

– Czekaliśmy na ciebie – wydusiła. – Czekaliśmy, miałas przyjść na kolację.

– Musiałam stracić poczucie czasu – odparła Dorrie.

– Wszystkie zegarki u ciebie stanęły. – Złość wracała Millicent, kiedy szła przez mroczny przedpokój pełen znajomych, tajemniczych szczątków. Czuła, że coś się gotuje.

Kuchnia była ciemna, ponieważ w okno wciskał się ogromny, niesforny bez. Dorrie gotowała na starej, oryginalnej kuchni opalanej drewnem, miała też stary kuchenny stół z szufladą na widelce i noże. Co za ulga, że wiszący na ścianie kalendarz jest tegoroczny.

Szykowała sobie kolację. Siekała właśnie czerwoną cebulę, miała ją dorzucić do skrawków bekonu i krajanych kartofli odgrzewanych na patelni. Przez to straciła poczucie czasu.

– No, dalej – powiedziała Millicent. – Dalej, szykuj sobie kolację. Ja już coś zjadłam, zanim ubzdurałam sobie, żeby iść cię szukać.

– Zaparzyłam herbatę. – Herbata zachowywała ciepło w najdalszej części kuchennego blatu, przy nalewaniu okazała się czarna jak atrament.

– Nie mogę jechać – powiedziała Dorrie, podważając kawałek pryskającego na patelni bekonu. – Nie mogę stąd jechać.

Muriel postanowiła potraktować to tak jak oświadczenie dziecka, że nie pójdzie do szkoły.

– No cóż, to świetna wiadomość dla pana Speirsa – odparła. – A on jechał tyle drogi.

Dorrie się odchyliła, ponieważ tłuszcz zaczął strzelać.

– Lepiej zsuń to trochę z ognia – powiedziała Millicent.

– Nie mogę jechać.

– Już to słyszałam.

Dorrie skończyła smażenie i zsunęła zawartość patelni na talerz. Dodała keczupu i kilka grubych kawałków chleba, które namoczyła w resztkach tłuszczu na patelni. Usiadła do jedzenia i nie odzywała się ani słowem.

Millicent siedziała również, czekała, aż Dorrie skończy. Odezwała się wreszcie:

– Podaj mi powód.

Dorrie wzruszyła ramionami i dalej jadła.

– Może wiesz coś, czego ja nie wiem. Czegoś się dowiedziałaś? Jest biedny?

– Bogaty. – Dorrie potrząsnęła głową.

Więc Muriel miała rację.

– Wiele kobiet dałoby za to nie wiem co.

– Mam to w nosie – powiedziała Dorrie. Przeżuła, przełknęła i powtórzyła: – Mam to w nosie.

Millicent musiała spróbować, chociaż trochę się krępowała.

– Jeśli myślisz o tym, o czym myślę, że możesz myśleć, to bardzo możliwe, że nie masz się czym martwić. Często, jak już się robią starsi, to nawet im się nie bardzo chce.

– Och, nie o to chodzi. Wiem o tym wszystko.

„Naprawdę, pomyślała Millicent. A to skąd?”. Dorrie może sobie wyobrazać, że wszystko wie od zwierząt. Millicent myślała czasem, że gdyby kobieta naprawdę wiedziała, to nigdy nie wychodziłaby za męża. Ale mimo to powiedziała:

– Małżeństwo każe ci wyjść poza siebie i daje ci prawdziwe życie.

– Ja mam życie – odparła Dorrie.

– No to dobrze. – Mogłoby się zdawać, że Millicent zrezygnowała z dyskusji. Siedziała i piła tę trującą herbatę. Naszło ją natchnienie. Milczała jakąś chwilę i wreszcie powiedziała: – Musisz sama decydować, to twoja sprawa. Tylko będzie problem z tym, gdzie masz mieszkać. Bo nie możesz tutaj. Kiedyśmy się dowiedzieli z Porterem, że wychodzisz za męża, wystawiliśmy ten dom na sprzedaż i sprzedaliśmy.

– Kłamiesz!

– Nie chcieliśmy, żeby stał pusty i prosił się o włóczęgów. Więc go od razu sprzedaliśmy.

– Nigdy byś nie zrobiła mi takiego numeru.

– Jakiego znów numeru, jeśli wychodzisz za mąż?

Millicent już zaczynała wierzyć w swoje słowa. To się wkrótce mogło stać prawdą. Mogliby wystawić dom na sprzedaż za odpowiednio niską cenę i ktoś mógłby go kupić. Można by go doprowadzić do porządku. Albo go zburzyć, sprzedać cegłę i drewno. Porter bardzo chętnie się go pozbędzie.

– Nie wyrzucilibyście mnie z mojego domu – powiedziała Dorrie.

Millicent milczała.

– Kłamiesz, prawda?

– Przynies tu Biblię – rzekła Millicent. – Przysięgnę na nią.

Dorrie naprawdę zaczęła się rozglądać.

– Nie wiem, gdzie jest.

– Słuchaj, Dorrie. To wszystko dla twojego dobra. Może wyglądać na to, że cię wypycham, ale to wszystko po to, żeby ci pomóc zrobić to, czego sama nie potrafisz.

– Och – westchnęła Dorrie. – Dlaczego?

„Dlatego że został upieczony tort weselny, myślała Millicent, i uszyta jedwabna suknia, i zamówione weselne śniadanie, i wysłane zaproszenia. Dlatego że były podjęte te wszystkie starania. Mógłby kto powiedzieć, że to głupi powód, ale ci, co by tak powiedzieli, to nie byłoby ci sami, co te starania podejmowali. To nieprzyzwoitość trwonić cudze wysiłki”.

Ale chodziło o coś więcej, bo naprawdę wierzyła w to, co powiedziała Dorrie, że dzięki temu będzie miała życie. Bo co Dorrie

miała na myśli, mówiąc „tutaj”? Jeśli szło jej o to, że będzie tęskniła, to niech sobie tęskni. Tęsknota za domem to nie jest coś, z czego się nie można wyleczyć. Millicent nie zamierzała przywiązywać najmniejszej wagi do tego „tutaj”. Dla nikogo nie miałyby sensu spędzać życia „tutaj”, jeśliby mu zaproponowano to, co zaproponowano Dorrie. To niemal grzech odmawiać takiej propozycji. I to przez upór, przez tchórzliwość, przez głupotę.

Wydało jej się, że Dorrie jest przyparta do muru. Może zaczęła ustępować, tak czy inaczej, pozwalała sądzić, że się poddała. Siedziała nieruchomo jak pień, ale budziła się nadzieja, że taki pień może być w środku miękki.

Ale to Millicent wybuchła w końcu płaczem.

– Och, Dorrie – szlochała. – Nie bądź głupia!

Podniosły się obie i chwyciły w ramiona, i to Dorrie musiała ją poklepywać po plecach i uspokajać jak jakaś pocieszycielka, a Millicent szlochała i szlochała, i powtarzała jakieś wyrazy bez szczególnego związku. „Pomoc. Śmieszne. Szczęśliwa”.

– Będę pamiętała o Albercie – obiecała, kiedy uspokoiła się trochę. – Będę mu przynosiła kwiaty. I nawet nie wspomnę o wszystkim Muriel Snow. Ani Porterowi. Nikt nie musi wiedzieć.

Dorrie nie odpowiadała. Wydawała się trochę oszołomiona, zamyślona, jakby bez przerwy obracała coś w myślach, ustępując wobec wagi i osobliwości tego czegoś.

– Ta herbata jest ohydna – oznajmiła Millicent. – Nie możemy zrobić czegoś, co by się nadawało do picia? – Podeszła i wylała zawartość kubka do wiadra z pomyjami.

Dorrie stała w słabym świetle z okna – uparta, posłuszna, dziecinna, kobieca – najbardziej tajemnicza i irytująca osoba, jaką Millicent pokonała i jaką stąd odsyła. Płacąc za to osobistą cenę – myślała Millicent – większą, niż przypuszczała. Próbowała wprowadzić Dorrie w smutny, lecz i kojący nastrój, by zahamować ten potok łez. Powiedziała:

– Kości zostały rzucone.

Dorrie przysłała na swój ślub piechotę.

Nikt nie wiedział, że ma zamiar to zrobić. Millicent była wciąż niespokojna, kiedy razem z mężem stanęła pod drzwiami Dorrie, żeby ją zabrać.

– Zatrąb – powiedziała. – Powinna już być gotowa.

– Czy to nie ona idzie tam przed nami? – spytał Porter.

Tak, to była ona. Miała na sobie lekki szary płaszcz Alberta narzucony na jedwabną suknię, w jednej ręce trzymała ślubny kapelusz, a w drugiej bukiet bzu. Zatrzymali samochód, ale powiedziała:

– Nie, chcę się przejść. Trochę mi się przejaśni w głowie.

Nie było rady, musieli jechać i czekać pod kościołem, przyglądać się, jak idzie ulicą, a ludzie wychodzą ze sklepów i patrzą, niektórzy kierowcy trąbią radośnie, przechodnie machają przyjaźnie i wołają: „Niech żyje panna młoda!”. Gdy znalazła się bliżej, zdjęła płaszcz Alberta i stanęła taka lśniąca i cudowna jak biblijny słup soli.

Muriel siedziała w kościele, grała na organach, więc nie musiała sobie uświadamiać w ostatniej chwili, że zapomniały o rękawiczkach i że Dorrie trzyma zdrewniałe łodygi bzu

w gołych dłoniach. Pan Speirs również był w kościele, ale wyszedł na zewnątrz, łamiąc wszystkie reguły i zostawiając pastora samego. Był chudy, żółty i drapieżny, tak jak go Millicent zapamiętała; kiedy jednak zobaczył, że Dorrie rzuca płaszcz Alberta na tył samochodu Portera i wkłada kapelusz – Millicent musiała podbiec i poprawić go na jej głowie – wydał się szlachetnie usatysfakcjonowany. Millicent widziała go już, jak razem z Dorrie są gdzieś wysoko, na słońcach, siedzą w palan kinach uwożeni w osobliwy sposób dokądś, ku przysgodzie. Wizja. Poczwała ulgę i przyplływ optymizmu i szepnęła Dorrie:

– Zabierze cię na koniec świata. Zrobi z ciebie królową.

„Zrobiłam się taka gruba jak królowa Tonga” – pisała Dorrie z Australii kilka lat później. Z fotografii wynikało, że nie przesadza. Włosy jej zbieleły, cera zbrązowiła, tak jakby piegi nabrały życia i zbiegły się w jedno. Miała na sobie obszerną suknię barwy tropikalnych kwiatów. Przyszła wojna, kładąc kres wszelkim planom podróży, a kiedy się skończyła, Wilkie umierał. Dorrie pozostała tam, w Queenslandzie, w ogromnej posiadłości, na której hodowała trzcinę cukrową i ananasy, bawełnę, orzeszki ziemne i tytoń. Jeździła konno, mimo tuszy, i nauczyła się pilotować samolot. Trochę podróżowała w swojej części świata. Strzelała do krokodyli. Umarła w latach pięćdziesiątych w Nowej Zelandii podczas wspinaczki na wulkan, który chciała obejrzeć.

Millicent opowiedziała wszystkim o tym, o czym miała nie wspominać. Oczywiście, sobie przypisała całą zasługę. Bez zażenowania mówiła, jak to zstąpiło na nią natchnienie, jak wymyśliła pułapkę.

– Ktoś musiał wziąć byka za rogi – stwierdziła.

Uważała się za twórczynię życia – bardziej skuteczną w wypadku życia Dorrie niż w przypadku życia własnych dzieci. Stworzyła szczęście czy coś w tym rodzaju. Zapomniała, jak wtedy płakała, nie wiedząc dlaczego.

Ślub przyniósł zmiany w życiu Muriel. Złożyła rezygnację i wyjechała do Alberty.

– Daję sobie rok – powiedziała.

I w ciągu roku znalazła męża – nie z tego rodzaju mężczyzn, z jakimi miała w przeszłości do czynienia. Wdowiec z dwojgiem małych dzieci. Pastor chrześcijański. Millicent nie mogła pojąć, dlaczego Muriel tak go określa. Przecież chyba wszyscy pastory to chrześcijanie. Kiedy przyjechali w odwiedziny – a mieli już wtedy dwoje dzieci więcej, swoich własnych – zrozumiała, co się kryło w tym określeniu. Papierosy, picie i przekleństwa były niedopuszczalne, podobnie makijaż oraz tego rodzaju muzyka, jaką dawniej wykonywała Muriel. Teraz grała hymny, z jakich się przedtem wyśmiewała. Nie nosiła barwnych strojów i zrobiła sobie fatalną trwałą – siwe włosy sterczały jej znad czoła w skręconych pęczkach.

– Niedobrze mi się robi na wspomnienie wielu spraw z mojego dawniejszego życia – powiedziała, a Millicent odniosła wrażenie, że i ona, i Porter w dużej mierze należą w oczach Muriel do tych czasów, od których jej się robi niedobrze.

Dom nie został ani sprzedany, ani wynajęty. Nie został również zburzony, konstrukcja okazała się tak silna, że nie

poddawała się łatwo. Gotowa była stać tam przez długie lata i wciąż sprawiać wiarygodne wrażenie. Na ścianach z cegły potrafią się pojawić pajęczyny pęknięć, ale ściana się nie przewraca. Okiennice zimowe mogą zwisać krzywo, ale okno nie wypada. Drzwi były zamknięte na klucz, ale widać dzieci dostały się do wnętrza, żeby mazać po ścianach i tłuc resztki fajansów zostawionych przez Dorrie. Millicent ani razu nie poszła tego oglądać.

Dorrie razem z Albertem robiła coś, co potem Dorrie robiła sama. Musieli zacząć w dzieciństwie. Co roku, na jesieni, zbierali – potem ona sama zbierała – orzechy, które spadły z drzew. Podnosili ich coraz mniej i mniej, aż wreszcie dochodzili do wniosku, że ten jest ostatni, a jeśli nie ostatni, to przedostatni. Potem je liczyli i zapisywali sumę na drzwiach piwnicy. Dzień, rok, suma. Zebrane orzechy do niczego nie służyły. Wyrzucali je na skraju pola i pozwalali zgnić.

Millicent nie kontynuowała tej bezsensownej roboty. Miała dużo własnej i wiele roboty dla swoich dzieci. Ale o tej porze roku, kiedy w wysokiej trawie powinny leżeć orzechy, przypominała sobie o tym zwyczaju i o tym, że Dorrie pewnie chciała go pielęgnować do śmierci. Życie wedle zwyczajów, wedle pór roku. Orzechy spadają, szczury wodne pływają w rzeczce. Dorrie uważała zapewne, że przeznaczono jej żyć w umiarkowanym dziwactwie, samotności do wytrzymania. Może sprawiłaby sobie nowego psa.

„Ale ja nie mogłam do tego dopuścić”, myślała Millicent. Nie mogła i niewątpliwie miała rację. Dożyła starości, żyje jeszcze, chociaż Porter dawno umarł. Rzadko zwraca uwagę

na ten dom. On tam po prostu stoi. Ale od czasu do czasu widzi jego popękaną twarz i puste, pokrzywione okna. A z tyłu, za nim, drzewa orzechowe gubią delikatną okrywą liści, rok po roku.

„Powinnam to rozwalić i sprzedać cegły”, powtarza i sama się dziwi, że jeszcze tego nie zrobiła.

Albańska dziewczica

Tam, w górach, w Malësie e Madhe, próbowała im zapewne powiedzieć, jak się nazywa, i zrobili z tego „Lottar”. Była ranna w nogę, spadła na ostre skały, kiedy zastrzelono jej przewodnika. Gorączkowała. Nie miała pojęcia, jak długo wieźli ją przez góry, owiniętą w koc i przytroczoną do końskiego grzbietu. Dawali jej od czasu do czasu łyk wody do picia, niekiedy raki, rodzaj brandy, bardzo mocnej. Czuła zapach sosen. Raz byli w łodzi, ocknęła się i zobaczyła gwiazdy, to rozjarzone, to gasnące, zmieniające miejsca – ruchome sfery, które budziły w niej mdłości. Później zrozumiała, że musieli płynąć po jeziorze. Jezioro Scutari albo Shkodër, albo Szkoderskie. Wsunęli się w trzciny. Koc był pełen robactwa, które włożyło pod szmatę, jaką owinięto jej nogę.

Z końcem podróży – chociaż nie wiedziała jeszcze, że to koniec – znalazła się w małej chatce z kamieni, przybudówce do dużego domu, zwanego *kula*. Była to chata dla chorych i umierających. Nie dla rodzających, bo kobiety tutaj rodziły w polu albo przy drodze, niosąc towar na targ.

Leżała, pewno od tygodni, na wysokim pościu z paproci. Było wygodne i miało wielką zaletę – łatwo się je dało zmienić, gdy zostało zanieczyszczone czy zakrwawione.

Doglądała jej stara kobieta imieniem Tima. Smarowała ranę maścią z wosku pszczelego, oliwy z oliwek i żywicy sosnowej. Opatrunek zmieniano kilka razy dziennie, a ranę przemywano raki. Lottar widziała zwisające z krokwi czarne zastony, wydawało się jej, że jest w domu, w swoim pokoju, a matka (która już nie żyła) krząta się wokół niej. „Czemu powiesiłaś te zastony? – spytała. – Przecież są okropne”.

Widziała naprawdę pajęczyny, grube i postrzępione od dymu – prastare pajęczyny, których nikt nie tykał od lat.

Podczas tych zaburzeń świadomości miała również wrażenie, że przyciskają jej do twarzy jakąś szeroką deskę – coś jakby deskę trumienną. Ale potem, gdy już odzyskała przytomność, dowiedziała się, że to był tylko krucyfiks, drewniany krucyfiks, który jakiś mężczyzna podsuwał jej do pocałowania. Tym mężczyzną był ksiądz, franciszkanin. Wysoki, o groźnym wyglądzie, miał czarne brwi i wąsy, strasznie śmierdział; oprócz krucyfiksów nosił broń, jak się później dowiedziała, browninga. Poznał po jej ubraniu, że nie jest muzulmanką, tylko giałrem, ale nie przyszło mu do głowy, że mogłaby być heretyczką. Znał trochę angielski, ale nic nie mogła zrozumieć z jego wymowy. A gegijski był dla niej wówczas zupełnie obcy. Kiedy jednak opadła jej gorączka, a on spróbował powiedzieć jej kilka słów po włosku, zaczęli się porozumiewać, bo uczyła się włoskiego w szkole i od sześciu miesięcy podróżowała po Włoszech. Rozumiał o tyle więcej od reszty otoczenia, że z początku spodziewała się, iż zrozumie wszystko.

- Jakie jest najbliższe miasto? – spytała, a on odpowiedział:
- Szkodra.

– Więc niech pan tam idzie – prosiła – i znajdzie konsulat brytyjski, jeśli jest. Należę do Imperium Brytyjskiego. Niech im pan powie, że tu jestem. Jeśli nie ma konsula brytyjskiego, niech pan pójdzie na policję.

Nie rozumiała, że w żadnym wypadku nikt nie pójdzie na policję. Nie zdawała sobie sprawy, że teraz należy do tego plebienia, do tej *kula*, mimo iż wzięcie jej do niewoli nie było ich zamiarem, ale kłopotliwym nieporozumieniem.

Napaść na kobietę to wstyd ponad wstydy. Kiedy zastrzelili jej przewodnika, sądzili, że ona zawróci konia i pogna z powrotem do Baru w dół zbocza. Ale koń spłoszył się strzałem, potknął o głazy, a ona spadła i zraniła nogę. Nie mieli wyjścia, musieli ją zabrać ze sobą i nieść z powrotem przez granicę pomiędzy Czarnogórą i Malësie e Madhe.

– Ale czemu obrabowali przewodnika, a nie mnie? – pytała, uważając za oczywiste, że powodem był rabunek. Pamiętała, jak nędznie wyglądali, ten człowiek i jego koń, pamiętała te trzepoczące białe szmaty na jego głowie.

– Och, to nie są rabusie. – Franciszkanin był wstrząśnięty. – To uczciwi ludzie. Zastrzelili go, bo są z nim w sporze krwi. Z jego domem. Takie jest ich prawo.

Powiedział jej, że człowiek, który był jej przewodnikiem, zabił człowieka z tej tutaj *kula*. Zrobił to, ponieważ człowiek, którego zastrzelił, zabił człowieka z jego *kula*. I tak się będzie działo, tak się dzieje już od bardzo dawna, bo tu zawsze rodzi się więcej synów. Uważają, że rodzi im się więcej synów niż wszystkim innym ludziom na świecie, właśnie po to, by zaśćuczynić tej konieczności.

– No cóż, to okropne – zakończył franciszkanin. – Ale to dla honoru, honoru rodziny. Oni zawsze są gotowi umierać dla honoru.

Powiedziała, że jej przewodnik chyba nie był tak bardzo gotowy, skoro uciekł do Czarnogóry.

– No i co mu z tego przyszło? – spytał franciszkanin. – Choćby i uciekł do Ameryki, nic by mu z tego nie przyszło.

Wsiadła na parowiec w Trieście, podróżowała wzdłuż wybrzeża dalmatyńskiego. Jechała ze znajomymi poznanymi we Włoszech, państwem Cozzens, oraz ich przyjacielem, doktorem Lambem, który dołączył do nich z Anglii. Przycumowali w małym porcie Bar, zwanym przez Włochów Antivari, i spędzili noc w Hotelu Europejskim. Po kolacji spacerowali na tarasie, ale że pani Cozzens bała się chłodu, weszli do środka i grali w brydża. W nocy padał deszcz. Obudziła się, słuchała szumu kropel i zaczęło ją ogarniać rozczarowanie, z którego rodziła się niechęć do tej dwójki ludzi w średnim wieku, a zwłaszcza do doktora Lamba; podejrzewała, że Cozzensowie ściągnęli go tu z Anglii, żeby ją poznał. Pewno uważają ją za bogatą. Jakaś dziedziczka zamorskiej fortuny, której może nawet wybaczą akcent. Za dużo jedli i musieli potem łykać pigułki. I bardzo się niepokoiли tym, że się znajdują w takich dziwnych miejscach – no więc po co tu w ogóle przyjeżdżali? Będzie musiała wrócić rano do nich na statek, inaczej podniosą gwałt. Nigdy w życiu nie pojedzie konno przez góry do Cetyni, stolicy Czarnogóry – powiedziano im, że to nierozsądne. Nigdy w życiu nie zobaczy dzwonnicy,

na której wieszano głowy Turków, ani platanu, pod którym Księżę Poeta dawał ludziom posłuchanie. Nie mogła zasnąć, postanowiła więc z pierwszym świtem zejść na dół i nawet gdyby jeszcze padało, przejść się kawałek drogą za miastem, choćby tylko po to, żeby zobaczyć ruiny w gaju oliwnym, bo wiedziała, że takie są, i austriacką fortecę na skale, i ciemny zarys profilu góry Lovćen.

Pogoda okazała się życzliwa, jak również człowiek w hotelowej portierni, który załatwił dla niej niemal natychmiast obszarpanego, lecz pogodnego przewodnika z wychudłym koniem. Ruszyli natychmiast – ona na koniu, mężczyzna pieszo, przodem. Droga była kręta i stroma, usiana głazami, słońce prażyło coraz mocniej, a trafiający się od czasu do czasu cień okazywał się chłodny i czarny. Poczwała głód i pomyślała, że niedługo musi wracać. Zje śniadanie razem ze swoimi towarzyszami, którzy wstają późno.

Na pewno zaczną jej szukać, kiedy znajdą ciało przewodnika. Zawiadomią władze – jakiegokolwiek tam są władze. Statek odpłynął na pewno punktualnie, jej znajomi razem z nim. W hotelu nie zabrano im paszportów. Nikomu w Kanadzie nie przyjdzie do głowy wszczynać poszukiwań. Z nikim nie prowadziła regularnej korespondencji, poróżniła się z bratem, rodzice nie żyli. Wrócisz do domu dopiero, jak wydasz ostatni grosz ze spadku, powiedział jej brat, i kto się wtedy tobą zajmie?

Ocknęła się, kiedy ją wieziono przez sosnowy las, i miała poczucie, że jest zawieszona, że została wkołyszana – pomimo bólu i może dzięki raki – w pełną niedowierzania uległość.

Utkwiła wzrok w zawiniątku przytroczonym do siodła mężczyzny jadącego przed nią, objającym się o bok koński. Było to coś wielkości kapusty, zawinięte w sztywne, jakby rdzawe płótno.

Usłyszałam tę opowieść w starym Szpitalu Świętego Józefa w Victorii od Charlotte, która należała do przyjaciół, jakich tam miałam na samym początku. Moje ówczesne przyjaźnie były zarówno intymne, jak i kruche. Nigdy nie wiedziałam, dlaczego ludzie coś mi opowiadają ani do czego chcą mnie przekonać.

Przyszłam do szpitala z kwiatkami i czekoladkami. Charlotte podniosła ku różom głowę, miała przystryżone, białe jak puch włosy.

– E! – powiedziała. – Nie pachną. Przynajmniej ja nic nie czuję. Oczywiście są śliczne. – I dodała: – Musisz sama zjeść czekoladki. Mnie wszystko smakuje jak smoła. Nie mam pojęcia, skąd wiem, jak smakuje smoła, ale tak właśnie mi się wydaje.

Gorączkowała. Dłoń, która ujęłam, była gorąca i opuchnięta. Miała ostrzyżone włosy, przez co wydawało się, jakby schudła na twarzy i szyi. To, co zakrywały szpitalne prześcieradła, zdawało się równie pokaźne i pagórkowate jak dawniej.

– Ale nie myśl, że jestem niewdzięczna – mówiła. – Siadaj. Przysuń stamtąd krzesło, jej ono niepotrzebne.

W pokoju znajdowały się jeszcze dwie kobiety. Jedna ze strzechą siwych blond włosów na poduszce, druga – przywiązana w fotelu, wierciła się i chrząkała.

– Tu jest okropnie – mówiła Charlotte. – Ale musimy sobie jakoś dać z tym radę. Tak się cieszę, żeś przyszła. Ta, co tam leży, krzyczy całymi nocami. – Skinęła w kierunku łóżka pod oknem. – Dziękujemy Bogu, że zasnęła. Ja tu nie jestem w stanie zmrzyć oka, ale bardzo dobrze wykorzystuję czas. Jak myślisz, co ja robię? Wymyślam opowiadanie na film. Mam to wszystko w głowie i chcę, żebyś posłuchała. Możesz sama osądzić, czy z tego da się zrobić dobry film. Myślę, że się da. Chciałabym, żeby w nim zagrała Jennifer Jones. Chociaż nie jestem pewna. Jakby już nie miała tej dawnej werwy. Wyszła za mąż za tego magnata.

Słuchaj – mówiła. (Czy mogłabyś trochę podciągnąć mi poduszkę, tę pod głową?) – Cała historia dzieje się w Albanii, w północnej części, która nazywa się Malësie e Madhe, w latach dwudziestych dwudziestego wieku, kiedy wszystko było dosyć siermiężne. To historia młodej kobiety podróżującej samotnie. W tym opowiadaniu ma na imię Lottar.

Usiadłam i słuchałam. Charlotte nachylała się, niekiedy nawet kołysała na twardym szpitalnym łóżku, pragnąc coś podkreślić. Opuchnięte dłonie poruszały się w górę i w dół, niebieskie oczy rozszerzały się nakazująco, co pewien czas osuwała się na poduszki i zamykała oczy, by zebrać rozsypaną opowieść.

– No, tak – mówiła. – Tak, tak. – I opowiadała dalej. – Tak, tak – powiedziała wreszcie. – Wiem, jak to dalej idzie, ale na dzisiaj wystarczy. Będziesz musiała przyjść znowu. Jutro. Przyjdziesz?

– Tak. Przyjdę jutro. – Wydawało się, że zasnęła, nie słysząc moich słów.

Kula była ogromnym budynkiem z surowego kamienia – na dole znajdowała się stajnia, nad nią – przestrzeń mieszkalna. Wokół budynku biegł taras, na którym zawsze można było zobaczyć starą kobietę trzymającą w ręku przedmiot w rodzaju klocka, który przelatywał jak ptak z jednej ręki do drugiej, pozostawiając szlak lśniącego czarnego warkocza, całe mile czarnego warkocza stanowiącego ozdobę spodni każdego mężczyzny. Inne kobiety siedziały przy krosnach lub zszywały skórzane sandały. Żadna z kobiet nie szydełkowała, ponieważ żadnej nie przysłoby do głowy, by usiąść do robotki. Szydełkowały w drodze do źródła i z powrotem, dźwigając przytroczone na plecach baniaki z wodą, albo szły ścieżką na pola, albo do bukowego lasu, gdzie zbierały chrust. Robiły na drutach skarpetki – białe i czarne, czerwone i białe z zygzakowatym wzorkiem, znakiem błyskawicy. KobiECE ręce nigdy nie mogą próżnować. Przed świtem zagniały ciasto na chleb w poczerniałej drewnianej misie, formowały bochenki na odwróconej łopacie i piekły na palenisku. (Był to chleb kukurydziany, bez zaczynu, zjadany na gorąco i rosnący w żołądku jak nadymana piłka). Potem musiały zamieść *kula*, wyrzucić brudne paprocie i przynieść naręcza świeżych na następne posłanie. Ta robota przypadała na ogół Lottar, jako że była taka niezręczna we wszystkim innym. Małe dziewczynki mieszały jogurt, żeby nie robiły się w nim grudki w czasie kiszenia. Starsze mogły zarznąć koźlę i zaszyć mu w brzuchu dziki czosnek, szałwię i jabłka. Albo szły wspólnie, dziewczęta i kobiety, w każdym wieku, prac białe męskie chusty na głowę w płynącej nieopodal chłodnej rzeczce o wodach

czystych jak szkło. Doglądały zbiorów tytoniu i rozwieszały w mrocznej stodole dojrzałe liście do suszenia. Okopywały kukurydzę i ogórki, doiły owce.

Kobiety wyglądały surowo, ale w gruncie rzeczy nie były surowe, tylko zapracowane, dumne z siebie i chętne do rywalizacji. Która udźwignie najcięższą wiązkę drzewa, która szydełkuje najszybciej, która okopie najwięcej rzędów kukurydzy? Najbardziej widowiskowym zawodnikiem okazała się Tima, ta, która opiekowała się Lottar podczas choroby. Wbiegała pod górę, do *kula*, z dziesięciokrotnie większym od niej ładunkiem chrustu na grzbiecie. Skakała w rzece z kamienia na kamień i tłukła chusty, jakby to były ciała wrogów. „Och, Tima, Tima!” – wołały kobiety, patrząc na nią z żartobliwym zachwytem. „Och, Lottar, Lottar” – niemal tym samym tonem, kiedy to Lottar, na drugim krańcu użyteczności, spławiła przez nieuwagę chusty w dół rzeki. Niekiedy szturchały kijem, tak jak się pogania osła, ale więcej w tym było utyskiwania niż okrucieństwa. Czasami młodsze prosiły: „Mów swoją mową” – a ona, chcąc im sprawić przyjemność, mówiła po angielsku. Marszczyły nosy i spluwały, słysząc takie dziwne dźwięki. Próbowwała je nauczyć poszczególnych słów – takich jak „ręka” i „nos”. Ale brały to tylko za żart, powtarzały je i zataczały się ze śmiechu.

Kobiety trzymały się z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami, choć niekiedy, w nocy, bywało inaczej (kobiety, z których się potem podśmiewano, były zawstydzone i wypierały się wszystkiego, zdarzały się też klapsy), spotykali się również podczas posiłków, kiedy to kobiety podawały mężczyznom

jedzenie. To, co robili mężczyźni, nie było sprawą kobiet. Mężczyźni szykowali amunicję i starannie czyścili broń, w niektórych przypadkach bardzo piękną, zdobioną grawerunkami w srebrze. Wysadzali w powietrze skały, żeby robić przejścia; odpowiadali również za konie. Gdzie tylko znaleźli się mężczyźni, tam było słychać śmiech, zaczynały się śpiewy, strzelano ze ślepych nabojów. W domu zachowywali się tak, jakby byli na wakacjach, kilku wyjeżdżało na ekspedycję karną lub gdzieś na naradę, by położyć kres jakiemuś szczególnemu przyływowi morderczej aktywności. Żadna z kobiet nie wierzyła, żeby to mogło w czymś pomóc – ze śmiechem powiadały, że padnie tylko dwadzieścia strzałów więcej. Kiedy któryś z młodych szedł na swoje pierwsze zabójstwo, kobiety robiły ogromne zamieszanie wokół jego odzieży i fryzury, starały się dodać mu odwagi. Gdyby mu się nie powiodło, żadna dziewczyna nie wyszłaby za niego za mąż – żadna licząca się kobieta nie wyszłaby za mąż za mężczyznę, który nie zabił; byłoby jej wstyd – a każdy chciał mieć w domu nowe żony do roboty.

Pewnego wieczoru, kiedy Lottar podawała jedzenie jednemu z mężczyzn, gościowi – zapraszani na posiłek goście zawsze zasiadali wokół niskiego stołu – sofry – zobaczyła, że ten ma drobne ręce i nieowłosione przeguby. A jednak to nie był młodzik, to nie był chłopiec. Pomarszczona sucha twarz bez wąsów. Wsłuchiwała się w jego głos podczas rozmowy, wydał jej się chrapliwy, ale kobiecy. Ale palił, jadł z mężczyznami, nosił broń.

– Czy to mężczyzna? – spytała kobietę, która posługiwała razem z nią.

Kobieta potrząsnęła głową, nie chciała mówić, póki mężczyźni mogli ją usłyszeć. Ale młode dziewczyny, które dosłyszały pytanie, nie były takie ostrożne.

– Czy to mężczyzna? Czy to mężczyzna? – przedrzeźniały Lottar. – Och, Lottar, jakaś ty głupia! Nie wiesz, kiedy widzisz dziewicę?

Nie zadawała więcej pytań. Ale następnym razem, zobaczywszy franciszkanina, pobiegła za nim, by go wypytać. Co to jest dziewica? Musiała za nim biec, ponieważ teraz nie zatrzymywał się przy niej na pogawędkę, tak jak bywało wcześniej, gdy leżała chora w szopie. Kiedy przychodził do *kula*, ona zwykle była zajęta jakąś robotą, zresztą nie mógł poświęcać kobietom wiele czasu – przesiadywał z mężczyznami. Pobiegła za nim, widząc, jak wychodzi, jak kroczy ścieżką między drzewami sumaków, kierując się do małego kościółka z surowych bierwion i przylegającego doń małego domku, gdzie mieszkał.

Powiedział, że to była kobieta, ale kobieta, która żyła jak mężczyzna. Nie chciała wychodzić za mąż, złożyła przy świadkach przysięgę, że nigdy tego nie zrobi, potem włożyła męskie ubranie, miała własną broń i konia, jeśli mogła sobie na to pozwolić, i żyła, jak chciała. Na ogół była biedna, nie miała żadnej kobiety do posługi. Ale też nikt od niej niczego nie chciał i mogła jadać w sofrze wraz z mężczyznami.

Lottar nie rozmawiała już z franciszkaninem o pójściu do Szkodry. Zrozumiała, że to musi być bardzo daleko. Niekiedy pytała, czy nie doszły go jakieś wiadomości, czy nikt jej nie szukał, a on odpowiadał surowo, że nie. Kiedy wspominała swoje zachowanie podczas tych pierwszych tygodni – jak

wydawała rozkazy, mówiła, pewna siebie, po angielsku, przekonana, że jej szczególny przypadek zasługuje na ich zainteresowanie – czuła wstyd, że tak niewiele rozumiała. A im dłużej pozostawała w *kula*, im lepiej władała ich językiem i przyzwyczajała się do pracy, tym dziwniejsza była myśl o odejściu. Kiedyś musi stąd odejść, ale przecież nie teraz, nie w tej chwili. Jakże mogłaby odejść w samym środku zrywania tytoniu albo zbiorów sumaka, albo podczas przygotowań do uroczystości Przenosin Świętego Mikołaja?

Na polach tytoniu ściągały kamizele i bluzki i pracowały półnagie, skryte między rzędami wysokich roślin. Sok tytoniowy był czarny i lepki jak melasa, spływał im na piersi wzdłuż ramion. O zmierzchu schodziły do rzeki, żeby się porządnie wymyć. Pluskały się w zimnej wodzie dziewczęta i dorosłe tęgie kobiety. Próbowwały się nawzajem przewracać i Lottar słyszała, jak wołają ostrzegawczo czy triumfalnie, bez lekceważenia, tak jak wołały każde inne imię: „Lottar! Uważaj! Lottar!”.

Opowiadały jej różne rzeczy. Mówiły, że dzieci umierały tutaj przez strzygę. Nawet dorośli dostają drzączki i czasem umierają, kiedy strzyga rzuci na nich urok. Ta strzyga wygląda jak zwyczajna kobieta, więc nie wiadomo, kim jest. Wysysa krew. Jak chcesz ją schwytać, musisz leżeć krzyżem na progu kościoła w Niedzielę Wielkanocną, kiedy wszyscy są wewnątrz. Wtedy ta kobieta, która jest strzygą, nie może wyjść na zewnątrz. Albo też możesz iść za kobietą, którą podejrzewasz, i zobaczyć, jak wymiotuje krwią. Jeśli ci się uda zebrać trochę tej krwi na srebrną monetę i będziesz nosić tę monetę przy sobie, żadna strzyga cię nie dopadnie.

Jak zetniesz włosy w czasie pełni księżyca, to osiwiejesz.

Jak poczujesz ból w członkach, zetnij odrobinę włosów z głowy i spod pach i spal – ból minie.

Oras to diabły, co przychodzą nocą i świecą błędnym światłem zagubionym wędrowcom. Musisz wtedy przykucnąć i nakryć głowę, inaczej zaprowadzą cię na skraj przepaści. Potrafią również schwytać konia i zajeździć go na śmierć.

Tytoń został zebrany, owce spędzone ze zboczy, zwierzęta i ludzie zamknięci w *kula* na długie tygodnie zimnego deszczu i śniegu i pewnego dnia, w ciepłych promieniach wiosennego słońca, kobiety posadziły Lottar na stojącym na tarasie krześle. Tu bardzo uroczyście i z wielkim zachwytem zgoliły jej włosy nad czołem. Potem wczeszały czarną spienioną farbę w resztę włosów. Farba była lepka – włosy tak zeszywniały, że można z nich było formować skrzydełka i obwarzanki twarde jak krwawa kiszka. Cisnęły się wokół niej, jedne krytykowały, inne się zachwycaly. Upudrowały jej twarz mąką i ubrały w suknie wyciągnięte z jednej z wielkich rzeźbionych skrzyń. Po co to wszystko, pytała, niknąc w wielkiej bluzie ze złotymi haftami, czerwonym staniku z frędzlami przy epoletach i z jedwabną szarfą w pasy, szeroką na jard i długą na wiele jardów, oraz w biało-czerwonej wełnianej spódnicy, przystrojona jeszcze łańcuchem z fałszywego złota, zarzuconym na głowę i szyję. Dla urody, odpowiedziały. A później, kiedy skończyły, wołały: „Popatrzcie! Jest piękna!”. Te, które to mówiły, triumfowały widąc nad tymi, które uprzednio wątpiły w możliwość przemiany. Macały mięśnie jej ramion,

stwardniałe od pracy motyką i dźwigania drzewa, głąskały jej szerokie, oprószone mąką czoło. Potem podniosły wrzask, ponieważ zapomniały o czymś ogromnie ważnym – czarnej farbie, którą trzeba połączyć brwi w równą kreskę:

– Ksiądz idzie! – rozległ się krzyk tej, która zapewne stała na straży.

Wtedy druga, która malowała jej brwi, powiedziała:

– Ale on nic na to nie poradzi.

Jednak pozostałe odsunęły się od niej.

Franciszkanin wystrzelił kilka ślepych naboju, co robił zawsze, by oznajmić swoje przybycie, a mężczyźni odpowiedzieli również kilkoma ślepych nabojami na powitanie. Ale on tym razem nie poszedł do mężczyzn. Wdrapał się od razu na taras, krzycząc: „Wstydzicie się! Wstydzili byście się wszystkie! Wstydl!”.

– Wiem, po co ufarbowałyście jej włosy – wołał do kobiet. – Wiem, dlaczego ubrałyście ją w ślubne szaty! To wszystko dla muzułmańskiej świni! – Zwrócił się do Lottar: – Ty! Ty, co tam siedzisz cała w tych farbach: nie wiesz, po co to wszystko? Nie wiesz, że cię sprzedali muzułmaninowi? Przychodzi tutaj z Vuthaj. Będzie przed zmrokiem.

– No i co z tego – odparła śmiało jedna z kobiet. – Udało im się dostać za nią tylko trzy napoleony. Przecież musi za kogoś wyjść za mąż.

Franciszkanin kazał jej milczeć.

– Czy taka jest twoja wola? – zapytał Lottar. – Czy chcesz wyjść za mąż za niewiernego i żyć z nim w Vuthaj?

Odpowiedziała, że nie. Miała wrażenie, że nie może się poruszyć ani otworzyć ust pod ciężarem tych natłuszczonych włosów i wspaniałego stroju. Walczyła z tym ciężarem jak człowiek, który budzi się ze snu, czując niebezpieczeństwo. Wizja poślubienia muzułmanina wydawała się zbyt odległa, by stanowić groźbę – zrozumiała tylko, że zostanie rozdzielona z księdzem i nigdy już nie będzie mogła prosić go o wyjaśnienia.

– Czy wiedziałaś, że cię wydają za męża? – zapytał. – Czy tego chcesz? Wyjść za męża?

– Nie – odpowiedziała. – Nie.

– Ściągaj te złote śmiecie. Zdejmijcie z niej te ubrania. Zrobij z niej teraz dziewicę.

Franciszkanin klasnął w ręce.

– Jeśli zostaniesz dziewicą, wszystko się dobrze skończy. Muzułmanin nie będzie musiał nikogo zabijać. Ale ty przysięgnij, że nigdy nie pójdiesz z mężczyzną. Musisz przysiąc w obliczu świadków. *Per quri et per kruch*. Na kamień i na krzyż. Czy to rozumiesz? Nie pozwolę, żeby cię wydali za muzułmanina, ale nie chcę dopuścić do następnej strzelaniny na tej ziemi.

Był to handel, jakiemu franciszkanin starał się najusilniej zapobiegać – sprzedawaniu kobiet muzułmanom. Budziło w nim wściekłość, że tak łatwo zbywali sprawę swojej religii. Sprzedawali takie dziewczyny jak Lottar, które nigdzie indziej nie mogłyby przynieść pieniędzy, oraz wdowy, które urodziły tylko córki.

Kobiety wolno i niechętnie ściągnęły z niej bogate szaty i przyniosły używane męskie spodnie, bez ozdób, koszulę

i chustę na głowę. Lottar włożyła przyniesione ubranie. Jedna z kobiet wzięła jakieś okropne nożyce i ścięła jej resztkę włosów, chociaż nałożony smar ogromnie utrudniał strzyżenie.

– Jutro zostałąbyś panną młodą – powiadały. Niektóre mówiły to z żalem, inne pogardliwie. – A teraz już nigdy nie urodzisz syna.

Małe dziewczynki zbierały ścięte włosy Lottar i upinały sobie na głowach w rozmaite węzły i grzywki.

Lottar złożyła przysięgę w obecności dwunastu świadków. Byli to, rzecz jasna, wyłącznie mężczyźni, wszyscy, podobnie jak kobiety, niechętni takiemu zwrotowi sytuacji. Lottar nigdy nie zobaczyła muzułmanina. Franciszkanin wymyślał mężczyzn i powiedział, że jeśli jeszcze raz wydarzy się coś podobnego, to on zamknie cmentarz, a wtedy będą musieli chować swoich zmarłych w niepoświęconej ziemi. Lottar siedziała w pewnej odległości od nich, w cudzym, obcym ubraniu. Bezczynność była rzeczą dziwną i niemiłą. Kiedy franciszkanin skończył kazanie, podszedł do Lottar i spojrzał na nią z góry. Oddychał ciężko albo z gniewu, albo z wysiłku, jaki go kosztowała ta przemowa.

– No, dobrze – powiedział. – Dobrze.

Sięgnął w głąb zakamarków swojego odzienia, wyciągnął papierosa i podał Lottar. Papieros pachniał jego skórą.

Pielęgniarka przyniosła Charlottcie lekki posiłek – zupę i brzoskwinie z puszką. Charlotta podniosła pokrywkę talerza i odwróciła głowę.

– Odejdź, nie zagłądaj w te pomyje. Przyjdź jutro, wiesz przecież, że to jeszcze nie koniec.

Pielęgniarka odprowadziła mnie do drzwi, a kiedy znalazłyśmy się na korytarzu, powiedziała:

– Tak to bywa, że największe pretensje zgłaszają te, co mają najmniej w domu. Nie należy do najłatwiejszych pacjentek, ale trudno jej nie podziwiać. To pani krewna?

– Nie – odpowiedziałam. – Och, nie.

– To było niewiarygodne, kiedy ją przyjmowałyśmy. Rozbierałyśmy ją i ktoś powiedział: „Och, jakie śliczne bransolety”, i ona natychmiast chciała je sprzedać. Jej mąż to jeszcze coś innego. Zna go pani? Dziwadła, jedno i drugie.

Mąż Charlotte, Gjergj, przyszedł do mojej księgarni pewnego chłodnego ranka przed niespełna tygodniem. Ciągnął wózek z książkami owiniętymi w koc. Już raz próbował mi sprzedać jakieś książki u siebie w mieszkaniu; pomyślałam, że to pewno te same. Wtedy się zmieszałam, ale teraz byłam na własnym gruncie i potrafiłam się zdobyć na większą stanowczość. Powiedziałam mu, że nie handluję używanymi książkami, dziękuję bardzo. Gjergj potaknął szorstko, jakbym mu to niepotrzebnie mówiła i jakby to nie miało znaczenia w naszej rozmowie. W dalszym ciągu wyciągał książki, jedną po drugiej, nalegając, bym przesunęła dłonią po oprawkach, doceniła piękno ilustracji i aby daty wydań zrobiły na mnie należyte wrażenie. Musiałam mu odmawiać wiele razy, kiedy zdałam sobie sprawę, że wbrew własnej woli zaczynam opatrywać te odmowy przeprosinami. Uznał, że każda moja odmowa dotyczy jednej książki, wobec czego wyciągał następną, mówiąc:

– O, jeszcze ta. Bardzo piękna. Sama zobaczysz. I bardzo stara. Popatrz, jaka piękna stara książka.

Były to książki podróżnicze, niektóre z przełomu wieków. Ani bardzo stare, ani bardzo piękne, opatrzone zblakłymi, ziarnistymi fotografiami. *Wyprawa przez Czarne Szczyty, Górna Albania, Tajemne krainy Europy Południowej.*

– Będzie pan musiał pójść do antykwariatu – powiedziałam. – Tego na Fort Street. To niedaleko stąd.

Wydał jakiś odgłos wyrażający niechęć, może to oznaczało, że doskonale wie, gdzie to jest albo że już raz tam był, bez skutku, albo że większość z nich ma właśnie stamtąd.

– Jak się ma Charlotte? – spytałam z troską. Nie widziałam jej od jakiegoś czasu, chociaż zwykła była dość często odwiedzać mnie w księgarni. Przynosiła mi drobne prezenciki – ziarenka kawy w czekoladzie dla dodania sił; mydełko glicerynowe dla zapobieżenia wysychaniu skóry przy ciągłym kontakcie z papierem. Przycisk do papieru ozdobiony próbkami skał znalezionymi w Kolumbii Brytyjskiej, ołówek świecący w ciemności (żebym mogła wypisywać rachunki, gdyby elektryczność wysiadła). Piła ze mną kawę, gadała, chodziła po sklepie, wyszukiwała sobie dyskretnie coś do oglądania, gdy byłam zajęta. Nosila w te jesienne, ciemne i wietrzne dni aksamitny płaszcz, w jakim ją zobaczyłam po raz pierwszy, a od deszczu chronila się pod ogromnym staroświeckim czarnym parasolem. Nazywała go namiotem. Kiedy widziała, że jestem bardzo zajęta rozmową z klientem, stuknęła mnie w ramię, mówiąc:

– Wymknę się teraz cichutko, zabieram swój namiot. Pogadamy kiedy indziej.

Pewnego dnia jakiś klient zagadnął mnie obcesowo:

– Kim jest ta kobieta? Widuję ją na mieście, razem z mężem. To chyba mąż, tak mi się zdaje. Myślałem, że to uliczny handlarze.

Zastanawiałam się, czy Charlotte mogła to usłyszeć. Czy mogła wyczuć chłód, jaki bił w jej stronę od mojej nowej pomocnicy? (Charlotte była niewątpliwie dla niej chłodna). Mogło się zdarzyć, że zbyt często byłam czymś zaprzątnięta. Nie myślałam, konkretnie, o tym, że wizyty się urwały. Wołałam myśleć, że nie przychodzi z powodów, jakie nie mają ze mną nic wspólnego. Zresztą byłam zapracowana i zmęczona, w miarę jak zbliżały się święta. Liczba sprzedanych książek okazała się miłym zaskoczeniem.

– Nie chciałabym w żaden sposób nikogo oczerniać – zwróciła się do mnie moja pomocnica – ale powinna pani chyba wiedzieć, że do wielu sklepów w mieście ta kobieta i jej mąż mają zabroniony wstęp. Są podejrzewani o drobne kradzieże. Ja tam nic nie wiem. On nosi ten gumowy płaszcz z szerokimi rękawami, a ona ten swój płaszcz. Pewne jest, że około Bożego Narodzenia chodzili po ogródkach i zrywali ostrokrzew, a potem próbowali go sprzedawać mieszkańcom kamienic.

Tego chłodnego ranka, kiedy odmówiłam Gjergjowi zakupu wszystkich jego książek z wózka, zapytałam ponownie o zdrowie Charlotte. Odpowiedział, że jest chora. Mówił niechętnie, jakby uważał, że to nie moja sprawa.

– Weź dla niej książkę. – Wyciągnęłam tomik lekkiej poezji w wydaniu Penguina. – Weź to dla niej, powiedz, że jej się

moim zdaniem spodoba. Powiedz, że liczę na jej szybki powrót do zdrowia. Może uda mi się do niej wpaść.

Włożył książkę do węzła na wózku. Pomyślałam, że zaraz będzie próbował ją sprzedać.

– Nie w domu – powiedział. – W szpitalu.

Za każdym razem, kiedy się pochylał nad wózkiem, widziałam duży drewniany krucyfiks, który wysuwał się z głębi jego płaszcza i który trzeba było zaraz wsunąć z powrotem. Teraz to się powtórzyło, a ja, zmieszana i skruszona, powiedziałam bezmyślnie:

– Jaki piękny! Co za piękne ciemne drewno. Wygląda jak średniowieczny.

Ściągnął go przez głowę, mówiąc:

– Bardzo stary. Bardzo piękny. Dębowe drewno. Tak.

Wcisnął mi go w rękę, a ja odsunęłam ją natychmiast, gdy zdałam sobie sprawę, co się dzieje.

– Cudowne drewno – powiedziałam.

Kiedy chował krucyfiks, miałam wrażenie, że jestem ocalona, chociaż pełna wyrzutów sumienia.

– Mam nadzieję, że choroba Charlotte to nic poważnego – dodałam.

Uśmiechnął się pogardliwie i postukał w pierś – może chciał mi wskazać źródło choroby Charlotte, a może pomać niedawno obnażoną skórę.

Potem zabrał się z krucyfiksem, książkami i wózkiem i wyszedł ze sklepu. Miałam wrażenie, że obie strony doświadczyły i upokorzenia, i przykrości.

Wyżej, ponad polem tytoniu, leżał bukowy las, w którym Lottar często zbierała chrust na opał. Za nim rozciągało się porośnięte trawą zbocze – wysoka łąka – a na jej szczycie, o pół godziny wspinaczki od *kula*, stała niewielka kamienna szopa, prymitywna budowla bez okna, z niskim otworem wejściowym zamiast drzwi, z paleniskiem w kącie, ale bez komina. Chowaly się tu owce, podłogę pokrywały ich bobki.

W tym właśnie szałasie zamieszkała, odkąd została dziewczcą. Wydarzenie z muzułmańskim narzeczonym miało miejsce na wiosnę, mniej więcej rok po jej przybyciu do Malësie e Madhe; o tej porze trzeba było przepędzić owce na wyżej położone pastwiska. Lottar miała liczyć sztuki i pilnować, żeby któraś nie spadła w przepaść albo nie odeszła zbyt daleko. Musiała też co wieczór je doić. Spodziewano się również, że będzie strzelać do wilków, gdyby podeszły, ale żaden się nie pokazał, nikt w całej *kula* nigdy wilka nie widział. Jedyne dzikie zwierzę, jakie zobaczyła, to rudy lis, na którego się natknęła nad strumieniem, oraz króliki; liczne i nie bardzo płochliwe. Potrafiła je zabijać, skórkować i gotować, patroszenia nauczyła się od dziewczyn kuchennych w *kula*. Dusiła mięso na ogniu w rondlu, dorzucała kilka główek dzikiego czosnku.

Nie chciała sypiać wewnątrz, zbudowała więc sobie pod ścianą zadaszenie z gałęzi, przedłużając dach szałas. Ułożyła pod tym dachem stos paproci, na których rozkładała do snu miękki, ofiarowany jej koc. Nie zwracała już uwagi na robactwo. Między kamieniami, z jakich zbudowany był szałas, sterczały wbite kolce. Nie wiedziała, skąd się wzięły, ale okazały się przydatne, wieszała na nich wiaderka na mleko i te

kilka garnków, jakie dostała. Przynosiła wodę ze strumienia, prała w niej swoją chustę, a czasem i sama się myła, bardziej dla ochłody w upalny dzień niż z troski o czystość.

Wszystko się zmieniło. Nie widywała już kobiet. Utraciła nawyk ciągłej pracy. Wieczorami po mleko przychodziły małe dziewczynki. Oddalone od *kula* i swoich matek wpadały w szał. Wdrapywały się na dach, niszcząc czasem jej pracowicie wykonaną konstrukcję z gałęzi. Skakały po paprociach, zwijały naręcza liści w prymitywną kulę, którą rzucali, póki się nie rozpadła. Bawiły się tak dobrze, że Lottar musiała je wypędzać o zmierzchu i przypominać, jakiego będą miały stracha, wędrując po ciemku przez bukowy las. Przypuszczała, że biegną całą drogę powrotną i wylewały połowę mleka.

Czasem przynosiły jej trochę mąki kukurydzianej, którą mieszała z wodą i piekła nad ogniskiem na łopacie. Raz dostała od nich przysmak, barani łeb – przypuszczała, że go skradły – który ugotowała w garnku. Wolno jej było zostawić sobie trochę mleka; zamiast pić surowe, stawiała je na skwaszenie, potem mieszała i piła jak jogurt, moczyła w nim chleb. Tak jej teraz bardziej smakowało.

Często drogą przez las, wkrótce po odejściu dziewczynek do domu, przychodzili na łękę mężczyźni. Wyglądało na to, że latem taki mają zwyczaj. Lubili przesiadywać nad brzegiem strumienia, strzelać ze ślepych naboí, popijać raki, śpiewać, a czasem tylko palić tytoń i gadać. Nie przychodzili po to, żeby sprawdzić, jak ona sobie daje radę, ale jak już przychodzili, to dawali jej prezenty, kawę albo tytoń, a również

wskazówki, niekiedy sprzeczne, jak ma naprawić dach nad legowiskiem, żeby się na nią nie zawalił, jak podtrzymywać przez całą noc ogień, jak posługiwać się bronią.

Jej bronią była stara strzelba Martiniego, którą dostała, gdy opuszczała *kula*. Kilku mężczyzn powiadało, że to jest nie-szczęśliwa broń, ponieważ należała do chłopaka, który został zabity, zanim sam zdążył kogoś zabić. Inni mówili, że wszystkie strzelby Martiniego są, ogólnie biorąc, do niczego, żaden z nich pożytek.

Mauzer, to jest to, co trzeba, celna i łatwa do repetowania broń.

Ale kule mauzera były zbyt małe, by dokonać należytego spustoszenia. Wokół chodziło wielu mężczyzn podziurawionych kulami z mauzerów – kiedy się ich mijało, słychać było, jak świszczą.

Tak naprawdę niczego nie da się porównać z karabinem skałkowym dobrze podsypanym prochem, z kulą i gwoździami w lufie.

Jeśli nie mówili o broni, to o tym, kto kogo ostatnio zabił, albo opowiadali kawały. Jeden opowiedział kawał o czarodzieju. Pewien pasza trzymał czarodzieja w więzieniu. Pasza kazał go wyprowadzić, żeby pokazał sztuczki przed gośćmi. Przynieście miśkę wody – rozkazał czarodziej. No więc, ta woda to jest morze. A który port na morzu mam wam pokazać? Pokaż nam port na wyspie Malta – powiedzieli. No i proszę. Domy i kościoły, i parowiec gotów do odcumowania. No, a czy chcielibyście zobaczyć, jak wchodzę na pokład tego parowca? I pasza zaczął się śmiać: Wchodź, jazda! I ten

czarodziej wsadził nogę do misy z wodą, wszedł na pokład parowca i odpłynął do Ameryki. Co wy na to?

– Tak czy inaczej, nie ma żadnych czarodziei – oświadczył franciszkanin, który często wspinał się wieczorem wraz z mężczyznami na łąkę. – Gdyby to był święty, to by miało jakiś sens.

Mówił surowo, ale Lottar myślała, że jest bardzo szczęśliwy; podobnie jak wszyscy, podobnie jak ona, której również pozwalano być szczęśliwą przy nich i przy nim, chociaż nie zwracał na nią uwagi. Dali jej do palenia mocny tytoń, od którego zakręciło się jej w głowie, i musiała się położyć na trawie.

Przyszła pora, kiedy Lottar musiała pomyśleć o wprowadzeniu się do szałas. Ranki stały się chłodne, paprocie nasiąkały rosą, a winorośle pożółkły. Zabrała się do czyszczenia łopatą owczych bobków z podłogi, szykując się do zrobienia sobie tam postania. Zaczęła zatykać szczeliny muru trawą i liśćmi.

Kiedy nadeszli mężczyźni, zapytali, po co to robi.

– Na zimę – powiedziała, a oni wybuchnęli śmiechem.

– Nikt nie może tu zostać w zimie – tłumaczyli. Pokazywali jej, jak wysoko zalega tu śnieg, podnosząc dłonie do piersi. Poza tym owce spędza się na dół. – Nie będzie dla ciebie pracy – i co będziesz jadła? Czy myślisz, że kobiety dadzą ci za darmo chleb i jogurt?

– Jak mam wrócić do *kula*? – zapytała Lottar. – Jestem dziewczicą. Gdzie będę spała? Jaką będę miała pracę?

– To prawda – mówili do niej życzliwie, a potem do siebie. – Kiedy dziewczica należy do *kula*, dostaje zwykle kawałek

ziemi, z której może sama wyżyć. Ale ona tak naprawdę nie należy do *kula*, nie ma ojca, który by jej coś dał. Co ona pocznie?

Wkrótce po tej rozmowie – i to w środku dnia, kiedy goście nie zwykli się zjawiać – przywędrował na łąkę franciszkanin, sam jeden.

– Nie ufam im – powiedział. – Myślę, że będą znowu próbowali cię sprzedać muzułmaninowi. Chociaż zostałaś zaprzysiężona. Będą próbowali trochę na tobie zarobić. Gdyby znaleźli dla ciebie chrześcijanina, nie byłoby tak źle, ale jestem pewny, że to będzie niewierny.

Usiedli na trawie i pili kawę.

– Czy masz jakiś dobytek, coś do zabrania? Nie. Zaraz wyruszymy.

– Kto wydoi owce? – spytała Lottar. Kilka schodziło już z góry. Staną i będą na nią czekać.

– Zostaw je – powiedział franciszkanin.

Tak pozostawili nie tylko owce, ale też jej schronienie, łąkę, dzikie winorośle, sumaki i górskie jesiony, i krzaki jałowca, i karłowate dęby, na które patrzyła całe lato, i króliczą skórkę, która jej służyła za poduszkę, i ronderek, w którym gotowała sobie kawę, stos drew, które nazbierała jeszcze tego ranka, kamienie wokół paleniska – znała kształt i kolor każdego z nich. Rozumiała, że odchodzi, ponieważ franciszkanin był tak zdecydowany, ale nie rozumiała tego w sposób, który by jej kazał się rozejrzeć i zobaczyć wszystko po raz ostatni. Zresztą nie było to konieczne. Nigdy w życiu nic z tego widoku nie zapomni.

Kiedy znaleźli się w bukowym lesie, franciszkanin zwrócił się do niej:

– Teraz musimy się zachowywać bardzo cicho. Pójdziemy inną ścieżką, taką, która biegnie dalej od *kula*. Jeśli usłyszymy, że ktoś nadchodzi, będziemy się kryć.

A potem godziny drogi w ciszy wśród buków z ich gładką, słoniową korą i wśród dębów o czarnych konarach i suchych sosen. Pod górę i z góry, wskroś grani, wzdłuż ścieżek, o których istnieniu nie miała pojęcia. Gdy wreszcie wyszli spośród drzew, Lottar stwierdziła ze zdumieniem, że zostało jeszcze tyle światła na niebie.

Franciszkanin wyciągnął bochenek chleba i nóż z jakiejś kieszeni i jedli, idąc.

Dotarli do suchego koryta rzeki wyłożonego kamieniami, ale nie płaskimi, po których łatwo byłoby stąpać, lecz lawiną, znieruchomiałą lawiną kamieni między polami kukurydzy i tytoniu. Dochodziły ich ujadania psów, a niekiedy ludzkie głosy. Zarówno tytoń, jak i kukurydza, jeszcze niezebrane, były od nich wyższe i szli tak ukryci korytem wyschniętej rzeki, dopóki światło dzienne całkiem nie zgasło. A kiedy już nie mogli iść dalej i skryła ich ciemność, usiedli na białych kamieniach suchego łóżyska rzeki.

– Dokąd mnie zabierasz? – spytała wreszcie Lottar.

Z początku sądziła, że zmierzają w stronę kościoła i domu księdza, ale teraz zorientowała się, że nie. Zaszli o wiele dalej.

– Zabieram cię do domu biskupa – powiedział franciszkanin. – On będzie wiedział, co z tobą zrobić.

– Czemu nie do twojego domu? – spytała. – Mogłabym być sługą w twoim domu.

– Tego nie wolno – nie wolno, żeby w moim domu służyła kobieta. W domu żadnego księdza. Biskup nie pozwala teraz nawet na starą kobietę. I ma rację, kobieta w domu to zawsze kłopot.

Kiedy wzeszedł księżyc, ruszyli dalej. Szli i odpoczywali, szli i odpoczywali, ale nie spali ani razu, nawet nie rozejrzeli się za jakimś dogodnym do położenia się miejscem. Podeszwy stóp mieli twarde, sandały rozchodzone, więc nie porobiły im się pęcherze. Obydwoje przywykli do długich wędrówek: franciszkanin po swoich rozrzuconych daleko parafiach, a Lottar – kiedy chodziła za owcami.

Po pewnym czasie franciszkanin stał się nieco mniej surowy – może przestał się martwić – i zaczął z nią rozmawiać niemal tak samo jak w pierwszych dniach znajomości. Mówił po włosku, chociaż ona nieźle już sobie dawała radę z gegijskim.

– Urodziłem się we Włoszech – opowiadał. – Moi rodzice byli Gegami, ale w młodości mieszkałem we Włoszech i tam zostałem księdzem. Kiedyś, przed laty, pojechałem tam w odwiedziny i zgoliłem wąsy, nie wiem dlaczego. Och, teraz wiem: ponieważ wyśmiewali się ze mnie na wsi. Potem, gdy wróciłem, nie miałem odwagi pokazywać twarzy w *madhe*. Mężczyzna bez wąsów to u nich hańba. Siedziałem w pokoju w Szkodrze, póki mi nie odrosły.

– Czy idziemy do Szkodry? – spytała Lottar.

– Tak. Tam jest biskup. On przekaże wiadomość, że słuszne było zabranie cię ze sobą, nawet jeśli to był akt kradzieży. Ci

tam, w *madhe*, to barbarzyńcy. Potrafi taki przyjść w środ-
ku mszy i ciągnąć człowieka za rękaw, żeby mu napisał list.
Czy ty widziałaś, co oni stawiają na grobach? Krzyże? Ten ich
krzyż to chudy mężczyzna, trzymający strzelbę przewieszoną
na ramionach. Widziałaś? – Roześmiał się, potrząsnął głową
i dodał: – Nie wiem, co z nimi począć. A jednocześnie to
dobrzy ludzie. Nigdy cię nie zdradzą.

– Ale myślałeś, że mogą mnie sprzedać, chociaż złożyłam
przysięgę.

– O, tak. Ale, widzisz, sprzedać kobietę, to zdobyć trochę
pieniędzy. A oni są tacy biedni.

Lottar zaczęło świtać w głowie, że w Szkodrze znajdzie się
w nowym położeniu – nie będzie bezbronna. Gdy tam dojdą,
będzie mogła od niego uciec. Będzie mogła znaleźć kogoś,
kto mówi po angielsku, znaleźć konsulat brytyjski. A jeśli nie
brytyjski, to francuski.

Przed świtem trawa spłynęła rosą, noc była bardzo chłod-
na. Kiedy jednak weszło słońce, Lottar przestała się trząść,
a godzinę później zrobiło się jej gorąco. Wędrowali przez cały
dzień. Zjedli resztę chleba i pili wodę w każdym napotkanym
strumieniu, jeśli w nim jeszcze była. Zostawili daleko za sobą
wyschnięte koryto rzeki i góry. Lottar obejrzała się i ujrza-
ła ścianę wyszczerbionych skał z małą zieloną otoczką u ich
podstaw. Ta zielona otocзка to lasy i łąki, które wydawały
się jej takie rozległe. Szli ścieżkami wśród rozgrzanych pól,
towarzyszyło im teraz naszczekiwanie psów. Spotykali ludzi
na drodze.

Na początku franciszkanin powiedział:

– Nie odzywaj się do nikogo – będą cię pytać, ktoś ty zacz. Ale musiał odpowiadać na pozdrowienia.

– Czy to droga do Szkodry? Idziemy do Szkodry, do domu biskupa. Ten ze mną to mój służący, przyszedł z gór.

– Wszystko dobrze, wyglądasz w tym stroju na służącego – powiedział. – Ale się nie odzywaj. Jak zaczniesz mówić, to będą mieli wątpliwości.

Wymalowałam ściany mojej księgarenki na zdecydowanie jasnożółty kolor. To kolor świadczący o intelektualnej ciekawości. Pewnie ktoś mi to powiedział. Otworzyłam tę księgarnię w marcu 1964 roku. To było w Victorii, w Kolumbii Brytyjskiej.

Siedziałam za kontuarem, a z tyłu, za mną, leżały moje propozycje. Reprezentanci wydawców doradzali mi, żebym zamówiła książki o psach, koniach, o żeglarskim i ogrodnictwie, o ptakach i kwiatkach – twierdzili, że tylko takie pozycje znajdą nabywców w Victorii. Postąpiłam wbrew ich wskazówkom i ściągnęłam powieści, poezje i książki wyjaśniające, co to jest sufizm, teoria względności i pismo linearne B. I kiedy te książki nadeszły, ułożyłam je tak, by nauki polityczne przechodziły do filozofii i do religii bez wyraźnej przerwy, tak aby poeci podobnego nurtu mogli gnieździć się razem i tak aby układ książek na półkach był – jak sobie wyobrażałam – odbiciem bardziej czy mniej naturalnego spaceru umysłowego, podczas którego można nieustannie odkrywać nowe czy zapomniane skarby. Tak to sobie wymyślałam i co teraz? Teraz siedziałam i czułam się jak ktoś,

kto się szaleńczo wystroił na przyjęcie, może nawet wyjął biżuterię z zastawu albo z rodzinnego skarbcza tylko po to, aby stwierdzić, że dostał zaproszenie na karty z kilkoma sąsiadami. To były tylko mielone kotlety i tłuczone kartofle popijane musującym różowym winem.

Sklep często bywał przez długie godziny pusty, a potem wchodził ktoś, kto pytał o jakąś książkę, zapamiętaną z biblioteczki szkółki niedzielnej albo z babcynych półek, albo pozostawioną przed dwudziestu laty w zagranicznym hotelu. Pytający na ogół nie pamiętał tytułu, ale opowiadał treść książki. To o takiej małej dziewczynce, która jedzie z ojcem do Australii, żeby eksploatować odziedziczone tam złote góry. To o kobiecie, która sama jedna urodziła dziecko na Alasce. To o wyścigu jednego ze starych kliprów z pierwszym parowcem dawno temu, w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku.

– No, cóż. Tak sobie tylko pomyślałem, żeby spytać.

I wychodzili, nie rzuciwszy nawet okiem na roztoczone przed nimi bogactwa.

Kilka osób dało głośny wyraz radości, powiedziało, jak to cudownie, że miasto się tak wzbogaciło. Szperali pół godziny, godzinę, zanim wydali siedemdziesiąt pięć centów.

Na to trzeba czasu.

Znalazłam jednopokojowe mieszkanie z malutką kuchnią w starym narożnym budynku, zwanym Dardanelle. Łóżko chowało się w ścianę, ale ja go nigdy nie składałam, ponieważ nigdy nie przyjmowałam gości. Poza tym hak wyglądał podejrzanie. Bałam się, że posłanie wyskoczy ze ściany akurat

wtedy, kiedy będę spokojnie jadła zupę z puszki albo pieczony kartofel. Mogłoby mnie zabić. Trzymałam też okno cały czas otwarte, ponieważ wydawało mi się, że ciągle czuję ulatniający się gaz, mimo że zarówno piecyk, jak i oba palniki były zamknięte. Przy stale otwartym oknie w domu i nieustannie otwartych drzwiach sklepu, dla zachęty klientów, musiałam się zawsze owijać w czarny wełniany sweter albo czerwony sztruksowy szlafrok (ciuch, który niegdyś zabarwił na różowo wszystkie chustki do nosa i bieliznę mojego porzuconego męża). Nie potrafiłam się rozstać z tymi jakże pomocnymi częściami garderoby po to, by je wyprać. Byłam na ogół śpiąca, niedożywiona i się trzęsłam.

Ale nie poddawałam się zniechęceniu. Dokonałam rozpaczliwej zmiany w swoim życiu i chociaż codziennie żałowałam, czułam się dumna z siebie. Jakbym wreszcie wyszła na świat w nowej, prawdziwej skórce. Siedząc za kontuarem, przeciągałam na całą godzinę smakowanie kubka kawy albo cienkiej zupy z proszku, obejmując dłońmi naczynie, póki można było jeszcze wydobyć z niego odrobinę ciepła. Czytałam, ale bez celu czy zaangażowania. Czytałam przypadkowe zdania z książek, które zawsze chciałam przeczytać. Niekiedy te zdania wydawały mi się tak udane albo tak ulotne i piękne, że wręcz musiałam się wyrzec innych otaczających je słów i ulec jakiemuś specyficznemu uniesieniu. Byłam czujna i rozmazana, odcięta od poszczególnych osób, ale cały czas świadoma istnienia miasta – które wydawało mi się osobliwe.

Małe miasteczko, tu, na zachodnim końcu kraju. Skarbnica turystycznych imitacji. Wiktoriańskie fasady sklepów,

piętrowe autobusy, donice z kwiatami i przejażdżki dorożką, niemal rażące smak. Ale też światło latarni morskiej na ulicach, szczupli i krzepcy staruszkowie pochyleni z wiatrem podczas codziennej przechadzki wzdłuż porośniętych żarnowcem urwisk, nędzne, dość osobliwe parterowe domy stojące w ogrodach, w których rosną wieczniezielone araukarie i ozdobne krzewy. Wraz z nadejściem wiosny zaczynają kwitnąć kasztany, głogi wzdłuż ulic okrywają się białymi i czerwonymi kwiatami, a krzewy o oleistych liściach wystawiają bujne różowe i krwistoczerwone kwiatostany, jakich nie znajdziesz nigdzie w głębi kraju. „Jak miasto z opowieści, myślałam, jak nadmorskie miasto przeniesione z opowieści osadzonej w Nowej Zelandii, na Tasmanii. Ale tkwi w nim jednak coś północnoamerykańskiego. Przecież tylu ludzi przeniosło się tutaj z Winnipegu czy Saskatchewan. W środku dnia z ubogich, zwykłych bloków mieszkalnych smuży się zapach gotowanych obiadów. Piecze się mięso, dusi warzywa – w ciasnych kuchenkach szykuje się na dwunastą wiejski obiad”.

Jakże mogłabym powiedzieć, co mi się tak bardzo spodobало? Na pewno nie to, czego mógłby szukać nowoczesny kupiec – ruchu i energii dających nadzieję na sukces handlowy. „Niewielki ruch” – taki przekaz posyłało mi miasto. A jeśli osoba otwierająca sklep nie zwraca uwagi na przesłanie „niewielki ruch”, to należałoby spytać: co jest grane? Ludzie otwierają sklepy, żeby coś sprzedawać, liczą na ruch, dzięki któremu powiększą sklep, żeby potem sprzedawać jeszcze więcej i więcej i bogacić się, tak żeby w końcu w ogóle nie musieli przychodzić do sklepu. Czyż nie tak? Ale są jeszcze

inni ludzie; ci otwierają sklep z nadzieją, że znajdą tam schronienie pośród tych rzeczy, które cenią najbardziej – wśród jakiejś przędzy albo filizanek, albo książek – z myślą, że to będzie tylko funkcjonalne potwierdzenie własnego istnienia. Staną się częścią bloku, częścią ulicy, częścią ogólnej mapy miasta i, być może, częścią wspomnień każdego. Będą zasiadali w południe nad filiżanką kawy, wyciągną na Boże Narodzenie jakieś rodzinne ozdoby, będą myli na wiosnę szyby wystawowe przed wyłożeniem nowości. Dla takich ludzi sklep to jakby dla kogoś innego chatka w lesie – ucieczka i usprawiedliwienie.

Garść klientów jest, oczywiście, niezbędna. Lokal kosztuje, a towar też sam się nie spłaci. Odziedziczyłam trochę pieniędzy – dzięki temu właśnie mogłam tu przyjechać i otworzyć sklep – ale jeśli interes nie drgnie, oszczędności wystarczy mi tylko do lata. Zdawałam sobie z tego sprawę. Cieszyłam się, kiedy zrobiło się cieplej i klienci zaczęli zaglądać coraz częściej. Sprzedaż książek wzrosła i przetrwanie zaczęło się wydawać możliwe. Pod koniec roku szkolnego rozdaje się nagrody książkowe, w związku z czym pojawiły się nauczycielki ze swoimi spisami i swoimi wyborami, i niestety, oczekiwaniem na rabat. Ludzie, którzy dotychczas przychodzili, żeby poszperać, zaczęli regularnie kupować, a niektórzy stawali się znajomymi – albo takimi tutejszymi znajomymi, z którymi miło było codziennie pogadać, chociaż się nie znało ich nazwiska.

Szkodra z daleka na pierwszy rzut oka wydała się księdzu i Lottar miastem, które się unosi nad błotnistą płaszczyną;

jej kopuły i wieże lśniły jak utworzone z mgły. Lecz kiedy wczesnym wieczorem weszli do miasta, cały ten spokój zniknął. Ulice, wyłożone wielkimi szorstkimi brukowcami, były pełne ludzi i wózków ciągniętych przez osły, wałęsających się psów, pędzonych dokądś świń, zapachów ognia i gotowanego jedzenia, gnoju i jeszcze czegoś okropnego – jakby gnijących skór. Zobaczyli mężczyznę niosącego na ramieniu papugę. Wydawało się, że ptak wykrzykuje przekleństwa w jakimś nieznanym języku. Franciszkanin wielokrotnie zatrzymywał ludzi i pytał o drogę do domu biskupa, ale mijali go bez odpowiedzi albo śmiali się z niego, albo mówili słowa, których nie rozumiał. Pewien chłopiec powiedział, że pokaże drogę, jak mu zapłacą.

– Nie mamy pieniędzy – odparł franciszkanin.

Zaciągnął Lottar na próg jakiegoś domu, usiedli, żeby odpocząć.

– W Malësie e Madhe – powiedział – wielu z tych, co tak dobrze myślą o sobie, tu zaśpiewałoby inaczej.

Lottar uszła już z głowy myśl, żeby uciec i zostawić go samego. Przede wszystkim nie potrafiłaby lepiej niż on wypytywać o drogę. Poza tym miała poczucie, że są sojusznikami, którzy nie daliby sobie rady, gdyby stracili się z oczu. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest uzależniona od zapachu jego skóry, niechętnego zdecydowania jego długich kroków, gęstwy czarnych wąsów.

Franciszkanin poderwał się i powiedział, że już sobie przypomniał, jak się idzie do domu biskupa. Prowadził ją spieszenie wąskimi bocznymi uliczkami wytyczonymi przez wysokie

mury, za którymi nie było widać żadnych domów czy podwórz – same ściany i bramy. Kamienie bruku sterczały tak wysoko, że poruszanie się po nich było równie trudne jak po łożysku wyschniętej rzeki. Ale franciszkanin miał rację – krzyknął triumfalnie, bo doszli do bramy biskupiego domu.

Otworzył im służący i wpuścił do środka, ale dopiero po ostrej wymianie zdań. Rozkazano Lottar, by usiadła na ziemi zaraz za bramą, a franciszkanina wprowadzono do domu biskupa. Wkrótce posłano kogoś do konsulatu brytyjskiego (jak się później dowiedziała) i ten wrócił ze służącym konsula. Zrobiło się już ciemno i służący konsula niósł latarnię. Wyprowadzono Lottar, która poszła za nim i jego latarnią do konsulatu.

Najpierw wanna gorącej wody, kąpiel na podwórze. Zabrano jej odzież. Pewnie spalono. Ścięto jej zatłuszczone i zawszone włosy. Wysmarowano głowę naftą. Musiała opowiedzieć swoją historię – tego, w jaki sposób znalazła się w Malësie e Madhe – a to nie było łatwe, ponieważ nie przywykła mówić po angielsku, a również dlatego, że tamten czas wydawał się tak odległy i mało ważny. Musiała się uczyć od nowa, jak spać na materacu, siedzieć na krześle, jeść za pomocą sztućców.

Przy najbliższej okazji wsadzili ją na statek.

Charlotte urwała.

– Ta część nie jest ciekawa – powiedziała.

Przyjechałam do Victorii, ponieważ było to najdalsze miejsce od London w stanie Ontario, do jakiego mogłam dojechać,

nie opuszczając kraju. W London mój mąż Donald i ja wynajęliśmy mieszkanie w suterenie naszego domu pewnej parze, Nelsonowi i Sylvii. Nelson studiował na uniwersytecie anglistykę, a Sylvia była pielęgniarką. Donald pracował jako lekarz dermatolog, a ja pisałam pracę o Mary Shelley – i nie radziłam sobie z tym najlepiej. Poznałam Donalda, kiedy przyszłam do niego po poradę, bo miałam wysypkę na szyi. Był ode mnie o osiem lat starszy – wysoki, piegowaty, wstydlivy mężczyzna, mądrzejszy, niżby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać. Dermatolog styka się z bólem i rozpaczą, chociaż problemy, z jakimi ludzie do niego przychodzą, nie są z tej samej półki co nowotwory czy zakrzep tętnic. Widzi prowadzony od środka sabotaż i prawdziwie zły los. Widzi, jak takimi sprawami jak miłość i szczęście może rządzić skrawek podrażnionych komórek. Tego rodzaju doświadczenia sprawiły, że Donald był dobry w sposób ostrożny i bezosobowy. Powiedział, że moja wysypka to zapewne skutek stresu i że jego zdaniem będę cudowną kobietą, jeśli tylko poradzę sobie z kilkoma problemami.

Zaprosiliśmy Sylvię i Nelsona na kolację do nas na górę i Sylvia opowiadała nam o małym miasteczku w północnym Ontario, z którego oboje pochodzili. Mówiła, że Nelson był zawsze najmądrzejszy w całej klasie i w całej szkole, i zapewne w całym mieście. Nelson patrzył na nią ze zneruchomiałym, rozpaczliwym wyrazem twarzy, w którym wyrażało się nieskończenie cierpliwe wyczekiwanie i umiarkowane zainteresowanie ewentualnymi wyjaśnieniami, a Sylvia roześmiała się i powiedziała:

– Ja tylko żartuję, oczywiście.

Kiedy Sylvia miała nocne dyżury w szpitalu, zapraszałam czasem Nelsona do nas na górę na niewyszukaną kolację. Przywykliśmy do jego milczenia, jego dosyć przeciętnych manier przy stole oraz tego, że nie jadał ryżu, klusek, bakłażanów, oliwek, krewetek, papryki ani awokado, a poza tym zapewne jeszcze wielu rzeczy, ponieważ nie jadano takich potraw w pewnym miasteczku na północy Ontario.

Nelson wyglądał na starszego, niż był naprawdę. Niewysoki i krępy, o ziemistej cerze, bez uśmiechu, z twarzą, z której wyglądała odrobina dojrzałego szyderstwa i łatwej zadziorności, tak że można by go wziąć za trenera hokeja albo inteligentnego, niewykształconego, uczciwego i niewyparzonego w gębie majstra budowlanego – bardziej niż dwudziestodwuletniego studenta.

Nie był nieśmiały w miłości. Stwierdziłam, że jest pomyślowy i uparty. Uwiedliśmy się nawzajem i dla obydwójga był to pierwszy romans. Kiedyś na jakimś przyjęciu usłyszałam, jak ktoś mówił, że jedną z zalet małżeństwa jest to, że można mieć wtedy prawdziwe romanse – romans przed ślubem zawsze może się okazać tylko czymś w rodzaju zalotów. Poczulałam wtedy obrzydzenie, przeraziłam się na myśl, że życie może być tak posępne i pospolite. Ale odkąd zaczął się mój romans z Nelsonem, zdumiewałam się nieustannie. Nic w tym nie było ponurego czy trywialnego, tylko bezwzględność i oczywistość pożądania, i roziskrzone oszustwo.

Nelson pierwszy stawił czoło rzeczywistości. Pewnego popołudnia odwrócił się na plecy i powiedział:

– Będziemy musieli się wynieść.

Myślałam, że ma na myśli siebie i Sylwię, że nie mogą w dalszym ciągu mieszkać w tym domu. Ale on miał na myśli siebie i mnie. „My” oznaczało: on i ja. Mówiliśmy dotąd, rzecz jasna, „my” o naszym postępowaniu, o naszym wykroczeniu. Teraz zrobił z tego „my”, którzy podejmujemy decyzję – być może wspólnego życia.

Moja praca miała dotyczyć późniejszych powieści Mary Shelley, tych, o których nikt nic nie wie. *Lodore, Perkin Warbeck, The Last Man*. Ale w gruncie rzeczy bardziej mnie ciekawił wcześniejszy okres jej życia, zanim jeszcze dostała smutną naukę i zabrała się do wychowywania syna na baroneta. Uwielbiałam czytać o innych wplątanych w tę historię kobietach, o ich nienawiści i zazdrości: o Harriet, pierwszej żonie Shelleya, o Fanny Imlay, przyrodniej siostrze Mary, tej, która się być może kochała w Shelleyu, o innej przyrodniej siostrze, Mary Jane Clairmont, która przyjęła moje imię, Claire, i przyłączyła się do Mary i Shelleya wyjeżdżających na swój bezślubny miesiąc miodowy, tak żeby mogła w dalszym ciągu uganiać się za Byronem. Często rozmawiałam z Donaldem o porywczej Mary i żonatym Shelleyu i o ich spotkaniu nad grobem matki Mary, o samobójstwach Harriet i Fanny i uporze Claire, która miała dziecko z Byronem. Ale nigdy nie wspominałam o nich w rozmowach z Nelsonem, po części dlatego, że nie mieliśmy wiele czasu na rozmowy, a po części dlatego, że nie chciałam, by sobie wyobrażał, że w tej mieszaninie miłości, rozpacz, poczucia zdrady i dramatyzowania znajdują pociechę czy zachętę. Sama nie chciałam tak

myśleć. A Nelson nie był wielbicielem dziewiętnastowiecznej literatury ani romantyków. Tak powiadał. Powiadał, że chce napisać coś o amerykańskich demaskatorach. Może żartował.

Sylvia nie zachowała się tak jak Harriet. Jej umysł nie był ani ukształtowany, ani zamuony przez literaturę i kiedy się dowiedziała, co się dzieje, po prostu wpadła we wściekłość.

– Ty skończony idioto – powiedziała do Nelsona. – Ty obłudna kretynko – powiedziała do mnie.

Siedzieliśmy wszyscy czworo w naszej bawialni. Donald bez przerwy czyścił i nabijał fajkę, postukiwał ją i zapalał, gładził i sprawdzał, zaciągał się i zapalał ją ponownie – to wszystko wyglądało tak bardzo filmowo, że czułam się zakłopotana w jego imieniu. Potem włożył do teczki kilka książek, egzemplarz „Macleansa”, poszedł do łazienki po maszynkę do golenia, do sypialni po piżamę i wyszedł.

Pomaszerował prosto do mieszkania pewnej młodej wdowy, która pracowała w jego klinice jako sekretarka. Napisał mi później, że nigdy nie myślał o niej inaczej niż jak o przyjacielu aż do tego wieczoru, kiedy nagle olśniła go myśl, że to będzie wielka przyjemność kochać się z dobrą, rozsądną, a nie stukniętą kobietą.

Sylvia musiała być w pracy o jedenastej. Zwykle Nelson odprowadzał ją do szpitala – nie mieli samochodu. Tego wieczoru powiedziała mu, że wolałaby towarzystwo skunksa.

I tak zostaliśmy z Nelsonem sami. Cała scena trwała o wiele krócej, niż się spodziewałam. Nelson był ponury, ale mu ulżyło, a ja, jeśli nawet poczułam, że rozstałam się w przyspieszony sposób z przekonaniem, że miłość to wznosząca

fala, cudowne i wstrząsające przeżycie – byłam na tyle mądra, by tego nie okazać.

Leżeliśmy na łóżku i rozmawialiśmy o naszych planach, a skończyliśmy na seksie, bo to było to, co zwykliśmy robić. Jakoś w ciągu nocy Nelson wstał i uznał, że najlepiej będzie, jak zjedzie na dół do własnego łóżka.

Wstałam w ciemności, ubrałam się, spakowałam walizkę, napisałam karteczkę, podeszłam do telefonu w rogu pokoju i wezwałam taksówkę. Wzięłam pociąg o szóstej rano do Toronto, ponieważ miał kolejowe połączenie z Vancouverem. Pociąg wypadał taniej, jeśli człowiek chciał przesiedzieć trzy noce, a ja chciałam.

No i siedziałam właśnie w ten smutny, roztrzęsiony ranek w pociągu osobowym, który zjeżdżał po stromych zboczach Kanionu Frasera w nasiąkniętą wodą Dolinę Frasera, gdzie dym zwisał nad ociekającymi wodą domkami, ciemną winoroślą, krzakami cierni i stadami owiec. To był grudzień, kiedy dokonało się w moim życiu owo trzęsienie ziemi. Boże Narodzenie miałam z głowy. Na zimę z zaspami śniegu, sopłami lodu i ożywczymi śnieżycami też nie mogłam liczyć po tym burym okresie deszczu i błota. Męczyło mnie zatwardzenie, czułam, że mam nieświeży oddech, zeszywniałe członki i czarne myśli w głowie. Czy nie myślałam wtedy: „Cóż za idiotyzm wyobrażać sobie, że jeden mężczyzna różni się od drugiego, kiedy wszystko, do czego życie się w gruncie rzeczy sprowadza, to dobry kubek kawy i łóżko do spania”. Czy nie myślałam wtedy, że nawet gdyby tutaj, tuż koło mnie siedział Nelson, to czy nie zmieniłby się w zszarzałego obcego

mężczyznę, którego smutek i niepokój tylko wzmagająby moje własne niepokoje?

Nie, nie, Nelson byłby dla mnie wciąż Nelsonem. Nie zmieniłby się mój stosunek do jego skóry, jego zapachu i jego niechętnego wzroku. Najłatwiej chyba, jeśli idzie o Nelsona, przychodziło mi przywoływać z pamięci jego cechy zewnętrzne, a w wypadku Donalda – jego wewnętrzne niechęci i upodobania, jego wypracowaną życzliwość i osobiste obawy, które poznałam dzięki przebiegłości i oszustwom. Gdybym mogła zespolić swoją miłość do tych dwóch mężczyzn i osadzić ją w jednym, byłabym szczęśliwą kobietą. Gdyby mi na wszystkich ludziach na świecie zależało tak bardzo, jak mi w szczegółach zależy na Nelsonie, i tak spokojnie, tak pozacieśnie, jak mi teraz zależy na Donaldzie, byłabym świętą. A zamiast tego zadałam podwójny, pozornie niczym nieusprawiedliwiony cios.

Stali klienci, którzy przekształcili się w coś w rodzaju znajomych, to: kobieta w średnim wieku, dyplomowana księgowa, która wybierała takie lektury jak *Sześciu myślicieli egzystencjalnych* albo *Znaczenie znaczenia*; urzędnik administracji na prowincji, który zamawiał cudowne, bardzo kosztowne książki pornograficzne, o jakich istnieniu nie miałam pojęcia (opisywane w nich wyszukane orientalne, etruskie związki wydawały mi się groteskowe i nieciekawe w porównaniu z prostym, skutecznym i wyczekiwany rytuałem moim i Nelsona); notariusz, który mieszkał za swoim biurem przy końcu ulicy Johnsona („Mieszkam w slumsach – powiedział

mi kiedyś. – Spodziewam się, że pewnego dnia jakiś wielki osiłek będzie na mnie czatował za rogiem, i krzychał: «Złodzie-j!») oraz kobieta, którą poznałam później jako Charlotte – notariusz nazywał ją Księżną. Tych ludzi nic nie łączyło, a moja wczesna próba skojarzenia notariusza z księgową okazała się fiaskiem.

– Niech mi pani oszczędzi widoku wymalowanych zwiędłych kobiet – powiedział, wchodząc następnym razem. – Mam nadzieję, że dzisiaj nigdzie jej tu pani nie ukrywa.

Prawda, że księgowa ciężką ręką malowała szczupłą, inteligentną, pięćdziesięcioletnią twarz, a z brwi robiła dwie smugi chińskiego tuszu. Ale kimże był notariusz, żeby tak mówić, z tymi pniakami pokrytych nikotyną zębów i ospowatymi policzkami.

– Odniosłam wrażenie, że ten człowiek jest nieco zarozumiały – powiedziała księgowa, jakby odgadła i dzielnie zdyskontowała uwagi rzucone na jej temat.

„Tyle przychodzi z ustawiania ludzi w pary – napisałam do Donalda. – I kimże ja jestem, żebym miała tego próbować”. Pisywałam do Donalda regularnie, opisywałam sklep i miasto, i nawet, na tyle, na ile potrafiłam, moje własne niewytłumaczalne uczucia. Żył z Helen, sekretarką. Pisałam również do Nelsona, który może żyje samotnie, a może nie, może zszedł się z Sylwią, a może nie. Ale nie przypuszczam, żeby się zeszli. Sądzę, że ona jest z tych, co wierzą, że istnieją postęпки nie do wybaczenia, i w ostateczny koniec. Nelson miał nowy adres. Znalazłam go w książce telefonicznej miasta London w bibliotece publicznej. Donald, choć z początkowymi

oporami, odpisywał. Pisał bezosobowe, średnio interesujące listy o naszych wspólnych znajomych, o ważniejszych wydarzeniach w klinice. Nelson w ogóle nie pisał. Zaczęłam mu wysyłać listy polecane. Teraz przynajmniej wiedziałam, że je odbiera.

Charlotte i Gjergj musieli wejść razem do sklepu, ale nie wiedziałam, że to para, póki nie zebrali się do wyjścia. Charlotte była ciężko zbudowaną, kłocowatą kobietą, szybką w ruchach, o różowej buzi, jasnoniebieskich oczach i gęstwie lśniących białych włosów, które, jak mała dziewczynka, nosiła rozsypane luźno na ramionach. Chociaż było całkiem ciepło, miała na sobie pelerynę z ciemnoszarego aksamitu obszytą wyleniałym futerkiem – strój, który sprawiał wrażenie, że wziął się z garderoby teatralnej albo w dalszym ciągu do niej należy. Spod peleryny wychylała się luźna wełniana koszula i wełniane spodnie, na gołych, szerokich, brudnych stopach miała sandały. Wydawała jakiś brzęk, jakby ukrywała zbroję pod peleryną. Kiedy wyciągnęła rękę, sięgając po książkę, okazało się, skąd ten brzęk. Bransoletki – nieskończona ilość bransoletek, grube lub cienkie, matowe lub lśniące. Niektóre wysadzane dużymi, kwadratowymi kamieniami barwy toffi lub krwi.

– Kto by pomyślał, że ta stara oszustka jest wciąż modna – zwróciła się do mnie, jakby kontynuowała jakąś zdawkową, miłą rozmowę. Trzymała w ręku książkę Anaïs Nin. – Proszę nie zwracać na mnie uwagi – powiedziała. – Mówię okropne rzeczy. Tak naprawdę całkiem ją lubię. Nie znoszę tylko tego chłopa.

– Henry’ego Millera? – spytałam, bo zaczynałam rozumieć.

– Tak.

Mówiła dalej o Henrym Millerze, o Paryżu i Kalifornii w żartobliwy, żywy, niemal ciepły sposób. Mogłoby się wydawać, że była co najmniej sąsiadką tych ludzi. Spytałam wreszcie naiwnie, czy tak było.

– Och, nie. Tylko mi się wydaje, jakbym ich wszystkich znała. Nie osobiście. Zresztą – tak, osobiście. Jakież jest inny sposób, by ich poznać? To znaczy – nie spotkałam ich twarzą w twarz. Ale w książkach? Przecież o to im właśnie chodziło. Znam ich. Znam ich do tego stopnia, w którym zaczynają mnie nudzić. Jak każdy znajomy. Nie ma pani takiego wrażenia?

Przesunęła się do stołu, na którym wyłożyłam najnowsze egzemplarze broszurowego wydawnictwa New Directions.

– No, proszę, jeszcze jedna zgraja. Ojej! – zakrzyknęła, wytrzeszczając oczy na fotografie Ginsberga, Corsa i Ferlinghettiego. Zaczęła czytać tak pilnie, że oczekiwałam fragmentu wiersza w jej następnych słowach. – Przechodziłam obok i widziałam tu panią. – Odłożyła książkę, wtedy zrozumiałam, że zwraca się do mnie. – Patrzyłam, jak pani tu siedzi, i przyszło mi do głowy, że taka młoda kobieta miałaby ochotę się czasem przewietrzyć. Wyjść na słońce. Nie pomyślałaby pani, żeby mnie nająć do posiedzenia tutaj, tak żeby pani mogła wyjść?

– No, chciałabym... – powiedziałam.

– Nie jestem taka głupia. Tak naprawdę nieźle się znam na rzeczy. Niech mnie pani spyta, kto napisał *Metamorfozy* Owidiusza. No, dobrze, nie musi się pani śmiać.

– Chciałabym, ale nie mogę sobie na panią pozwolić – odpowiedziałam.

– No, cóż, pewno ma pani rację. Nie jestem specjalnie elegancka. I pewno zrobiłabym tu niezły bałagan. Zaczęłabym się wyklócać z ludźmi, którzy chcieliby kupować książki, jakich nie znoszę. – Nie robiła wrażenia zawiedzionej. Wzięła egzemplarz *The Dud Avocado*¹. – O, proszę. Muszę to kupić ze względu na tytuł.

Gwizdnęła cicho, a wtedy człowiek, do którego to się zapewne odnosiło, podniósł oczy znad oglądanych książek w głębi sklepu. Wiedziałam, że on tam stoi, ale ich nie łączyłam. Myślałam, że to jeden z tych, co to włóczą się samotnie po ulicach, wchodzą do sklepu, rozglądają się, jakby chcieli zrozumieć, co to za miejsce albo do czego służą książki. Ani pijak, ani żebrak, na pewno nie postać budząca zaniepokojenie – po prostu jeden z obdartych, mrukliwych starych ludzi, którzy są częścią miasta tak samo jak gołębie i poruszają się niespokojnie cały dzień w określonej przestrzeni, nie patrząc ludziom w oczy. Miał na sobie płaszcz aż do kostek, z jakiegoś połyskliwego gumowanego materiału wątrobianej barwy i brązowy aksamitny biret z pomponem. Takie nakrycie głowy mógłby nosić w angielskim filmie jakiś stary roztrzepany uczonec lub duchowny. W tym więc kryła się ich wspólnota – jedno i drugie miało na sobie coś, co mogło pochodzić z garderoby teatralnej. Ale z bliska wyglądał o wieki od niej starzej. Pociągła, końska twarz, oczy tytoniowobrazowe z opadającymi powiekami, odrażające sumiaste wąsy. Jakieś

¹ Powieść Elaine Dundy z 1958 r.

odległe wspomnienie urody, siły. Przyczajona dzikość. Przeszedł do niej na gwizd – wyglądało to trochę serio, trochę żartobliwie – i stanął przy niej, niemy i godny jak pies albo osioł, podczas gdy ona zabierała się do płacenia.

Rząd Kolumbii Brytyjskiej ustanowił właśnie podatek od sprzedaży książek. W tym wypadku były to cztery centy.

– Nie mogę tego zapłacić – powiedziała. – Podatku od książki. Uważam to za niemoralne. Wolę pójść do więzienia. Zgadza się pani?

Zgodziłam się. Nie zwróciłam jej jednak uwagi – chociaż powiedziałabym to każdemu innemu – że taka postawa nie wybawi sklepu z kłopotów.

– Czy to nie straszne, co ja wygaduję? – spytała. – Proszę spojrzeć, co ten rząd robi z obywateli. Robi z nich mówców.

Wsadziła książkę do torby, nie płacąc tych czterech centów. Nigdy później nie zapłaciła tego podatku.

Opowiedziałam notariuszowi o tych dwojgu. Od razu wiedział, o kim mówię.

– Nazywam ich Księżną i Algierczykiem – powiedział. – Nie znam ich pochodzenia. Może on jest jakimś byłym terrorystą. Włóczę się z wózkami po mieście jak śmieciarze.

Dostałam liścik z zaproszeniem na niedzielną kolację. Podpisany był „Charlotte”, bez nazwiska, ale słownictwo i styl były bardzo formalne.

„Mój mąż, Gjergj, i ja będziemy zachwyceni, mogąc...”.

Nie marzyłam dotąd o tego rodzaju zaproszeniach i byłabym nimi raczej zakłopotana i speszona. Dlatego zaskoczyła

mnie własna gotowość przyjęcia go. Charlotte była obiecująca, całkiem inna od tych, których chciałam oglądać wyłącznie w sklepie.

Budynek, w którym mieszkali, znajdował się przy ulicy Pandory. Pokryty był tynkiem barwy musztardy i miał malutkie wejście wykładane kafelkami, przypominające nieco toaletę publiczną. Nie unosiły się w nim jednak żadne przykre zapachy, a mieszkanie okazało się nie tyle brudne, ile potwornie zabałaganione. Pod ścianami stały stosy książek, ze ścian zwisały skrawki wzorzystych materiałów skrywających tapetę. W oknach mieli bambusowe żaluzje, a żarówki osłonięto arkuszami kolorowego papieru, niewątpliwie łatwopalnymi.

– Jakaś ty kochana, że przyszłaś – zawołała Charlotte na mój widok. – Obawialiśmy się, że będziesz miała tysiące ciekawszych możliwości niż wizyta u takich starców jak my. Gdzie siądziesz? Może tutaj? – Zrzuciła stos tygodników z wiklinowego fotela. – Będzie ci tu wygodnie? Wiklina wydaje takie ciekawe dźwięki. Czasami siedzę tu sama, a ten fotel zaczyna skrzypieć i skrzypieć, jakby ktoś się w nim przesuwiał. Powiedziałabym, że to czyjaś obecność, ale nie umiem wierzyć w takie bzdury. Próbowałam.

Gjergj nalał nam słodkiego żółtego wina. Dostałam kieliszek na wysokiej nóżce, dawno niemyty, Charlotte dostała szklaneczkę, dla siebie przyniósł plastikowy kubek. Nie wydawało się prawdopodobne, by jakikolwiek obiad mógł powstać w malutkiej wnęce kuchennej, w której stosy misek i talerzy mieszały się bezładnie z żywnością, doszedł mnie

jednak zachęcający zapach pieczonego kurczaka, a po chwili Gjergj podał zakąskę – półmiski krajanego ogórka i miseczki jogurtu. Siedziałam w wiklinowym fotelu, Charlotte w jedynym zwykłym fotelu. Gjergj na podłodze. Charlotte ubrana była w spodnie i różową bawełnianą koszulkę, która obcisłała jej piersi, nie nosiła stanika. Polakierowała paznokcie u nóg pod kolor koszulki. Dzwoniła bransoletkami o półmisek za każdym razem, gdy sięgała po ogórek. (Jedliśmy palcami). Gjergj miał na głowie biret, na spodnie nałożył też ciemnoczerwony jedwabny szlafrok. Plamy mogły się mieszać z wzorami na jedwabiu.

Po ogórku jedliśmy kurczaka duszonego z rodzynkami w kurkumie, razowy chleb i ryż. Dostałyśmy z Charlotte widelce, ale Gjergj zgarniał ryż chlebem. Często myślałam o tym obiedzie po latach, kiedy posiłek tego rodzaju, taki nieformalny sposób siedzenia i jedzenia, nawet pewna odmiana stylu i nieporządku panującego w tym pokoju staną się dosyć powszechne i modne. Moi znajomi, ja sama, wyrzekniemy się – na jakiś czas – naszych pokoi stołowych, właściwie dobranych kieliszków do wina, nawet, do pewnego stopnia, sztucców czy krzesel. Kiedy bywałam na przyjęciach tego rodzaju czy sama próbowałam je urządzać, zawsze myślałam o Charlotte i Gjergju, o tym skraju prawdziwego ubóstwa, o tej ryzykownej autentyczności, która różniła ich od późniejszego naśladownictwa. Ale wówczas wszystko wydawało mi się nowe, byłam zarazem zakłopotana i zachwycona. Miałam nadzieję, że jestem warta tej egzotyki, ale wolałabym, żeby próba nie zaszła zbyt daleko.

Wkrótce zaczęła się rozmowa o Mary Shelley. Wymieniłam tytuły jej późniejszych powieści, a Charlotte powiedziała sennym głosem:

– *Per-kin War-beck*. Czy to nie był ten... czy to nie był ten, co udawał, że jest małym księciem, ten, którego zamordowano w Tower?

To była jedyna osoba spośród wszystkich znanych mi ludzi – nie historyków, nie historyków okresu Tudorów – która to wiedziała.

– Byłby z tego film – ciągnęła. – Nie uważasz? Pytanie, jakie mi zawsze przychodzi do głowy w związku z takimi jak on pretendentami, to za kogo oni sami się uważali? Wierzyli, że to prawda? Czy co? Ale już samo życie Mary Shelley to film. Dziwię się, że go jeszcze nie nakręcili. Jak myślisz, kto powinien grać Mary? Nie, nie, trzeba zacząć od Harriet. Kto by grał Harriet? Ktoś, kto by dobrze wyglądał jako topielec – mówiła, odrywając złocisty kawałek kurczaka. – Elizabeth Taylor? Za mała rola dla niej. Susannah York? I kim był ojciec? – zastanawiała się, myśląc o nienarodzonym dziecku Harriet. – Nie sądzę, żeby to był Shelley. Nigdy nie myślałam. A ty?

Bardzo to było miłe, bardzo zabawne, ale ja miałam nadzieję na jakieś wyjaśnienia – jakieś osobiste wyznania, jeśli nie wprost – zwierzenia. Człowiek spodziewa się czegoś takiego w podobnych sytuacjach. Czy Sylvia nie opowiadała przy moim stole o pewnym mieście w północnym Ontario i o tym, że Nelson był najmądrzejszym uczniem w szkole? Sama się dziwiłam, jak bardzo chcę opowiedzieć wreszcie swoją historię. O Donaldzie i Nelsonie – chciałam

opowiedzieć prawdę albo część prawdy w całej jej bolesnej złożoności osobie, która nie będzie tym zdumiona czy oburzona. Chciałabym zastanowić się w dobrym towarzystwie nad moim postępowaniem. Czy Donald pociągał mnie jako personifikacja ojca czy rodziców, jako że obydwójce umarli? Czy porzuciłam go, ponieważ czułam do nich żal za to, że mnie porzucili? Co oznacza milczenie Nelsona i czy jest ono ostateczne? (Ale jednak nie przypuszczałam, że powiem komukolwiek o liście, który wrócił do mnie w zeszłym tygodniu z notatką: adresat nieznany).

Ale Charlotte nie zamierzała tego robić. Nie było okazji, nie było żadnej wymiany. Po kurczaku kieliszek, szklanka i plastikowy kubek zostały zabrane i napełnione niezwykle słodkim różowym sorbetem, który łatwiej było pić niż jeść łyżką. Potem były maleńkie kubeczki rozpaczliwie mocnej kawy. Gdy w pokoju zaczęło się ściemniać, Gjergj zapalił dwie świece; dostałam jedną, gdy wyszłam do łazienki, która okazała się ubikacją z prysznicem. Charlotte wytłumaczyła, że elektryczność nie działa.

– Coś tam reperują – powiedziała. – Albo taki im przyszedł kaprys. Naprawdę myślę, że oni miewają kaprysy. Na szczęście jest piecyk gazowy. Jak długo mamy piecyk, możemy się śmiać z ich kaprysów. Żałuję tylko, że nie możemy puścić muzyki. Chciałam posłuchać starych politycznych pieśni: „Śniłem, że widział wczoraj Joego Hilla”. – Usiłowała udawać baryton. – Pamiętasz?

Pamiętałam. Donald zwykł to śpiewać, kiedy trochę podpił. Na ogół ci, co śpiewają *Joego Hilla*, mają pewne łatwe do

określenia sympatie polityczne, ale nie sądziłam, żeby to się odnosiło do Charlotte. Nie kierowała się ani sympatiami, ani zasadami. Żartowała z tego, co inni traktują poważnie. Nie bardzo wiedziałam, co o niej myślę. To nie była zwykła sympatia czy szacunek. Bardziej chęć, by niepostrzeżenie wniknąć do jej świata. Stać się pogodną, kpiącą z siebie, odrobinę złośliwą, nieugaszoną.

A tymczasem Gjergj pokazywał mi jakieś książki. Jak to się zaczęło? Pewno od jakiejś mojej uwagi, że tyle ich tutaj, czegoś w tym rodzaju, kiedy potknęłam się o nie w drodze z toalety. Zaczął znosić książki oprawne w skórę albo imitację skóry – skąd mogłam się w tym rozeznaczyć – z marmurkowymi wyklejkami, akwarelowymi frontysepisami, stalorytami. Z początku sądziłam, że chodzi mu tylko o mój podziw, więc zachwycałam się wszystkim. Ale tuż przy uchu zabrzmiała mi wzmianka o pieniądzach – czy to nie były pierwsze wyraźne słowa, jakie usłyszałam od niego?

– Ja sprzedaję tylko nowe książki – powiedziałam. – Te tutaj są cudowne, ale ja się na nich kompletnie nie znam. Takie książki jak te to zupełnie inny asortyment.

Gjergj potrząsnął głową, jakbym go nie zrozumiała, i zaczął ponownie, stanowczo tłumaczyć. Powtórzył, mocniejszym już tonem, cenę. Czy wyobrażał sobie, że będę się z nim targować? A może mi tłumaczył, ile zapłacił za książkę. Moglibyśmy ewentualnie prowadzić handlową rozmowę, za ile można by tę książkę sprzedać, ale nie o tym, czy powinnam ją kupić.

Powtarzałam „tak” i „nie”, starając się dostosować odpowiedzi do pytań. „Nie”, nie mogę ich zabrać do mojej księgarni.

„Tak”, są bardzo piękne. „Nie”, naprawdę mi przykro, ale ja się na tym nie znam.

– Gdybyśmy żyli w jakimś innym kraju, to moglibyśmy, Gjergj i ja, do czegoś dojść – mówiła Charlotte. – Albo nawet i w tym kraju, gdyby tylko kinematografia ruszyła z miejsca. Uwielbiałabym taką robotę. Gdybyśmy mogli dostać pracę w filmie. Jako statyści. Może jednak jesteśmy nie dość przeciętni na statystów, może by się dla nas znalazły jakieś drobne role. Pewno statyści to muszą być ludzie, którzy się nie wyróżniają z tłumu, żeby ich można było zatrudniać na okrągło. Gjergj i ja za bardzo wbijamy się w pamięć. Zwłaszcza on – tę twarz można by wykorzystać.

Nie zwracała najmniejszej uwagi na tę drugą toczącą się rozmowę i dalej mówiła do mnie, kiwając niekiedy pobłażliwie głową Gjergjemu, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że według niej zachowuje się zabawnie, ale jest może zbyt natrętny. Musiałam zwracać się do niego cicho, na boku, przez cały czas potakując jej słowom.

– Naprawdę, powinien pan je wszystkie zanieść do antykwariatu. Tak, tak, są bardzo piękne. Takie książki to nie moja specjalność.

Gjergj nie jęczał, nie próbował się przymilać. Raczej rozkazywał. Tak jakby próbował wydawać mi polecenia, a odmowę uważał za obrazę.

W całym tym pomieszaniu dolewałam sobie ciągle żółtego wina do nieumytego po sorbecie kieliszka. To było zapewne okropne przestępstwo. Gjergj wydawał się ogromnie niezadowolony.

– Czy potrafisz sobie wyobrazić ilustracje do współczesnych powieści? – Charlotte postanowiła wreszcie zszyć oba wątki rozmowy. – Na przykład do Normana Mailera? Musiałyby to być abstrakcje. Nie uważasz? Jakież druty kolczaste i smugi?

Wróciłam do domu z migreną i dojmującym poczuciem swojej nieudolności. Kiedy doszło do łączenia kupna i sprzedaży z gościnnością, okazałam się obłudna i tyle. Chyba zachowywałam się niezręcznie, zawiodłam ich. A oni, z kolei, zawiedli mnie. Zastanawiałam się teraz, po co mnie zapraszali.

Tęskniłam za Donaldem z powodu *Joego Hilla*.

Tęskniłam również za Nelsonem, a to z powodu wyrazu twarzy Charlotte, gdy wychodziłam. To był wyraz delektowania się zaspokojeniem, które, wiedziałam, miało związek z Gjergjem, chociaż nie chciało mi się w to wierzyć. Więc wyobrażałam sobie, kiedy schodziłam na dół, opuszczałam budynek i wychodziłam na ulicę, że zza tych wszystkich książek i brudnych naczyń wyskakuje chutliwe, kościste, przyczajone, poźółkłe, bezwstydnie stare zwierzę, jakiś wyliniały, ale rozochocony stary tygrys i dokonuje pospolitego ataku.

Dzień czy dwa później dostałam list od Donalda. Prosił o rozwód, żeby mógł się ożenić z Helen.

Zatrudniłam pomocnicę, licealistkę, na kilka popołudniowych godzin, żebym miała czas na pójście do banku i załatwianie spraw biurowych. Kiedy Charlotte zobaczyła ją po raz pierwszy, podeszła do kontuaru i pogłaskała rząd książek wystawionych do szybkiej sprzedaży.

– Czy kierownicy sklepów każą to kupować swoim władnym? – zapytała.

Dziewczyna uśmiechnęła się ostrożnie i nie odpowiedziała.

Charlotte trafiła. Książka nosiła tytuł *Psychocyberbetyka* i dotyczyła pozytywnego myślenia o sobie.

– Byłaś rozsądna, najmując ją zamiast mnie – powiedziała Charlotte. – Wygląda o wiele szykowniej, będzie trzymała głębę na kłódkę i nie odstraszy ci klientów. Nie będzie wygadała swojego zdania.

– Muszę pani coś powiedzieć o tej kobiecie – zwróciła się do mnie dziewczyna po wyjściu Charlotte.

„Ta część jest nieciekawa”.

– Co to znaczy? – spytałam. Ale myślałam gdzieś błędziłam, wtedy, w moje trzecie popołudnie w szpitalu.

Podczas ostatniej części opowiadania Charlotte myślałam o specjalnie zamówionej książce na temat rejsów po Morzu Śródziemnym, która wciąż nie nadchodziła. I myślałam też o notariuszu, który poprzedniego wieczoru dostał cios w głowę, we własnym biurze, na ulicy Johnsona. Żył, ale mógł stracić wzrok. Rabunek? Czy też akt zemsty czy gniewu, związanego z tą warstwą jego życia, jakiej nie próbowałam się domyślać?

To miasto wydało mi się bardziej zwyczajne dzięki temu melodramatowi i zamieszaniu, ale też trudniejsze do zrozumienia.

– Oczywiście, że jest ciekawa – powiedziałam. – Cała jest ciekawa. To fascynujące opowiadanie.

– Fascynujące – powtórzyła Charlotte afektowanym tonem. Zrobiła minę, udając dziecko, które wymiotuje podawaną mu papkę. Oczy, wciąż we mnie utkwione, jakby traciły barwę, gubiły tę swoją dziecinną, jasną i zarozumiałą niebieskość. Rozdrażnienie przemieniało się w obrzydzenie. Dawała wyraz wściekłemu obrzydzeniu, niewypowiedzianemu zmęczeniu – wyraz, jaki człowiek czasem ogląda w lustrze, ale nigdy nie przybiera go w obecności innej osoby. Może dlatego, że miałam takie, a nie inne myśli, nagle przyszło mi do głowy, że Charlotte może umrzeć. Może umrzeć w każdej chwili. W tej chwili. Teraz.

Wskazała ruchem ręki szklankę wody z tkwiącą w niej plastikową wygiętą rurką. Podniosłam szklankę, tak by mogła pić, i podtrzymałam jej głowę. Czułam jej gorąco, pulsowanie u nasady czaszki. Piła łapczywie, ten okropny wyraz zniknął z jej twarzy.

– Oklepane – powiedziała.

– Byłby z tego znakomity film – powiedziałam, pomagając jej osunąć się z powrotem na poduszkę.

Złapała mnie za rękę, potem puściła.

– Skąd wzięłaś ten pomysł? – spytałam.

– Z życia – odparła niewyraźnie. – Zaczekaj chwilę. – Przekręciła głowę na poduszce, jakby chciała o czymś zdecydować na osobności. Potem ocknęła się i opowiedziała trochę więcej.

Charlotte nie umarła. W każdym razie nie umarła w szpitalu. Kiedy przyszłam nieco później, następnego dnia, jej łóżko

było puste i świeżo zasłane. Pielęgniarka, która rozmawiała ze mną uprzednio, próbowała zmierzyć temperaturę kobiecie przywiązanej do fotela. Roześmiała się, widząc moją minę.

– Och, nie – powiedziała. – Nic podobnego. Wyszła z samego rana. Mąż po nią przyjechał. Przenosiliśmy ją do długoterminowego ośrodka opiekuńczego za miastem, w Saanich, miał ją tam zawieźć. Powiedział, że taksówka czeka pod szpitalem. A potem zadzwonił telefon, że się nie pojawili. Byli ogromnie rozradowani, wyjeżdżając. On jej przyniósł stos pieniędzy, a ona je podrzucała do góry. Nie wiem, może to były jednodolarówki. Ale nie mamy pojęcia, dokąd pojechali.

Poszłam do kamienicy, w której mieszkali, na ulicy Pandory. Myślałam, że po prostu wrócili do domu. Może zgubili wskazówki, jak dojechać do tego ośrodka opiekuńczego i nie chcieli zadawać pytań. Może postanowili zostać razem we własnym mieszkaniu, niech się dzieje co chce. Mogli odkręcić kurek gazu.

Z początku nie mogłam znaleźć tego domu, wydawało mi się, że pomyliłam bloki. Budynek się odmienił – to dlatego. Tynki zostały pomalowane na różowo; wstawiono duże, nowe okna i okna francuskie, do których doczepiono na zewnątrz malutkie balkoniki z kutymi żelaznymi poręczami. Te osobliwe balkoniki pomalowane były na biało, wszystko razem robiło cukierniane wrażenie. Na pewno wnętrza zostały również odnowione, podniesiono czynsze i tacy ludzie jak Charlotte i Gjergj nie mogli marzyć o mieszkaniu tutaj. Przejrzałam nazwiska przy wejściu – ich, oczywiście, nie było. Musieli się już jakiś czas temu wyprowadzić.

Zmiana, jaka zaszła w budynku, niosła mi jakieś przesłanie. Przesłanie o zniknięciu. Wiedziałam, że Charlotte i Gjergj nie zniknęli naprawdę – są gdzieś żywi albo martwi. Ale dla mnie zniknęli. I właśnie z tego powodu – nie z powodu faktycznego ich utracenia – doznałam szoku, groźniejszego w skutkach niż wszystkie drobne żale, jakie mnie dopadały w ostatnim roku. Straciłam orientację. Musiałam wracać do księgarni, żeby moja ekspedientka mogła wrócić do domu, ale wydawało mi się, że równie dobrze mogę iść w inną stronę, prawdę mówiąc, dokądkolwiek. Zanikało moje poczucie kierunku – i tyle. Niekiedy nasza orientacja się wyciera, traci siły, prawie znika. Perspektywy i ulice przestają się do nas przyznawać, powietrze rzędzie. Czy nie wolelibyśmy wtedy poddać się przeznaczeniu, czemuś, co nas uważa za swoje, wszystko jedno czemu, zamiast robić przypadkowe wybory, narzucać sobie dni?

Pozwoliłam więc puścić wodze fantazji na temat, jak by mogło wyglądać moje życie z Nelsonem. Jeślibym je sobie wyobraziła dokładnie, wyglądałoby następująco:

Nelson przyjeżdża do Victorii. Ale nie chce pracować w księgarni i obsługiwać klientów. Dostaje pracę jako nauczyciel w ekskluzywnej męskiej szkole, gdzie staje się wkrótce ulubieńcem wszystkich, dzięki swojej plebejskiej twardości i szorstkim manierom.

Przeprowadzamy się z mieszkania na Dardanellach do obszernego parterowego domu o kilka przecznic od morza. Pobieramy się.

Ale zaczyna się czas wzajemnego wyobcowania. Ja zachodzę w ciążę. Nelson zakochuje się w matce ucznia. Ja zakochuję

się w lekarzu interniście poznanym w szpitalu podczas po-
łogu.

Dajemy sobie z tym radę – zarówno Nelson, jak i ja. Mamy drugie dziecko. Zyskujemy przyjaciół, meble, rytuały. Bywamy w pewnych okresach na zbyt wielu przyjęciach i regularnie rozmawiamy o tym, żeby zacząć nowe życie gdzieś daleko, w zupełnie obcym środowisku.

Mamy okresy bliskości i odległości, bliskości i odległości, i tak dalej, na zmianę.

Wchodząc do sklepu, zauważyłam mężczyznę stojącego przy drzwiach, patrzącego to przez okno, to przez drzwi na ulicę, wreszcie patrzącego na mnie. Niewysoki, w trenczu i miękkim kapeluszu na głowie. Miałam wrażenie, że to jakiś przebranie. Podszedł do mnie i stuknął mnie w ramię, a ja wrzasnęłam, jakby mnie poraziło, bo naprawdę mnie poraziło. Bo to naprawdę był Nelson, który przyjechał, żeby upomnieć się o mnie. A przynajmniej mnie zagadnąć i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Byliśmy bardzo szczęśliwi.

Często czułam się zupełnie samotna.

Zawsze w tym życiu jest coś do odkrycia.

Dni i lata miały jak we mgle.

Wszystko razem wzięwszy, jestem zadowolona.

Wychodząc z biskupiego dziedzińca, Lottar miała na sobie długi płaszcz, który dostała pewno po to, by mogła zakryć swoje łachmany albo żeby tak nie śmierdziała. Służący

konsula zwracał się do niej po angielsku, tłumaczył, dokąd idą. Rozumiała go, ale nie umiała odpowiedzieć. Nie zapadła jeszcze zupełna ciemność. Lottar widziała blade kształty róż i pomarańczy w biskupim ogrodzie.

Służący biskupa przytrzymał otwartą furtkę.

Nie widziała biskupa na oczy. I nie widziała również franciszkanina, odkąd wszedł do domu za służącym. Zaczęła go teraz wołać, wychodząc. Nie знаła jego imienia, więc wołała: „Xoti! Xoti! Xoti!” – co znaczy „Wodzu” albo „Panie!” w języku gegijskim. Ale nie otrzymała odpowiedzi, a służący biskupa potrząsnął niecierpliwie latarnią, wskazując, którędy ma iść. Światło padło przypadkiem na franciszkanina, który stał, częściowo ukryty, za drzewem. To było drzewo pomarańczy, to, za którym stał. Spomiędzy gałęzi wyglądała jego twarz, równie blada co owoce, jakby cała śniadłość została z niej splukana. Była to twarz zawieszona na drzewie, miała smutny, bezosobowy wyraz, nie prośalny, wyraz, jaki się widuje na twarzy pobożnego, lecz dumnego apostoła na kościelnym witrażu. Potem zniknął, zabierając cały jej oddech z piersi, ale zrozumiała to zbyt późno.

Wołała go i wołała; kiedy statek dopłynął do portu w Trieście, on czekał na nią na nabrzeżu.

Jawne tajemnice

*Było to w niedzielny ranek,
Najpiękniejszy ranek w świecie.
Siedem dziewcząt z komendantką
Wyruszyło na wycieczkę.*

– A niewiele brakowało, żeby nie wyruszyły – mówiła Frances – ponieważ w sobotę było oberwanie chmury. Czekwały pół godziny w dolnej sali Zjednoczonego Kościoła, a ona powtarzała w kółko: „Och, przestanie – jeszcze nigdy żaden deszcz nie zmusił nas do odwołania wyprawy”. Teraz na pewno by wolała, żeby zmusił.

Przestało padać, poszły i zrobiło się w połowie drogi tak gorąco i parno, że komendantka, panna Johnstone, pozwoliła im zatrzymać się na jakiejś farmie, gdzie farmerka wyniosła im coca-cole, a jej mąż pozwolił dziewczynom wziąć szlauch i spryskać się wodą. Wyrwały jedna drugiej ten szlauch i figlowały, a Frances mówiła, że Mary Kaye powiadała, że Heather Bell była z nich najgorsza, najśmielsza, zabierała innym ten szlauch i polewała koleżanki, celując w różne nieprzyzwoite miejsca.

– Będą próbowali robić z niej niewiniątko, ale rzeczywistość wygląda całkiem inaczej – mówiła Frances. – To wszystko

mogła być jakaś zмова, żeby mogła się spotkać z kimś, to znaczy z jakimś chłopem.

– Chyba trochę przesadzasz – powiedziała Maureen.

– W każdym razie nie wierzę, że się utopiła – oświadczyła Frances. – W to nie wierzę.

Wodospady na rzece Peregrine nie przypominały takich, jakie się widuje na zdjęciach. Po prostu woda spadała z wapiennych stopni nie wyższych niż sześć czy siedem stóp. Znajdował się tam punkt widokowy, gdzie można było stanąć za zasłoną ciężko spadającej wody, która spływając po wapiennych płytach, tworzyła sadzawki o gładkich brzegach nie większe niż wanna kąpielowa. Trzeba by się bardzo uprzeć, żeby się w tym utopić. Ale i tutaj wszystko sprawdziły – dziewczyny biegały i nawoływały Heather; zaglądały do każdej sadzawki, nawet wsadzały głowę w tę suchą przestrzeń za huczącą kurtyną wody. Skakały po nagich skałach, krzyczały, wreszcie przemoczyły się do suchej nitki, bo przebiegały tam i z powrotem pod wodną zasłoną. Na koniec panna Johnstone zawołała je i kazała wracać.

Były tam Betsy i Eva Trowell,

I Lucille Chambers też,

Była Ginny Bos i Mary Kaye Trevelyan,

I Robin Sands, i nieszczęsna Heather Bell.

– Siedem. Więcej nie dała rady zebrać – mówiła Frances. – Każda z jakiegoś powodu musiała iść. Robin Sands – córka doktora. Lucille Chambers – córka pastora. Nie mogły się

wykręcić. Trowellówny – ze wsi. Chętnie wyglądają każdego zaproszenia. Ginny Bos, małpison, co ma kości z gumy – zawsze gotowa pływać czy jeździć konno. Mary Kaye, co mieszka drzwi w drzwi z panną Johnstone. Trzeba więcej? I Heather Bell, nowa w mieście. No i ta jej matka! Pojechała na swój własny weekend – tak, skorzystała z okazji. Sama wyskoczyła na wycieczkę.

Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd Heather Bell zaginęła podczas dorocznej wyprawy PKD – co oznacza: Przysposobienie Kanadyjskich Dziewcząt – do wodospadów na rzece Peregrine. Mary Johnstone, teraz nieco powyżej sześćdziesiątki, prowadziła te wycieczki od lat, od przedwojnia. W sobotnie czerwcowe ranki na szosie pojawiało się co najmniej kilkadziesiąt maszerujących dziewcząt. Wszystkie miały na sobie granatowe szorty i białe bluzki, a na szyi czerwone chustki. Przed dwudziestu laty czy coś około tego Maureen była jedną z nich.

Panna Johnstone zawsze na początek kazała im śpiewać tę samą piosenkę.

*Wokół nas przepiękna ziemia,
piękne niebo nad głowami,
miłość, co od urodzenia
jest w nas oraz między nami.*

A spod oficjalnych słów hymnu przebijał się ostrożnie, lecz uporczywie inny, równoległy tekst:

*Wielka pupa pani Johnstone
wiedzie nas łką i borem,
a my za nią, jak idiotki,
w głos śpiewamy z tym potworem.*

Czy ktokolwiek równy Maureen wiekiem pamięta jeszcze te słowa? Jej koleżanki, te, które nie wyjechały z miasta, miały córki na tyle duże – jeśli nie starsze – by mogły brać udział w tych wyprawach. Równolatki Maureen zareagowałyby dzisiaj bardzo ostro, jak matkom przystało, na wulgarne słowa. Posiadanie dzieci zmienia człowieka. Daje mu niezbędny wymiar dorosłości, dzięki czemu może wykreślić i wyprzeć pewne elementy życia – zwłaszcza dawniejsze. Praca, małżeństwo – nie wywołują takich skutków, one tylko sprawiają, że człowiek postępuje tak, jakby o czymś zapomniał.

Maureen nie miała dzieci.

Maureen siedziała z Frances Wall nad kawą i papierosem przy stoliku śniadaniowym, wsuniętym w dawną spiżarnię pod wysokie oszklone szafki kuchenne. To był dom Maureen w Carstairs w roku 1965. Mieszkała tutaj od ośmiu lat, ale wciąż miała wrażenie, że porusza się po wąskich ścieżkach, od jednego miejsca, w którym czuła się u siebie, do drugiego. Wyszukowała sobie ten stolik, żeby mieć własny kącik do jedzenia, inny niż stół w stołowym, i powiesiła nowe zasłonki z perkalu w oszklonej werandzie. Musiało upłynąć dużo czasu, nim jej mąż zdołał przywyknąć do tych zmian. W pokojach frontowych stały ciężkie, bogate meble z dębu

i orzecha, kotary z zielono-brzoskwińskiego brokatu, niby w jakimś luksusowym hotelu – nie sposób było niczego tam zmieniać.

Frances posługiwała w domu Maureen, ale nie jako służąca. Łączyło je pokrewieństwo, choć Frances była starsza prawie o pokolenie. Pracowała tu na długo, nim zjawiała się Maureen – zatrudniła ją pierwsza żona. Niekiedy Frances nazywała Maureen „jaśniepanią”, ale dla żartu, po części życzliwego, a po części nie. Ile to jaśniepani zapłaciła za te kotlety? Och, musieli wiedzieć, że to ty idziesz! I potrafiła powiedzieć Maureen, że tyje w biodrach i że nie do twarzy jej z włosami podwiązanymi na górze, puszczone luźno, usztywnionymi lakierem, tak że robiły wrażenie odwróconej do góry dnem miski. Mimo iż ona sama, Frances, była przysadzista, miała pospolitą, zuchwałą twarz i siwe włosy sterzące jak druty na wszystkie strony. Maureen nie uważała się za osobę nieśmiałą – nosiła się z godnością – na pewno nie była niedołągą życiową, jako że prowadziła biuro prawnicze męża, zanim „awansowała” (obydwoje użyliby tego wyrażenia) na osobę prowadzącą jego dom. Czasami przychodziło jej do głowy, że powinna wymagać od Frances trochę więcej szacunku – ale potrzebowała kogoś, z kim mogłaby się posprzeczać i pośmiać. Nie wypadało jej zajmować się plotkami, na to nie pozwalała pozycja jej męża, nie myślała też, że ma naturę plotkarki, ale pozwalała Frances rzucać złośliwe uwagi i snuć ryzykowne, nieżyczliwe, arbitralne domysły.

(Na przykład to, co Frances powiedziała o matce Heather Bell, albo to, co mówiła o Mary Johnstone i w ogóle o tych

pieszych wyprawach. Frances uważała się tutaj za wyrocznie, ponieważ Mary Kaye Trevelyan była jej wnuczką).

O Mary Johnstone zwykło się zawsze mówić w Carstairs z przymiotnikiem „nadzwyczajna”. W wieku trzynastu czy czternastu lat zachorowała na polio i omal nie umarła. Została przy życiu, mając krótkie nogi, krępy, gruby odwłok, kabłąkowate ramiona i nieco krzywą szyję, przez co trzymała głowę trochę na ukos. Nauczyła się prowadzić księgowość i dostała pracę w biurze fabryki Douda, a cały wolny czas poświęcała dziewczętom; zawsze powiadała, że nigdy nie spotkała zepsutej, tylko czasem trochę pomyloną. Za każdym razem, kiedy Maureen spotykała Mary Johnstone na ulicy albo w sklepie, serce w niej zamierało. Najpierw witał ją badawczy uśmiech, przenikliwe spojrzenie, radość okazywana bez względu na pogodę – czy to wiatr, czy grad, słońce, czy deszcz – każdy powód dobry – potem roześmiane pytanie: „Co też się z panią działo, pani mecenasowo?”. Mary Johnstone zawsze pamiętała o tej pani mecenasowej, ale wymawiała te słowa tak przesadnie, jakby w głębi duszy myślała: „Przecież to tylko Maureen Coulter”. (Coulterowie byli tacy sami jak Trowellowie, o których przed chwilą mówiła Frances – ze wsi. Po prostu). „Cóż ciekawego porabiała pani ostatnio, pani mecenasowo?”.

Maureen miała wtedy wrażenie, jakby się z niej wyśmiewano, a ona nic na to nie może poradzić, jakby ją oskarżano o coś, co ma związek z jej szczęśliwym małżeństwem, jej śmigłym zdrowym ciałem, którego wada, jedyna wada, pozostaje ukryta – ma podwiązane jajowody, wskutek czego

jest bezpłodna – z jej różaną cerą, kasztanowatymi włosami i strojami, na które wydaje tyle pieniędzy i przy czym traci tyle czasu. Jakby była coś winna Mary Johnstone, jakieś nieokreślone zadośćuczynienie. Albo jakby Mary Johnstone dopatrywała się w niej braków ponad miarę.

Mary Johnstone nic nie obchodziła Frances z tego prostego powodu, że nie obchodzili jej ludzie, którzy mieli o sobie za duże wyobrażenie.

Panna Johnstone wyprowadziła je, jak zawsze przed śniadaniem, na tę krótką – raptem pół mili – wycieczkę, która kończyła się wspinaczką na Skatę. Był to odłam piaskowca przewieszony nad rzeką Peregrine, tak wielka osobliwość w tej części kraju, że nazywano go po prostu Skatą. Wspinaczka obowiązywała zawsze w niedzielę rano, choć człowiek był półprzytomny po nieprzespanej nocy i mdliło go od przemyconych i wypalonych papierosów. No i cały się trząśł, bo słońce nie zdążyło jeszcze przeniknąć w głąb lasu. Ścieżka nie zasługiwała na tę nazwę – musiały przełazić przez spróchniałe pnie powalonych drzew i brnąć wśród paproci oraz tego wszystkiego, co pokazywała panna Johnstone, mówiąc, że to dzikie głogi i dzikie geranie, i dziki imbir. Wyrывała korzeń i nagryzała, nie ocierając z ziemi. Popatrzcie tylko, jaka natura jest hojna.

– Zapomniałam swetra – powiedziała Heather, kiedy były w połowie drogi. – Czy mogę po niego wrócić?

Dawniej panna Johnstone powiedziała by pewno: nie. Ruszaj się, to się rozgrzejesz bez swetra. Ale teraz musiała być

mniej pewna siebie, jej piesze wycieczki traciły popularność, przypisywała to telewizji, pracującym matkom, rozwiąłości, jaka panuje w rodzinach. Zgodziła się.

Możesz, ale się pospiesz. Pospiesz się i dogoń nas.

Heather Bell nigdy ich nie dogoniła. Pod Skałą podziwiała widok (Maureen dobrze pamiętała, jak się szukało francuskich kondonów – czy dalej tak się je nazywa? – wśród butelek po piwie i papierków po cukierkach), a Heather wciąż nie wracała. Nie spotkały jej w drodze powrotnej. Nie było jej ani w dużym namiocie, ani w małym namiocie, w którym spała panna Johnstone, ani pomiędzy namiotami. Nie było jej w żadnej kryjówce czy miłosnym gniazdku wśród otaczających kemping cedrów. Panna Johnstone przerwała poszukiwania.

– Racuszki! – zawołała. – Racuszki i kawa! Zobaczymy, czy zapach racuszków i kawy nie wyciągnie z kryjówki panny Psotnicy!

Musiały usiąść i jeść – ale najpierw panna Johnstone zmówiła modlitwę dziękczynną za wszystko, co jest w lasach i w domu, a gdy jadły, zawołała głośno: „Pyszności!”.

– Nie uważacie, że świeże powietrze dodaje apetytu? – pytała donośnie. – Czy to nie są najlepsze racuszki na świecie? Heather, pospiesz się, bo nic dla ciebie nie zostanie. Heather! Słyszysz? Nic nie zostanie.

Zaraz po jedzeniu Robin Sands spytała, czy teraz mogą iść i szukać Heather.

– Najpierw trzeba zmyć, moje panie – odpowiedziała panna Johnstone. – Choćbyście w domu nie brały ścierki do ręki.

Robin omal się nie rozpląkała. Nikt nigdy nie zwracał się do niej w ten sposób.

Po zmywaniu panna Johnstone pozwoliła im biegać, gdzie chcą, wobec czego wróciły nad wodospad. Ale wkrótce przywołała je z powrotem i kazała im siąść w półkolu, mimo że były mokre, a sama usiadła przed nimi po turecku; zawołała głośno, że ktoś, kto ich słucha, może do nich przyjść i zostanie chętnie powitany.

– Ktoś, kto się chowa i próbuje jakichś sztuczek, może wyjść i się do nas przyłączyć. Nie będziemy o nic pytać. Jak nie, to się obejdziemy bez ciebie...

Potem, bez żadnych wahań czy niepokoju, zabrała się do gadania, do swojego niedzielno-wędrówkowego kazania. Gadała i gadała, od czasu do czasu zadawała im pytania, chcąc się upewnić, że słuchają. Słońce zdążyło im wysuszyć szorty, a Heather Bell wciąż nie wracała. Nie wyszła spośród drzew, a mimo to panna Johnstone nie przestawała mówić. Nie pozwoliła dziewczynom się rozbiec, dopóki pan Trowell nie zajechał do obozu swoją ciężarówką i nie przywiózł lodów na lunch.

Nie dała im wtedy komendy na rozejście się, ale poderwały się mimo to. Skoczyły i pobiegły do samochodu. Zaczęły opowiadać, wszystkie naraz. Jupiter, pies Trowellów, wyskoczył nad tylną klapą samochodu, a Eva Trowell objęła go i zaczęła szlochać, jakby to on zaginął.

Panna Johnstone podniosła się z ziemi, podeszła do pana Trowella i krzyknęła ponad zgiełkiem tamtych głosów:

– Jednej przyszło do głowy, żeby się zgubić.

Wyruszyły zaraz ekipy poszukiwawcze. Fabrykę Douda zamknięto, żeby każdy, kto tylko chce, mógł iść. Dodatkowo jeszcze psy. Mówiło się o przeciągnięciu dna rzeki poniżej wodospadów.

Posterunkowy poszedł zawiadomić matkę; zastał ją, kiedy akurat wracała z własnego weekendu, w czarnej letniej sukni z gołymi plecami, w pantoflach na wysokich obcasach.

– Lepiej ją znajdźcie – powiedziała. – To wasz obowiązek.

Pracowała w szpitalu, była pielęgniarką.

– Albo rozwódka, albo w ogóle niezamężna – mówiła Frances. – Jedna dla wszystkich i wszyscy dla jednej, taka ona jest.

Mąż zawołał Maureen, pospieszyła więc na werandę. Po wylewie, jaki miał dwa lata temu, w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat, rozstał się z praktyką adwokacką, ale wciąż prowadził jakąś korespondencję, wykonywał drobne prawne usługi dla starych klientów, którzy nie potrafili przywyknąć do kogoś nowego. Maureen przepisywała mu na maszynie korespondencję i codziennie pomagała odrabiać to, co nazywał swoją pańszczyzną.

– Co tam ...biłaś? – spytał. Miał nieco zaburzoną wymowę, więc musiała zawsze zostawać w obecności osób, które go dobrze nie znały, i tłumaczyć. Kiedy był z nią sam na sam, mniej się wysilał i głos miał czasem rozdrażniony i marudny.

– Rozmawiałam z Frances.

– O ...ym?

– O tym i owym – powiedziała.

– Ahaa.

Rozciągnął ponuro to słowo, jakby chciał powiedzieć, że dobrze wie, o czym mówily i nic go to nie obchodzi. Plotki, pogłoski, bezlitosny dreszcz podniecenia, jaki budzi katastrofa. Nigdy nie był szczególnie skłonny do gadania, ani teraz, ani wtedy, kiedy mógł mówić bez trudu – nawet wówczas jego nagany cechowała zwięzłość, sprowadzały się do tonu i znaczenia. Sprawiał wrażenie, jakby powoływał się na pewien zbiór przekonań, zasad znanych wszystkim przyzwoitym ludziom, a może po prostu wszystkim ludziom, nawet tym, którzy przez całe życie sprawiali innym zawód. Wydawało się, jakby mu było trochę przykro, jakby czuł zakłopotanie, że musi przy wszystkich to powiedzieć, a przecież jaki był wspaniały! Jego reprimendy okazywały się niezwykle skuteczne.

Mieszkańcy Carstairs już dawno przestali mówić o adwokacie: mecenas taki a taki, podobnie jak o lekarzach: doktor taki a taki, ale jeśli chodzi o męża Maureen, zawsze mówili: mecenas Stephens. Sama Maureen często tak o nim myślała, chociaż zwracała się do niego po imieniu: Alvin. Codziennie ubierał się tak, jak zwykł się był ubierać, wychodząc do kancelarii – trzyczęściowy szary lub brązowy garnitur – a chociaż te ubrania nie należały do tanich, jakoś nigdy nie leżały dobrze czy gładko na jego długim, niezdarnym ciele. Zawsze też coś się ich czepiało – a to drobny pyłek popiołu z papierosa, a to okruszki, a może nawet malutkie strzępki łuszczącego się naskórka. Głowa pochylona, twarz ociążała od troski, wyraz przenikliwy albo roztargniony, nigdy nie było pewne, jaki naprawdę. Ludziom się to podobało – podobało im się, że

wygłądał na trochę zaniedbanego i zagubionego, kiedy nagle potrafił błysnąć jakimś zaskakującym argumentem. Zna się na prawie, powiadali. Nie musi w nim szperać. Ma to wszystko w głowie. Wylew, jakiego doznał, nie podważył ich zaufania; w gruncie rzeczy niewiele zmienił w jego wyglądzie i sposobie bycia, utrwalił w nim tylko to, co już miał.

Wszyscy byli przekonani, że zostałby sędzią, gdyby potrafił dobrze rozgrywać karty. Mógłby zostać senatorem. Ale był zbyt uczciwy. Nie umiał się płaszczyć. Człowiek jeden na milion.

Maureen usiadła przy nim na cienkiej poduszce, gotowa stenografować. W kancelarii nazywał ją Skarbem, ponieważ była inteligentna i niezawodna, w gruncie rzeczy mogłaby sama sporządzać dokumenty i pisać listy. Nawet członkowie jego rodziny, żona i dwójka dzieci – Helena i Gordon – nazywali ją Skarbem. Dzieci wciąż ją tak nazywały, chociaż już były dorosłe i mieszkały daleko. Helena wymawiała to imię serdecznie i prowokacyjnie, Gordon uroczyście, jakby samemu sobie wieszował. Helena była samotną kobietą, bez własnego określonego miejsca, rzadko przyjeżdżała do domu, a kiedy to robiła, zaczynała się kłócić. Gordon wykładał w technikum wojskowym, lubił przywozić żonę i dzieci do Carstairs, ale robił z tych wizyt i z tego domu widowisko, jakby chciał podkreślić prowincjonalne cnoty ojca i Maureen.

Maureen wciąż jeszcze cieszyła się, że jest Skarbem. Albo po prostu było jej tak wygodnie. Dzięki temu część jej myśli potrafiła się wysliznąć i pobiec własną drogą. Zastanawiała się teraz, jak mogła się zacząć ta długa nocna przygoda

w obozie, kiedy chrapanie panny Johnstone obwieściło koniec jej władzy, a dziewczyny starały się nie zmrużyć oka do rana, stosując wszystkie wypróbowane strategie i sposoby, jakie miały im zapewnić osiągnięcie celu, chociaż nie słyszała, żeby im się kiedykolwiek udało. Grały w karty, opowiadały dowcipy, paliły papierosy, a gdzieś około północy zaczynały się bawić we wspaniałą grę: Prawda czy Wyzwanie. Niektóre Wyzwania były takie: zdejmij górę od piżamy i pokaż cycki; zjedz niedopałek papierosa; połknij ziemię; wsadź głowę do wiadra wody i policz do stu; wyjdź i zrób siusiu przed namiotem panny Johnstone. Pytania o Prawdę były takie: Czy nie znosisz swojej matki? Ojca? Siostry? Brata? Ile widziałaś siusiaków i czyich? Czy kiedykolwiek kłamałaś? Kradłaś? Dotykałaś czegoś martwego? Nagle ogarnęło ją to paskudne, mdlące uczucie, które przychodzi po wypaleniu zbyt szybko zbyt wielu papierosów, poczuła woń dymu skłębionego pod grubym płótnem, nagrzewanym przez cały dzień słońcem, zapach dziewczyn, które godzinami pływały w rzece, biegały i kryły się w przybrzeżnych trzcinach, i musiały teraz przypalać zapalniczkami pijawki na nogach.

Pamiętała, jaka była wtedy hałaśliwa. Wrzaskun, gotów przyjąć każde wyzwanie. Tuż przed pójściem do liceum zaczęły ją nękać zawroty głowy, albo prawdziwe, albo udawane, albo trochę prawdziwe, a trochę udawane. Wkrótce minęły, jej śmiałe ciało zniknęło w ciele pojemniejszym i stała się pilną, wstydliwą uczennicą. Rozwinęła w sobie te cechy, które dostrzegł i docenił jej mąż, gdy zaproponował jej pracę, a potem małżeństwo.

„Wyzywam cię, żebyś stąd uciekła”. Czy to możliwe? Są okresy, kiedy dziewczynę ponosi, kiedy chce, żeby ryzyko ro-
sło. Chce bez względu na wszystko zostać bohaterką. Chce,
żeby ten żart zaszedł tak daleko, jak nigdy nie zaszedł żaden
żart. Chce być beztraska, nieustraszona, chce siać zamęt –
oto stracone nadzieje dziewczyny.

Siedząc na powleczonej perkalem poduszce u boku męża,
patrzyła na stare buki barwy miedzi, a za nimi widziała nie
rozświetlony trawnik, tylko drzewa rosnące nieregularnie
wzdłuż rzeki – gęste cedry, dęby o lśniących liściach i migo-
tliwe topole. Niczym nierówny mur z tajną furtką i tajnymi
ścieżkami, po jakich chodziły zwierzęta, a niekiedy również
samotni ludzie, którzy stali się inni, niż byli poprzednio,
i zostali obciążeni inną odpowiedzialnością, przekonaniem,
zamiarami. Potrafiła sobie wyobrazić zniknięcie. Ale, oczywi-
ście, człowiek nie znika, bo zawsze na tej ścieżce, co się krzy-
żuje z twoją, jest ten drugi człowiek, który, jeszcze przed wa-
szym spotkaniem, przygotował dla ciebie mnóstwo planów.

Kiedy poszła na pocztę, żeby wysłać mężowskie listy, usły-
szała dwie nowe wiadomości. Widziano jasnowłosą młodą
dziewczynę, która wsiadała w niedzielę po południu, około
pierwszej, do czarnego samochodu na autostradzie Bluewater
na północ od Walley. Mogła podróżować autostopem. Mogła
też czekać na ten właśnie samochód. Było to dwadzieścia mil
od wodospadów, czyli około pięć godzin marszu. Wykonał-
ne. Albo mogła tam dojechać innym samochodem.

Ale jacyś ludzie, którzy porządkowali groby rodzinne na
opuszczonym cmentarzyku przykościelnym w bagnistym

północno-wschodnim zakątku tej krainy, usłyszeli krzyk, wrzask, właśnie po południu. Kto to był? – pytali się nawzajem. Nie co, ale kto? Kto to był?

Ale później myśleli, że może to był lis.

No i jeszcze nieopodal miejsca, w którym znajdował się obóz, była ubita trawa i rozrzucone świeże niedopałki. Ale co to za dowód? Ludzie tam zawsze chodzili. Kochankowie. Chłopaki, łobuziaki.

*A może ją spotkał tam jakiś człowiek,
co miał ze sobą strzelbę i nóż,
spotkał ją tam, może miał źle w głowie,
odebrał jej życie, no i już.*

*Ktoś znowu powie, że było inaczej,
czarny samochód zabrał ją w dal,
że czekał tam obcy albo przyjaciel.
Wiedzieć, jak było, każdy by chciał.*

We wtorek rano, gdy Frances szykowała śniadanie, a Maureen pomagała mężowi zakończyć toaletę, rozległo się pukanie do drzwi frontowych; musiał to być ktoś, kto nie zauważył dzwonka albo mu nie ufał. Takie wczesne wizyty zdarzały się, choć bardzo rzadko, niosły jednak pewną niedogodność, ponieważ mecenas Stephens miewał rano większe trudności z wymową, a i jego umysł potrzebował trochę czasu na rozgrzewkę.

Przez ryflowane szkło frontowych drzwi Maureen zobaczyła niewyraźny zarys mężczyzny i kobiety. Wystrojeni

– przynajmniej kobieta, miała na głowie kapelusz. To znaczyło, że sprawa jest poważna. Ale sprawa, która zainteresowanym wydaje się poważna, innym może się wydać błaha. Bywały groźby zabójstw związane z roszczeniem sobie praw do komody albo właściciel działki potrafił przebić komuś tętnicę za uszczuplenie jego drogi podjazdowej o sześć cali. Skradzione drzewo opałowe, czekający pies, obraźliwy list – każdy z tych powodów mógł wzbudzić w ludziach wściekłość i przyprowadzić ich pod te drzwi. „Idź i zapytaj mecenasa Stephensa. Idź i spytaj, jakie jest Prawo”.

Było oczywiście możliwe, że tych dwoje to głosiciele wiary. Ale nie w tym wypadku.

– Przyszliśmy do pana mecenasa – powiedziała kobieta.

– Aha. Ale jeszcze wcześniej – odparła Maureen. Nie miała pojęcia, kim oni są.

– Przepraszam, ale mamy mu coś do powiedzenia. – Kobieta zrobiła krok w przód, do hallu, a Maureen zrobiła krok w tył. Mężczyzna potrząsnął głową, jakby czuł się nieswojo albo przepraszal, ale trudno, musi iść za żoną.

W hallu rozszedł się zapach mydła do golenia, dezodorantu w sztyfcie i taniej wody kolońskiej. Konwalia. I w tym momencie Maureen ich poznała.

To była Marian Hubbert. Tylko wyglądała inaczej w niebieskim kostiumie – za ciepłym na dzisiaj – brązowych bawełnianych rękawiczkach i brązowym kapeluszu z piórkami. Na ogół widywało się ją na mieście w prostych spodniach albo czymś przypominającym farmerki. Krzepka kobieta mniej więcej w wieku Maureen, razem chodzili do gimnazjum, ale

dzielił je rok czy dwa. Ciało miała grubo ciosane, ale sprężyste, siwiejące włosy przystryżone tak krótko, że jeżyły się jej na szyi. Mówiła donośnym głosem i na ogół okazywała sporą pewność siebie. Tym razem była cicha.

Mężczyzna, z którym przyszła, od niedawna był jej mężem. Może od kilku lat. Wysoki, o chłopcym wyglądzie, w kremowej marynarce zbyt mocno wypchanej w ramionach.

– Proszę nam wybaczyć – powiedział stłumionym głosem, którego jego żona wolała nie dosłyszeć, kiedy Maureen prowadziła ich do stołowego.

Z bliska jego oczy nie wydawały się już tak młodzieńcze – widać było w nich napięcie i pewną oschłość albo oszołomienie. Być może nie był zbyt inteligentny. Maureen przypomniała sobie teraz, że opowiadano, jak Marian go znalazła: dzięki ogłoszeniu. Mogło tak jakoś brzmieć: „Kobieta posiadająca farmę wolną od długów. Kobieta pracująca zawodowo, posiadająca farmę” – ponieważ Marian Hubbert nazywana była również Gorseciarką. Od wielu lat, a może i teraz, szyla gorsety na miarę dla zmniejszającej się liczby pań, które jeszcze je nosiły. Maureen widziała w wyobraźni, jak Marian bierze miary, poszturkuje klientki niczym pielęgniarka, apodyktyczna i niejako zawodowo pewna siebie. Ale była dobra dla starych rodziców, którzy dożyli na farmie bardzo późnego wieku i którym ciągle coś dolegało. I jeszcze jedna historia, nie tak złośliwa, przypominała się Maureen: dotyczyła męża. Był szoferem autobusu, który woził starszych ludzi do Walley na terapeutyczne ćwiczenia pływackie odbywające się na krytej pływalni – to tam się poznali. Maureen miała w oczach

jeszcze inny jego obraz – jak wnosił na rękach starego ojca do gabinetu doktora Sandsa. Marian sunęła przodem, machając trzymaną na rzemieniu torebką, żeby otworzyć przed nimi drzwi.

Poszła najpierw do Frances, powiedziała o śniadaniu w stołowym i poprosiła o dodatkowe filiżanki do kawy. Potem ruszyła ostrzec męża.

– To Marian Hubbert, a przynajmniej kiedyś była Hubbert. Oraz człowiek, za którego wyszła, jak on się nazywa...

– Slater – powiedział mecenas suchym tonem, jakim zwykł podawać personalia przy akcie sprzedaży czy najmu, jakich znajomość była dla wszystkich zaskoczeniem. – Theo.

– Jesteś bardziej na bieżąco niż ja – stwierdziła Maureen.

Zapytał, czy owsianka gotowa.

– Jeść i słuchać – zarządził.

Frances wniosła owsiankę, a on zaraz się zabrał do jedzenia. To była jego ulubiona potrawa, zimą i latem owsianka ze śmietaną i brązowym cukrem.

Frances przyniosła kawę i próbowała się jeszcze trochę pokręcić, ale Marian rzuciła jej spojrzenie, które zmiotło ją z powrotem do kuchni.

„Proszę – pomyślała Maureen. – Lepiej daje sobie z nią radę niż ja”.

Marian Hubbert była kobietą bez jednej widocznej zalety. Miała ociężałą twarz, zwisające policzki – przypominała psa. Niekoniecznie brzydkiego. Prawdę mówiąc, twarz niekoniecznie brzydka. Ciężka i stanowcza. Ale gdziekolwiek Marian wchodziła, na przykład jak teraz do stołowego,

sprawiła wrażenie, jakby obejmowała tam władzę. Trzeba się było z nią liczyć.

Miała grubo nałożony makijaż i może również dlatego Maureen nie poznała jej od razu. Jasny, różowawy, nieodpowiedni do jej oliwkowej cery i czarnych gęstych brwi. Wyglądała przez to osobliwie, ale nie żałośnie. Może nałożyła go, podobnie jak kostium i kapelusz, aby udowodnić, iż potrafi dorównać wyglądem innym kobietom, że zna wymagania. A może chciała być ładna. Może sądziła, że się przeistacza pod tym jasnym pudrem na policzkach, ciemną, czerwoną pomadką do ust – może, gdy się skończyła malować, pokazała się mężowi z przymilnym uśmiechem. Odpowiadając na jej prośbę o cukier, powiedział, niemal się śmiejąc: „kostki”.

Powtarzał wielokrotnie „proszę” i „dziękuję”. Mówił: „Dziękuję, bardzo proszę. Dziękuję. Dla mnie tak samo. Dziękuję”.

– No więc my nie wiedzieliśmy nic o tej dziewczynie, dopóki wszyscy się już nie dowiedzieli – mówiła Marian. – To znaczy, nie wiedzieliśmy, że ktoś zginął ani nic. Aż do wczoraj, kiedy przyjechaliśmy do miasta. Wczoraj? W poniedziałek? Tak, wczoraj był poniedziałek. Tak mi się te dni mieszają, bo ja biorę proszki przeciwbólowe.

Marian nie należała do osób, które powiedzą, że biorą proszki przeciwbólowe i koniec. Musiała wyjaśnić dlaczego.

– Miałam ogromny czyrak na szyi, o tutaj. – Wykręciła głowę, żeby im pokazać opatrunek. – Bardzo mnie bolało, a do tego jeszcze migrena, myślę, że jedno z drugim miało coś wspólnego. Więc tak się źle czułam w niedzielę, że zrobiłam

gorący okład na szyję i wzięłam kilka proszków przeciwbólowych, i poszłam, i się położyłam. On tego dnia nie był w pracy, ale odkąd ją ma, to tyle mu zostaje do zrobienia w domu! Bo on ma pracę w Energii Atomowej.

– Douglas Point? – spytał mecenas Stephens, rzucając szybkie spojrzenie znad talerza. Każdy mężczyzna okazywał szacunek albo zaciekawienie na wzmiankę o nowej stacji energetycznej w Douglas Point.

– On tam teraz pracuje – tłumaczyła Marian.

Podobnie jak większość wiejskich kobiet, a również tych z Carstairs, wolała mówić o swoim mężu „on” ze specjalnym naciskiem, zamiast go wymieniać z imienia. Maureen sama się na tym kilka razy przyłapała, ale wyzbyła się nawyku, zanim ktoś zdążył jej zwrócić uwagę.

– Musiał zanieść krowom sól – tłumaczyła – a potem wrócił i naprawiał ogrodzenie. To było jakie ćwierć mili od domu, więc wziął wóz. Ale zostawił Boundera. Bounder to nasz pies. Bounder nigdzie sam nie poleci, jeśli się go nie zabierze wozem. Więc on go zostawił tak jakby na straży, bo wiedział, że poszłam się położyć. Wzięłam kilka proszków i tak jakoś zaległam, to nie był regularny sen, i wtedy usłyszałam szczekanie Boundera. Właśnie to mnie obudziło. Szczekanie Boundera.

Wstała, narzuciła szlafrok i zeszła na dół. Leżała na łóżku w samej bieliźnie. Wyjrzała przez drzwi frontowe na drogę, ale nikogo nie było. Nie widziała też psa, który już przestał czekać. Przestawał czekać, kiedy okazywało się, że to ktoś,

kogo zna. Albo ktoś, kto tylko przechodził drogą. Ale to jej nie wystarczyło. Wyrzała przez okna kuchenne, które otwierały się na podwórze z boku, ale nie od tyłu – żeby zobaczyć podwórze od tyłu domu, trzeba było przejść przez pomieszczenie nazywane tylną kuchnią. Było to coś w rodzaju graciarni, przybudowana do domu szopa, wszystko pomieszczone ze wszystkim. Z tyłu znajdowało się okno, ale nie dało się do niego dojść ani wyrzeć przez nie, bo drogę tarasowały stopy kartonowych pudeł i sprężyny starej kanapy stojącej na samym końcu. Żeby wyrzeć na zewnątrz, należało iść w prawo i otworzyć drzwi kuchenne. Wydało jej się teraz, że słyszy pod tymi drzwiami coś jakby drapanie. Może to Bounder. Może nie.

Tak było gorąco w tej zamkniętej tylnej kuchni zapchanej wszelkim dziadostwem, że ledwo mogła oddychać. Czuła, że się cała lepi od potu pod tym szlafrokiem. Mówiła sobie: przynajmniej nie masz gorączki, po prostu pocisz się jak świnia.

Bardziej chciała odetchnąć świeżym powietrzem, niż się bała tego, co zobaczy, więc pchnęła drzwi. Otwierały się na zewnątrz – więc musiała pchnąć tego, kto się na nich opierał. Zakolebał się, ale nie upadł. Wtedy okazało się, kto to taki. Pan Siddicup z miasta.

Pies go oczywiście znał, ponieważ pan Siddicup często tędy przechodził, a niekiedy nawet skracał sobie drogę przez ich teren, oni mu nigdy nie zabraniali. Bywało nawet, że szedł przez ich podwórze – dlatego że nie bardzo już umiał inaczej. Nigdy nie krzyczała na niego, tak jak inni. Nawet prosiła go

czasem, żeby usiadł na schodkach, jeśli jest zmęczony, i odpoczął, i więcej – częstowała go papierosem. Brał papierosa. Ale nigdy nie siadał.

Bounder węszył i merdał ogonem. Bounder nie był wybredny.

Maureen знаła pana Siddicupa podobnie jak wszyscy. Był stroicielem fortepianów u Douda. Niegdyś poważny, ironizujący Anglik z sympatyczną żoną. Czytali wypożyczane z czytelnicy książki, wszyscy znali ich ogródek, piękne truskawki i róże. Potem, kilka lat temu, zaczęły się nieszczęścia. Pan Siddicup przeszedł operację gardła – to był pewno rak – i nie mógł już mówić; rzeził i charczał. Przestał pracować u Douda, bo teraz mieli tam jakieś elektroniczne sposoby strojenia, lepsze od ludzkiego ucha. Jego żona nagle umarła. A potem poszło już szybko – z przyzwoitego starszego pana zrobił się w ciągu kilku miesięcy skretyniały i dosyć obrzydliwy stary łobuz. Brudne wąsy, jakieś smugi na ubraniu, kwaśnawo-stęchły zapach i zawsze podejrzliwe, często pogardliwe spojrzenie. Jeśli w sklepie spożywczym nie mógł znaleźć tego, czego szukał, albo jeśli zmienili porządek, w jakim stały produkty, potrafił umyślnie strącać puszki czy pudełka płatków. Niechętnie go teraz witano w kawiarni i przestał się nawet zbliżać do wypożyczalni książek. Przez pewien czas panie z kółka kościelnego, do którego należała jego żona, przychodziły go odwiedzać i przynosiły pieczone mięso czy ciasto. Ale w domu strasznie śmierdziało i panował okropny bałagan – nie do pomyslenia nawet u samotnego mężczyzny – on zaś nie okazywał paniom najmniejszej wdzięczności. Wyrzucał na podjazd przed swoim

domem resztki ciast i zapiekanek, tłukł talerze. Żadna kobieta nie chciałaby słyszeć krążącego w mieście dowcipu, że nawet pan Siddicup nie zjadłby tego, co ona ugotuje. Więc przestały przychodzić. Ale, na przykład w czasie jazdy samochodem, można go było zobaczyć przy drodze, w rowie, niemal całkiem skrytego w wysokich chwastach i trawie, podczas gdy pojazdy śmigały obok. Można się też było na niego natknąć w jakiejś odległej miejscowości i wtedy działo się coś dziwnego. Na twarzy pojawiał mu się niemal dawny wyraz gotowości na wyrażenie miłego oczywistego zdumienia, powitania ludzi, którzy, choć tu spotkani, przecież mieszkają gdzie indziej. Wydawało się, jakby liczył, że ten moment będzie jakimś otwarciem, że słowa się przedrą, że może wszystkie zmiany ulegną zatarciu tutaj, w tym obcym miejscu – że wszystko może do niego wrócić – głos, żona, dawna życiowa równowaga.

Ludzie, ogólne biorąc, nie byli niedobrzy. Okazywali cierpliwość do pewnego momentu. Marian powiedziała, że nigdy by go nie wygoniła.

Ale tym razem wyglądał jak oszalały. Nie tak jak wtedy, gdy bezskutecznie próbował coś powiedzieć albo kiedy się wściekał na chłopaków, którzy go przedrzeźniali. Głowa mu się kiwała w przód i w tył, twarz miał opuchniętą jak zapłakane dziecko.

– Już dobrze, dobrze. O co chodzi, panie Siddicup? Co pan chce mi powiedzieć? Chce pan papierosa? Chce mi pan powiedzieć, że dziś niedziela, a panu się skończyły papierosy?

Potrząsał głową raz za razem, potem kiwał nią tam i z powrotem, a potem znów potrząsał.

– Panie Siddicup, o co panu chodzi? Niech się pan zdecydować – mówiła Marian.

– Ach, aaach – powtarzał tylko. Złapał się za głowę i rzucił czapkę. Potem cofnął się trochę i zaczął chodzić jak błędny po podwórzu pomiędzy pompą a sznurem do bielizny, wciąż wydając te dźwięki: – Ach, aaach – które za nic nie chciały się przekształcić w słowa.

W tym momencie Marian odsunęła krzesło tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a by się przewróciło. Wstała i zaczęła im pokazywać, co ten pan Siddicup wyprawiał. Rzucała się, kuciała i tłukła rękami po głowie, nie strącając przy tym kapelusza. Robiła to przedstawienie naprzeciw kredensu, na wprost srebrnej zastawy do herbaty, ofiarowanej mecenasowi Stephensowi za wieloletnią pracę na rzecz Towarzystwa Prawników. Jej mąż trzymał w obu rękach filiżankę kawy i całą siłą woli wbijał w żonę uległy wzrok. Coś mignęło na jego twarzy – jakiś tik, skurcz nerwu jednego policzka. Patrzyła na niego mimo tych wygłupów, a jej spojrzenie mówiło: „Spokojnie. Siedź cicho”.

O ile Maureen zdążyła zauważyć, mecenas Stephens ani razu nie podniósł oczu.

– Tak on to robił. – Marian usiadła z powrotem.

Tak robił, a jej przyszło do głowy, bo sama się nie najlepiej czuła, że może mu coś dolega.

– Panie Siddicup! Panie Siddicup! Czy chce mi pan powiedzieć, że pana głowa boli? Czy chce pan, żebym przyniosła proszek? Czy chce pan, żebym pana zabrała do doktora?

Nie odpowiadał. Wciąż to samo. Ach, aaach.

Gdy się tak zataczał po podwórzu, znalazł się w pewnej chwili przy pompie. Mieli już w domu bieżącą wodę, ale na podwórzu stała dalej pompa, nalewali z niej wodę Bounderowi. Kiedy pan Siddicup zorientował się, gdzie jest, to się wziął do roboty. Chwycił za rączkę i pompował raz za razem jak szalony. Nie było przy studni, jak za dawnych czasów, kubka do wody, ale kiedy pan Siddicup zobaczył, że woda się leje, to wsadził pod nią głowę. Plusnęła i przestała lecieć, bo przestał pompować. Więc wrócił i znowu zaczął pompować, i znowu wsadził głowę pod wodę, i znowu przestała, więc znowu pompował i tak sikała, i przestawała, a on wtykał pod nią głowę i twarz, i ramiona, i piersi, oblewał się cały i w dalszym ciągu, jak tylko mógł, to wydawał te dźwięki. Bounder się strasznie podniecił, biegał naokoło, skakał na niego, naszczekiwał i skomlał ze współczuciem.

– Dosyć tego, jeden i drugi! – wrzasnęła na nich Marian. – Zostawcie tę pompę! Koniec z tym!

Tylko pies jej posłuchał. Pan Siddicup pompował i polewał się na zmianę, aż wreszcie cały był zlany wodą i tak oślepiony, że nie mógł znaleźć rączki. I nagle przestał. Stał i podniósł jedną rękę, podniósł i pokazał do tyłu, tak, mniej więcej, w stronę zarośli i rzeki. Pokazywał ręką i dalej wydawał te dźwięki. Wtedy nic z tego nie rozumiała. Zaczęła o tym myśleć dopiero później. A potem przestał i tylko usiadł na pokrywie studni, cały mokry i roztrzęsiony, trzymając głowę w rękach.

„A może chodzi o coś zwyczajnego? – pomyślała. – Może on się skarży, bo nie ma kubka”.

– Jak pan chce kubek, to panu przyniosę. Po co tak się zachowywać jak dzieciak? Niech pan tu czeka, pójdę i przyniosę kubek.

Poszła do kuchni i wzięła kubek. I jeszcze coś jej przyszło do głowy. Posmarowała mu masłem i dżemem kilka krakersów z ciemnej mąki. Dzieci uwielbiały grahamowe krakersy, ale i starsi je bardzo lubili, pamiętała przecież mamę i tatę.

Wróciła do drzwi i otworzyła je pchnięciem, bo ręce miała zajęte. Ale jego ani śladu. Puste podwórze, tylko Bounder z taką miną jak wtedy, kiedy wiedział, że wyszedł na głupca.

– Dokąd on poszedł, Bounder? Którędy?

Pies był zawstydzony, miał dość, nic nie pokazywał. Klapnął na swoje miejsce w cieniu domu, na ziemi przy podmurówce.

– Panie Siddicup! Panie Siddicup! Niech pan tylko spojrzy, co ja tu panu przyniosłam!

Głucha cisza. A jej głowa pękała. Sama zaczęła pogryzać te krakersy, ale nie powinna była... kilka kęsów i już ją wzięło na wymioty.

Połknęła jeszcze dwa proszki i wróciła na górę. Okna otwarte, żaluzje spuszczone. Dlaczego nie kupili wiatraka, były na wyprzedaży w Canadian Tire. Ale zasnęła bez wiatraka, a kiedy się obudziła, zrobiło się już prawie ciemno. Słyszała odgłos kosiarki – on, to znaczy jej mąż, był na dole, kończył ścinać trawę przy domu, z boku. Zeszła do kuchni i zobaczyła, że pokroił gotowane kartofle i ugotował jajko, wkroił dymkę i zrobił sałatkę. Bo to nie jest taki chłop jak inni, co to w kuchni pozał się Boże i tylko czekają, jak się

kobieta zwlecze z łóżka i przygotowuje im jedzenie. Dziobnęła trochę tej sałatki, ale nie mogła jeść. Jeszcze jeden proszek i na górę, do rana martwa dla świata.

I wtedy on powiedział, trzeba cię zawieźć do doktora. Zadzwoń tam do nich, do pracy. Muszę zawieźć żonę do doktora.

A gdybym, powiedziała Marian, wygotowała igłę, to sam mógłbyś to przebić. Ale on nie potrafiłby zadać jej bólu, zresztą bałby się, że zrobił coś nie tak. Więc wsiedli do wozu i pojechali do doktora Sandsa. Doktora nie było, musieli czekać. Ludzie w poczekalni powiedzieli im, co się stało. Wszyscy się strasznie dziwili, że oni o niczym nie wiedzą. Ale radio u nich w domu było wyłączone. Bo to ona zawsze nastawia radio, a wtedy tak się źle czuła, nie zniósłaby hałasu. I nie spotkali żadnej gromadki mężczyzn po drodze, niczego niezwykłego.

Doktor Sands uporał się z czyrakiem, ale go nie przekłuwał. Z czyrakami rozprawiał się na swój sposób, zadawał takiemu silny cios, walił go w łeb, kiedy można było sądzić, że lekarz tylko patrzy.

– Proszę! – mówił. – Mniej zachodu niż z igłą i w sumie mniej bólu, bo człowiek nie zdąży się bać.

Zdezynfekował ranę, założył opatrunek i powiedział jej, że będzie się zaraz lepiej czuła.

I prawda, poczuła się lepiej, ale była senna. Nie nadawała się do niczego, miała zamęt w głowie, więc poszła z powrotem do łóżka i spała do czwartej, kiedy mąż przyniósł jej kubek herbaty. To wtedy przyszły jej na myśl te dziewczęta, co tu zajrzały w sobotę rano z panną Johnstone i prosiły

o coś do picia. Miała dużo coca-coli i dała im ją w szklankach w malowane kwiatki, z kawałkami lodu. Panna Johnstone prosiła tylko o wodę. On pozwolił im się bawić szlauchem, skakały, polewały jedna drugą, bawiły się wspaniale. Próbowaly skakać przez strumień wody i kiedy panna Johnstone nie patrzyła, zachowywały się trochę jak dzikie. Musiał niemal wrywać im ten szlauch i dobrze je połączyć, żeby zaczęły się sprawować jak należy.

Zastanawiała się, o którą z tych dziewcząt mogło chodzić. Znała córkę pastora i córkę doktora Sandsa, i Trowellówny – każdy rozpoznałby Trowellównę po tych malutkich owczych oczach. Ale która z pozostałych? Pamiętała tę, co była taka krzykliwa i skakała, próbowała wyrwać szlauch, chociaż on już go im zabrał, i tę, co robiła gwiazdy, i taką szczupłą ładną dziewczuszkę, blondynkę. Ale może chodziło jej o Robin Sands – Robin to przecież blondynka. Zapytała wieczorem męża, czy wie, która to była, ale z nim to jeszcze gorzej niż z nią – nie znał tutejszych i nie potrafił żadnej odróżnić.

I opowiedziała mu o panu Siddicupie. Teraz wróciła jej pamięć. To, jaki był roztrzęsiony i jak pompował wodę, i to, jak coś pokazywał. O co mu mogło chodzić? Mówili o tym i zastanawiali się, i tak się rozgorączkowali tymi domysłami, że nie mogli zasnąć. Aż ona mu wreszcie powiedziała: wiem, co trzeba zrobić. Trzeba jechać i pogadać z mecenasem Stephensem.

Więc wstali i przyjechali, zaraz jak się tylko dało.

– Policja – powiedział mecenas Stephens. – Policja. Jechać. Sprawdzić.

– Nie wiedzieliśmy, czy mamy... czy powinniśmy to robić, czy nie – tłumaczył mąż. Trzymał obie dłonie na stole, palce, szeroko rozsunięte, wciskał mocno w obrus.

– Nie oskarżenie – powiedział mecenas Stephens. – Informacja.

Jeszcze przed udarem mówił w taki sposób, skrótami. A Maureen stwierdziła już dawno, jak kilka słów, rzuconych przez niego niezbyt przyjaznym, prawdę mówiąc, niemal karzącym tonem, potrafi ludzi podnieść na duchu i pokrzepić.

Zastanawiała się też nad innymi powodami, z których panie przestały przychodzić do pana Siddicupa z wizytą. Nie podobała im się ta bielizna. Damska bielizna, osobista – stare podarte majtki, staniki, rozciągnięte pończochy zwisające z poręczy krzesel albo ze sznurka nad grzejnikiem, albo leżące w stosach na blacie stołu. To wszystko były, oczywiście, części garderoby jego żony i z początku mogło się wydawać, że je pierze i suszy, żeby potem przejrzeć, nim wybierze, co do wyrzucenia. Ale te rzeczy dalej tak pozostawały, tydzień po tygodniu, i panie zaczęły się dziwić. Czy on próbuje coś zasugerować, zostawiając tak wszystko na wierzchu? Czy może sam to wkłada, na gołą skórę? Czy to jakiś zboczeniec?

Teraz to wyjdzie na wierzch. Wszystkiego użyją przeciwko niemu.

Zboczeniec. A może mają rację. Może on by ich zaprowadził tam, gdzie zadusił albo zabił Heather w napadzie seksualnego opętania, albo znajdą jakieś jej rzeczy w jego domu. A ludzie będą mówili strasznym, ściszone głośnie, że nie, wcale ich to nie dziwi. „Mnie to nie zdziwiło, a ciebie?”

Mecenas Stephens zadał kilka pytań o tę pracę w Douglas Point, a Marian tłumaczyła:

– On pracuje w konserwacji. Codziennie, jak wychodzi, to muszą go sprawdzić, prześwietlić i nawet te szmaty, którymi wyciera buty, zakopują pod ziemię.

Maureen zamknęła za nimi drzwi i widziała przez ryflowane szkło niewyraźny kształt oddalających się postaci, ale to jej nie wystarczyło. Weszła po trzech stopniach na podest schodów, gdzie znajdowało się niewielkie półokrągłe okno. Patrzyła za nimi.

Nie widać było samochodu ani ciężarówki, niczego, czym mogli przyjechać. Musieli zaparkować wóz na głównej ulicy albo na placyku za ratuszem. Może nie chcieli, żeby go ludzie oglądali przed domem mecenasa Stephensa.

Komisariat znajdował się w ratuszu. Skierowali się w tamtą stronę, ale potem przeszli w skos przez ulicę i usiedli na niskim kamiennym murku okalającym stary cmentarz i pełen kwiatów skwerek zwany parkiem Pionierów – wciąż ich widziała.

Dlaczego zachciało im się usiąść po niemal godzinnym wysiadywaniu w jej stołowym pokoju? Nie rozmawiali, nie patrzyli po sobie, ale sprawiali wrażenie wspólnoty, jakby postanowili odpocząć podczas ciężkiej, wykonywanej razem pracy.

W chwilach, kiedy naszły go wspomnienia, mecenas Stephens opowiadał, jak to różni ludzie przysiadali na tym murku. Farmerki, które szły do miasta z kurczakami czy masłem na sprzedaż. Dziewczęta wiejskie w drodze do szkoły, zanim wymyślono coś takiego jak autobus szkolny. Zatrzymywały się i chowały gumki, które wkładały w drodze powrotnej.

A czasami miał dość wspomniania.

– Stare czasy. Kto lubi do nich wracać?

Marian wyjęła kilka szpilek z kapelusza i zdjęła go ostrożnie. No właśnie – ten kapelusz ją cisnął. Położyła go na kolanach, a mąż po niego sięgnął. Zabrał go, jakby chciał usunąć wszystko, co mogłoby być dla niej ciężarem. Położył go sobie na kolanach. Pochylił się i zaczął go pocieszająco głaskać. Głaskał ten kapelusz z okropnych brązowych piórek, jakby uspokajał małą, przerażoną kurę.

Ale Marian kazała mu przestać. Powiedziała coś, zacisnęła rękę na jego dłoni. Tak jak matka mogłaby uciąć poczynania ograniczonego dziecka – okazaniem niechęci, zawieszeniem na chwilę swojej umęczonej miłości.

Maureen doznała wstrząsu. Skóra jej ścierpła.

Jej mąż wychodził ze stołowego. Nie chciała, żeby zauważył, że spogląda za tamtymi. Obróciła wazon suchych traw stojący na parapecie.

– Myślałam, że nigdy nie przestanie gadać.

Ale on tego nie widział. Myślał o czymś innym.

– Chodź no tutaj – powiedział.

Na początku ich małżeństwa wspominał, że on i jego pierwsza żona przestali ze sobą sypiać, kiedy ich młodsza córka, Helena, przyszła na świat. „Mieliśmy już naszą dwójkę” – mówił, jakby chciał powiedzieć, że nie chciał się starać o więcej. Maureen nie zrozumiała wtedy, że zamierzał i wobec niej ustanowić podobne ograniczenie. Była zakochana, wychodząc za niego za mąż. Kiedy ją objął ramieniem po

raz pierwszy w kancelarii, wyobraziła sobie co prawda, że on pewno sądzi, iż pomyliła drzwi, i chce ją skierować do właściwych – ale pomyślała tak tylko dlatego, że zawsze zachowywał się poprawnie, a nie dlatego, żeby nie marzyła o jego ramieniu. Ci, którzy uważali, że wyszła za męża dobrze, ale z rozsądku, nie byliby w stanie wyobrazić sobie, jaka była szczęśliwa w czasie miodowego miesiąca – nawet mimo że musiała się nauczyć grać w brydża. Znała jego możliwości – wiedziała, na ile je wykorzystywał i na ile hamował. Pociągał ją, pomimo wieku, niezdarności, nikotynowych plam na palcach i zębach. Skórę miał ciepłą. Kilka lat po ślubie poroniła i miała tak silny krwotok, że zdecydowano się podwiązać jej jajowody w obawie przed powtórką. Od tego czasu skończyło się jej intymne pożycie z mężem. Wydawałoby się, że okazuje jej szczególną wyrozumiałość, ponieważ uważa, że nie należy odmawiać kobiecie szansy na dziecko.

Czasami zaczynała mu się troszkę napraszać, a on wtedy powiadał: „No, no, Maureen, o co ci chodzi?”. Albo też jej mówił, żeby dorosła. „Dorośnij” – powtarzał nakaz udzielany własnym dzieciom w długi czas po tym, kiedy one już o nim zapomniały, w gruncie rzeczy w długi czas po tym, kiedy opuściły dom.

Te słowa ją upokarzały, łzy napływały jej do oczu. A on był człowiekiem, który ponad wszystko nie znośił łez.

„A teraz – myślała – cóż by to była za ulga, gdyby mógł wrócić tamten stan”. Ponieważ jej mężowi odnowił się apetyt – albo raczej przyszedł całkiem nowy apetyt. Zapodziała się gdzieś ta niezdarna ceremonialność, formalna czułość

cechująca ich wczesną wspólnotę. Teraz oczy zachodziły mu mgłą, a twarz jakby obwisała. Zwracał się do niej krótko i agresywnie, a czasem ją popychał czy poganiał, nawet próbował wtykać jej palce w plecy, gdy szła przed nim. Nie potrzebowała ponagleń, chciała go jak najszybciej zaprowadzić do sypialni, bała się, że wcześniej mógłby się skompromitować. Jego dawny gabinet na dole został przerobiony na sypialnię, żeby oszczędzić mu wchodzenia po schodach. Na szczęście w drzwiach był zamek, więc Frances nie mogła wpaść znienacka. Ale telefon mógł zadzwonić i Frances mogła ich szukać. Mogła stanąć pod drzwiami i wtedy usłyszałaby dochodzące z wewnątrz odgłosy – jak mecenas Stephens dyszy, charczy i grozi, ten syk odrazu towarzyszący poleceniom, by Maureen robiła to czy tamto, jak na koniec zwała się na nią i jak wtedy wydaje polecenie, polecenie, które zapewne byłoby niezrozumiałe dla wszystkich oprócz Maureen, ale które świadczyło równie jasno – jak odgłosy w toalecie – o tym, w jakiej się znalazł ostateczności.

– Gaa...aj... fynstwa!

I to mówił człowiek, który kiedyś zamknął Helenę w pokoju za to, że nazwała brata skurwysynem.

Maureen знаła wiele słów, ale trudno jej było w tym dygocie znaleźć właśnie te, które przyniosłyby skutek, i wypowiedzieć je przekonującym tonem. Starła się. Starła się przede wszystkim pomóc mu skończyć.

Zapadał potem w krótki sen, który jakby wymazywał mu cały epizod z pamięci. Maureen wymykała się do łazienki. Tam myła się najpierw z wierzchu, a potem biegła na górę

zmienić ubranie. Czasem musiała się po drodze chwycić poręczy, czuła się tak słaba, tak sponiewierana. I musiała zaciśkać mocno usta, by powstrzymać nie tyle krzyk protestu, ile długi, przenikliwy skowyt skargi, który brzmiałby jak skowyt bitego psa.

Dzisiaj udało jej się lepiej niż zwykle. Była w stanie spojrzeć w lustro nad umywalką, poruszać brwiami, wargami i szczęką, żeby przywrócić twarzy normalny wyraz. No i dosyć – zdawała się mówić. Nawet podczas tego wszystkiego potrafiła myśleć o innych sprawach. Myślała o tym, że zrobi budyń, zastanawiała się, czy wystarczy jej jajek i mleka. I w samym momencie męzowskiego gwałtu myślała o palcach poruszających się w piórkach, o ręce żony, która nakrywa dłoń męża i przyciska.

*O Heather Bell nasza pieśń się niesie,
śpiewać będziemy, póki mamy dech.
Zeszła ze sceny w zielonym lesie,
nim zaczęła żyć, już poznała kres.*

– Jest już cały wiersz, ułożony i spisany – oznajmiła Frances. – Mam go tutaj, w maszynopisie.

– Pomyślałam, że zrobię budyń – powiedziała Maureen.

Ile Frances słyszała z tego, co opowiadała Marian Hubbert? Pewno każde słowo. Aż tchu jej brakło od wysiłku, żeby to wszystko zachować. Podtykała Maureen pod nos przepisane na maszynie linijki, ale Maureen uznała, że wiersz jest za długi.

– Nie mam czasu.

Zaczęła rozbijać jajka.

– Dobry – upierała się Frances. – Wystarczająco dobry, żeby zrobić z niego piosenkę.

Przeczytała cały wiersz na głos.

– Muszę się skupić – powiedziała Maureen.

– To znaczy, że mam rozkaz odjazdu – stwierdziła Frances i poszła na werandę.

Dopiero wtedy dostała Maureen spokój kuchni – stare, białe kafelki, wysokie, żółtawe ściany, miski i garnki, i sprzęty znane i krzepiące zarówno ją, jak i zapewne jej poprzedniczkę.

Mary Johnstone podczas wycieczki z dziewczętami mówiła zwykle jedno i to samo, toteż większość z nich dobrze wiedziała, czego się można spodziewać. Potrafiły nawet robić do siebie przygotowane zawczasu miny. Opowiadała im o tym, jak to Pan Jezus przyszedł do niej i rozmawiał z nią, kiedy leżała w żelaznym płucu. Nie, nie we śnie ani w wyobraźni. Ani nie w majakach. Chodziło o to, że On przyszedł, a ona Go poznała, ale wcale jej się to nie wydało dziwne. Poznała Go natychmiast, chociaż był w stroju lekarza, w białym fartuchu. Pomyślała, że to jasne – przecież inaczej by Go nie wpuścili. Tak to przyjęła. Leżała w tym żelaznym urządzeniu, zarazem świadoma i nieświadoma, jak to bywa, kiedy coś podobnego zdarzy się człowiekowi (chodziło jej o Pana Jezusa, nie o polio). I Pan Jezus powiedział: „Musisz znowu złapać za kij, Mary”. I tyle. Była dobra w softballu, wobec tego On użył takiego języka, jaki,

wiedział, będzie dla niej zrozumiały. Potem odszedł. A ona chwyciła się życia, tak jak jej nakazał.

Później było jeszcze o wyjątkowości i niezwykłości życia każdej z nich oraz o niezwykłości ich ciał, a to prowadziło, rzecz jasna, do tego, co Mary Johnstone nazywała „mówieniem wprost” o chłopcach i popędach. (Właśnie wtedy robiły miny – kiedy mówiła o Panu Jezusie, to się wstydziły). I o alkoholu, i papierosach, i że jedno prowadzi do drugiego. Uważały ją za wariatkę – przecież nie zauważała nawet, że całą noc paliły papierosy, aż im się rzygać chciało. Śmierdziały papierosowym dymem, a ona nie napomknęła o tym słowem.

No więc była wariatką. Ale wszyscy pozwalali jej mówić o Panu Jezusie w szpitalu, ponieważ uważali, że ma prawo w to wierzyć.

Ale powiedzmy, że człowiek coś widział. Nie coś w rodzaju Pana Jezusa, ale coś. To się Maureen zdarzało. Czasem, kiedy się kładła spać, ale jeszcze nie całkiem spała, jeszcze nie śniła, nagle jej się coś przywidywało. A nawet za dnia, w czasie, który uważała za swoje normalne życie. Przywidywało się jej, że siedzi na kamiennych schodach, je czereśnię i przygląda się mężczyźnie, który idzie po tych schodach, niosąc paczkę. Nigdy w życiu nie widziała ani tych schodów, ani mężczyzny, wydawali się jednak przez chwilę częścią innego prowadzonego przez nią życia, życia równie długiego, skomplikowanego, dziwnego i monotonnego jak to tutaj. I wcale nie była tym zaskoczona. Po prostu przypadek, szybko naprawiona usterka, podczas której dowiedziała się o obu jednoczesnych egzystencjach. „To takie zwyczajne – myślała potem. – Czereśnię. Paczka”.

To, co teraz widzi, nie pochodzi z żadnej jej egzystencji. Widzi jedną z tych dłoni o grubych palcach, które wciskały się w jej obrus i grzebały w piórkach; ta dłoń jest wciskana, bez oporu, siłą cudzej woli – jest wciskana w otwarty palnik kuchenny, na którym ona miesza budyń w garnku z podwójnym dnem – i przytrzymywana tam przez krótką chwilę, wystarczającą, żeby ciało zostało przypalone na czerwonym zwoju, przypalone, ale nie okaleczone. Dzieje się to w ciszy i za przyzwoleniem – krótki, barbarzyński i konieczny akt. Przynajmniej tak się wydaje. Ukarana dłoń, ciemna jak rękawiczka albo cień dłoni, palce rozczapierzone. To samo ubranie. Kremowy rękaw, tępy błękit.

Maureen słyszy, że mąż porusza się w hallu od frontu, wobec czego gasi palnik, odkłada łyżkę i wychodzi do niego. Zrobił ze sobą porządek. Jest gotów do wyjścia. Ona wie, bez pytania, dokąd idzie. Na policję, sprawdzić, jakie były doniesienia, jakie podjęto kroki.

– Może bym cię podwiozła? Upał na dworze.

On potrząsa głową, coś mruczy.

– Albo mogłabym cię odprowadzić.

Nie. Wychodzi w poważnych sprawach i byłoby dla niego uwłaczające, gdyby go żona odwoziła czy odprowadzała.

Maureen otwiera mu drzwi, on mówi „Dziękuję” z odrobiną sztywnej staroświeckiej skruchy. Przechodząc koło niej, nachyla się i ściąga wargi w powietrzu na wysokości jej policzka.

Poszli. Na murku nie ma już nikogo.

Heather Bell nie zostanie odnaleziona. Ani ciała, ani śladu. Zniknęła jak popiół. Jej fotografie, rozwieszone w publicznych miejscach, zaczną blaknąć. Uśmiech zamkniętych ust, zaciśniętych w kąciku, jakby powstrzymywała drwiący śmiech, będzie teraz wiązany raczej z jej zniknięciem niż zarzami ze szkolnego fotografa. Będzie zawsze drobnym świadectwem jej wolnej woli.

Pan Siddicup nie okaże się pomocny. Będzie to w stanie otępienia, to znowu szaleństwa. Nic nie znajdą podczas przeszukiwania jego domu, oprócz bielizny żony, a kiedy przekopią ogródek, natrafią tylko na stare kości zakopanych psów. Wiele osób będzie uważało, że on jednak coś zrobił albo coś widział. „Miał z tym coś wspólnego”. Kiedy go zabiorą do Domu dla Umysłowo Chorych, przemienionego teraz w Ośrodek Zdrowia Psychicznego, ukążą się w miejscowych gazetach listy na temat aresztu prewencyjnego oraz tego, że należy być mądrym przed szkodą.

W gazetach będą się również ukazywać listy Mary Johnstone, wyjaśniającej, dlaczego zachowała się tak, a nie inaczej, dlaczego, wedle najlepszej wiary i rozumu, zachowała się tak, a nie inaczej w ową niedzielę. Wreszcie wydawca będzie jej musiał powiedzieć, że Heather Bell przestała być newsem, że miasto pragnie sławy nie tylko z tego powodu i świat się nie zawali, jeśli skończą się piesze wycieczki, i nie można odgrzewać tej historii w nieskończoność.

Ale Maureen jest przecież młodą kobietą, chociaż sama tak nie uważa, i ma całe życie przed sobą. Najpierw śmierć – ta przyjdzie niedługo – potem inne małżeństwo, nowe miejsca,

nowe domy. W kuchniach odległych o setki i tysiące mil będzie patrzyła, jak na grzbiecie drewnianej łyżki tworzy się miękki kożuszek, i wtedy coś w jej pamięci drgnie, ale nie przywróci tej akurat chwili, kiedy się jej wydawało, że widzi wszystkim znaną, jawną tajemnicę, coś, co nie jest zdumiewające, póki się nie spróbuje tego opowiedzieć.

Hotel Jack Randa

Samolot na pasie startowym w Honolulu wytraca szybkość, wytraca zapał, słabnie, zbacza na trawę i hamuje z podskokiem. Zdawałoby się, o kilka jardów od oceanu. Wewnątrz samolotu wszyscy się śmieją. Najpierw cisza, potem śmiech. Gail też się śmieje. Potem pasażerowie zaczynają się przedstawiać jedni drugim. Czyste wariactwo. Oprócz Gail lecą Larry i Phyllis ze Spokane.

Larry i Phyllis, podobnie jak wiele innych par w tym samolocie, lecą na zawody leworęcznych golfistów na Fidzi. Larry jest leworęcznym golfistą – Phyllis to żona, leci, żeby patrzeć, wiwatować, mieć ubaw.

Siedzą w samolocie – Gail i ci leworęczni golfiści – i dostają lunch w piknikowych pudełkach. Nic do picia. Straszny upał. Z kokpitu dochodzą sprzeczne informacje. „Przepraszamy za kłopoty. Nic poważnego, ale wydaje się, że będziemy tu jeszcze chwilę dusić”. Phyllis ma okropną migrenę, którą Larry próbuje zwalczyć, uciskając czubkami palców jej dłoń i przegub.

– Nic z tego – powiada Phyllis. – Mogłabym być teraz w Nowym Orleanie z Suzy.

– Biedactwo – mówi Larry.

Gail dostrzega ostry błysk brylantowych pierścionków, kiedy Phyllis cofa rękę. „Żony miewają brylantowe pierścionki i migreny – myśli Gail. – Również i dzisiaj. Takie, którym się naprawdę udało, mają. Mają pucułowatych mężów, leworęcznych golfistów, gotowych do ustępstw przez całe życie”.

Wreszcie pasażerowie, którzy nie jadą na Fidzi, ale dalej, do Sydney, zostają wyprowadzeni z samolotu. Idą do terminalu, a tam, porzuceni przez przedstawicielkę linii lotniczej, błąkają się, odszukują swoje bagaże, przechodzą przez cło i próbują odnaleźć przewoźnika, który ma rzekomo honorować ich bilety. W pewnym momencie zatrzymuje ich komitet powitalny jednego z tutejszych hoteli, śpiewają im hawajskie pieśni i zarzucają girlandy kwiatów na szyje. Wreszcie jednak znajdują się w innym samolocie. Jedzą, piją, śpią, a kolejki do toalet coraz dłuższe, a śmieci w przejściach coraz więcej, a stewardesy kryją się w swoich klitkach i rozprawiają o dzieciach czy chłopakach. Wreszcie przychodzi intrygujący jasny świt i głęboko w dole ukazuje się biały piasek australijskiego brzegu, dzień stoi na głowie i nawet najlepiej ubrani pasażerowie są wymęczeni i niechętni, odrętwiali, jakby spędzili cały dzień za sterem. A zanim wyjdą z samolotu, zostaną napadnięci raz jeszcze. Do samolotu wtargnie rój owłosionych mężczyzn w szortach i spryska wszystko płynem owadobójczym.

– Może tak właśnie będziemy wchodzić do nieba. – Gail wyobrażała sobie, że mówi do Willa. – Ludzie będą cię obzuwać kwiatami, o które nie prosileś, wszyscy dostaną migreny i zaparcia, a potem spryskają cię środkiem przeciw ziemskim zarazkom.

Stare przyzwyczajenie, żeby wymyślić jakąś inteligentną i pogodną uwagę dla Willa.

Kiedy Will od niej odszedł, Gail miała wrażenie, że sklep zapełnił się kobietami. Niekoniecznie takimi, które by coś kupowały. O to mniejsza. Było tak jak podczas tych długich dni, sprzed Willa. Kobiety siadywały w staroświeckich fotelach i piły kawę za deską do prasowania i stołem krojącym, za słowiałą batikową zasłoną. Gail zaczęła sama mleć kawę, tak jak dawniej. Po pewnym czasie na manekinie krawieckim zawisły paciorki, pojawiły się tu i ówdzie nieprzyzwoite graffiti. Opowiadano historie o mężczyznach, na ogół takich, którzy odeszli. Same kłamstwa, oszustwa i awantury. Zdrady tak okropne – ale tak banalne – że człowiek, słysząc o nich, tarzał się ze śmiechu. Mężczyźni, którzy wygłaszali idiotyczne przemówienia („Przykro mi, ale nie czuję się już zobowiązany do tego małżeństwa”), którzy proponowali odsprzedać żonom zakupione niegdyś przez nie samochody i meble. Szaleli, brykali, zachwyceni, że udało im się zapłodnić jakąś rozkoszną podfruwajkę, młodszą od ich własnych dzieci. Byli okropni i dziecinni. Więc co można lepszego zrobić, jak im nie ustąpić? Zachowując honor, dumę i dbając o własne bezpieczeństwo.

Gail szybko przestało to bawić. Nadmiar kawy sprawia, że cera człowiekowi żółknie. Między paniami powstał ukryty konflikt, kiedy się okazało, że jedna z nich umieściła anons w rubryce „Osobiste”. Gail przerzuciła się z kawy z przyjaciółkami na drinki z Cleatą, matką Willa. I wtedy, co dziwne, jakby ją naszło otrzeźwienie. Wciąż było trochę szaleństwa

w karteczkach, jakie przypinała na drzwiach, żeby móc wcześniej wyjść w letnie popołudnie. (Donald, jej sprzedawczyni, miała urlop, a najmować kogoś teraz to za wielki kłopot).

„Wysłałam do opery”.

„Wysłałam do domu wariatów”.

„Wysłałam na zakupy do Sackcloth i Ashes”.

Tak naprawdę to nie były jej własne pomysły, tylko Willa; pisał je i naklejał na jej drzwiach wtedy, dawniej, kiedy chcieli iść na górę. Słyszała, że ta nieodpowiedzialność irytowała ludzi, którzy przyjeżdżali z daleka, żeby kupić suknię ślubną, albo dziewczyny, które się wyprawiały na sprawunki przed wyjazdem do college’u. Nic ją to nie obchodziło.

Gail znajdowała pocieszenie na werandzie u Cleaty i zaczynała jej wracać nadzieja. Cleata, jak większość prawdziwych pijaków, trzymała się jednego trunku – w jej wypadku była to szkocka – a wariacje tylko ją śmieszyły. Ale mieszała dla Gail gin z tonikiem, biały rum z wodą sodową. Zapoznała ją z tequilą. „Niebo” – mówiła czasem Gail, lecz nie chodziło jej tylko o napój, ale też o tę osłoniętą werandę, obrośnięty żywopłotem ogródek i stary dom, a w nim okiennice na oknach, podłogi pociągnięte werniksem, bezsensownie wysokie szafki kuchenne i staroświeckie zastony w kwiaty. (Cleata gardziła nowościami). W tym domu urodził się Will, a również Cleata, i kiedy Gail weszła tu po raz pierwszy, wprowadzona przez Willa, pomyślała, że tak właśnie żyją ludzie naprawdę cywilizowani. Mieszanina poprawności i niedbalstwa, szacunek dla starych ksiąg i starych talerzy. Absurdalne tematy, jakie Cleata z Willem tak swobodnie podejmowali

w rozmowach. A także te tematy, jakich ona nie podejmowała z Cleatą – niedawne odejście Willa i choroba, wskutek której ręce i nogi jej rozmówczynie zaczęły przypominać pod ciemną opalenizną werniksowane patyki, a policzki zapadały się coraz głębiej w ramie podwiniętych białych włosów. Mieli oboje – ona i Will – podobne, nieco błazeńskie twarze o marzących, drwiących ciemnych oczach.

Zamiast tego Cleata mówiła o książce, którą właśnie czyta. *Kronikę anglosaską*. Mówiła, że wczesne średniowiecze jest dla nas trudne do zrozumienia, dlatego że nie potrafimy spać pamiętać wszystkiego, czego nas o nim uczono, a to przez te imiona.

– Caedwalla – mówiła. – Egfrith. To nie są imiona, jakich używasz na co dzień.

Gail próbowała sobie przypomnieć, które to wieki czy stulecia składały się na wczesne średniowiecze, ale nie wstydziła się swojej ignorancji. Cleata i tak wyśmiewała się z tego wszystkiego.

– Aelfflaed – mówiła i literowała. – Cóż to za bohaterka ta Aelfflaed?

W listach do Willa Cleata najprawdopodobniej pisała o Aelfflaed i Egfrith. Nie o Gail. Nie, że „Gail była u mnie, wyglądała bardzo ładnie w takiej letniej, jedwabiście szarej piżamie. Jest w dobrej formie, mówiła dużo zabawnych rzeczy...”. Równie dobrze mogłaby na przykład rzucić w rozmowie z Gail: „Niepokoją mnie te gołąbki. Wydaje mi się, czytam między wierszami, że nadchodzi coś... jakby rozczarowanie”.

Kiedy Gail poznała Willa i Cleatę, sprawiali na niej wrażenie postaci z powieści. Syn w średnim wieku mieszkający wciąż z matką, najwidoczniej zgodnie. Poznała sposób życia ceremonialny, niedorzeczny, godny zazdrości, posiadający co najmniej pozór uroku i bezpieczeństwa celibatu. Wciąż jeszcze widziała tego trochę, choć prawdę mówiąc, Will nie zawsze mieszkał w domu i ani nie żył w celibacie, ani w dyskretnym związku homoseksualnym. Wyjechał na długie lata, żył własnym życiem – pracował w Narodowej Radzie Filmowej i kanadyjskim radiu – i bardzo niedawno zostawił to wszystko, wrócił do Walley i został nauczycielem w college’u. Co go stamtąd wyгнаło? To i tamto, powiadał. Machiavello wie tu i ówdzie. Najwyższy wieżowiec. Przemęczenie.

Gail przyjechała do Walley podczas wakacji w latach siedemdziesiątych. Chłopak, z którym była wtedy, budował łodzie, a ona sprzedawała to, co wcześniej uszyła – pelerynki z aplikacjami, bluzki z bufiastymi rękawami, długie kolorowe spódnice. Kiedy przyszła zima, znalazła sobie kąt za sklepem rękodzielniczym. Wywiedziała się, jak importować poncha i grube skarpety z Boliwii i Gwatemali. Znalazła miejscowe kobiety, które potrafiły robić swetry na drutach. Pewnego dnia Will zatrzymał ją na ulicy i spytał, czy nie pomogłaby mu przy kostiumach do sztuki, jaką akurat wystawia – *Niewiele brakowało*. Jej chłopak przeniósł się do Vancouveru.

Od razu powiedziała mu różne rzeczy o sobie, na wypadek gdyby pomyślał, że jako osoba z dobrym fizycznym potencjałem, różową skórą i szerokim, łagodnym czołem szczególnie się nadaje na kobietę, z którą można budować rodzinę.

Powiedziała mu, że miała dziecko i że kiedy ona i jej chłopak przewozili pożyczoną ciężarówką meble z Thunder Bay do Toronto, zdarzył się wypadek – zatruli się tlenkiem węgla, im się tylko zrobiło niedobrze, ale dziecko, siedmiotygodniowe, umarło. Gail chorowała po tym – miała zapalenie miednicy. Doszła do wniosku, że nie chce mieć więcej dzieci, co zresztą byłoby i tak trudne, więc dokonała usunięcia macicy.

Will ją ubóstwiał. Tak mówił. Nie uważał, że jego obowiązkiem jest zakrzyknąć: Co za tragedia! Nie sugerował, nawet w zawołany sposób, że ta śmierć to skutek dokonywanych przez nią wyborów. Był nią wtedy zauroczony. Uważał, że jest dzielna, wielkoduszna, pomysłowa i utalentowana. Kostiumy, jakie dla niego zaprojektowała i wykonała, były doskonałe, cudowne. Zdaniem Gail to, jak oceniał jej osobę i życie, świadczyło o wzruszającej niewinności. Uważała, że wcale nie jest otwarta i szlachetna, wręcz przeciwnie, za często się martwi i narzeka, masę czasu poświęca na pranie i troskę o pieniądze czy wyobrażanie sobie, ile to zawdzięcza każdemu mężczyźnie, który się nią zainteresował. Nie myślała wtedy, że jest zakochana w Willu, ale podobał się jej z wyglądu – energiczna sylwetka, tak prosta, że sprawiał wrażenie wyższego, niż był, odrzucona do tyłu głowa, wysokie, połykające czoło, sprężysta kreza siwiejących włosów. Lubiła mu się przyglądać podczas prób albo gdy rozmawiał z uczniami. Jakiż się wydawał zdolny i śmiały jako reżyser, cóż za silna osobowość, kiedy kroczył po salach liceum czy ulicach miasta. No i to odrobinę staroświeckie uwielbienie, jakie jej okazywał, ta grzeczność kochanka, osobliwy urok jego domu

i życia z matką – Gail czuła się jak ktoś, kto otrzymuje niezwykłe powitanie w miejscu, do którego, prawdę mówiąc, nie ma żadnego prawa. Wtedy to nie miało najmniejszego znaczenia. Ona była górą.

No i kiedy przestała być? Kiedy przywykł do tego, że z nią sypia, kiedy zamieszkali razem, kiedy pracowali jak najęci przy swoim domku nad rzeką i kiedy się okazało, że o wiele lepiej niż on radzi sobie z tego rodzaju robotą?

Czyżby uważała, że ktoś musi być górą?

Nadszedł czas, kiedy wystarczył sam ton jego głosu, gdy rzucił po drodze: „Rozwiązało ci się sznurowadło”, i już to – to tylko – napełniało ją rozpaczą, ostrzegało, że wkroczyli w ciemną przestrzeń, w której on ma poczucie, że się na niej straszliwie zawiódł i ma dla niej nieodpartą pogardę. Potykała się czasem, odchodziła z gniewem – przeżywali dni i noce zawziętej beznadziejności. Potem przełom, rozkoszne pojednanie, żarty, zdumienie i ulga. I tak to się układało w ich życiu – ani tego nie rozumiała, ani nie potrafiłaby powiedzieć, czy ono jest takie samo jak życie innych. Ale okresy spokoju chyba się wydłużały, niebezpieczeństwa mijały i Gail ani było w głowie podejrzewać, że on czeka na spotkanie z kimś takim jak ta nowa osoba, Sandy, która wydała mu się równie cudowna i z innego świata jak kiedyś Gail.

Will pewno również tego nie podejrzewał.

Nie miał nigdy wiele do powiedzenia o Sandy – Sandrze – która w zeszłym roku przyjechała do Walley w ramach programu wymiany, by się dowiedzieć, jak uczą o teatrze w szkołach kanadyjskich. Powiedział, że jest młoda i gniewna. A później

dodał, że ona pewno nie zna tego określenia. Wkrótce wokół jej imienia zaczęło się coś zbierać, jakby elektryczność albo zagrożenie. Gail dostała od kogoś wiadomość, że Sandy rzuciła Willowi wyzwanie w obliczu całej klasy. Oświadczyła, że sztuki, które on chce przerabiać, są „nierewelacyjne”. A może „nierewolucyjne”.

– Ale ona mu się podoba – powiedziała jedna z uczennic. – O, tak, bardzo mu się podoba.

Sandy nie została długo. Pojechała dalej, dowiadywać się, jak uczą o teatrze w innych szkołach. Ale pisała do Willa, a on zapewne jej odpisywał. Ponieważ wyszło na to, że się zakochali. Will i Sandy zakochali się w sobie na serio i po zakończeniu roku szkolnego Will pojechał za nią do Australii.

Zakochali się na serio. Will jej to powiedział. Kiedy to mówił, Gail paliła trawkę. Wróciła do narkotyków, ponieważ przebywanie z Willem tak ją denerwowało.

– Mówisz, że nie chodzi o mnie? – spytała. – Mówisz, że to nie ze mną kłopot?

Ulżyło jej ogromnie. Zrobiła się hałaśliwa i zaczepna i zaciągnęła Willa do łóżka.

Rano unikali przebywania w tym samym pokoju. Postanowili, że nie będą ze sobą korespondować. Może kiedyś, później, powiedział Will. Gail odpowiedziała:

– Jak chcesz.

Ale pewnego dnia Gail zobaczyła w domu Cleaty kopertę zaadresowaną jego ręką i zostawioną w widocznym miejscu. Położyła ją tam Cleata. Cleata, która nigdy ani słowem nie wspomniała o uciekinierach. Gail zapisała adres nadawcy:

16 Eyre Rd. Toowong, Brisbane, Queensland, Australia. I właśnie wtedy, kiedy zobaczyła pismo Willa, zdała sobie sprawę, że wszystko stało się dla niej bezużyteczne. Ten przedwiktoriański dom z surowym frontem w Walley i weranda od ogrodu, i drinki, i drzewo katalpy, na które zawsze patrzyła. Wszystkie drzewa i ulice Walley, wszystkie wyzwajające, przynoszące ulgę widoki na jezioro i pociecha, jaką był sklep. Zbędne wycinanki, imitacje i rekwizyty. Prawdziwy obraz pozostawał skryty przed nią, w Australii.

To dlatego znalazła się w samolocie obok kobiety z brylantami na palcach. Sama nie miała pierścionków na palcach, nie miała lakieru na paznokciach – jej skóra stała się wysuszona od ciągłego kontaktu z tkaninami. Nazywała to, co szyła, rękodziełem, póki Will jej nie speszył jakoś w związku z tą nazwą. Wciąż nie bardzo rozumiała, co w niej było złego.

Sprzedawała sklep – sprzedała go Donaldzie, która od dawna chciała go kupić. Wzięła pieniądze i przygotowała się na wyjazd do Australii, ale nie powiedziała nikomu, dokąd jedzie. Kłamała, opowiadając o długich wakacjach, które zacznie od Anglii. Potem może do Grecji na zimę, a jeszcze później – kto tam wie?

W wieczór przed wyjazdem dokonała własnego przeobrażenia. Ścięła gęste rudo-siwe włosy i zmyła to, co zostało, ciemnobrązową płukanką. Kolor, jaki z tego wyszedł, był dziwny – ciemnorudy, wyraźnie sztuczny, ale zbyt ponury, by przypuścić, że zależało jej na efekcie. Wybrała sobie ze sklepu – chociaż jego zawartość już do niej nie należała – sukienkę, jakiej normalnie nigdy by nie nosiła, sukienkę

z zakietem z ciemnoniebieskiego, przypominającego len poliestru w jaskrawe czerwone i żółte pasy. Była wysoka i szeroka w biodrach, ubierała się na ogół luźno, zwiewnie. Ta sukienka robiła z niej kloc w ramionach i przecinała nogi w najbardziej niekorzystnym miejscu, nad kolanami. Co sobie wyobrażała, kogo próbowała z siebie zrobić? Kobieta, z jaką Phyllis chciałyby grać w brydża? Jeśli tak, to się pomyliła. Wyszła na osobę, która całe życie nosiła jakiś uniform, miała jakąś stałą, nędznie płatną posadę (może w kafeterii szpitalnej?) i wybierając się na te jedyne, wymarzone wakacje, wydała fortunę na szykowną sukienkę, która się okaże nieodpowiednia i niewygodna.

To nie ma znaczenia. To przebranie.

W toalecie lotniska, na nowym kontynencie widzi, że ciemna farba do włosów, niedostatecznie spłukana poprzedniego wieczoru, zmieszana z potem, ścieka jej po szyi.

Gail wylądowała w Brisbane, w dalszym ciągu nie bardzo wiedząc, jaka jest pora dnia, prześladowana upałem. Wciąż miała na sobie tę okropną sukienkę, ale umyła włosy i farba przestała puszczać.

Bierze taksówkę. Chociaż jest taka zmęczona, nie może znaleźć miejsca, nie może spocząć, póki nie zobaczy, gdzie oni mieszkają. Kupiła już przedtem mapę i znalazła Eyre Road. Krótka zakrzywiona uliczka. Prosi taksówkarza, żeby ją wypuścił na rogu przy małym sklepiku spożywczym. To tutaj pewno kupują mleko i inne rzeczy, jak im zabraknie. Proszki do mycia naczyń, aspirynę, podpaski.

To, że Gail nigdy w życiu nie widziała Sandy, źle wróżyło, rzecz jasna. Wynikało z tego, że Will bardzo wcześnie się zorientował. Późniejsze starania, by wydobyć jej opis, niewiele przyniosły. Raczej wysoka niż niska. Raczej chuda niż gruba. Raczej jasna niż ciemna. Gail miała w głowie obraz jednej z tych długonogich, krótkowłosych, energicznych i po chłopcemu atrakcyjnych dziewczyn. Kobiet. Ale gdyby wpadła na Sandy, toby jej nie poznała.

Czy ktokolwiek poznałby Gail? W ciemnych okularach i z nieprawdopodobnym kolorem włosów czuła się tak odmieniona, że niemal niewidoczna. Odmieniało ją również to, że znajdowała się w obcym kraju. Jeszcze się do niego nie dostroiła. A kiedy już się dostroi, to może nie będzie śmiała robić tak odważnych kroków jak w tej chwili. Musi się przejść po tej ulicy, spojrzeć na ten dom, zaraz, teraz, inaczej może się okazać w ogóle do tego niezdolna.

Ulica, jaką wspinała się taksówka, była stroma, prowadziła w górę od brązowej rzeki. Eyre Road biegnie po grani. Nie ma chodnika, jest tylko ubita ścieżka. Żadnych przechodniów, żadnych przejeżdżających samochodów, ani odrobiny cienia. Ogrodzenia z desek albo czegoś jak plecionka – drągów i kijów przeplecionych gałęziami – albo czasem z wysokich, obsypanych kwiatami żywopłotów. Nie, to nie kwiaty, to liście o fioletoworóżowawej czy szkarłatnej barwie. Spod ogrodzeń wychylają się drzewa, nieznane Gail. Okryte są zakurzonymi, twardymi z pozoru liśćmi, mają łuskowatą czy włóknistą korę, są jak sfatygowane dekoracje. Wyrażają obojętność albo i pewną nieżyczliwość, jaką przypisywała

tropikom. Ścieżką przed nią maszerują dwie perliczki, majestatycznie i groteskowo.

Dom, w którym mieszkają Will i Sandy, jest ukryty za ogrodzeniem z desek pomalowanych na jasnozielony kolor. Gail czuje skurcz serca – bolesny ścisk w sercu na widok tego ogrodzenia, tej zieleni.

Uliczka jest ślepa, więc Gail musi zawrócić. Przechodzi ponownie obok domu. W ogrodzeniu są bramy pozwalające na wjazd i wyjazd samochodu. Jest również skrzynka na listy. Widziała już taką w ogrodzeniu innego domu, a zauważyła ją dlatego, że z otworu wystawała gazeta. To znaczy, że skrzynka nie jest głęboka i że jeśli się wsunie rękę w otwór, można wyciągnąć kopertę leżącą na dnie. Jeśli nie została jeszcze zabrana przez kogoś z domowników. I Gail wsuwa rękę. Nie może się powstrzymać. Tak jak przypuszczała, znajduje tam list. Wkłada go do torebki.

Ze sklepiku na rogu zamawia taksówkę.

– Z której części Stanów pani przyjechała? – pyta sklepikarz.

– Z Teksasu – odpowiada. Przyszło jej do głowy, że może oni by chcieli, żeby była z Teksasu, i rzeczywiście, sklepikarz unosi brwi i gwizdże.

– Tak myślałem – mówi.

Pismo na kopercie należy do Willa. Więc to nie jest list do Willa, ale list od niego. List, który wysłał do pani Catherine Thornaby, Hawtre Street 491. Również w Brisbane. Ktoś inny napisał na kopercie w poprzek: „Zwrot do nadawcy.

Adresat zmarł 13 wrześn.”. Przez chwilę, w tym zamęcie, wydaje się Gail, że to Will umarł.

Musi się uspokoić, zebrać myśli, zejść na chwilę ze słońca.

Mimo to, kiedy przeczyta list w hotelu i oporządzi się, wezwie znowu taksówkę, tym razem na ulicę Hawtre, i tak jak przewidywała, zobaczy w oknie anons: „Mieszkanie do wynajęcia”.

Ale co też jest w liście, jaki Will napisał do p. Catherine Thornaby mieszkającej na ulicy Hawtre?

Szanowna Pani,

Nie zna mnie Pani, ale mam nadzieję, że kiedy wyjaśnię, o co mi chodzi, będziemy mogli się spotkać i porozmawiać. Przypuszczam, że mogę się okazać Pani kanadyjskim kuzynem, ponieważ mój dziadek przybył z Northumberland do Kanady w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, a jego brat wyemigrował w tym samym czasie do Australii. Mój dziadek miał na imię William, tak jak ja, a jego brat – Thomas. Nie mam, oczywiście, dowodu na to, że jest Pani potomkinią tego Thomasa. Po prostu zajrzałem do książki telefonicznej Brisbane i z przyjemnością stwierdziłem, że jest w niej Thornaby, w ten sposób pisane. Zawsze myślałem, że wyszukiwanie koligacji to najgłupsze, najnudniejsze zajęcie na świecie, ale teraz, kiedy to właśnie robię, czuję dziwne podniecenie. Być może to mój wiek – mam 56 lat – skłania mnie do poszukiwania rodzinnych związków. Poza tym mam teraz o wiele więcej wolnego czasu, niż zwykle mieć. Moja żona pracuje z tutejszym zespołem teatralnym, jest nieustannie zajęta. To bardzo zdolna i energiczna młoda kobieta (zawsze

mnie napomina, kiedy o kobiecie, która ma ponad 18 lat, mówię „dziewczyna”, a ona sama ma 28!). Prowadziłem zajęcia z teatru w liceum w Kanadzie, ale dotąd nie znalazłem pracy w Australii.

Żona. Stara się przyzwoicie wyglądać w oczach ewentualnej kuzynki.

Szanowny Panie,

Nasze wspólne nazwisko może być bardziej pospolite, niż się Panu zdaje, chociaż jestem w tej chwili jedyną jego reprezentantką w księżce telefonicznej Brisbane. Być może nie jest Panu wiadome, że nazwisko pochodzi od Thorn Abbey, opactwa, którego ruiny można obejrzeć w Northumberland. Pisownia jest różna – Thornaby, Thornby, Thornabbey, Thornabby. W wiekach średnich imię właściciela dworu przyjmowali jako nazwisko wszyscy ludzie pracujący w dworskiej majątności, łącznie z rolnikami, kowalami, stolarzami i tak dalej. W rezultacie na świecie jest wielu ludzi posługujących się nazwiskiem, do którego w gruncie rzeczy nie mają prawa. Tylko tacy, co potrafią udowodnić swoją przynależność do rodziny od dwunastego wieku, to prawdziwi, herbowi potomkowie rodziny Thornaby. To znaczy, mają prawo do używania publicznie rodzinnego herbu. Należę do tych ostatnich, a ponieważ nie wspomina Pan o swoim herbie i nie sięga w swojej genealogii dalej niż do owego Williama, przypuszczam, że Pan do nich nie należy. Mój dziad miał na imię Jonathan.

Gail pisze to wszystko na starej przenośnej maszynie do pisania, kupionej na tej samej ulicy, tylko nieco dalej, w sklepie

ze starzyzną. Mieszka już pod numerem 491 na Hawtre Street, w kamienicy o nazwie Miramar. Jest to piętrowy budynek pokryty spłowieżółtym tynkiem, z dwoma słupami – ślimacznicami – przy okratowanym wejściu. W stylu pozornie mauretańskim, hiszpańskim czy kalifornijskim, jak ze starego filmu. Gospodarz powiedział jej, że mieszkanie jest bardzo nowoczesne.

– Wynajmowała je pewna starsza pani, ale musiała iść do szpitala. Potem, jak umarła, zgłosił się ktoś i zabrał jej rzeczy, ale podstawowe umeblowanie zostało, bo wchodzi w skład wyposażenia mieszkania. Z jakiej części Stanów pani przyjechała?

Z Oklahomy, powiedziała Gail. Pani Massie z Oklahomy.

Gospodarz wygląda na jakieś siedemdziesiąt lat. Nosi okulary, które powiększają mu oczy, chodzi szybkim, ale nie bardzo pewnym krokiem, wychyla się do przodu. Opowiada o kłopotach – coraz większy napływ cudzoziemców, dlatego trudno teraz znaleźć dobrych rzemieślników, poza tym niektórzy lokatorzy tacy nieuważni, a przechodnie złośliwi, stale zaśmiecają trawnik. Gail pyta, czy zawiadomił już pocztę. Powiada, że miał zamiar, ale ta pani nie dostawała właściwie żadnych listów. Przyszedł tylko jeden. To dziwne, przyszedł w dzień po jej śmierci. Zwrócił go do adresata.

– Ja to załatwię – mówi Gail. – Zawiadomię urząd pocztowy.

– Będę to musiał podpisać. Niech pani weźmie od nich formularz, ja go podpiszę, a pani będzie mogła oddać. Będę zobowiązany.

Ściany w mieszkaniu pomalowano na biało – to pewno ma świadczyć o owej nowoczesności. Bambusowe rolety, mała kuchnia, zielona rozkładana kanapa, stół, komoda i dwa krzesła. Na ścianie wisi jeden obraz albo malowidło, albo podbarwiona fotografia. Pustynny żółto-zielony krajobraz ze skałami i kępami szaławii, a w oddali zamglone góry. Gail jest pewna, że już gdzieś to widziała.

Zapłaciła czynsz gotówką. Przez pewien czas miała masę zajęć: kupowała pościel, ręczniki, coś do jedzenia, kilka talerzy i garnków oraz maszynę do pisania. Musiała otworzyć konto w banku, przemienić się z podróżniczki w stałego mieszkańca. Sklepy znajdowały się przecznicę dalej. Sklep spożywczy, sklep ze starzyzną, drogeria, herbaciarnia. Wszystko to skromniutkie, w drzwiach wiszą paski kolorowego papieru, drewniane daszki nad chodnikiem przy wejściu. Oferta niewielka. W herbaciarni są tylko dwa stoliki, sklep ze starzyzną oferuje niewiele więcej ponad zawartość jednego przeciętnego gospodarstwa domowego, przeznaczoną do wyrzucenia. W sklepie spożywczym pudełka płatków zbożowych, w drogerii butelki syropu na kaszel i opakowania tabletek, wszystko wyłożone osobno na półkach niby przedmioty szczególnej wartości lub szczególnego znaczenia.

Ale znalazła, co chciała. W sklepie ze starzyzną zobaczyła luźną bawełnianą sukienkę w kwiaty i słomkową torbę na zakupy. Teraz wygląda jak jedna z wielu spotykanych tutaj na ulicy. Gospodynie domowe w średnim wieku z gołymi, ale bladymi ramionami i nogami; wychodzą na sprawunki wcześniej rano albo późnym popołudniem. Kupiła sobie

również miękki słomkowy kapelusz, będzie osłaniać twarz jak tutejsze kobiety. Nieokreślone, miękkie, jakby piegowate, migotliwe twarze.

Noc przychodzi zniecka około szóstej, więc musi znaleźć coś do roboty wieczorami. W mieszkaniu nie ma telewizora. Ale tuż niedaleko, za rzędem sklepów jest wypożyczalnia książek, którą prowadzi pewna starsza pani we własnym domu w pokoju od frontu. Ta pani nosi siatkę na włosach i szare fildekosowe pończochy, mimo upału. (Gdzie dzisiaj można dostać szare fildekosowe pończochy?). Robi wrażenie niedożywionej, ma bezbarwne, cienkie, zaciśnięte wargi. Ją właśnie widzi w wyobraźni Gail, pisząc listy w imieniu Catherine Thornaby. Myśli o niej zawsze jako o Catherine Thornaby, przy każdym spotkaniu, które zdarza się niemal codziennie, ponieważ można pożyczyć tylko jedną książkę na raz, a Gail czyta na ogół jedną w wieczór. „To jest – myśli Gail – Catherine Thornaby; umarła i została przeniesiona w inną egzystencję kilka przecznic dalej”.

Cała ta historia z herbowymi i nieherbowymi Thornabymi wzięła się z książki. Nie z jednej z tych, które Gail czyta teraz, ale takiej, którą poznała w młodości. Bohaterem był nie tyle herbowy, ile szlachetny dziedzic wielkiego majątku. Nie pamiętała tytułu. Żyła wówczas wśród ludzi, którzy czytali takie rzeczy jak *Wilk stepowy* lub *Diuna* czy coś pióra Krishnamurtiego, a historyczne romanse brała do ręki ze wstydem. Nie sądziła, żeby Will sięgnął kiedykolwiek po taką książkę albo żeby gdzieś znalazł podobne informacje. I pewna była, że odpisze, aby dać Catherine po nosie.

Czeka i czyta książki z wypożyczalni, które pochodzą chyba z czasów jeszcze dawniejszych niż romanse, jakie były jej lekturą przed dwudziestu laty. Niektóre brała z publicznej wypożyczalni w Winnipegu, jeszcze nim opuściła dom, i nawet wtedy wydawały się jej staroświeckie. *Dziewczyna z Limberlost. Błękitny zamek. Maria Chapdelaine.* Tego rodzaju książki przypominały jej, oczywiście, o własnym życiu sprzed Willa. Istniało takie życie i mogła wciąż jeszcze, jeśliby chciała, coś z niego ocalić. Ma siostrę mieszkającą w Winnipegu. Ma tam również, w domu starców, ciotkę, która czyta książki po rosyjsku. Dziadkowie Gail przyjechali z Rosji, jej rodzice mówili jeszcze po rosyjsku, jej prawdziwe imię to Galia, a nie Gail. Odcięła się od własnej rodziny – albo oni odcięli się od niej – kiedy jako osiemnastolatka opuściła dom, żeby się włóczyć po całym kraju, jak to bywało w tamtych czasach. Najpierw z przyjaciółmi, potem z chłopakiem, potem z innym chłopakiem. Nawlekała paciorki na sznurek, farbowała chustki i sprzedawała na ulicy.

Szanowna Pani,

Winien jestem Pani podziękowanie za objaśnienie, jak istotna różnica dzieli herbowych Thornabych od nieherbowych. Obawiam się, że ma Pani poważne podejrzenia, iż należę do tych drugich. Przepraszam – nie miałem zamiaru wkraczać w tak święty obszar ani nosić herbu Thornabych na koszulce polo. W moim kraju nie przywiązujemy wielkiej wagi do tych spraw i myślałem, że w Australii jest podobnie, ale najwidoczniej się myliłem. Być może jest Pani w zbyt zaawansowanym wieku, by

zauważyć zmiany systemu wartości. Ze mną sprawa ma się inaczej, jako że jestem nauczycielem z zawodu, a ponadto muszę sprostać żywej argumentacji młodej żony.

Miałem niewinny zamiar poznać kogoś spoza teatralno-akademickiego kręgu, w jakim jesteśmy zamknięci, ja i moja żona. Mam w Kanadzie matkę, której mi brak. W gruncie rzeczy Pani list trochę mi ją przypomniał. Umiąłaby napisać taki list dla żartu, wątpię jednak, czy Pani żartuje. Wydaje mi się to raczej przypadkiem rodowej egzaltacji.

Kiedy jest obrażony lub poruszony na jakiś sposób – trudny do przewidzenia i trudny na ogół do rozpoznania – robi się niezdarne sarkastyczny. Opuszcza go dowcip. Wali jak cepem i w rezultacie ludzie czują się zakłopotani nie ze względu na siebie, ale na niego. To się rzadko zdarza, a jeśli się zdarza, to znaczy, że czuje się głęboko niedoceniany. To znaczy, że wręcz przestał sam siebie doceniać.

No więc tak to wygląda. Zdaniem Gail. Sandy i jej młodzi przyjaciele, z tą szaloną pewnością siebie, z tą prymitywną uczciwością, sprawili, że czuje się nieszczęśliwy. Nie poznali się na jego dowcipie, jego fascynacje wydały im się staromodne. A on nie potrafi sprawić, żeby doceniali jego obecność. Duma z przywiązania do Sandy powoli zaczyna kwaśnieć.

Tak jej się zdaje. Jest nieszczęśliwy, niepewny siebie. Rozgląda się, chce kogoś poznać. Nagle przyszedł mu do głowy więzy rodzinne tu, w tym kraju nieustannego kwitnienia, bezczelnie żywotnych ptaków, upalnych dni i nocy, które zapadają jak kłody.

Szanowny Panie,

Czy doprawdy wyobrażał Pan sobie, że z powodu identyczności nazwiska otworzę przed Panem szeroko drzwi i wystawię powitalne wycieraczki, jak to się mówi w Ameryce i, oczywiście, w Kanadzie również. To, że rozgląda się Pan tutaj za drugą matką, nie znaczy, że mam nią być. A przy okazji, myli się Pan co do mojego wieku – jestem od Pana o kilka lat młodsza, więc niech Pan sobie nie wyobraża mnie jako starszawej panny z siatką na włosach i w szarych fildekosowych pończochach. Znam świat zapewne równie dobrze jak Pan. Wiele podróżuję, robię zakupy konfekcji mody dla dużej firmy. Moje poglądy nie są więc tak staroświeckie, jak Pan sobie wyobraża.

Nie mówi Pan, czy Pańska zapracowana, energiczna młoda małżonka ma zostać członkiem tego rodzinnego grona? Dziwię się, że Pan odczuwa potrzebę nowych kontaktów. Ciągle słyszę albo czytam o tych ożywczych, świeżych związkach, o tym, jak świetnie odnajdują się mężczyźni w domowym szczęściu i poczuciu ojcostwa. (Ale nie słyszę o tego rodzaju „próbnych związkach” z kobietami zbliżonymi do nich wiekiem ani też o tym, jak te kobiety dają sobie radę w samotnym życiu!). Więc może powinien Pan zostać tatą, żeby osiąść „rodzinną świadomość”.

Gail jest zadziwiona, jak lekko przychodzi jej ta twórczość. Pisanie sprawiało jej nieodmiennie trudności, rezultaty zawsze wychodziły źle, niejasno, masa myślników, niepełnych zdań i narzekań na brak czasu. Skąd wzięła ten wspaniale zjadliwy styl – z jakiejś książki, tak jak te herbowe brednie? Wychodzi w ciemności na dwór, żeby nadać list, jest zuchwała

i pewna siebie. Ale budzi się następnego dnia o świcie z myślą, że chyba posunęła się za daleko. On nigdy nie odpowie na ten list, nigdy już nic od niego nie przyjdzie.

Wstaje, wychodzi z domu, idzie na spacer. Sklepy są jeszcze zamknięte, we frontowych oknach wypożyczalni zepsute żaluzje zostały zaciągnięte, na ile się dało. Dochodzi aż do rzeki, gdzie za hotelem leży skrawek parku. Później nie ma tu szansy na spacer – na hotelowych werandach zawsze pełno hałaśliwych piwoszków, a park jest w zasięgu ich głosów i na rzut butelką. Teraz werandy są puste, drzwi zamknięte, więc wchodzi pomiędzy drzewa. Brązowe wody rzeki ciągną się niemrawo pośród kikutów mangrowców. Nad wodą polatują ptaki, przysiadają na dachu hotelu. To nie są mewy, jak z początku myślała. Są mniejsze, a na śnieżnobiałych skrzydłach i piersiach mają smużkę różu.

W parku siedzi dwóch mężczyzn – jeden na ławce, drugi na wózku inwalidzkim. Poznaje ich – mieszkają w tym samym domu co ona i codziennie wychodzą na spacer. Raz przytrzymała im otwieraną kratę przy wejściu. Widywała ich w sklepach i przez witrynę herbaciarni, siedzących przy stoliku. Mężczyzna w fotelu inwalidzkim wydaje się leciwy i schorowany. Ma twarz pomarszczoną jak łuszczący się stary portret. Nosi ciemne okulary, czarny jak węgiel tupecik, a na nim czarny берет. Zawsze jest owinięty pledem. Nawet w późniejszych godzinach, kiedy grzeje słońce – za każdym razem, kiedy ich widzi, jest owinięty tym pledem. Ten drugi, który pcha wózek, a teraz siedzi na ławce, jest tak młody, że można go wziąć za przerośniętego chłopca. Wysoki,

o długich rękach i nogach, ale niemęski. Młody olbrzym, zdumiony własnymi rozmiarami. Silny, ale nie atletyczny, z jakąś sztywnością w rękach i nogach, może to skutek nieśmiałości? Rudy, nie tylko ruda głowa, ale włosy na gołych ramionach i nad guzikiem koszuli.

Gail zwalnia obok nich i mówi „dzień dobry”. Młody człowiek odpowiada niemal niedosłyszalnie. Zwykle spogląda na wszystko z królewską obojętnością, ale Gail się teraz wydaje, że jej pozdrowienie trochę go zakłopotало albo zaniepokoiło. Mimo to mówi dalej. Pyta:

– Co to są za ptaki, te, które tu wszędzie widzę?

– Papugi galaki – odpowiada młody człowiek, a to słowo brzmi jak jej imię z dzieciństwa. Gail chce go poprosić, żeby powtórzył, ale w tym momencie mężczyzna na wózku wybuchą czymś, co jest chyba stekiem wyzwisk. Słowa są splątane, niezrozumiałe dla niej, akcent australijski na akcencie europejskim, ale wezbrana wściekłość jest oczywista. I te wszystkie słowa są skierowane do niej – mężczyzna wychyla się do przodu, właściwie szarpie się z przytrzymującymi go pasami. Chce na nią skoczyć, rzucić się na nią, przepędzić ją stąd. Młody człowiek nie przeprosza, nie zwraca uwagi na Gail, ale pochyla się nad chorym i łagodnie odchyła go do tyłu, mówi do niego coś, czego Gail nie słyszy. Rozumie, że nie otrzyma wyjaśnień. Odchodzi.

W ciągu dziesięciu następnych dni nie ma żadnego listu. Ani słowa. Gail nie wie, co robić. Codziennie chodzi na spacer – to jej najczęstsze zajęcie. Miramar znajduje się nie dalej niż o milę od ulicy, na której mieszka Will. Nie chodziła

tam później, nie weszła do tego sklepiku, gdzie mówiła, że przyjechała z Teksasu. Nie rozumie dziś, jak mogła być wtedy, tego pierwszego dnia, taka śmiała. Spaceruje po sąsiednich uliczkach. One wszystkie biegną po graniach. Między graniami, na których przycupnęły domy, leżą głębokie jary o stromych zboczach, pełne drzew i ptaków. Ptaki nie cichną nawet w godzinach największego upału. Sroki wciąż prowadzą podniecone rozmowy, czasem się pokazują i pozorują groźne naloty na jej kolorowy kapelusz. Te ptaki, których nazwa jest podobna do jej imienia, podnoszą przy wzbijaniu głupi wrzask, potem kołują i zapadają wśród liści. Gail chodzi, póki nie poczuje, że jest zlana potem, oślepiąca i bliska porażenia słonecznego. Drży w tym upale – drży z lęku i chęci ujrzenia znajomej sobie postaci Willa: maszerującego raźnie, drobnego i zawadiackiego faceta, który jeden na tym świecie może jej przynieść albo ból, albo ukojenie.

Szanowny Panie,

To tylko kilka słów, żeby przeprosić Pana za moją odpowiedź, jeśli była zbyt pochopna lub niegrzeczna, a sądzę, że była. Ostatnio przeżywałam pewien stres i teraz wzięłam urlop, aby odpocząć. W takich sytuacjach człowiek nie zawsze zachowuje się tak, jak by tego chciał, ani nie widzi wszystkiego równie racjonalnie...

Pewnego dnia przechodzi przez park, mija hotel. Na werandach gwar – popołudniowe drinki. Wszystkie drzewa w parku kwitną jak szalone. Kwiaty są barwy, jaką zna, ale jakiej nigdy nie wyobraziłaby sobie na drzewach – srebrzystego

błękitu albo srebrzystego fioletu – tak delikatnej i pięknej, że wydawałoby się, iż powinna wprowadzać wszystkich w niemą kontemplację, ale najwidoczniej nie wprowadza.

Po powrocie do Miramaru spotyka na klatce schodowej młodego człowieka, tego rudego. Stoi pod drzwiami mieszkania, które zajmuje ze starym człowiekiem. Zza zamkniętych drzwi dochodzą odgłosy tyrady.

Tym razem młody człowiek uśmiecha się do Gail. Ona przystaje i razem nasłuchują.

– Gdyby pan kiedykolwiek chciał posiedzieć i poczekać, to będzie pan mile widziany na górze.

On potrząsa głową i wciąż się uśmiecha, jakby wspólnie żartowali. Jej się wydaje, że powinna coś powiedzieć, zanim go tu zostawi, więc go pyta o drzewa w parku.

– Te drzewa, z tyłu, za hotelem – mówi. – Tam, gdzie panów spotkałam rano. Wszystkie teraz kwitną. Jak się nazywają?

On wypowiada jakieś słowo, którego ona nie dosłyszy. Prosi, żeby powtórzył.

– Jack Randa – powiada. – To jest Hotel Jack Randa.

Szanowna Pani,

Wyjeżdżałem, a po powrocie otrzymałem jednocześnie oba listy Pani. Otworzyłem je w niewłaściwej kolejności, ale to chyba nie ma znaczenia.

*Umarta moja matka. Pojechałem do „domu” do Kanady na pogrzeb. Teraz jest tam chłodno, jesień. Wiele się zmieniło. Cze-
mu chcę to Pani powiedzieć – sam nie wiem. Wyrażnie jakoś się
rozmijamy. Nawet gdybym nie otrzymał od Pani tych kilku słów*

z wyjaśnieniami po pierwszym liście, myślę, że w jakiś szczególny sposób byłbym rad, że dostałem ten pierwszy. Napisałem do Pani uszczypliwy i nieuprzejmy list, a Pani odpisała mi w tym samym tonie. Ta uszczypliwość, nieuprzejmość i skłonność do obrazy wydają mi się jakieś znajome. Czy wolno mi zaryzykować Pani herbowy gniew i przypuścić, że może jednak jesteśmy spokrewnieni?

Czuję się tutaj nieswojo. Uwielbiam moją żonę i jej przyjaciół z teatru, ich zapał, szczerość i zaangażowanie, tę ich nadzieję, że stworzą dzięki swoim talentom lepszy świat. (Często mi się jednak zdaje, iż nadzieja i zaangażowanie są większe niż talenty). Nie potrafię być jednym z nich. Muszę przyznać, że oni to zauważyli wcześniej ode mnie. Pewno dlatego, że jestem ogłupiały po tym locie, po tej okropnej podróży, potrafię to stwierdzić i napisać o tym do kogoś takiego jak Pani, osoby, która ma własne kłopoty i bardzo słusznie dała do zrozumienia, że nie chce sobie zawracać głowy moimi. Nie miałbym Pani za złą, gdyby Pani wcześniej przestała czytać...

Gail leży na kanapie i obiema rękami przyciska ten list do brzucha. Wiele rzeczy się zmieniło. On był w Walley, a więc dowiedział się, że sprzedała sklep i wyruszyła w podróż po świecie. Ale czy nie mógł się tego dowiedzieć już wcześniej, od Cleaty? Chyba nie, Cleata nie lubiła gadać. A kiedy szła do szpitala, tuż przed wyjazdem Gail, powiedziała:

– Nie chcę przez jakiś czas nikogo widzieć, o nikim słyszeć ani dostawać listów. Te zabiegi będą z konieczności wyglądać nieco melodramatycznie.

Cleata nie żyje.

Gail wiedziała, że Cleata umrze, ale wydawało jej się, że wszystko pozostanie, jak jest, nic tam się naprawdę nie zmieni, jak długo ona, Gail, będzie tutaj. Cleata umarła, a Will jest teraz samotny, ma tylko Sandy, a Sandy, zdaje się, przestała mu być bardzo potrzebna.

Ktoś puka do drzwi.

Gail podrywa się w popłochu, rozgląda się za chustką, żeby zakryć włosy. To gospodarz domu, woła ją po przybranym nazwisku.

– Chciałem tylko pani powiedzieć, że ktoś u mnie był i rozpytywał. Pytał o panią Thornaby, a ja mu powiedziałem, że umarła. Umarła już jakiś czas temu. On na to: Naprawdę? A ja: Tak, umarła. A on: To dziwne.

– Czy powiedział dlaczego? – pyta Gail. – Czy powiedział, dlaczego jest dziwne?

– Nie. Powiedziałem, że umarła w szpitalu, a ja mam teraz w tym mieszkaniu nową lokatorkę, panią z Ameryki. Zapomniałem już, skąd pani jest, jak pani mi powiedziała. On też mówił jak Amerykanin, więc może to miało dla niego jakieś znaczenie. Powiedziałem mu, że przyszedł do pani Thornaby list, zaraz jak umarła, czy to pan ten list pisał? Odesłałem go do nadawcy. Tak, powiedział, to ja pisałem ten list, ale nigdy nie dostałem zwrotu. To musi być jakaś pomyłka, powiedział.

Gail mówi, że na pewno nieporozumienie.

– Ktoś kogoś z kimś pomylił.

– Tak. Coś w tym rodzaju.

Szanowna Pani,

Zostałem poinformowany, że Pani zmarła. Wiem, że życie bywa dziwne, ale nie wiedziałem dotąd, że aż tak dziwne. Kim Pani jest i co tu jest grane? Wydaje mi się, że ta łami-główka w sprawie Thornabych miała być tym właśnie – łami-główką. Jest Pani zapewne osobą, która ma dużo wolnego czasu i skłonność do fantazjowania. Nie lubię, kiedy ktoś mnie próbuje nabierać, ale chyba rozumiem pokusę. Myślę, że należy mi się od Pani wyjaśnienie, czy dobrze zgadłem i czy to jakiś dowcip. A może koresponduję z kimś, kto „zakupuje konfekcję” spoza grobu? (Skąd Pani wzięła ten pomysł – a może to prawda?).

Gail wychodzi teraz po sprawunki tylnym wyjściem z domu i idzie do sklepu okrężną drogą. Wracając, napotyka rudowłosego młodzieńca, który stoi między pojemnikami na śmieci. Gdyby nie był taki wysoki, można by przypuścić, że się ukrywa. Gail mówi coś do niego, ale on nie odpowiada. Patrzy na nią przez łyzy, ale te łyzy to jakby zamglone szkła okularów, nic niezwykłego.

– Czy pana ojciec chory? – pyta Gail. Przyjęła, że łączy ich taki związek, chociaż dzieląca ich różnica wieku jest większa, niż bywa na ogół między ojcem i synem, poza tym są zupełnie do siebie niepodobni, no a cierpliwość i oddanie tego młodego człowieka są ogromne – w dzisiejszych czasach może nawet sprzeczne z uczuciami okazywanymi zwykle przez syna. Ale przekraczają również to, co mógłby okazywać płatny opiekun.

– Nie – odpowiada młody człowiek, lecz chociaż wyraz twarzy mu się nie zmienia, coś się rozchodzi po policzkach, pod delikatną skórą rudzielca.

„Kochankowie” – myśli Gail. Nagle robi się tego zupełnie pewna. Przenika ją dreszcz współczucia, czuje dziwną satysfakcję.

Kochankowie.

Po zmroku idzie do swojej skrzynki i znajduje następny list.

Mógłbym przypuszczać, że wyjechała Pani z miasta na jakiś konfekcyjno-zakupowy wypad, ale gospodarz domu powiada, że nigdzie Pani nie wyjeżdżała, odkąd wynajęła Pani mieszkanie, muszę więc założyć, że „urlop” trwa. Powiada również, że jest Pani brunetką. Może moglibyśmy się wymienić rysopisami – potem, z drżeniem serca – fotografiami – w sposób równie prymitywny, jak to robią ludzie, którzy zawierają znajomości przez ogłoszenie w gazecie. Wydaje mi się, że w tych usiłowaniach, żeby Panią poznać, wyraźnie chcą wyjść na idiotę. To, rzecz jasna, nic nowego...

Przez dwa dni Gail nie opuszcza mieszkania. Żyje bez mleka, pije czarną kawę. Co pocznie, kiedy się kawa skończy? Odżywia się dziwacznie – smaruje tuńczyka na krakersach, kiedy zbraknie jej chleba na kanapki, zjada zeschniętą resztkę sera, kilka sztuk mango. Wspina się na górny podest schodów Miramaru – najpierw uchyla tylko drzwi, wacha, czy powietrze nie zdradzi obcego – i podchodzi do łukowatego

okna wychodzącego na ulicę. Wraca do niej skądś z bardzo dawna to uczucie, kiedy się wygląda na ulicę, na ten obejmowany wzrokiem kawałek ulicy, gdzie ma się pojawić samochód, który może się ukazać, a może się nie ukazać. Nawet teraz pamięta samochody – niebieski austen mini, rdzawy chevrolet, rodzinne kombi. Samochody, którymi wyjeżdżała na niedaleką przejażdżkę, potajemnie, w śmiałym zapamiętaniu uległości. Na długo przed Willem.

Nie ma pojęcia, jak Will będzie ubrany ani jaką teraz nosi fryzurę, czy się teraz rusza inaczej, czy zmienił sposób bycia, dostosowując się do nowego otoczenia. Nie mógł się zmienić bardziej niż ona. W tym mieszkaniu nie ma lustro – oprócz jednego malutkiego w łazienkowej toalecie, ale nawet w nim Gail widzi, jak bardzo schudła i jak wyschła jej skóra na policzkach. Zamiast spłowić i zmarszczyć się, jak to bywa z jasną cerą w takim klimacie, jej skóra zaczęła przypominać szare płótno. To się da naprawić – Gail wie, że się da. Odpowiedni makijaż mógłby nadać jej twarzy wyraz egzotycznego smutku. Większym problemem są włosy – u nasady ukazują się rude z lekką domieszką siwizny. Niemal zawsze skrywa je pod chustą.

Kiedy gospodarz domu znowu puka, Gail przeżywa króciutką chwilę szalonego wyczekiwania. Gospodarz woła ją po nazwisku:

– Pani Massie! Pani Massie! Och, miałem nadzieję, że pani jest w domu. Czy pani mogłaby zejść na dół i pomóc? Ten stary z parteru wypadł z łóżka.

Schodzi przed nią po schodach, przytrzymując się poręczy i niezdarnie, z pośpiechem, stawia nogę za nogą.

– Ten jego przyjaciel gdzieś poszedł. Sam się dziwiłem. Wczoraj go nie widziałem. Staram się zawsze mieć pojęcie, gdzie kto jest, ale nie lubię się wtrącać. Myślałem, że pewnie na noc wróci. Zamiatalem przy wejściu i usłyszałem łoskot, więc poszedłem, chciałem sprawdzić, co się dzieje. A ten stary zupełnie sam i na podłodze.

Mieszkanie jest nie większe niż jej i ma taki sam rozkład. Poza bambusowymi żaluzjami są tu jeszcze zasłony, przez co wydaje się ciemniejsze. Pachnie papierosami, spleśniałym jedzeniem i odświeżaczem powietrza o zapachu sosny. Kanapa jest rozłożona i tworzy podwójne łoże, obok, na podłodze, leży stary człowiek, który spadając, ściągnął prześcieradła. Głowa bez tupeciku przypomina brudny kawałek mydła. Oczy ma przymknięte; gdzieś z jego wnętrza wydobywa się dźwięk przypominający odgłos motoru, który bezskutecznie próbuje zaskoczyć.

– Czy pan dzwonił po pogotowie? – pyta Gail.

– Gdyby pani mogła go złapać z końca – mówi gospodarz. – Ja mam chore plecy i boję się znowu je naciągnąć.

– Gdzie jest telefon? – pyta Gail. – Może ma zawał. Może ma złamane biodro. Musi jechać do szpitala.

– Tak pani myśli? Ten jego przyjaciel podnosił go i sadzał bez kłopotu. Miał siłę. A teraz zniknął.

– Ja zadzwonię – mówi Gail.

– Nie, nie. Mam w biurze numer zapisany na telefonie. Nikomu nie pozwalam tam wchodzić.

Pozostawiona sam na sam ze starym człowiekiem, który zapewne jej nie słyszy, przemawia do niego:

– Już dobrze, dobrze. Zaraz sprowadzimy pomoc. – Jej głos brzmi bezsensownie ujmująco. Pochyla się, żeby naciągnąć mu prześcieradło na ramię, kiedy, ku jej zdumieniu, z pościeli wyskakuje ręka, szuka jej dłoni i chwytą ją. Jego dłoń jest drobna i koścista, ale całkiem ciepła i zdumiewająco silna. – Jestem tu, jestem – powtarza Gail i zastanawia się, czy stała się dla niego uosobieniem tego rudego młodzieńca, czy jakiegoś innego młodego człowieka, czy kobiety, czy może jego matki.

Karetka szybko przyjeżdża na tym okropnym pulsującym sygnale, wkrótce dwaj sanitariusze z noszami na wózku są w pokoju, gospodarz domu kusztyka za nimi.

– ...nie dało się go ruszyć. To pani Massie, przysłała z pomocą...

Kiedy sanitariusze dźwigają mężczyznę na nosze i Gail musi wysunąć rękę, on zaczyna się skarżyć – albo tak jej się zdaje – ten ciągły, jakby bezwolnie wydawany dźwięk, nabiera dodatkowo jakichś brzmień: „ah-am-an”. Więc Gail natychmiast ujmuje znowu jego rękę i biegnie truchtem przy wyjeżdżającym z domu wózku. Chory trzyma ją tak silnie, że wydaje się, jakby ją wlekleł za sobą.

– Był właścicielem hotelu Jack Randa – powiada gospodarz domu. – Lata temu. Tak było.

Trochę przechodniów na ulicy, ale nikt się nie zatrzymuje, nikt nie chce uchodzić za gapia. Chcą i nie chcą widzieć.

– Czy mam z nim jechać? – pyta Gail. – On chyba nie chce puścić mojej ręki.

– Jak pani sobie życzy – powiadają sanitariusze, więc włązi do środka. (Właściwie wciąga ją ta zaciśnięta ręka).

Sanitariusz odchyła dla niej małe boczne siedzenie, drzwi zostają zamknięte i syrena włączona, ruszają.

Przez tylne okienko widzi Willa. Jest o przecznicę dalej, idzie w kierunku Miramaru. Ma na sobie jasną marynarkę z krótkimi rękawami i spodnie pod kolor – coś jakby komplet safari – włosy mu trochę zsiwiały albo wypłowieły na słońcu, ale ona poznaje go natychmiast, zawsze go pozna, zawsze, kiedy tylko go zobaczy, będzie musiała do niego wolać, tak jak teraz, gdy próbuje wyskoczyć z tego siedzenia, gdy próbuje wyrwać rękę z uścisku tego starca.

– To Will – tłumaczy sanitariuszowi. – Och, przepraszam. To mój mąż.

– Lepiej, żeby nie widział, jak pani wyskakuje z pędzącej karetki – powiada sanitariusz. A potem: – Ooo. A co tu się dzieje? – Przez następną chwilę zajmuje się w profesjonalnym skupieniu pacjentem. Potem prostuje się i mówi: – Koniec.

– On mnie wciąż trzyma – mówi Gail. Ale już kiedy to mówi, wie, że to nieprawda. Przed chwilą przytrzymał ją – bardzo mocno, na tyle mocno, że mógłby nie dopuścić, żeby wyskoczyła za Willem. A teraz to ona go się trzyma. Palce starca ciągle są ciepłe.

Po powrocie ze szpitala znajduje liścik, jakiego się spodziewała.

Gail, wiem, że to Ty.

Szybko, szybko. Czynn timer jest zapłacony. Trzeba zostawić gospodarzowi wiadomość. Trzeba podjąć pieniądze z banku,

dostać się na lotnisko, znaleźć lot. Ubrania mogą zostać – te skromne, jasne, kretonowe sukienki, kapelusz z szerokim rondem. Ostatnia książka z wypożyczalni niech leży na stole, pod obrazem z szałwią. Niech leży i zbiera karne punkty.

Bo inaczej – co się stanie?

To, czego się w sposób oczywisty dopraszała. To, czego teraz w sposób nagły i równie oczywisty chce uniknąć.

Gail, wiem, że tam jesteś. Wiem, że tam jesteś, po tamtej stronie drzwi.

Gail! Galia!

Odezwij się do mnie, Gail. Odpowiedz. Wiem, że tam jesteś.

Słyszę Cię. Słyszę przez dziurkę od klucza, jak Ci bije serce, jak Ci się przewraca w żołądku, jak Ci mózg skacze tam i z powrotem.

Czuję Cię przez dziurkę od klucza. Ciebie. Gail.

Najbardziej upragnione słowa mogą się zmienić. Coś może im się stać, podczas gdy czekasz. „Kochać – trzeba – przebaczyć. Kochać – trzeba – na zawsze”. Dźwięk takich słów może się obrócić w łoskot, w mękę, w odgłos młotów na ulicy. I wtedy pozostaje tylko uciekać, aby ich nie wziąć z przyzwyczajenia na serio.

W sklepie na lotnisku zobaczyła stos malutkich pudełek wykonanych przez australijskich Aborygenów. Okrągłe, malutkie jak pensówki. Wybiera jedno, ma wzór z żółtych kropek nieregularnie rozsypanych na ciemnoczerwonym tle.

Z drugiej strony napęczniała czarna figurka – może to żółw – o krótkich, rozłożonych nóżkach. Bezradny, na grzbiecie.

„Prezent dla Cleaty” – myśli Gail. Jakby to wszystko tutaj było snem, czymś, czego się można pozbyć, wracając do określonego punktu, do początku.

„Nie dla Cleaty. Prezent dla Willa?”

„Dobrze, prezent dla Willa. Wysłać zaraz? Nie, zabrać do Kanady, z powrotem, wysłać stamtąd”.

Te żółte rozpryskujące się kropki przypominają Gail coś, co zobaczyła zeszłej jesieni. Oglądała to razem z Willem. Poszli w słoneczne popołudnie na spacer. Szli ze swojego domku nad rzeką wzdłuż brzegu porośniętego lasem i natknęli się na widowisko, o którym słyszeli, ale którego nigdy w życiu nie oglądali.

Setki, może tysiące motyli wisiało na drzewach, odpoczywając przed daleką podróżą wzdłuż brzegu jeziora Huron, nad jeziorem Erie i dalej na południe do Meksyku. Zwieszały się jak metalowe listki z bitego złota – złote płatki podrzucone i opadłe na gałęziach.

– Jak złoty deszcz w Biblii – powiedziała Gail.

Will zauważył, że miesza Jowisza z Jehową.

Tego dnia Cleata zaczęła umierać, a Will już spotkał Sandy. Rozpoczął się ten sen – podróż Gail i jej konfabulacje, potem słowa, jakie wyobraziła sobie – wierzyła, że słyszy – dochodzące zza drzwi.

Kochać – przebaczać

Kochać – zapominać

Kochać – na zawsze

Młoty na ulicy.

Cóż można włożyć do takiego pudełka, nim się je zapakuje i wyśle? Paciorek, piórko, pigułkę na potencję? A może zwinętą karteczkę wielkości kulki z dziecinnej dmuchawki.

Teraz to ty możesz mnie szukać.

Postój w głuszy

I

Panna Margaret Cresswell, przełożona, sierociniec miejski, Toronto, do Pana Simona Herrona, North Huron, 15 stycznia 1852.

Odpowiadam na list Pański, ponieważ zawiera on poświadczenie Pańskiego duszpasterza. Nierzadko otrzymujemy tego rodzaju prośby, jednak bez podobnego uwierzytelnienia nie możemy zakładać, że są pisane w dobrej wierze.

Nie mamy obecnie u nas żadnej dziewczyny w wieku odpowiednim do zamążpójścia, na ogół bowiem idą do pracy zarobkowej po ukończeniu czternastu czy piętnastu lat, przeważnie jednak zachowujemy kontakt z nimi przez jakiś czas, zwykle póki nie wyjdą za mąż. W takim przypadku jak Pański rekomendujemy niekiedy jedną z tych dziewcząt, umawiamy obu stronom spotkanie, a później wszystko zależy od tego, czy sobie wzajemnie odpowiadają, czy nie.

Zachowujemy jeszcze więź z dwiema osiemnastoletnimi dziewczynami. Obie terminują u modniarki i są dobrymi szwaczkami, ale pewno wolałyby małżeństwo z odpowiednim mężczyzną niż tego rodzaju pracę do końca życia. Więcej

powiedzieć nie mogę, reszta zależy od samej dziewczyny i, rzecz jasna, od tego, czy się panu spodoba, czy też nie.

Te dwie dziewczyny to panna Sadie Johnstone i panna Annie McKillop. Obie ślubne, z chrześcijańskich małżeństw, umieszczone w sierocińcu wskutek śmierci rodziców. Powodem śmierci nie było ani pijaństwo, ani niemoralność. W przypadku panny Johnstone jednak powodem były suchoty i chociaż jest z nich dwóch ładniejsza, pulchna, różana dziewczyna, muszę Pana ostrzec, że chyba się nie nadaje do ciężkiej pracy, do życia w buszu. Druga, panna McKillop, jest słuszniejszej budowy, chociaż chudsza i o mniej powabnej cerze. Ma zezowatość jednego oka, ale to jej nie przeszkadza w widzeniu, szyje doskonale. To, że ma ciemne oczy i włosy, a również ciemną skórę, nie świadczy o mieszanej krwi, ponieważ obydwójce rodzice pochodzili z Fife². Twarda dziewczyna i myślę, że pasowałaby do takiego życia, jakie Pan oferuje, nadto nie ma w niej tej niemądrej nieśmiałości, jaką się często spotyka u dziewcząt w jej wieku. Napiszę do niej, przedstawię sytuację i będzie czekała na Pana list z propozycją daty spotkania.

II

Carstairs, „Argus”, wydanie na pięćdziesięciolecie, 3 lutego 1907. Wspomnienia pana George’a Herrona.

Pierwszego dnia miesiąca września 1851 roku mój brat Simon i ja wzięliśmy skrzynię z pościelą i domowym sprzętem, załadowaliśmy ją na wóz zaprzężony w konia i wyruszyliśmy

² Fife – miasto w stanie Waszyngton.

z hrabstwa Halton, by szukać szczęścia w dzikim pustkowiu Huronu i Bruce, jako że wtedy ludzie uważali to za dzikie pustkowie. Cały ten dobytek dostaliśmy od Archiego Frame'a, u którego pracował Simon, jako zapłatę za robotę. I mieliśmy też wynieść się od Archiego, a jego syn, co był w moim wieku, pojechał z nami, żeby zabrać konia i wóz i odprowadzić z powrotem.

Trzeba na początku powiedzieć, że mój brat i ja zostaliśmy bez rodziców, bo najpierw nasz ojciec, a potem matka umarli na gorączkę pięć tygodni po tym, jak przyплыnęli do tego kraju, kiedy ja miałem trzy lata, a Simon osiem. Simon poszedł do pracy u Archiego Frame'a, to był kuzyn naszej matki, a mnie wziął do siebie jeden nauczyciel z żoną, nie mieli dzieci. Żyli w Halton, a ja rad bym u nich zostać, ale Simon, który mieszkał kilka mil dalej, przychodził często i powiadał, że jak tylko dorosniemy, to musimy wziąć sobie ziemię i pracować na swoim, a nie na cudzym, bo tak chciał zrobić nasz ojciec. Archie Frame nie posłał Simona do szkoły, a mnie posłałi. Więc Simon zawsze chciał się wyrwać. Kiedy skończyłem czternaście lat i byłem chłop na schwał, tak samo jak mój brat, to on powiedział, że musimy iść na północ od traktu Huron i wytyczyć sobie na własność grunt w królewsczyźnie.

Pierwszego dnia dojechaliliśmy nie dalej jak do Preston, bo drogi przez Nassageweya i Puslinch były złe, prawie nieprzejezdne. Następnego dnia dotarliśmy do Shakespeare, a trzeciego popołudnia do Stratfordu. Im dalej na zachód, tym gorsze drogi, więc postanowiliśmy wystać naszą skrzynię do Clinton pocztą. Ale poczta przestała chodzić przez te deszcze, czekali, aż drogi zamarzną, więc powiedzieliśmy synowi Archiego Frame'a, żeby

zabrał konia, wóz i cały ten kram i wracał do Halton. A my wzięliśmy siekiery na ramiona i ruszyliśmy do Carstairs.

Przed nami nie było tam niemal żywej duszy. To były początki Carstairs, stał jeden budynek, gospoda razem ze sklepem, a Niemiec nazwiskiem Roem budował tartak. Jedyne, co tu przyszedł przed nami i zdążył postawić porządną chatkę, to był Henry Treece. Potem został moim teściem.

Zamieszkaliśmy w gospodzie, sypialiśmy na gołych deskach z jednym kocem czy kołdrą na nas dwóch. Zima nadchodziła wczesnie, niósła chłodne deszcze, wszystko wilgotne, ale spodziewaliśmy się trudów, przynajmniej Simon się spodziewał. Ja miałem lekciejsze życie niż on. Mówił, że musimy podotać, tośmy podotali.

Wycięliśmy drogę do naszego kawałka ziemi, potem go oznakowaliśmy i zaczęliśmy wycinać bierwiona na chatę i długie drągowiny na zadaszanie. Mogliśmy pożyczyć ośła od Henry'ego Treece'a do ciągnięcia kłód. Ale Simon nie miał chęci niczego od nikogo pożyczać ani być od kogo zależny. On najbardziej chciał, żebyśmy sami postawili tę chatę, ale jak zobaczył, że we dwóch nie damy rady, to ja poszedłem do Treece'a i razem z nim i jego dwoma synami i jeszcze jednym chłopem z tartaku skończyliśmy wszystko. Następnego dnia zaczęliśmy upychać glinę szpary między kłodami i przyciągnęliśmy kilka gałęzi sosny cykutowej, tak żeby już nie wydawać ostatniego grosza na nocowanie w gospodzie, tylko sypiać u siebie. Mieliśmy wielki wiązowy oszast na zawarcie wejścia. Mój brat słyszał kiedyś od jakichś francusko-kanadyjskich ludzi, którzy pracowali u Archiego Frame'a, że na obozach drwali zawsze się paliło ognisko na środku szataśu.

Więc, powiedział, zrobimy tak samo, wyciosaliśmy cztery słupki i zbudowaliśmy na nich komin, taki jak domowy, mieliśmy go wylepić gliną wewnątrz i zewnątrz. Poszliśmy spać na nasze legowisko z gałęzi, a ogień palił się dobrze, ale kiedyśmy się obudzili w środku nocy, całe nasze drzewo kuchenne stało w ogniu i te słupki też buzowały. Rozwaliliśmy komin, a że słupki były ze świeżej zielonej lipy, nietrudno było je zgasić. Jak tylko wstał dzień, zaczęliśmy budować komin jak wszyscy, na krańcu chaty a ja pomyślałem, że lepiej nie robić uwag.

Kiedy oczyściliśmy teren z małych drzewek i krzaków, zabraliśmy się do wyrębu dużych drzew. Zwaliliśmy wielki jesion i pocięliśmy go na deski na naszą podłogę. Skrzynia wciąż nie przyjeżdżała, miała przyplłynąć z Halton, więc Henry Treece przysłał nam na okrycie do spania dużą i grubą skórę niedźwiedzia, ale mój brat nie chciał żadnych uprzejmości i odesłał, mówiąc, że nie trzeba. Potem, po paru tygodniach, przyszła nasza skrzynia, trzeba nam było prosić o pożyczanie wołu, żeby ją przywieźć z Clinton, ale mój brat powiedział, że prośenie kogoś o pomoc to ostatnia rzecz, jaką zrobimy w życiu.

Poszliśmy do Walley i przynieśliśmy na plecach mąkę i soloną rybę. W Manchesterze jeden wioślarz przewiózł nas przez rzekę, ale dużo wziął. Nie postawili tam jeszcze mostu, a zima nie na tyle złapała, żeby można było przechodzić przez rzeki pieszo.

Tak około Bożego Narodzenia brat mi powiedział, że mamy już chatę na tyle wyszykowaną, żeby mógł wziąć sobie żonę do roboty i gotowania, i dojenia krowy, jak będzie nas stać na krowę. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o jakiejś żonie, więc powiedziałem mu, że nie słyszałem, żeby kogoś znał. On na to,

że nie zna, ale słyszał, że można napisać do sierocińca i dowiedzieć się, czy nie mają tam jakiejś dziewczyny, która by się nad taką propozycją zastanowiła i którą by przełożone rekomendowały, a gdyby się taka znalazła, pojechałby ją zobaczyć. Chciał dziewczynę między osiemnastym a dwudziestym drugim rokiem życia, zdrową, niebojącą się pracy, wychowaną w sierocińcu, a nie przyjętą niedawno, taką, co nie będzie oczekiwała żadnych luksusów ani usługi i nie będzie wypominała, że kiedyś było jej lepiej. Nie wątpię, że tym, którzy dzisiaj słyszą moje słowa, taki sposób załatwiania sprawy wydaje się dziwny. I nie o to chodzi, że brat nie mógł się sam zakrzętnąć i zdobyć sobie żony bez cudzej pomocy, bo to był ładny kawał chłopca, ale o to, że nie miał czasu ani pieniędzy, ani chęci, jemu w głowie było tylko to, żeby dostać tytuł prawny do tej ziemi. A gdyby dziewczyna miała rodziców, toby pewno nie chcieli puścić jej tak daleko, gdzie czeka ją niewiele wygód, za to dużo roboty.

Najlepszy dowód na to, że cała rzecz została załatwiona jak należy, to fakt, że wielebny McBain, pastor, który tu niedawno przyjechał, pomógł Simonowi napisać ten list i jeszcze go poświadczył.

No więc przyszedł list, że jest dziewczyna, która może się nadać, i Simon pojechał do Toronto i przywiózł ją. Miała na imię Annie, ale nazwiska nie pomnę. Musieli przechodzić w bród strumienie w Hullet, a potem, kiedy wysiedli z dyliżansu w Clinton, przedzierać się przez głębokie zaspę śniegu i kiedy przyjechali, była całkiem wykończona i zadziwiona tym, co zobaczyła, i powiadała, że nigdy nie wyobrażała sobie takiego ogromnego buszu. Przywiozła w kufierku trochę pościeli, jakies

garnki i talerze, jakie dostała od tamtych pań, i w chacie zrobiło się trochę przyjemniej.

Na początku kwietnia poszliśmy z bratem ściąć kilka drzew w najdalszym krańcu naszych gruntów. Kiedy Simon pojechał się żenić, ja zacząłem wycinkę w innym kierunku, tak jakby bardziej ku Treecéom, ale Simon chciał, żeby granice naszej ziemi gładko wygolić dookoła, więc żebyśmy nie szli tam, gdzie robiłem poprzedni wyrąb. Dzień zaczął się jako tako, w gęstwinie zalegało jeszcze dużo śniegu. Ścinaliśmy drzewo, tam gdzie chciał Simon, i tak jakoś, sam nie wiem jak, jedna gałąź się odłamała i runęła, gdzieśmy się nie spodziewali. Usłyszeliśmy tylko trzask drobnych gałązek, kiedy spadała, podnieśliśmy oczy, żeby zobaczyć, jak leci, a ona uderzyła Simona w głowę i zabiła na miejscu.

Musiąłem ciągnąć ciało do chaty po śniegu. Simon to był wysoki chłop i choć nieszczególnie nabity, ciągnąłem go z trudem i umęczyłem się bardzo. Zrobiło się zimniej i kiedy dotarł do naszej polany, zobaczyłem, że wiatr niesie śnieg, jakby się szykowała zamieć. Ślady, które zrobiliśmy rano, już się wypełniły. Simon był cały zasypany śniegiem, który już się na nim nie roztopiał i kiedy jego żona wyszła do drzwi, to się ogromnie zadziwiła, bo myślała, że ciągnę jakąś kłodę.

Annie umyła go w chacie, a potem jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, bo nie wiedzieliśmy, co robić. Pastor mieszkał w gospodzie, nie miał jeszcze ani domu, ani kościoła, gospoda zaledwie o cztery mile, ale zaczęła się straszna zamieć, taka, że nie widać było drzew na skraju polany. Wiał północno-zachodni wiatr, a to znaczyło, że zamieć może trwać dwa, a może

i trzy dni. Wiedzieliśmy, że nie możemy trzymać ciała w chacie, a nie chcieliśmy zostawiać go na zewnątrz, żeby go czasem rysie nie pożarły, więc musieliśmy się zabrać do roboty około pochówka. Ziemia pod śniegiem nie była zamarznięta, wykopłem dół w pobliżu chaty, Annie zaszyła go w prześcieradło i pochowaliśmy go w tym grobie, nie staliśmy długo na wietrze, tylko odmówiliśmy Ojciec nasz i jeden psalm z Biblii. Nie pamiętam który, ale pamiętam, że był pod koniec Księgi Psalmów i bardzo krótki.

To się stało w trzeci dzień kwietnia 1852 roku.

Był to ostatni śnieg tamtego roku, potem pastor przyjechał i odprawił nabożeństwo, a ja postawiłem drewniany znak. Później dostaliśmy własne miejsce na cmentarzu i położyliśmy mu tam nagrobny kamień, ale jego pod nim nie ma, bo według mnie byłoby głupio i bez sensu przewozić ludzkie kości z miejsca na miejsce, skoro to tylko kości, a dusza już poszła na Sąd.

Zostałem sam na ten wyrąb i karczowanie i po niedługim czasie zacząłem pracować obok Treece'ów, którzy okazywali mi wielką życzliwość. Pracowaliśmy razem na moim terenie albo na ichnim, nie patrząc który czyj. Zacząłem jadać, a nawet sypiać u nich i poznałem ich córkę, Jenny, była mniej więcej w moim wieku, i zamierzaliśmy się pobrać, i pobraliśmy się, jak przyszedł czas. Mieliliśmy długie życie, pełne trudów, ale wreszcie szczęście się do nas uśmiechnęło i wychowaliśmy ośmioro dzieci. Dożyłem czasu, kiedy moi synowie objęli ziemię ojca mojej żony, jako że jej dwaj bracia powędrowali na zachód, gdzie im się powiodło.

Żona mojego brata nie została tu, u nas, ale ruszyła swoją drogą, do Walley.

Teraz mamy tu bite trakty, na północ, południe, wschód i zachód, i pociąg niecałe pół mili od mojej farmy. Ogromny las to już przeszłość, są tylko zalesione działki, i często myślę o tych drzewach, które ścinałem, i gdybym je miał dzisiaj do ścinania, to byłbym bardzo bogatym człowiekiem.

Wielebny Walter McBain, pastor Wolnego Kościoła Prezbiteriańskiego, New Huron, do Pana Jamesa Mullena, Urzędnika Pokoju, Walley, zjednoczone hrabstwa Huron i Bruce, 10 października 1852.

Szanowny Panie,

Piszę do W. Pana, aby powiadomić, że w Pańskim mieście może się pojawić młoda kobieta pochodząca z naszych okolic i z mojej parafii, nazwiskiem Annie Herron, wdowa. Owa młoda osoba opuściła swój dom w okolicach Carstairs (w kantonie Holloway) i, jak przypuszczam, zamierza iść do Walley. Może się zgłosić do tamtejszego więzienia, prosząc o przyjęcie, uważam więc za swój obowiązek powiadomić W. Pana o jej losach na terenie mojej parafii i o tym, kim jest ona sama, jako że ją znałem.

Przyjechałem w te okolice w listopadzie zeszłego roku jako pierwszy kapłan jakiegokolwiek wyznania, który się na to odważył. Moja parafia to jak dotąd niemal wyłącznie wielka leśna gęstwina; nie miałem wyboru, musiałem zamieszkać w gospodzie w Carstairs.

Urodziłem się na zachodzie Szkocji i przyjechałem do tego kraju pod auspicjami Misji Glasgow. Zgodnie z wolą bożą, o którą zapytałem, skierowany zostałem przez Niego tam, gdzie

będę najbardziej potrzebny jako kapłan. Piszę to, aby Pan wiedział, kim jest człowiek, który przedstawia Panu swój opis wydarzeń i pogląd na sprawy tej kobiety.

Przyjechała do nas zeszłej zimy jako młoda mężatka, poślubiona młodemu człowiekowi, Simonowi Herronowi. Napisał on, za moją poradą, do sierocińca w Toronto z prośbą o znalezienie mu panny, chrześcijanki, najchętniej prezbiterianki, odpowiadającej jego potrzebom i ta właśnie została mu rekomendowana. Ożenił się z nią zaraz i przywiózł tutaj do chaty, jaką zbudował ze swoim bratem. Ci dwaj młodzi chłopcy, sieroty bez żadnych nadziei na przyszłe korzyści, przyjechali tu, żeby wykarczować kawał ziemi i otrzymać prawo własności do niej. Podczas tej pracy, pod koniec zimy, zdarzył się wypadek. Odlamała się gałąź drzewa, które ścinali, i padając, uderzyła starszego, powodując natychmiastową śmierć. Młodszemu udało się przywlec ciało do chaty, ale że uwięziła ich zamieć śnieżna, urządzili zmarłemu pogrzeb tam, na miejscu.

Pan jest rzetelny w rozdawaniu łask, a my musimy przyjmować jego ciosy jako świadectwa troski i dobroci, bo tym właśnie się później okazaą.

Pozbawiony pomocy brata, młody człowiek zadomowił się u sąsiedniej rodziny, ludzi z mojej parafii, równie przyzwolonych co on, którzy go przyjęli jak syna, chociaż wciąż pracował na swój prawny tytuł do ziemi. Ta rodzina przyjęłaby również młodą wdowę, ale ona nie chciała mieć z nimi nic wspólnego, jakby się w niej rodziła niechęć do każdego, kto jej chciał pomóc. Szczególnie do szwagra, który powiadał, że nigdy nie miał z nią najmniejszej sprzeczki, oraz do mnie. Kiedym do niej

przemawiał, nie odpowiadała, nigdy też nie okazywała duchowej uległości. To moja wina, że nie mam daru przemawiania do kobiet. Brak mi łatwości w zdobywaniu ich zaufania. One mają inny rodzaj uporu niż mężczyźni.

Chciałem tylko powiedzieć, że nie miałem na nią dobrego wpływu. Przestała się pokazywać na nabożeństwach, świadczyła coraz gorszym wyglądem o upadku ducha i umysłu. Nie chciała uprawiać grochu i kartofli, jakie jej dawali, żeby posadziła między pniakami. Nie oczyszczała z dzikiego wina wejścia do domu. Nie rozpalala ognia, żeby upiec placki czy ugotować owsiankę. Jako że jej szwagier się wyniósł, nikt od niej niczego nie wymagał. Kiedy ją odwiedzałem, zastawiałem drzwi otwarte, widać było, że zwierzęta mogą wchodzić i wychodzić. Jeśli siedziała w domu, to się przede mną chowała, żeby się naśmiewać. Każdy, kto ją przypadkiem zobaczył, mówił potem, że miała odzież brudną i podartą od włóczęgi po krzakach, była cała podrapana przez ciernie, pokąsana przez komary, a włosów ani nie splatała, ani nie czesała. Przypuszczam, że żywiła się soloną rybą i plackami owsianymi, jakie jej zostawiali szwagier i sąsiedzi.

I kiedy rozmyślałem, w jaki sposób zapewnić bezpieczeństwo jej ciału na zimę i uporać się z o wiele większym niebezpieczeństwem, jakie grozi jej duszy, otrzymałem wiadomość, że jej nie ma. Zostawiła otwarte drzwi i poszła, bez płaszcza czy czepeczka, tylko napisała nadpalonym kijem na podłodze chaty: „Walley. Więzienie”. Zrozumiałem z tego, że chce tam iść i zgłosić się do więzienia. Jej szwagier powiada, że on nie ma po co za nią chodzić, ponieważ jest mu taka przeciwna, a ja nie mogę iść, ponieważ czuwam przy łożu śmierci. Proszę więc

W. Pana o informację, czy się pokazała, w jakim jest stanie i jak z nią postąpiliście. Uważam ją wciąż za duszę, jaka została mi powierzona, i postaram się odwiedzić ją przed zimą, jeśli u Was zostanie. Jest dzieckiem wolnego Kościoła oraz Przymierza i jako taka ma prawo do duchownego swojego wyznania, więc nie możecie uważać, że wystarczy, jeśli ją odwiedzi pastor Kościoła anglikańskiego albo baptystów czy metodystów.

Na wypadek, gdyby nie przyszła do więzienia, tylko błąkała się po ulicach, powinienem jeszcze dodać, że ma włosy ciemne, jest wysoka, szczudlasta, nie ładna, ale też nie szpetna, tyle że zezuje jednym okiem.

James Mullen, Urzędnik Pokoju, Walley, do Wielebnego Waltera McBaina, Carstairs, północny Huron, 30 września 1852.

List Pański, za który dziękuję, tyżący młodej kobiety, Annie Herron, dotarł do mnie w sam czas. Zakończyła bez szwanku podróż do Walley, cała i zdrowa, chociaż głodna i wychudzona, i zgłosiła się do więzienia. Zapytana, po co tam przyszła, odpowiedziała, że chce wyznać zbrodnię i zostać zamknięta. Zaczęto się naradzać i rozpytywać, posłano po mnie, a że było już około północy, zgodziłem się, żeby ją zostawiono na noc w celi. Odwiedziłem ją następnego dnia i dowiedziałem się wszystkich szczegółów.

Jej opowiadanie o tym, że wychowano ją w sierocińcu, że terminowała u szwaczki, że wyszła za mąż i przybyła do północnego Huronu – wszystko to jest zgodne z przytoczoną przez Pana wersją. Różnice zaczynają się od opisu śmierci jej męża. W tej materii powiada, co następuje:

Owego dnia w początkach kwietnia, kiedy jej mąż z bratem wychodzili do wyrębu, miała im dać przygotowany posiłek na południe, a ponieważ nie był gotów, kiedy się zbierali, powiedziała, że przyniesie im jedzenie do lasu. Tak więc napiękała placków owsianych i wzięła trochę solonej ryby, i poszła po śladach braci, których znalazła przy robocie o dobry kawał drogi od chaty. Kiedy jednak jej mąż odwinął przyniesione jadło, okazał ogromne niezadowolenie, ponieważ ona zawinęła je w ten sposób, że stony tłuszcz z ryby wsączył się w placki, które się pokruszyły i nie nadawały do jedzenia. Zawiedziony, uniósł się gniewem, i obiecał, że sprawi jej dobre lanie, jak tylko będzie mu poręczniej to zrobić. Odwrócił się do niej tyłem (bo siedział na kłodzie), a ona podniosła kamień i uderzyła go w głowę, tak że upadł nieprzytomny i w gruncie rzeczy martwy. Potem razem z jego bratem zaciągnęła ciało z powrotem do chaty. Tymczasem przyszła śnieżycy, która ich tam uwięziła. Brat powiedział, że nie powinni wyjawiać prawdy, ponieważ ona nie zamierzała rozmyślnie zamordować męża; przystała na to. Pochowali go – tu jej opowiadanie pokrywa się z Pańskim – i na tym mógłby być koniec, tyle że ona odczuwała coraz większy niepokój, przekonanie, że jednak na pewno zabiła go z rozmysłem. Gdyby go nie zabiła, powiada, to by oznaczało, że on ją będzie bił jeszcze mocniej, więc czemu by nie miała zaryzykować? Tak więc ostatecznie zdecydowała się wszystko wyznać i niejako na dowód wręczyła mi kosmyk włosów sztywny od krwi.

Tak brzmi jej opowieść, ale nie uwierzyłem w nią nawet na chwilę. Żaden kamień, który byłaby w stanie unieść, połączony z siłą, jaką ewentualnie zdołałaby zebrać, aby zadać uderzenie,

nie mógłby zabić człowieka. Powiedziałem jej to, a ona wtedy zmieniła wersję; utrzymywała, że to był duży głaz, który ujęła w obie ręce i nie rzuciła, ale walnęła nim w głowę od tyłu. Zapytałem, dlaczego brat jej nie przeszkodził, powiedziała, że patrzył w inną stronę. Wobec tego, powiedziałem, gdzieś w lesie musi leżeć zakrwawiony głaz, a ona na to, że zmyła go porządnie śniegiem. (W gruncie rzeczy jest mało prawdopodobne, by w takim głębokim śniegu można było mieć pod ręką głaz). Kazałem jej podwinąć rękaw, by obejrzeć jej muskuły i sprawdzić, czy miałyby siłę, aby dokonać czegoś podobnego, a ona na to, że była silniejsza kilka miesięcy temu.

Wnoszę, że kłamie albo sama się zwodzi. Ale nie widzę innego wyjścia, niż przyjąć ją do więzienia. Zapytałem, jak myśli, co się teraz z nią stanie? A ona na to, najpierw mnie osądzicie, a potem powiesicie. Ale nie wiesz się ludzi w zimie, powiedziała, więc będę tu mogła zostać do wiosny. A jak dacie mi pracować, to może zechcecie, żebym dalej pracowała i nie będziecie chcieli mnie wieszać. Nie wiem, skąd jej powstało w głowie, że nie wiesz się ludzi w zimie. Ta sprawa wprawia mnie w zakłopotanie. Jak pastor wie, mamy tu w mieście bardzo piękne nowe więzienie, w którym więzień ma sucho i ciepło, jest przyzwyczajony karmiony i traktowany po ludzku i nawet doszła mnie skarga, że niektórzy wcale nie żałują – a o tej porze roku nawet są rądz – że się tu znaleźli. Oczywiście jest jednak, że ona nie może się dalej błąkać, a z pańskiego listu wynika, że nie chce przebywać wśród swoich i nie jest w stanie stworzyć sobie jakiegoś znośnego kąta. Nasze więzienie służy obecnie do przetrzymywania zarówno obłąkanych, jak i przestępców, toteż jeśli zostanie

oskarżona o obłąkanie, to będę mógł ją tutaj przetrzymać przez zimę i przenieść do Toronto na wiosnę. Zadbalem o to, żeby obejrzał ją lekarz. Powiedziałem jej o Pańskim liście i ewentualności Pańskich odwiedzin, ale nie okazała zadowolenia. Powiada, żeby nikomu nie pozwalać na wizyty z wyjątkiem panny Sadie Johnstone, która nie mieszka w tej części kraju.

Załączam list, jaki napisałem do jej szwagra, żeby wiedział, co ona mi powiedziała, i żeby sam z kolei poinformował mnie, co o tym myśli. Z góry dziękuję za przekazanie mu tego listu, jak również za trud, jakiego Pan się podjął, powiadamiając mnie o wszystkim. Jestem członkiem Kościoła anglikańskiego, ale mam wielki szacunek dla pracy przedstawicieli innych wyznań protestanckich, którzy zaprowadzają ład w życiu tej części świata, w jakiej się znajdujemy. Proszę wierzyć, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by stworzyć sytuację, w jakiej będzie Pan mógł nawiązać kontakt z duszą tej młodej kobiety, ale lepiej zaczekać, póki ona nie będzie bardziej skłonna ku temu.

Wielebny Walter McBain do Pana Jamesa Mullena, 18 listopada 1852.

Przekazałem niezwłocznie list Pański panu George'owi Heronowi i sądzę, że odpowiedział i opisał Panu własne wspomnienia owych wypadków. Był zdumiony tym, co twierdzi jego bratowa, ponieważ nigdy tego nie mówiła ani jemu, ani nikomu. Powiada, że to wszystko wytwory jej wyobraźni, jako że w ogóle nie było jej w lesie, gdy się to zdarzyło, i nie potrzebowała tam przychodzić, bo oni zawsze zabierali ze sobą posiłek, wychodząc z domu. Powiada, że kiedyś, ale to było innym razem, jego brat

miął do niej pretensje za zmarnowanie jedzenia, ponieważ zapakowała ryby razem z plackami, ale to nie było wtedy. Poza tym nie leżał tam żaden kamień, po który mogłaby odruchowo sięgnąć, nawet gdyby tam była i chciała to zrobić.

Moja odpowiedź jest opóźniona na skutek krótkiej choroby. Miałem atak piasku nerkowego i reumatyzmu żołądkowego, cięższy niż kiedykolwiek. Obecnie czuję się trochę lepiej i w przyszłym tygodniu będę gotów zajmować się tym co zwykle, jeśli sprawy pójdą w dobrym kierunku.

Jeśli idzie o to, czy owa młoda kobieta jest zdrowa na umyśle – nie wiem, co powie doktor, ale rozmyślałem nad tym i zapytywałem Najwyższego, i mój sąd jest następujący: może w tym wczesnym okresie małżeństwa nie okazywała całkowitej uległości mężowi, może nie dosyć dbała o jego wygody, były jakieś brzydkie słowa, kłótnie zachowanie, dąsy i obrażona mina, to wszystko, do czego skłonne są osoby tej płci. Jako że jego śmierć nastąpiła, zanim ona zrobiła z tym wszystkim porządek, musiała odczuwać dręczące i przytłaczające wyrzuty sumienia, a one tak silnie opanowały jej umysł, że uczyniła się odpowiedzialna za jego śmierć. Wydaje mi się, że w ten właśnie sposób obłąd dotyka wielu ludzi. Z początku biorą szaleństwo za coś w rodzaju zabawy, potem zaś są karani za jej płytkość i śmiałość, stwierdzają bowiem, że to już nie zabawa i że Diabeł zamknął wszystkie drogi ucieczki.

Wciąż jeszcze ufam, że będę mógł do niej przemówić i sprawić, że to zrozumie. Mam obecnie pewne trudności nie tylko z powodu mego nieszczęsnego ciała, ale też tego, że mieszkam w miejscu plugawym i hałaśliwym, zmuszony do wystuchiwania

w dzień i noc krzyków, które uniemożliwiają sen i rozważania, i nawet przeszkadzają mi w modlitwie. Wiatr dmucha, jak chce, przez szpary między belkami, ale jak zejść na dół do ognia, to tam tylko pociąganie z butelki, bezczelność i ohyda. A na zewnątrz nic, tylko drzewa, które zagradzają każde wyjście, i zamrożone bagno, które potrafi wciągnąć konia i jeźdźca. Obiecywano, że zbudują kościół i kwaterę, ale ci, co to obiecywali, teraz są bardzo zajęci własnymi sprawami i wygląda na to, że wszystko zostało odłożone. Ja jednak nie przestałem kazać nawet w chorobie, w stodółach i po domach, dokądkolwiek mnie poproszą. Dodaje mi otuchy pamięć o wielkim człowieku, wielkim kaznodziei i głosicielu bożej woli Tomaszu Bostonie, który mówił o wielkości Boga z okna swojej izby do dwóch tysięcy ludzi zebranych na zewnątrz. Tak więc będę kazał do końca, choć mniejsza będzie liczba moich słuchaczy.

„Każda przeciwność, wobec której staje człowiek, pochodzi od Boga” (Thomas Boston)

„Świat to głusza, w której możemy zmieniać miejsca naszego postoju, ale przechodzimy tylko z jednego postoju w głuszy do drugiego”. (Ibid.)

Pan James Mullen do Wielebnego Waltera McBaina,
17 stycznia 1853.

Piszę, żeby powiadomić Pastora, iż nasza młoda kobieta jest w dobrym zdrowiu, nie wygląda już jak strach na wróble, je dobrze, trzyma się ochędożnie i czysto. Wydaje się, że jest spokojniejsza na duchu. Zabrała się do łatania pościeli więziennej, robi to dobrze. Muszę jednak powiedzieć, że tak samo jak

dawniej jest przeciwna odwiedzinom i nie mogę doradzać Panu przyjazdu, jako że wysiłek okaże się daremny. Podróż w zimie jest bardzo ciężka i w Pańskim stanie zdrowia nic dobrego by z tego nie przyszło.

Jej szwagier napisał do mnie bardzo rzeczowy list, stwierdzając, że jej opowiadanie nie jest zgodne z prawdą, i to mi wystarczy.

Może Pana ciekawić, co powiedział o jej przypadku doktor, który ją odwiedził. Uważa, że uległa ona przywidzeniom częstym u niewiast; przyczyną jest pragnienie przydania sobie wagi, a również ucieczki od monotonii codziennego życia i pracy, do jakiej być może zostały urodzone. Wyobrażają sobie, że są w mocy złych sił, że popełniły straszliwe i ohydne zbrodnie, i tak dalej. Czasami twierdzą, że miały wielu kochanków, ale ci wszyscy kochankowie to tylko imaginacja, a kobieta, która się uważa za upadłą, jest w rzeczy samej czysta i nietknięta. Za to wszystko doktor wini rodzaj lektur dostępnych tym kobietom, opowieści o duchach czy demonach albo miłosnych eskapadach z różnymi książętami czy lordami. Dla wielu z nich tego rodzaju książka to rozrywka, którą się odkłada, gdy wzywają prawdziwe obowiązki. Inne kobiety pozwalają sobie na to od czasu do czasu, tak jak na słodycze czy sherry, ale niektóre ulegają takim lekturom całkowicie i żyją w nich jak w oparach opium. Nie mógł się od tej więźniarki dowiedzieć, jakie książki czytała, przypuszcza, że ona już tego nie pamięta albo umyślnie skrywa.

Podczas przesłuchania wyszło na jaw coś jeszcze, o czym nie wiedzieliśmy. Na jego pytanie, czy nie obawia się, że zostanie powieszona, odpowiedziała: nie, ponieważ jest przyczyna, dzięki której mnie nie powiesicie. On na to: myślisz, że cię uznają

za obłąkaną? A ona: tak, może tak, ale to nie będzie prawda, tylko że nigdy nie powieszę kobiety ciężarnej. Wtedy doktor ją zbadał, żeby stwierdzić, czy to prawda, a ona zgodziła się na badanie, więc musiała złożyć to oświadczenie w dobrej wierze. Doktor stwierdził jednak, że ona jest w błędzie. Te oznaki to tylko skutek długiego niedożywienia i ogromnego wycieńczenia, a potem jeszcze, być może, hysterii. Wyjaśnił jej, co stwierdził, ale nie wiadomo, czy mu uwierzyła.

Trzeba przyznać uczciwie, że to jest na prawdę trudny kraj dla kobiet. Niedawno przyjęto tutaj inną obłąkaną, a jej stan jest o wiele bardziej godny pożałowania, jako że przyczyną obłądki jest gwałt. Ujęto dwóch napastników, którzy zostali osadzeni w więzieniu, w istocie z drugiej strony za jej ścianą, na oddziale mężczyzn. Krzyki ofiary słychać było bez przerwy godzinami, wskutek czego więzienie stało się o wiele mniej przyjemnym schronieniem. Ale czy nasza samowolna morderczyni odwoła przez to zeznania i wyjdzie – nie mam pojęcia. To dobra szwaczka i mogłaby znaleźć zajęcie, gdyby chciała.

Z przykrością słyszę o złym zdrowiu Pastora i nędznej kwaterze. Miasto stało się takie cywilizowane, że zapominamy, jak trudno się żyje w głębi kraju. Tacy jak Pan, Pastorze, którzy postanowili znosić podobne warunki, zasługują na nasz podziw. Proszę jednak pozwolić, że powiem, iż człowiek niecierpiący się dobrym zdrowiem nie wytrzyma ich długo. Niewątpliwie Kościół nie uzna Pastora za zdrajcę, jeśli zechce Pan służyć mu dłużej w miejscu bardziej dogodnym.

Załączam list, jaki ta młoda kobieta napisała i wysłała do panny Sadie Johnstone na King Street w Toronto. Został przez

nas przejęty, abyśmy się mogli dowiedzieć czegoś więcej o jej stanie umysłowym, po czym wysłany zgodnie z adresem. Wrócił jednak z adnotacją: „Nieznana”. Nie powiedzieliśmy o tym autorce listu w nadziei, że napisze ponownie, może obszerniej, wyjawiając coś, co pomoże nam uznać, czy kłamie świadomie, czy nie.

Pani Annie Herron, więzienie w Walley, zjednoczone hrabstwa Huronu i Bruce, do panny Sadie Johnstone, King Street 49, Toronto, 20 grudnia 1852.

Sadie, jestem tutaj cała i zdrowa, i nie mogę narzekać ani na brak jedzenia, ani okrycia. To porządny ceglany dom, trochę jak nasz sierociniec. Gdybyś mogła przyjechać i mnie odwiedzić, byłabym bardzo rada. Często mówię do Ciebie, bardzo długo, w głowie, to, czego nie chcę pisać, bo co by było, gdyby szpiegowali. Mam tutaj szycie, prześcieradła były podarte, jak przysłałam, ale wszystko poreperowałam. Teraz szyję kurtynę do opery, robotę przysłali z miasta. Mam nadzieję, że przyjedziesz. Mogłabyś tu przyjechać prosto na miejsce. Może wolałabyś nie jechać w zimie, ale wiosną to zechcesz.

Pan James Mullen do Wielebnego Waltera McBaina, 7 kwietnia 1853.

Nie otrzymawszy odpowiedzi na ostatni list, wyrażam nadzieję, że ma się Pan dobrze i nadal interesuje się sprawą Annie Herron. Przebywa tutaj w dalszym ciągu i zajmuje się szyciem, jakie wyszukuję dla niej na mieście. Nie mówi już o tym, że jest brzemienna, ani o wieszaniu, ani o swoich przypadkach.

Napisała ponownie do panny Sadie Johnstone, krótko, załączam list. Czy nie wie Pan, Pastorze, kim może być ta Sadie Johnston?

Nie dostałam odpowiedzi od Ciebie, Sadie, pewno nie wysłali mojego listu. Dzisiaj pierwszy kwietnia 1853 roku. Ale nie prima prilis, kiedyśmy sobie płatały różne figle.

Proszę, przyjeżdż do mnie, jeśli możesz. Jestem w więzieniu w Walley, ale zdrowa i cała.

Do pana Jamesa Mullena od Edwarda Hoya, właściciela gospoya Carstairs, 19 kwietnia 1853.

Zwrot Pańskiego listu do pastora McBaina. Umarł tu w gospodzie 25 lutego. Zostało kilka książek, nikomu ich nie trzeba.

III

Annie Herron, więzienie w Walley, do Sadie Johnstone, Toronto. Proszę znalazcę o wysłanie.

George wrócił, ciągnąc go po śniegu, myślałam, że to kłoda. Nie wiedziałam, że to on. George powiedział, że to on. Gałąź spadła z drzewa i go uderzyła, powiedział. Nie powiedział, że nie żyje. Patrzyłam, czy się odezwie. Miał usta trochę otwarte, w nich śnieg. I oczy trochę otwarte. Musieliśmy wejść do środka, bo zaczynała się śnieżycą, że nie daj Boże. Ciągnęliśmy go za nogi, każde za jedną. Ja sobie mówiłam, kiedy złapałam go za nogę, że to ciągle kłoda. Wewnątrz, gdzie trzymałam dobry ogień, było ciepło, i śnieg zaczął na nim tajać. Krew też zaczęła odmakać i trochę jej ściekło mu

koło ucha. Nie wiedziałam, co robić i bałam się do niego podejść. Myślałam, że te jego oczy na mnie patrzą.

George siedział przy ogniu w tej swojej szerokiej grubej kurcie i filcowych butach. Odwrócony tyłem. Ja siedziałam za stołem z przeciętych wzdłuż kłód. Zapytałam, skąd wiesz, że nie żyje? George odpowiedział: dotknij go, to sprawdzisz. Ale ja nie chciałam. Na dworze była straszna śnieżycyca, wichur wiał w drzewach i nad naszym dachem. Mówiłam *Ojcie nasz, który jesteś w niebie* i to mi dało odwagę. Muszę go umyć, powiedziałam. Pomóż mi. Wzięłam wiadro, w którym trzymałam roztopiony śnieg. Zaczęłam od nóg, musiałam ściągnąć buty, było ciężko. George ani się na chwilę nie odwrócił, nie popatrzał, nie pomógł mi, jak prosiłam. Nie ściągnęłam z niego spodni ani kurty, nie dałam rady. Ale umyłam mu ręce, dłonie. Cały czas między jego skórą a moją ręką trzymałam ścierkę. Pod głową i plecami, gdzie roztapiała się krew i śnieg, robiło się mokro, więc chciałam go przewrócić i to wytrzeć. Ale nie dawałam rady. Więc podeszłam do George'a i pociągnęłam go za ramię. Pomóż mi, powiedziałam. Co? – spytał. Powiedziałam, że musimy go przewrócić. Więc podszedł i pomógł mi, i przewróciliśmy go twarzą do ziemi. Wtedy zobaczyłam, zobaczyłam, gdzie uderzyła siekiera.

Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Ja zmyłam krew i co tam jeszcze. Powiedziałam do George'a, idź i przynieś prześcieradło z mojego kuferka. Miałam tam porządne prześcieradło, takie, jakiego bym nie kładła na łóżko. Nie wiedziałam potrzeby ściągnięcia z niego odzieży, chociaż to była porządna odzież. Ale musielibyśmy i tak wyciąć to wszystko,

co pokrwawione, i zostałyby nam tylko łachmany. Ucięłam mu mały kosmyk włosów, bo pamiętałam, że tak zrobili w sierocińcu, kiedy Lila umarła. Potem poprosiłam George'a, żeby mi pomógł przetoczyć go na prześcieradło, i zaczęłam go zaszywać w tym prześcieradle. Powiedziałam do George'a, kiedy to robiłam, George, idź za chatę, gdzie leży drzewo pod wiatą, może tam znajdziesz trochę osłony, żeby mu wykopać grób. Odrzuć drzewo, grunt będzie pod nim ździebko miększy.

Musiałam przy tym szyciu kucnąć, prawie leżałam na podłodze obok niego. Najpierw zaszyłam jego głowę w pierwszej zakładce, żeby nie patrzeć mu w oczy i na usta. George wyszedł, słyszałam przez wiatr, że robi, co kazałam, rozwała stertę drzewa na opał, szczapy obijały się o ścianę chałupy. Ja szylałam i szylałam, a za każdym kawałkiem, jaki mi zniknął z oczu, mówiłam, nawet głośno: no i tak... no i tak. Bardzo porządnie udało mi się zrobić zakładkę nad jego głową, ale jak doszłam do nóg, to mi nie starczyło materiału, więc wzięłam moją oczkowaną spódnicę, tę, co uszyłam w sierocińcu, kiedy się uczyłam ściegów, i w ten sposób udało mi się go całego zaszyć.

Poszłam pomóc George'owi. Odrzucił już wszystkie bierwiona i właśnie zaczął kopać. Ziemia nie była bardzo zamrznięta, tak jak myślałam. On miał szpadel, więc wzięłam szufłę i tak pracowaliśmy razem, on kopał i rozbijał ziemię, a ja ją odrzucałam.

Potem go wynieśliśmy. Teraz nie mogliśmy już go ciągnąć, każde za jedną nogę, więc George złapał go za głowę, a ja za

kostki, tam, gdzie moja spódnica, i przetoczyliśmy go do dołu a potem musieliśmy ten dół zasypać. George wziął szpadel, a mnie jakoś nie wychodziło to nabieranie na szuflę ziemi, więc ją spychałam rękami i nogami. Jakiśmy skończyli, George ubił ziemię łopata, płasko, jak się dało. Potem zebraliśmy bierwiona, których musieliśmy szukać w śniegu, i ułożyliśmy je porządnie, jak było przedtem, tak że nie wyglądało, żeby tu ktoś coś robił. Wydaje mi się, że nie mieliśmy ani kapeluszy, ani żadnych chust, ale robota nas rozgrzała.

Zabraliśmy jeszcze trochę szczap na ogień i zapaniśmy drzwi drągiem. Umyłam podłogę i powiedziałam do George'a, ściągnij buty. A potem, zdejmij kurtkę. George robił, co kazałam. Siedział przy ogniu. Zaparzyłam herbatę z liści kocimiętki, według tego, jak mnie uczyła pani Treece, i włożyłam kawałek cukru. George nie chciał pić. Jest za gorąca, powiedziałam, niech trochę ostygnie. Ale on dalej nie chciał pić. Więc zaczęłam. Zaczęłam do niego mówić.

Nie chciałeś tego zrobić.

To się stało w gniewie. Nie wiedziałeś, co robisz.

Widziałam przedtem, ile ci potrafił wyrządzić krzywdy. Widziałam, jak cię powala na ziemię za byle co, a ty tylko wstajesz, zawsze bez słowa. Tak samo było ze mną.

Gdybyś ty tego nie zrobił, to kiedyś on zrobiłby to tobie.

Słuchaj, George! Słuchaj mnie dobrze!

Jeśli się przyznasz, to wiesz, co się stanie? Powieszą cię. Będziesz martwy, nikomu się na nic nie zdasz. Co się stanie z twoją ziemią? Pewno wszystko wróci do Króla, ktoś inny ją dostanie i cała twoja robota pójdzie na nich.

I co się stanie tu ze mną, jeśli cię wezmą?

Wzięłam kilka placków owsianych, już zimnych, i podgrzałam, i dałam mu jeden na kolana. Wziął i pogryzł, ale nie mógł przełknąć i wypluł go do ognia.

Powiedziałam, słuchaj. Ja wiem różne rzeczy. Jestem od ciebie starsza. Jestem też pobożna, modłę się do Pana Boga co wieczór, a On odpowiada na moje prośby. Wiem, czego On chce, równie dobrze jak każdy kaznodzieja i wiem, że On nie chce, żeby wieszali takiego dobrego chłopaka jak ty. Musisz powiedzieć tylko to jedno, że żałujesz. Powiedz, że żałujesz, i żałuj szczerze, a Bóg ci przebaczy. Ja powiem to samo, że żałuję, bo jak zobaczyłam, że nie żyje, to ani przez chwilę nie chciałam, żeby był żywy. Powiem, Boże, przebacz mi. A ty zrób to samo. Uklęknij.

Ale on nie uklęknał. Nie chciał się ruszyć z krzesła. Więc powiedziałam, no dobrze. Mam pomysł. Idę po Biblię. Spytałam go, czy ty wierzysz w Biblię? Powiedz, że wierzysz. Kiwnij głową.

Nie wiem, czy skinął, czy nie, ale powiedziałam, no dobrze. Dobrze, żeś przytaknął. Dobrze. Teraz zrobię to, cośmy robiły w sierocińcu, kiedyśmy się chciały dowiedzieć, co się z nami stanie albo co powinnyśmy w życiu robić. Otworzymy Biblię wszystko jedno gdzie i położymy palec na stronicy, a potem otworzymy oczy i przeczytamy ten werset, na którym leży nasz palec, i z tego się dowiesz, co powinienes wiedzieć. Żeby mieć podwójną pewność, to tylko powiedz, jak zamkniesz oczy, Boże, prowadź mój palec.

Nie chciał podnieść ręki z kolana, więc powiedziałam, no dobrze, dobrze. Ja to za ciebie zrobię. Zrobiłam i przeczytałam

to, co było tam, gdzie pokazywał mój palec. Trzymałam Biblię tuż przy ogniu, żeby dobrze widzieć.

Było tam coś o tym, że jest stary i siwy, „Nie opuszczaj mnie, Panie!”. Więc powiedziałam: to znaczy, że będziesz żył, aż będziesz stary i siwy, i do tego czasu nic ci się na pewno nie stanie. Tak stoi w Biblii.

W następnym wersecie było, że ktoś taki i taki poszedł i wziął sobie taką a taką, i spłodził, i ona mu urodziła syna.

Tu stoi, że będziesz miał syna, powiedziałam. Musisz żyć i dorastać w lata, i ożenić się, i mieć syna.

Ale następny werset tak dobrze zapamiętałam, że mogę go przytoczyć, jak leciał: „I nie mogą oni dowieść ci tego, o co mnie teraz oskarżają”.

George, powiedziałam. Czy ty to słyszysz? „I nie mogą oni dowieść ci tego, o co mnie teraz oskarżają”. To znaczy, że jesteś bezpieczny.

Jesteś bezpieczny. Wstawaj zaraz. Wstawaj, idź, połóż się i śpij.

Nie potrafił sam dać sobie rady, ale ja pomogłam. Ciągnęłam go i ciągnęłam, aż stanął na nogi, potem go przepchałam przez izbę do łóżka, ale nie jego łóżka, w kącie, tylko tego szerszego, i posadziłam go na nim, a potem przewróciłam, żeby leżał. Przetoczyłam go przez grzbiet i z powrotem, i zdjęłam z niego, co się dało, aż do koszuli. Szczękał zębami, lękałam się o przeziębienie czy gorączkę. Zagrzałam na piecu żelazka, owinęłam je w płótno i przyłożyłam mu po obu bokach, najbliżej skóry, jak się dało. Nie mieliśmy w domu ani whisky, ani brandy, tylko tę herbatę kocimiętkę. Rozpuściłam w niej

jeszcze trochę cukru i dawałam mu do picia z łyżeczki. Rozcierałam mu rękami stopy, potem nogi i dłonie i zamoczyłam szmaty w ukropie, wyżęłam i położyłam mu na brzuchu i sercu. I mówiłam do niego zupełnie inaczej, tak łagodnie, i prosiłam, żeby zasnął, a jak się obudzi, to mu już rozum przejaśnieje i wszystkie koszmary znikną.

Gałąź na niego spadła. Tak jak mi powiedziałaś. Widzę, że leci jak błyskawica i te drobne gałązki trzaskają po drodze, i wszystko nie dłużej niż strzał z dubeltówki, i pytasz, co to? A ona uderza i go zabija.

Jak go uśpiłam, to położyłam się przy nim na łóżku. Ściągnęłam koszulę i obejrzałam czarne i granatowe ślady na ramionach. Podwinęłam spódnicę, żeby sprawdzić, czy dalej mam takie ślady wyżej, na udach – i były. I wierzch dłoni miałam cały czarny i bolący od tego, jak ją zagryzałam.

Nic złego się nie stało po tym, jak się położyłam, ale całą noc nie spałam, tylko słuchałam, jak oddycha, i ciągle go dotykałam, żeby sprawdzić, czy pocieplał. Wstałam przy pierwszym świcie i rozpaliłam ogień. Jak mnie usłyszał, to się obudził i czuł się lepiej.

Nie zapomniał, co się stało, ale mówił tak, jakby uważał, że wszystko jest w porządku. Powiedział, że powinniśmy odmówić pacierz i przeczytać coś z Biblii. Odemknął drzwi i zaraz sypnął się do środka śnieg, ale niebo się przecierało. To był ostatni śnieg tej zimy.

Wyszliśmy na dwór i odmówiliśmy *Ojcze nasz*. I potem spytał, a gdzie Biblia? Dlaczego nie leży na półce? Kiedy ją przyniosłam zza komina, to spytał, a co ona tu robi? Nie przypomiinałam

mu niczego. Nie wiedział, gdzie czytać, więc wybrałam Psalm 131, któregośmy musiały się uczyć w sierocińcu. „Panie, serce moje się nie pyszni i oczy moje nie są wyniosłe”³. Przeczytał. Potem powiedział, że odgarnie łopata śnieg ze ścieżki do Trece’ów i pójdzie ich zawiadomić. Ja na to, że ugotuję mu coś do jedzenia. Wyszedł i odgarniał ten śnieg, ale się nie zmęczył na tyle, żeby wrócić i zjeść, chociaż na niego czekałam. Odgarniał tylko ten śnieg i odgarniał coraz dalej i dalej, aż zniknął i nie wracał. Przyszedł dopiero po zmroku i powiedział, że już jadł. Spytałam: czy mówiłeś im o tym drzewie? I wtedy spojrzał na mnie pierwszy raz złym wzrokiem. To był taki sam zły wzrok, jakim zwykle patrzył jego brat. Nigdy nie powiedziałam słowa więcej o tym, co się stało, ani nawet o tym nie napomknęłam. A on nigdy ze mną o tym nie mówił, tyle że przychodził w moich snach i powiadał różne rzeczy. Ale zawsze znałam różnicę między tym, co we śnie, a tym, co na jawie, i na jawie było tylko to złe spojrzenie i nic więcej.

Pani Trece przyszła i prosiła, żebym się do nich przeniosła i z nimi mieszkała, tak samo jak George. Powiedziała, że mogłabym u nich jeść i spać, mają dosyć łóżek. Nie chciałam iść. Myśleli, że nie chcę przez to, że tak rozpaczam, ale nie chciałam, bo ktoś mógłby zobaczyć moje sińce, no i pewno by się spodziewali, że będę płakać. Powiedziałam, że nie boję się zostać sama.

Śniło mi się co noc, że albo jeden, albo drugi przychodzi i goni mnie z siekierą. Albo on, albo George, ten albo tamten. Albo czasem nie z siekierą, tylko wielkim kamieniem

³ Przekład biblistów polskich – wyd. Pallotinum 1982.

trzymanym w obu rękach, jeden z nich czekał na mnie za drzwiami z tym kamieniem. Sny są nam posyłane na ostrzeżenie.

Nie zostałam w chałupie, gdzie by mógł mnie znaleźć, a kiedy przestałam sypiać w środku i spałam na dworze, to ten sen nie nachodził mnie już tak często. Zagrzewałam się szybko, opadały mnie muchy i komary, ale mi to nie przeszkadzało. Widziałam ich ukąszenia, ale ich nie czułam, a to było jeszcze jedno świadectwo, że na dworze nic mi nie grozi. Kładłam się, kiedy słyszałam, że ktoś idzie. Żywiłam się jagodami, czerwonymi i czarnymi, i Bóg mnie ustrzegł przed wszelakim złem, jakie mogło w nich siedzieć.

Po jakimś czasie zaczęłam mieć jeszcze inny sen. Śniło mi się, że George przychodzi i mówi do mnie, ale ma ciągle ten zły wzrok, tylko próbuje to ukryć i udaje, że jest dobry. Ciągłe do mnie przychodził we śnie i mi kłamał. Zaczynało chłodzić na dworze, nie chciałam wracać do chałupy, rosa była taka gęsta, że przemakałam na wskroś, śpiąc w trawie. Poszłam i otworzyłam Biblię, żeby sprawdzić, co powinnam robić.

I teraz zostałam ukarana za oszukiwanie, bo Biblia nie powiedziała mi nic, z czego mogłabym wyrozumieć, co mam ze sobą zrobić. Oszukiwałam wtedy, kiedy chciałam znaleźć coś dla George'a, i nie przeczytałam tego, na co wskazywał mój palec, tylko spojrzałam naokoło i znalazłam coś, co mi bardziej pasowało. Robiłam to samo, kiedyśmy wyszukiwały w sierocińcu wersety dla siebie, i zawsze znajdowałam coś, co się lepiej nadawało, i nikt mnie nigdy na tym nie przyłapał ani mnie o to podejrzewał. Ty, Sadie, też mnie nie podejrzewałaś.

Więc teraz zostałam ukarana, bo chociaż szukałam, nie mogłam znaleźć czegoś, co by mi pomogło. Ale powstało mi w głowie, żeby tu przyjść i przysłałam; słyszałam, jak mówią, że tu ciepło i każdy włóczęga chciałby tu przyjść i dać się zamknąć, więc pomyślałam, to i ja też, i powstało mi w głowie, żeby im powiedzieć to, co powiedziałam. Powiedziałam to samo kłamstwo, jakie mi tak często powtarzał George we śnie, starając się, żebym uwierzyła, że to nie on, tylko ja. Jestem tu przed nim bezpieczna i to jest najważniejsze. Jeśli myślą, że jestem wariatka, a ja wiem, jak jest naprawdę, to jestem bezpieczna. Tylko chciałabym, żebyś mogła tu do mnie przyjechać.

I chciałabym, żeby ona przestała wrzeszczeć.

Jak skończę pisać, to włożę ten list w kurtynę, tę, co ją szyję dla opery. I napiszę na nim Proszę Znalazcę o Wysłanie. Myślę, że tak będzie lepiej niż dawać go im, tak jak te dwa listy, które napisałam, a oni ich w ogóle nie wysłali.

IV

Panna Christena Mullen, Walley, do Pana Leopolda Henry'ego, Wydział Historii, Queen's University, Kingston, 8 lipca 1959.

Tak, jestem tą panną Mullen, którą zapamiętała siostra Treece'a Herrona z wizyty na farmie, i miło mi, że mówi o mnie jak o ładnej młodej pannie w kapeluszu i woalce. To był woal samochodowy. Ta starsza pani, o której mówi, to

szwagierka dziadka pana Herrona, o ile się nie mylę. Będzie Pan musiał sprawdzić stopień pokrewieństwa, jeśli Pan pisze biografię. Ja sama nigdy nie głosowałam na Treece'a Herrona, ponieważ jestem konserwatystką, ale to barwna polityczna postać i zgadzam się z Panem, że jego biografia może zwrócić uwagę na naszą część kraju – uważaną aż nazbyt często za „śmiertelnie nudną”.

Trochę się dziwię, że ta siostra nie mówi przede wszystkim o samochodzie. To był stanley steamer. Kupiłam go sobie na dwudzieste piąte urodziny w 1907 roku. Kosztował tyśiąc dwieście dolarów, to była przypadająca na mnie część spadku po Jamesie Mullenie, moim dziadku, który pełnił funkcję jednego z pierwszych Urzędników Pokoju w Walley. Zrobił majątek na kupnie i sprzedaży farm.

Ojciec umarł młodo i wtedy mama wprowadziła się do domu dziadka razem z nami wszystkimi – pięcioma córkami – do dziadka, do jego domu. Był to wielki budynek z ciosanego kamienia, o nazwie Traquair, teraz to jest przytułek dla młodocianych przestępców. Czasami żartuję, że zawsze nim był.

W czasach mojego dzieciństwa zatrudnialiśmy w domu ogrodnika, kucharkę i szwaczkę. Każde z nich to dziwadło, wszyscy ogromnie lubili się kłócić i wszyscy zawdzięczali pracę temu, że zainteresował się nimi mój dziadek, kiedy byli lokatorami okręgowego więzienia – i z czasem wziął ich do siebie.

Kiedy kupowałam steamera, byłam jedyną spośród sióstr, która pozostała w domu, a jedyną pozostałą ze starej służby

była szwaczka. Nazywano ją Starą Annie, a ona nigdy nie protestowała. Sama tak się nazywała i pisała karteczki do kucharki: „Herbata nie dość gorąca, czy zagrzałaś imbryk? Stara Annie”. Całe drugie piętro to było królestwo Starej Annie i jedna z moich siostr – Dolly – mówiła, że jak się jej śni dom, to znaczy Traquair, to śni się jej Stara Annie na podeście schodów drugiego piętra, wymachująca kijkiem z miarką, w czarnej sukni z długimi puszystymi rękawami jak pająk.

Zezowała trochę jednym okiem i dlatego sprawiała wrażenie, że ogarnia oczyma więcej niż zwykli ludzie.

Nie wolno nam było dręczyć służby pytaniami o ich życie osobiste, zwłaszcza tych, co siedzieli w więzieniu, ale to robiliśmy, rzecz jasna. Czasem Stara Annie nazywała więzienie sierocińcem. Mówiła, że dziewczyna na sąsiednim łóżku wrzeszczała i wrzeszczała, i dlatego właśnie ona, Stara Annie, uciekła do lasu. Mówiła, że ta dziewczyna dostała lanie, bo pozwoliła, żeby ogień zgasł. Dlaczego siedziałaś w więzieniu, pytaliśmy, a ona na to: „Bo opowiadałam bajdury”. Więc przez dłuższy czas mieliśmy wrażenie, że idzie się do więzienia za mówienie kłamstw.

Czasem, jak była w dobrym humorze, potrafiła się z nami bawić. Czasem, jak była w złym, to nas kłuła szpilkami, gdy wyrównywała długość spódnicy – jeśliśmy się za szybko obracały albo zatrzymywały za wcześnie. Powiadała, że zna takie miejsce, gdzie są cegły, które się kładzie dzieciom na głowę, żeby przestały rosnać. Nie cierpiała szyć sukien ślubnych (dla mnie to nigdy nie musiała!) i nie miała wysokiego zdania o żadnym z mężczyzn, za których wyszły moje

siostry. Nie znosiła narzeczonego Dolly tak bardzo, że pomyliła umyślnie coś przy rękawach, które trzeba było potem wrywać i Dolly płakała. Ale uszyła nam przepiękne suknie balowe na przyjazd gubernatora generalnego i lady Minto do Walley.

Co do tego, czy sama była mężatką, czy nie, mówiła różnie, czasem, że tak, czasem, że nie. Powiedziała, że kiedyś przyjechał do sierocińca jakiś mężczyzna i kazał, żeby wszystkie dziewczyny przed nim paradowały, i powiedział: „Wezmę tę, co ma włosy czarne jak węgiel”. Czyli Starą Annie, ale ona mu odmówiła, chociaż był bogaty i przyjechał powozem. Coś takiego jak Kopciuszek, ale z innym zakończeniem. I mówiła też, że jej męża zabił niedźwiedź w lesie, a mój dziadek zabił tego niedźwiedzia, owinął ją w futro i zabrał z więzienia do domu.

Mama powiadała: „Dziewczęta, nie ciągnijcie Starej Annie za język. I nie wierzcie ani jednemu jej słowu”.

Ogromnie się długo rozwodzę nad tłem, ale pisał Pan, że ciekawią Go szczegóły tamtych czasów. Ja, podobnie jak większość osób w moim wieku, zapominam kupić mleko, ale pamiętam kolor płaszczyka, jaki nosiłam, mając osiem lat.

Tak więc, kiedy kupiłam samochód, Stara Annie poprosiła, żebym ją zabrała na przejażdżkę. Okazało się, że to, o co jej chodzi, to będzie raczej wyprawa. Byłam zaskoczona, bo nigdy nie lubiła podróżować, odmówiła wycieczki nad Niagarę i nawet nie chciała jechać pierwszego lipca do portu, żeby obejrzeć fajerwerki. I traktowała podejrzliwie zarówno automobile, jak i mnie jako kierowcę. Ale najdziwniejsze było to,

że jest ktoś, kogo chce zobaczyć. Chciała jechać do Carstairs i odwiedzić rodzinę państwa Herronów, którzy, jak powiedziała, byli jej rodziną. Nigdy nikt z tej rodziny do niej nie przyjeżdżał ani do niej nie pisał, a kiedy spytałam, czy poprosiła listownie o zgodę na swoją wizytę, odpowiedziała: „Nie umiem pisać”. Śmieszne – pisała kartki do kucharek i długie listy zakupów dla mnie, jeśli miałam jej coś znaleźć na rynku albo kupić w mieście. Galon, bukram, tafta – potrafiła to wszystko napisać.

– I nie trzeba, żeby z góry wiedzieli – powiedziała. – Na wsi jest inaczej.

Uwielbiałam jeździć na wycieczki steamerem. Prowadziłam auto już jako piętnastolatka, ale to był mój pierwszy własny samochód i zapewne pierwszy samochód parowy w całym hrabstwie Huron. Każdy biegł, żeby go zobaczyć, kiedy przejeżdżał. Nie wydawał tych strasznych charkotów i szczezków jak inne samochody, ale toczył się w ciszy, trochę jak okręt pod żaglami na wodach jeziora, i nie psuł powietrza, tylko zostawiał za sobą ogon pary. Samochody tej marki – Stanley Steamer – zostały zakazane w Bostonie, ponieważ para zadymiała powietrze. Uwielbiałam mówić, że prowadzę samochód, który jest zakazany w Bostonie.

Wyruszyliśmy dość wcześnie w czwartkową niedzielę. Wystarczyło dwadzieścia pięć minut, żeby zagrzać samochód i przez ten cały czas Stara Annie siedziała wyprostowana na przednim siedzeniu, jakbyśmy już jechały. Obie miałyśmy samochodowe woalki na twarzach i długie samochodowe prochowce, tyle że Stara Annie nosiła pod płaszczem suknię ze

śliwkowego jedwabiu. Była to suknia przerobiona z kreacji, jaką uszyła dla mojej babki na spotkanie z księciem Walii.

Steamer pokonywał przestrzeń jak anioł. Mógł dojść do pięćdziesięciu mil na godzinę – ogromna szybkość na owe czasy – ale nie chciałam przesadzać. Staralam się liczyć z nerwami Starej Annie. Ludzie byli jeszcze w kościołach, kiedyśmy wyjeżdżały, ale potem drogi wypełniły się bryczkami wiernych wracających do domów. Byłam niezmiernie grzeczna, prowadziłam samochód skrajem drogi. Okazało się jednak, że Stara Annie wcale nie chce być równie spokojna, bo powtarzała w kółko: „Naciśnij mocno!”, co znaczyło: zatrąb – bo to się robiło gruszką znajdującą się na dole, pod błotnikiem, po mojej stronie auta.

Musiała ostatnio być w Walley jeszcze przed moim urodzeniem. Kiedyśmy przejeżdżały przez most w Saltford (ten stary, żelazny most, gdzie zdarzało się tyle wypadków, bo na obu krańcach są zakręty), powiedziała, że dawniej tu nie było żadnego mostu, trzeba było płacić przewoźnikowi za przeprawę.

– Nie miałam pieniędzy, ale przesłam po kamieniach, tylko podciągnęłam spódnicę i brnęłam – powiedziała. – Takie było wtedy suche lato.

Nie miałam, oczywiście, pojęcia, o jakim lecie mówiła.

A potem: Popatrz, jakie szerokie pola, a gdzie karczowisko? Gdzie jest las? Spójrz tylko, jak prosto idzie droga! Domy stawiają z cegieł! A co to za budynki, wielkie jak kościoły?

– Stodoły – odpowiedziałam.

Znałam dobrze drogę tylko do Carstairs i spodziewałam się, że jak tam dojedziemy, to Stara Annie mi pomoże. Nie

pomogła. Jeździłam tam i z powrotem główną ulicą, licząc, że zauważy coś znajomego.

– Żeby tylko zobaczyła gospodę – mówiła – to wiedziałabym, gdzie się zaraz za nią zaczyna szlak.

Carstairs to fabryczne miasto, nieszczerólnie ładne, moim zdaniem. Oczywiście steamer przyciągał uwagę, mogłam więc pytać głośno, jak się jedzie do farmy Herronów, nie zatrzymując samochodu. Po wielu krzykach i wymianie gestów udało mi się wreszcie wjechać na właściwą drogę. Powiedziałam Starej Annie, żeby pilnowała skrzynek na listy, ale ona wciąż wyglądała strumienia. Sama zauważyłam nazwisko i skręciłam w długą dróżkę z wielkim domem z czerwonej cegły na końcu i kilkanaście ogromnymi stodołami, które tak zdumiały Starą Annie. Domy z czerwonej cegły z łukowatymi oknami to była wtedy ostatnia moda, wszędzie takie stawiano.

– Patrzaj! – powiedziała Stara Annie i myślałam, że jej chodzi o stado krów, które wystraszyły się samochodu na pastwisku wzdłuż drogi. Ale ona wskazywała na pagórek obrosnięty gęsto dziką winoroślą, z którego wystawało kilka kłód. Powiedziała, że to była chata. A ja jej na to: – No, dobrze by było, gdyby ci się udało rozpoznać chociaż kilka z tych osób.

Zebrało się tam sporo ludzi. W cieniu stało kilka przyjezdnych bryczek, spętane konie skubały trawę. Kiedy steamer zatrzymał się pod boczną werandą, zgromadziła się już garstka widzów. Nie podeszli – nawet dzieci nie wybiegły, żeby popatrzeć z bliska, jak by to zrobiły dzieci w mieście. Stali wszyscy szeregami i przyglądali się w milczeniu.

Stara Annie patrzyła w odwrotnym kierunku.

Kazała mi wysiąść. Wyjdź, powiedziała, i zapytaj ich, czy tutaj mieszka pan George Herron i czy jeszcze żyje, czy umarł.

Zrobiłam, co kazała. I jeden z mężczyzn odparł: Tak. Żyje. To mój ojciec.

Doskonale. Przywiozłam tu kogoś, oświadczyłam. Przywiozłam panią Annie Herron.

Ach, tak, powiedział mężczyzna.

(Tu przerwa spowodowana kilkoma zemdleniami oraz podróżą do szpitala. Cała masa badań na koszt podatnika. Już wróciłam, przeczytałam, co napisałam, zdumiały mnie te dłużyzny, ale jestem zbyt leniwa, żeby zaczynać od początku. I jeszcze nie doszłam do Treece'a Herrona, który jest przedmiotem Pańskiego zainteresowania, ale chwileczkę, proszę poczekać, już prawie jestem na miejscu).

Ci ludzie osłupieli na widok Starej Annie albo zdawało mi się, że osłupieli. Nie wiedzieli, gdzie ona się podziewała ani co robiła, ani w ogóle czy żyje. Ale niech Pan sobie nie wyobraża, że wylegli z powitaniem, okazując przejęcie czy wzruszenie. Wyszedł tylko jeden młody człowiek i bardzo uprzejmie pomógł wysiąść najpierw jej, a potem mnie. Powiedział mi, że Stara Annie jest bratową jego dziadka. Źle się stało, że nie przyjechałyśmy przed kilkoma miesiącami, powiedział, bo dziadek czuł się jeszcze całkiem dobrze i miał umysł jasny – nawet napisał coś do gazety o swoich początkach tutaj – ale potem się rozchorował. Wyszedł z choroby, jednak już nie jest taki jak przedtem. Nie rozmawia, tylko rzuca niekiedy kilka słów.

Ten uprzejmy młody człowiek to był Treece Herron.

Musiałśmy przyjechać tuż po tym, jak skończyli jeść obiad. Pani domu wyszła i poprosiła jego – to znaczy Treece’a Herrona – żeby nas zapytał, czyśmy jadły. Można by pomyśleć, że albo ona, albo my nie mówimy po angielsku. Wszyscy byli bardzo nieśmiali – kobiety z włosami gładko zaczesanymi do tyłu, mężczyźni w ciemnogramatowych niedzielnych marynarkach i oniemiałe dzieci. Mam nadzieję, że Pan nie sądzi, że się z nich naśmiewam – ja tylko nie mogę pojąć, na co komu taka nieśmiałość.

Zaprowadzono nas do pokoju jadalnego, który był chyba nieużywany, sądząc po zapachu – musieli jeść obiad gdzieś indziej – i podano masę jedzenia, z którego zapamiętałam solone rzodkiewki, liście sałaty, pieczone kurczęta, truskawki i śmietaną. Porcelana była nie ta na co dzień, ale wyjęta z serwantki. Dobra stara angielska zastawa, wzór Indian Tree. Mieli komplety wszystkiego. Luksusowy wyściełany komplet do bawialni. Orzechowy komplet jadalny. Pomyślałam, że zabierze im jeszcze trochę czasu, nim przywykną do swojej zamożności.

Stara Annie była ogromnie rada z tej krzątaniny wokół jej osoby i jadła strasznie dużo, obgryzała kości kurczęcia do ostatniego włókna. Dzieci wyściubiwały nosy zza drzwi, a kobiety rozmawiały przyciszonym, zgorszonym tonem gdzieś w kuchni. Ten młody człowiek, Treece Heron, był łaskaw usiąść z nami, gdy jadłyśmy, i wypić filiżankę herbaty. Oповідаł chętnie o samym sobie, powiedział, że studiuje teologię w Knox College. Mówił, że lubi mieszkać w Toronto. Miałam wrażenie, że stara się mnie przekonać, iż nie wszyscy studenci teologii to takie sztywniaki, jak sobie wyobrażam,

i nie prowadzą pustelniczego życia. Jeździł na saneczkach w High Parku, był na pikniku w Hanlan's Point i oglądał żyrafę w ogrodzie zoologicznym w Riverdale. Podczas gdy mówił, dzieci nabrały troszkę śmiałości i zaczęły się wsuwać do pokoju. Zadawałam typowe głupie pytania... Ile masz lat? Jakie masz książki w szkole? Czy lubisz swoją nauczycielkę? Zachęcał je, by odpowiadały, albo sam za nie odpowiadał i wyjaśniał, którzy to jego bracia, a którzy to kuzyni.

Stara Annie zapytała wtedy: Czy wy się lubicie, tak jeden drugiego? – na co popatrzyli dziwnie na siebie.

Pani domu przysłała i ponownie zwróciła się do mnie za pośrednictwem studenta teologii. Powiedziała, że dziadek wstał i siedzi teraz na ganku od frontu. Spojrzała na dzieci i spytała: – A po co je tu wpuszczasz?

Wymaszerowaliśmy więc na zewnątrz, na ganek, gdzie stały dwa krzesła o sztywnych oparciach, na jednym z nich siedział starzec. Przepiękna biała, gęsta broda sięgała mu do kamizelki. Nie wydawał się nami zainteresowany. Miał długą, bladą, uległą twarz.

Stara Annie powiedziała: „No i co, George” – jakby na to właśnie czekała. Usiadła na drugim krześle i zwróciła się do jednej z małych dziewczynek. „Przynies mi poduszkę. Przynies cienką poduszkę i podłóż mi pod krzyż”.

Całe popołudnie spędziłam na wożeniu gości moim steamerem. Poznałam już tych ludzi na tyle, by nie zaczynać od pytania, kto się chce przejechać, ani nękania ich pytaniami o to, czy ciekawią ich automobile. Po prostu wyszłam

i poklepałam samochód tu i tam, jakby to był koń, i zajrzałam do bojlera. Student teologii stanął za mną i przeczytał nazwę steamera namalowaną na boku: „Wyścigowiec dżentelmena”. Spytał, czy to samochód mojego ojca.

– Mój – odpowiedziałam. Wytłumaczyłam mu, w jaki sposób grzeje się woda w bojlerze i jakie ciśnienie pary bojler wytrzyma. Zawsze ludzie o to pytali – o możliwości wybuchu. Dzieci podchodziły coraz bliżej, a ja nagle zauważyłam, że bojler jest niemal pusty. Zapytałam, czy mogłabym dostać trochę wody.

Biegająca tam i z powrotem, kto przyniesie wiadro, kto napompuje wodę! Podeszłam do mężczyzn zebranych na werandzie i spytałam, czy można, i podziękowałam, kiedy powiedzieli, że można. Gdy bojler został napełniony, przyszło mi, rzecz jasna, spytać, czy zechcieliby, abym zagrzała parę, a rzecznik zebranych odpowiedział, że to nikomu nie zaszkodzi. Nikt się nie niecierpliwił podczas czekania. Mężczyźni przyglądali się bojlerowi w skupieniu. To na pewno nie był pierwszy oglądany przez nich samochód, ale chyba pierwszy samochód parowy.

Najpierw zaproponowałam przejażdżkę mężczyznom, to była właściwa kolejność. Przyglądali się sceptycznie moim zabiegom przy tych wszystkich pokrętłach i dźwigniach, żeby uruchomić maszynę. Trzynaście rozmaitych elementów, które trzeba było wcisnąć lub za nie pociągnąć. Toczyliśmy się po ścieżce z szybkością pięciu, a potem dziesięciu mil na godzinę. Wiem, że świadomość, iż kieruje kobieta, ogromnie im dolegała, ale nowość doświadczenia przeważała. Potem załadowano mi dzieci, wsadził je student teologii,

przykazując, żeby siedziały cicho, trzymały się, nie bały i nie wypadły. Zwiększyłam trochę szybkość, bo już poznałam koleiny i dziury pełne wody, więc nie sposób było powstrzymać okrzyków przerażenia czy radości.

Nie pisałam o pewnej rzeczy, mianowicie o tym, jak się wtedy czułam, ale nie będę o tym dłużej milczeć, a to wskutek martini, jakie właśnie popijam – to moja codzienna przyjemność pod wieczór. Przeżywałam wtedy kłopoty, o jakich Panu nie wspominałam, ponieważ to były kłopoty sercowe. Ale tego dnia, kiedy wyruszałam ze Starą Annie, postanowiłam się cieszyć, ile tylko się da. Nie cieszyć się byłoby obrazą dla stanleya steamera. Przez całe życie uważałam to za dobrą zasadę – wyciągać z wszystkiego tyle radości, ile się da, zwłaszcza kiedy ta radość jest mało prawdopodobna.

Powiedziałam jednemu z chłopców, żeby pobiegł naokoło na werandę od frontu i spytał dziadka, czy nie miałby ochoty na przejażdżkę. Wrócił i powiedział: „Pospali się, jedno i drugie”.

Musiałam przed wyjazdem powtórnie napełnić bojler, a gdy to robiłam, podszedł Treece Herron i stanął blisko mnie.

– Będziemy długo pamiętać pani przyjazd – powiedział.

Nie miałabym flirtu z nim za ujmę. Prawdę mówiąc, czekała mnie długa kariera flirciarki. To całkiem naturalny sposób zachowania, kiedy człowiek, który utracił miłość, porzuca myśl o zamążpójściu.

Powiedziałam, że jak tylko przyjedzie do swoich przyjaciół w Toronto, to zaraz o wszystkim zapomni. Zaprzeczył,

powiedział, że nigdy nie zapomni, i spytał, czy może do mnie pisać. Powiedziałam, że nikt nie może mu zabronić.

W drodze powrotnej myślałam o tej rozmowie i jakie by to było zabawne, gdyby zrobił na mnie poważne wrażenie. Student teologii. Nie miałam wtedy, rzecz jasna, pojęcia, że wyskoczy z teologii i wskoczy do polityki.

– Szkoda, że starszy pan Herron nie był w stanie do ciebie mówić – zwróciłam się do Starej Annie.

– Za to ja mogłam mówić do niego – odparła.

Trece Herron jednak do mnie napisał, ale coś musiało go przestrzec, bo załączył do listu jakieś broszurki o szkołach misyjnych. Coś o zbieraniu pieniędzy na szkoły misyjne. To mnie odrzuciło i nie odpisałam. (Po latach żartowałam, że mogłabym wyjść za niego, gdybym rozegrała sprawę jak należy).

Zapytałam Starą Annie, czy pan Herron rozumiał, co do niego mówiła, a ona odpowiedziała: „Tyle, ile trzeba”. Zapytałam, czy rada jest, że go widziała, a ona odpowiedziała, że tak. „I rada z tego, że on widział mnie”, powiedziała, nie bez odrobiny triumfu w głosie, co pewno miało związek z jej suknią i samochodem.

I tak oto płynęliśmy naszym steamerem pod sklepieniem wysokich drzew, obrzeżających drogi w tamtych czasach. W dali, mile od nas, widać było jezioro – krótkie mignięcia, smuga światła rozszerzająca się między drzewami i na wzgórzach, i Stara Annie pytała, czy to naprawdę to samo jezioro, to samo co to, nad którym leży Walley?

Wtedy, dawniej, było na świecie wielu starych ludzi, którym różnie się układało w głowie, niekonieczne do rzeczy,

choć myślę, że Stara Annie miała w głowie więcej niż inni. Pamiętam, jak opowiadała mi kiedyś, że pewna dziewczyna w sierocińcu urodziła dziecko, które jej wyskoczyło z wielkiego, pękniętego czyraka na brzuchu, było wielkości szczura i bez życia, ale wsadzili je do pieca i ono napęczniało, upiekło się na właściwy kolor i zaczęło kopać nogami. (Poproś starą kobietę o wspomnienia, to dostaniesz worek rupieci, pewno tak Pan myśli w tej chwili).

Powiedziałam jej, że to niemożliwe, że to musiał być sen.

– Może i tak. – Po raz pierwszy się ze mną zgodziła. – Kiedyś to ja miewałam okropne sny.

Wylądowały statki kosmiczne

Tego dnia, w którym zniknęła Eunie Morgan, Rhea siedziała u szmuglera w Carstairs – u Monka – w wąskim drewnianym domu o ścianach do połowy szczerniałych od regularnych wylewów rzeki. Przywiózł ją Billy Doud. Grał w karty przy końcu długiego stołu, a rozmowa toczyła się z drugiego końca. Rhea siedziała z boku, w bujanym fotelu w kącie przy węglowym piecu.

– Naturalna potrzeba, powiedzmy, za naturalną potrzebą – ciągnął ten, który wcześniej powiedział coś o sranii. Na to jeden z mężczyzn kazał mu uważać na słowa.

Nikt nie patrzył na Rheę, ale wiedziała, że o nią chodzi.

– Wyszedł na skały za naturalną potrzebą. I szukał czegoś, jakiegoś kawałka, co by się nadał. Ale tak naprawdę to nie myślał, że coś znajdzie. No i co widzi? Widzi to wszystko naokoło. Całe pokłady. W sam raz! Leżą, gdziekolwiek spojrzy. Więc zbiera, upycha po kieszeniach, powiada sobie: będzie jak znalazł na później. Więcej o tym nie myśli. Wraca do obozu.

– Był w wojsku? – spytał mężczyzna, którego Rhea знаła; zmiatał w zimie śnieg z chodnika przy szkole.

– Skąd wam to w głowie? Nie mówiłem o wojsku.

– Powiedzieliście: obóz. Obóz wojskowy – odparł zamyślony. Nazywał się Dint Mason.

– Nie powiedziałem: obóz wojskowy. Mówię o obozie drwali. Daleko na północy, w prowincji Quebec. Co by tam robił obóz wojskowy?

– Myślałem, żeście powiedzieli: obóz wojskowy.

– No więc ktoś zobaczył, co on ma. Co ty tu masz? No, powiada, sam nie wiem. Skądś to wziął? Ano leżało na ziemi. No, a co to jest, jak myślisz? Ano, nie wiem.

– To mi wygląda na azbest – powiedział inny mężczyzna, którego Rhea знаła z widzenia, były nauczyciel, który obecnie sprzedawał naczynia kuchenne do gotowania bez wody. Miał cukrzycę i twierdzono, że jest w tak ciężkim stanie, że zawsze mu się zbiera kropla cukru na końcu penisa.

– Azbest – przyznał bez entuzjazmu ten, który opowiadał całą historię. – I na tym miejscu zbudowali największą kopalnię azbestu na całym świecie. I ta kopalnia przyniosła majątek.

Dint Mason znowu zabrał głos.

– Ale nie temu, co go znalazł, na pewno nie jemu. Nigdy tak nie jest. Nigdy majątek nie dostaje się temu, co znalazł.

– Czasem bywa, że się dostaje – upierał się ten, co opowiadał historię.

– Nigdy – stwierdził Dint.

– Są tacy, co znaleźli złoto i zostali milionerami – obstawał przy swoim ten, co opowiadał. – Jeszcze ilu! Znaleźli złoto i zostali milionerami. Miliarderami. Na przykład sir Harry Oakes. Znalazł. No i został milionerem.

– Został zabity – powiedział mężczyzna, który dotąd nie brał udziału w rozmowie.

Dint Mason zaczął się śmiać, przyłączyło się jeszcze kilku innych, a ten od garnków i patelni powiedział:

– Milionerzy? Miliarderzy? Co jest następnego po miliardach?

– Został zabity i tyle mu przyszło dobrego. – Dint Mason śmiał się głośno ostrym dyszkantem.

Ten, który opowiadał o zdarzeniu, oparł płasko dłoń na blacie i potrząsnął stołem.

– Nie mówiłem, że nie został. Nie powiedziałem, że nie został zabity. Nie mówimy o tym, czy został, czy nie został zabity. Powiedziałem, że znalazł te kawałki, zrobił z nich użytek i powinien być milionerem.

Wszyscy chwycili swoje butelki i szklanki, w obawie, że polecą. Nawet ci, co grali w karty, przestali się śmiać. Billy siedział plecami do Rhei, szerokie ramiona prześwitywały mu pod białą koszulą. Wayne, jego przyjaciel, stał po przeciwnej stronie stołu i przyglądał się grającym. Wayne był synem pastora Zjednoczonego Kościoła, pochodził z Bondi, miasteczka niedaleko Carstairs. Kolega Billy'ego z college'u zamierzał być dziennikarzem – już teraz miał pracę w gazecie w Calgary. Kiedy toczyła się dyskusja o azbeście, podniósł oczy i spotkał wzrok Rhei, od tej chwili przyglądał się jej z lekkim, napiętym, uporczywym uśmiechem. Nie po raz pierwszy Wayne chwycił wzrok Rhei, ale na ogół się przy tym nie uśmiechał. Popatrywał na nią i odwracał wzrok, czasem kiedy Billy coś mówił.

Pan Monk dźwignął się na nogi. Był kaleką – czy to wskutek jakiejś choroby, czy wypadku – chodził z laską, zgięty wpół niemal pod kątem prostym. Na siedząco wyglądał prawie jak zdrowy. Wstając, musiał się pochylić nad blatem stołu, w sam środek tego śmiechu.

Ten, który opowiadał całą historię, podniósł się w tej samej chwili i pewnie niechcący strącił szklankę pana Monka. Szklanka się stłukła, a mężczyźni zaczęli wołać:

– Zapłać! Zapłać!

– Zapłacisz następnym razem – powiedział pan Monk głosem, który uciszył wszystkich; miłym głosem, silnym jak na kalekiego i tak kruchego człowieka.

– Więcej w tej izbie dup niż rozumów – krzyczał mężczyzna, który opowiedział historię o azbeście; ruszył po rozbitym szkłe, rozkopując pokruszone skorupy, mijając fotel Rhei w drodze do tylnego wyjścia. Otwierał i zaciskał pięści, miał oczy pełne łez.

Pani Monk przyniosła miotłę.

Normalnie Rhea nie siedziałaby tutaj, wewnątrz. Siedziałyby na zewnątrz z Lucille, dziewczyną Wayne’a, albo w jego samochodzie, albo w wozie Billy’ego. Oni obaj poszliby na drinka, obiecując, że wrócą za pół godziny. (Nie brałyby tej obietnicy poważnie). Ale tego wieczoru – pierwsze dni sierpnia – Lucille została w domu, bo była chora, a Billy z Rheą pojechali sami na tańce do Walley, a potem nie zaparkowali, tylko ruszyli prosto do Monka. Budynek stał na skraju Carstairs, gdzie mieszkali Billy i Rhea. Billy w środku miasta, a Rhea na kurzej farmie, kawałek drogi za mostem, za rzędem domów stojących wzdłuż rzeki.

Na widok samochodu Wayne'a zaparkowanego przed Monkiem Billy wydał powitalny okrzyk, jakby witał samego kierowcę.

– Cześć, stary! – wołał. – Zdążyłeś przed nami! – Ścisnął Rheę za ramię. – Idziemy do środka – dodał. – Ty też.

Pani Monk otworzyła im kuchenne drzwi, a Billy powiedział:

– Proszę spojrzeć, przyprowadziłem pani sąsiadkę.

Pani Monk popatrzyła na Rheę jak na kamień przydrożny. Billy Doud miał dziwne pojęcie o ludziach. Wrzucił do jednego worka biednych albo tych, których uważał za biednych – i „klasę pracującą” (Rhea знаła ten termin tylko z książek). Wrzucił Rheę do worka z Monkami, ponieważ mieszkała na wzgórzu, na kurzej farmie – ale nie rozumiał, że jej rodzina nie uważa mieszkańców tego rzędu domów za swoich sąsiadów, ani tego, że jej ojciec za nic w świecie nie przyszedłby do Monka na drinka.

Rhea widywała panią Monk w drodze do miasta, ale pani Monk nie zaczynała rozmowy. Ciemne, siwiejące włosy upinała w węzeł na karku i nigdy się nie malowała. W odróżnieniu od wielu kobiet w Carstairs wciąż pozostawała szczupłą. Ubierała się schludnie i skromnie, nieszczególnie młodzieńczo, ale też nie jak, w pojęciu Rhei, matrona. Dzisiaj nosiła spódnicę w kratkę i żółtą bluzkę z krótkimi rękawami. Miała zawsze ten sam wyraz twarzy – nie wrogi, ale poważny i z troskany, jakby męczył ją ten sam ciężar zawodów i kłopotów.

Wprowadziła Billy'ego i Rheę do wnętrza, do środkowego pokoju. Siedzący przy stole mężczyźni nie podnieśli wzroku ani nie zwrócili uwagi na Billy'ego, póki nie wysunął krzesła.

Może to jakieś reguły, coś takiego. Nikt nie zauważył Rhei. Pani Monk podniosła coś, co leżało na bujaku, i gestem wskazała jej, żeby usiadła.

– Przyniosę coca-colę – powiedziała.

Kiedy Rhea siadała, sztywna halka pod jej żółto-zieloną suknią na tańce zachrząściła jak łamana słoma. Rhea zaśmiała się niby to przepraszająco, ale pani Monk już się odwróciła. Jedyłą osobą, która usłyszała ten dźwięk, był Wayne, który właśnie wchodził do pokoju z sieni od frontu. Uniósł czarne brwi powitalnie, ale i oskarżycielsko. Nigdy nie mogła się zorientować, czy Wayne ją lubi, czy nie. Nawet kiedy z nią tańczył w Walley, w Pawilonie (wymieniali się z reguły partnerkami raz w ciągu wieczoru), trzymał ją, jakby była jakimś pakunkiem, za który właściwie nie odpowiada. Nie miał wewrwy jako tancerz.

Nie przywitali się z Billym tak jak zwykle, warknięciem i ciosem pięści w powietrze. W obecności tych starszych mężczyzn zachowywali się ostrożnie i powściągliwie.

Oprócz Dinta Masona i tego, co sprzedawał naczynia kuchenne, Rhea znała jeszcze pana Martina z pralni chemicznej i pana Bolesa, przedsiębiorcę pogrzebowego. Niektóre twarze wydawały się jej znajome, niektóre nie. Żadnego z tych mężczyzn przyście tutaj nie kompromitowało – Monk to nie był wstyd. Ale malutka plama zostawała. Wymawiając tę nazwę, przekazywało się jakąś informację. Nawet jeśli temu komuś świetnie się powodziło. „Bywa u Monka”.

Pani Monk przyniosła Rhei coca-colę, bez szklanki. Nie-schłodzoną.

To, co pani Monk zabrała z siedzenia bujaka, by zrobić Rhei miejsce, to była bielizna zwilżona i zwinięta do prasowania. A więc tu odbywało się prasowanie, zwyczajne domowe zajęcia. Wałkowano kruche ciasto na tym stole. Gotowano posiłki – stała przecież kuchnia na drewno, teraz wygaszona, zasłana gazetami, piec naftowy używany w lecie. Pachniało naftą i wilgotnym tynkiem. Zacieki po powodzi na tapetach. Nagi porządek, ciemnozielone żaluzje spuszczone do samych parapetów. W kącie zasłonka z cynfolii, pewno zakrywająca otwór starej windy bufetowej.

Najciekawszą osobą w tym pokoju wydawała się Rhei pani Monk. Miała gołe nogi, ale nosiła pantofle na wysokich obcasach. Stukały cały czas po podłogowych deskach. Wokół stołu, od i do kredensu, gdzie stały butelki whisky (i gdzie się zatrzymywała, żeby zapisać na kartce papieru – coca-cola Rhei, zbita szklanka). Stuk-stuk-stuk do wejścia od podwórza i do jakiejś pakamery, skąd wracała z pęczkiem butelek piwa w każdej ręce. Była czujna jak człowiek głuchoniemy i równie cicha, zauważała każdy gest przy stole, odpowiadała posłusznie i bez uśmiechu na każde zamówienie. A to przypomniało Rhei pogłoski na temat pani Monk i przyszedł jej do głowy jeszcze inny gest, jaki mógłby zrobić mężczyzna. Pani Monk odkładałaby fartuch i wyprowadzała klienta z pokoju do frontowej sieni, skąd muszą prowadzić schody na górę, do pokoi sypialnych. Reszta mężczyzn, łącznie z jej mężem, udawałaby, że nic nie widzi. Wchodziłaby po tych schodach, nie oglądając się za siebie, a ten mężczyzna szedłby za nią, wpatrując się w jej zgrabne pośladki zakryte pensjonarską spódniczką.

Potem, bez wahania i bez okazywania chęci, układałaby się na przygotowanym zawnazsu łóżku. Taka obojętna gotowość, chłodne wykonanie usługi, szybkiego, sprawnego i opłaconego spotkania – budziło wstydlive podniecenie Rhei.

Leżeć na płask i być wykorzystaną, nie wiadomo przez kogo, i żeby to przyjmować z taką skrywaną zřęcnością, raz po razie.

Przypomniało się jej, jak Wayne wychodził z sieni od frontu w momencie, kiedy ona z Billem wchodzili do tej izby. Pomyślała: a jeśli on wracał właśnie stamtąd, z góry? (Potem jej wytłumaczył, że poszedł skorzystać z telefonu – dzwonił do Lucille, tak jak jej obiecał. Później uznała, że te wszystkie pogłoski to nieprawda).

Usłyszała, jak jeden z mężczyzn powiada:

– Uważaj na słowa.

– Naturalna potrzeba, niech będzie, naturalna potrzeba.

Dom Eunie Morgan to trzeci za domem Monków. Ostatni przy drodze. Gdzieś około północy, mówiła matka Eunie, skrzypnęły siatkowe drzwi. Usłyszała to skrzypnięcie i nie zawracała sobie nim głowy. Myślała, rzecz jasna, że Eunie poszła do ubikacji. Jeszcze w 1953 roku Morganowie nie mieli kanalizacji w domu.

Oczywiście nikt z nich nie chodził po nocy tak daleko, do ubikacji. Eunie i jej matka kucaly w trawie. Stary podlewał spireć z najdalszego kąta ganku.

Potem musiałam zasnąć, mówiła matka Eunie, ale się obu-dziłam i pomyślałam, że nie słyszałam, jak wracała.

Zeszła na dół i sprawdziła cały dom. Eunie miała pokój za kuchnią, ale w taką upalną noc mogła spać gdzie bądź. Mogła leżeć na kanapce w pokoju od frontu albo wyciągnąć się na podłodze w przedpokoju, żeby poczuć trochę przeciągu pomiędzy drzwiami. Mogła wyjść na ganek, na którym stało porządne siedzenie samochodowe, które jej ojciec znalazł lata temu, porzucone nieco dalej na drodze. Matka nie mogła się jej nigdzie doszukać. Zegar kuchenny wskazywał dwadzieścia po drugiej.

Matka Eunie wróciła na górę i potrząsała ojca za ramię, póki się nie obudził.

– Eunie nie ma na dole – powiedziała.

– No to gdzie się podziała? – spytał jej mąż, jakby ona powinna to wiedzieć. Musiała go dobrze trząść, żeby znowu nie zasnął. Nawet jak nie spał, to miał wielką niechęć do nowości i słuchania, co do niego mówią.

– Wstawaj, wstawaj! Trzeba iść jej szukać. – Wreszcie posłuchał, usiadł, wciągnął spodnie i kamasze. – Weź latarkę – powiedziała i z nim za plecami zeszła z powrotem po schodach na ganek i do ogródka. To on miał świecić, ona mu tylko mówiła gdzie. Poprowadziła go ścieżką do wygodki, która stała w kępie bzów i porzeczek, na tyłach posesji. Zaświecili do środka i nic nie znaleźli. Potem szukali między wielkimi pniami bzów – wyrosły już prawie na drzewa – i po niemal całkiem zarośniętej ścieżce prowadzącej wzdłuż zapadającej się części drucianego ogrodzenia, aż do dzikich chaszczy nad rzeką. Nikogo nie było. Nic.

Z powrotem przez warzywnik, poświęcając latarką skopane kartoflisko i przerośnięty rabarbar, nadający się już tylko do

rozsiewu. Stary podniósł butem wielki liść i poświecił tam latarką. Żona zapytała, czy zwariował.

Przypomniała sobie, że Eunie zdarzało się chodzić we śnie. Ale to było przed laty.

Zobaczyła, że coś pobłyskuje za węgłem, jakby noże czy człowiek w zbroi.

– Tam, tam! – zawołała. – Co tam takiego? – Ale to był tylko rower Eunie, którym jeździła co dzień do pracy.

Potem wołała Eunie po imieniu. Wołała od frontu domu i od podwórza – od frontu rosły śliwy wysokie jak dom, nie było między nimi żadnego chodnika, nic tylko ziemia. Pnie tłoczyły się, jak obserwatorzy, przyczajone czarne zwierzęta. Czekaając na odpowiedź, usłyszała żabę, która coś przetykała, była tak blisko, jakby siedziała w tych gałęziach. Pół mili dalej droga się kończyła w polu zbyt grząskim, by cokolwiek mogło na nim wyrosnąć, tylko chuderlawe topole wśród wierzby i dzikiego bzu. W odwrotnym kierunku droga łączyła się z traktem prowadzącym do miasta, potem przez most i dalej, pod górę, do kurzej farmy. Na nadrzecznej równinie leżały tereny dawnego jarmarku, pozostało kilka przedwojennych trybun, potem kupcy przenieśli się na wielkie targowisko w Walley. Na trawie znaczyły się jeszcze owalne ślady toru wyścigowego.

To tu właśnie, przed przeszło stu laty, zaczęło istnieć miasto. Były tu młyny i gospody. Ale powódzie kazały ludziom przenosić się wyżej. Domy i zabudowania gospodarskie pozostały na mapie, podobnie jak wytyczone drogi, ale przetrwał tylko jeden szereg budynków, zamieszkanym przez

ludzi, ludzi, którzy byli albo zbyt biedni, albo zbyt uparci, by coś zmieniać – lub też, mówiąc inaczej – mieli dobytek ze zbyt krótkim terminem użytkowania, by brać powódź poważnie pod uwagę.

Dali za wygraną – rodzice Eunie dali za wygraną. Usiedli w kuchni, nie zapalając światła. Było między trzecią a czwartą. Mogłoby się wydawać, że siedzą i czekają, aż Eunie przyjdzie i powie im, co dalej. Bo to Eunie mówiła w tym domu, co robić, a oni już pewno nie pamiętali czasu, kiedy było inaczej. Dziewiętnaście lat temu niemal dosłownie wpadła w ich życie. Pani Morgan wydawało się, że zaczęło się u niej przekwitanie i w związku z tym nabiera trochę wagi – była i tak przy kości, więc niewielka różnica. Myślała, że ten zamęt w jej brzuchu to coś, co ludzie nazywają niestrawnością. Wiedziała, skąd się biorą dzieci, nie była idiotką – ale przeżyła tyle lat i nic podobnego jej się nie zdarzyło. Pewnego dnia zasłabła na poczcie i musiała poprosić o krzesło, takie ją wzięły skurcze. Potem odeszły wody i musieli ją wieźć do szpitala, a tam wychynęła Eunie, z głową całą w białych włosach. Od chwili urodzenia żądała dla siebie uwagi.

Przez całe lato Eunie i Rhea bawiły się razem, ale nigdy nie uważały tego, co robią, za zabawę. Nazywały to zabawą, żeby ludzie dali im spokój. Była to dla nich najpoważniejsza część życia. Wszystko pozostałe wydawało się niepoważne, niewarte zapamiętania. Kiedy przechodziły przez podwórze Eunie w kierunku rzeki, stawały się odmiennymi istotami. Każda z nich nazywała się Tom. Dwa Tomy. Tom to był rzeczownik,

nie tylko imię. Ani żeński, ani męski. Oznaczał kogoś wyjątkowo dzielnego i rozumnego, ale nie zawsze obdarzonego szczęściem oraz – niemal – niezniszczalnego. Tomy prowadziły walkę bez końca, a prowadziły ją z Bannerszami (być może Rhea i Eunie słyszały coś o wiedźmach zwanych Banszi?). Bannerszowie czyhali nad rzeką i potrafili przybierać postać rabusiów, Niemców albo kościotrupów. Byli ogromnie przebiegli i mieli najróżniejsze upodobania. Zastawiali sidła, robili zasadzki i torturowali dzieci, które przedtem ukradli. Kiedyś Rhea i Eunie zdobyły prawdziwe dzieci – małych McKayów, których rodzina zamieszkała na krótko w jednym z nadrzecznych domów – i namówiły ich, żeby pozwolili się związać i wysmaczać dyscypliną. Ale McKayowie nie mogli czy nie chcieli podporządkować się fabule i szybko się popłakali albo uciekli, i wrócili do domu, tak że znowu pozostały tylko Tomy.

Tomy zbudowały na brzegu rzeki miasto z błota. Otoczone było kamieniami przeciwko atakom Bannerszów, posiadało pałac królewski, pływalnię oraz flagę. Ale potem Tomy pojechały w podróż i Bannerszowie zrównali miasto z ziemią. (Eunie i Rhea musiały, rzecz jasna, przemieniać się często w Bannerszów). Pojawiła się nowa przywódczyni, królowa Bannerszów, nazywała się Joylinda, a pomysły miała diabelskie. Zatrowała rosnące nad brzegiem jeżyny, a Tomy, nieostrożne i głodne po podróży, trochę ich zjadły. Leżały, gdy trucizna zaczęła działać, zwijały się i pociły wśród soczystych zielsk nad brzegiem. Wcisnęły brzuchy w błoto, miękkie i ciepłe, jak świeży kajmak. Czuły, jak im schną wnętrzności, drżą wszystkie członki, ale musiały wstać i zataczając się, iść

w poszukiwaniu antidotum. Próbowaly żuć szablístą trawę – która, zgodnie z nazwą, była zdolna przeciąć skórę – smarowały usta błotem i rozważaly możliwość rozgryzienia żywej żaby, gdyby im się udało jakąś złapać, wreszcie jednak stwierdziły, że od śmierci uratują je owoce czeremchy. Zjadły po kiści i dziaśła straszliwie im nabrzmiały, więc musiały pędzić do rzeki, żeby się napić. Rzuciły się do wody w miejscu, gdzie rosły w szlamie lilie wodne, a dno było niewidoczne. Piły i piły, a nad ich głowami latały niby strzały muchy plujki. Zostały uratowane.

Wynurzały się z owego świata późnym popołudniem, w ogrodzie Eunie, w którym jej rodzice wciąż – albo znowu – pracowali, czy to gracując, czy okopując warzywnik, czy też go plewiąc. Kładły się w cieniu domu, wykończone, jakby przepłynęły jeziora czy zdobyły góry. Pachniały rzeką, rozgrzaną szorstką trawą i śmierdzącym błotem ze stojących kałuż, dzikim czosnkiem i rozdeptaną stopami miętą. Czasem Eunie szła do domu i przynosiła coś do jedzenia – kromki chleba z syropem kukurydzianym albo melasą. Zawsze brała dla siebie większą kromkę.

Nie były przyjaciółkami w takim sensie, w jakim Rhea rozumiała później to słowo. Nigdy nie starały się sprawiać sobie nawzajem przyjemności ani się pocieszać. Nie miały wspólnych tajemnic z wyjątkiem tej zabawy, a nawet i ona nie była tajemnicą, ponieważ dopuściły do niej innych. Ale nigdy nie pozwoliły nikomu oprócz nich zostać Tomem. Więc może na tym polegała ich wspólnota, intensywne, codzienne współdziałania. Istota, niebezpieczeństwo bycia Tomami.

Eunie nigdy nie wydawała się zależna od swoich rodziców czy choćby z nimi związana, tak jak inne dzieci. Sposób, w jaki kierowała własnym życiem, beztraska władza sprawowana w domu, zaskakiwały Rheę. Kiedy ona sama mówiła, że musi wrócić o określonej godzinie albo że ma jakieś obowiązki, albo musi się przebrać, Eunie czuła się urażona i nie wierzyła. Każda decyzja Eunie musiała być podjęta przez nią samą. W wieku piętnastu lat przestała chodzić do szkoły i znalazła pracę w fabryce rękawiczek, a Rhea potrafiła sobie wyobrazić, jak Eunie wchodzi do domu i komunikuje rodzicom swoją decyzję. Nie, nawet nie komunikuje – pewno to wyszło na jaw przypadkiem, może wtedy, gdy zaczęła wracać do domu późnym popołudniem. Kiedy podjęła pracę, kupiła sobie rower. Kupiła również radio i słuchała u siebie w pokoju do późnej nocy. Może do rodziców dochodziły wówczas odgłosy strzałów, ryk pojazdów na ulicach. Może przekazywała im to, co usłyszała – wiadomości o zbrodniach, wypadkach, huraganach, lawinach. Rhea nie sądziła, żeby się tym bardzo interesowali. Byli zapracowani, a ich życie obfitowało w wydarzenia, chociaż miały one charakter okresowy i wiązały się ze sprzedażą warzyw w mieście, aby zarobić na utrzymanie. Warzywa, truskawki, rabarbar. Nie pozostawało czasu na wiele innego.

Kiedy Eunie chodziła jeszcze do szkoły, Rhea jeździła swoim rowerem, więc nigdy nie szły razem, chociaż miały tę samą drogę do przebycia. Gdy Rhea mijała Eunie, ta rzucała jej zawsze jakiś okrzyk, coś wyzywającego, lekceważącego, jakiegoś takiego: „Hej, tam, srebrna strzała!”. A teraz, kiedy i Eunie

miała rower, Rhea zaczęła chodzić piechotą, bo w szkole przeważała opinia, że dziewczyna powyżej dziewiątej klasy jeżdżąca na rowerze wygląda niezdarnie i śmiesznie. Ale Eunie zsiadała z roweru i maszerowała obok Rhei, jakby jej wyświadczała przysługę.

To nie była żadna przysługa – Rhea nie potrzebowała jej towarzystwa. Eunie zawsze sprawiała dziwaczne wrażenie – wysoka jak na swój wiek, wąskie, ostre ramiona, czupryna białoblond kędzierzawych włosów sterczących na głowie, wyzywająca mina i długa, mocna szczęka. Ta szczęka nadawała charakter dolnej części jej twarzy, a ochryple głos potęgował wrażenie toporności. Kiedy była mała, to wszystko nie miało znaczenia – jej własne przekonanie, że cokolwiek jej dotyczy, jest w porządku, zwodziło wielu. Ale teraz, kiedy urosła na pięć stóp i dziewięć albo i dziesięć cali, ponura i chłopakowata, w prostych spodniach, z chustką na szyi, ogromnymi stopami w butach, które wyglądały na męskie, z wyzywającym głosem i niezdarnymi ruchami – przeobraziła się z dziecka w cudaka. I zwracała się do Rhei drażniącym, protekcjonalnym tonem, czy nie męczy jej chodzenie do szkoły albo czy jej rower się czasem nie zepsuł, a może tata nie ma pieniędzy na naprawę? Kiedy Rhea zrobiła sobie trwałą, Eunie chciała się dowiedzieć, co też się stało z jej włosami. Myślała, że może sobie na to wszystko pozwolić, ponieważ ona i Rhea mieszkały w tej samej części miasta i bawiły się wspólnie w okresie, który wydawał się Rhei tak odległy i mało ważny. A najgorzej było, kiedy Eunie zaczynała wyliczać sprawy, które Rhea uważała zarówno za nudne, jak i ogromnie irytujące, różne

morderstwa, nieszczęścia i zwyrodnialstwa, o jakich usłyszała w radiu. Rhea czuła wściekłość, ponieważ nie mogła zmusić Eunie, żeby jej wyjaśniła, czy te rzeczy wydarzyły się naprawdę czy nie, albo, jeśli to możliwe, żeby sama sobie odpowiedziała na to pytanie.

„Czy to było w wiadomościach, Eunie? Czy tylko tak gadali? Czy ci ludzie odgrywali to przed mikrofonem, czy tylko opowiadali, jak było? Eunie! Czy to była prawda, czy tylko udawane?”.

Ale to Rheę, a nie Eunie, doprowadzały te pytania do białej gorączki. Eunie wsiadała tylko na rower i odjeżdżała. „Spadaj na drzewo i hamuj uszami!”.

To była praca jak znalazł dla Eunie. Fabryka rękawiczek zajmowała pierwsze i drugie piętro budynku na głównej ulicy i w ciepłe dni, kiedy otwierano szeroko wszystkie okna, słyszało się na chodniku nie tylko warkot maszyn, ale też głośne dowcipy, kłótnie i obelgi, znany mieszkańcom ostry język pracujących tu kobiet. Uważano je za coś gorszego od kelnerek, o wiele gorszego od sprzedawczyń sklepowych. Miały dłuższe godziny pracy i mniejsze zarobki, ale żadnego poczucia niższości. Nic podobnego. Zbiegały po schodach, popychając się i żartując, i wysypywały się na ulicę. Pokrzykiwały w kierunku samochodów, których kierowców znały, oraz tych, których nie znały. Wprowadzały powszechne zamieszanie, jakby miały do tego wszelkie prawa.

Ludzie znajdujący się blisko dna, jak Eunie Morgan, albo prawie na samym szczycie, jak Billy Doud, okazywali podobną beztroskę, przytępiony rozum.

Podczas ostatniego roku w szkole Rhea również znalazła pracę. W sobotnie popołudnia obsługiwała klientów w sklepie obuwniczym. Billy Doud przyszedł wczesną wiosną do sklepu i powiedział, że chce kupić parę wellingtonów, takich jak te, co wiszą na zewnątrz.

Ukończył wreszcie college i wrócił do domu, żeby się uczyć zarządzania fabryką fortepianów Douda.

Billy zdjął buty i ukazał stopy w eleganckich czarnych skarpetkach. Rhea powiedziała mu, że do wellingtonów byłyby lepsze wełniane skarpety, robocze, żeby się stopa wewnątrz nie ślizgała. Spytał, czy mają w sklepie takie skarpety, i powiedział, że kupiłby je również, gdyby mu je Rhea pokazała. Potem spytał, czy zechciałaby mu włożyć te wełniane skarpety na nogi.

Wszystko to był wybieg, powiedział jej później. Nie potrzebował ani wellingtonów, ani skarpetek.

Miał długie, białe i rozkosznie pachnące stopy. Unosił się nad nimi zapach fantastycznego mydła, powiew talku. Odchylił się w krześle, wysoki, blady, chłodny i czysty – cały mógłby być wyrzeźbiony w mydle. Wysokie czoło, skronie już nagie, włosy z odrobiną jakiegoś połysku, senne powieki barwy kości słoniowej.

– Jak to ładnie z pani strony – powiedział i zapytał, czy poszłaby z nim wieczorem na tańce, na otwarcie sezonu w Pawilonie.

Potem chodzili na tańce w Walley co sobota wieczór. Nigdy w dni robocze, bo Billy musiał wstawać rano i uczyć się zarządzania fabryką – od matki, uważanej za herod-babę – a Rhea

musiała prowadzić dom ojcu i braciom. Matka leżała w szpitalu w Hamilton.

– O, idzie twój ukochany – mówiły dziewczyny, gdy Billy przejeżdżał koło szkoły, a one grały w siatkówkę na boisku, albo gdy przechodził ulicą, i istotnie, to był jej ukochany, czuła bicie serca na jego widok, na widok jego jasnej gołej głowy, jego niedbałych, a przecież tak pewnych dłoni na kierownicy. A i na myśl o tym, że została tak wyróżniona, tak nieoczekiwanie wybrana, otoczona glorią zwycięstwa – albo nagrody – radości, jakiej nigdy nie doświadczyła. Starsze panie, zupełnie obce, uśmiechały się do niej na ulicy, dziewczyny z pierścionkami zaręczynowymi na rękach mówiły do niej po imieniu. I budziła się rano z poczuciem, że otrzymała wielki dar, ale że w nocy zostało to jakoś przyblokowane w jej świadomości i teraz ona nie może sobie w żaden sposób przypomnieć, co to takiego było.

Billy przynosił Rhei zaszczyt wszędzie, oprócz domu. Nie widziała w tym niczego zaskakującego – w jej domu przykrawano każdego do właściwych rozmiarów. Jej młodsi bracia małpowali Billy'ego, który częstuje ich ojca papierosem. – Niechże pan będzie łaskaw wziąć pall malla. – Machali przed nim wyimaginowaną paczką. Nadskakujący ton, pewny siebie gest sprawiały, że Billy Doud wychodził na głupca. Mówili o nim Cymbał. Najpierw: Głupi Bill; potem: Głupi Cymbał. A potem tylko: Cymbał.

– Przestańcie dręczyć siostrę – napomniał ich ojciec, a potem sam się do nich przyłączył, pytając rzeczowo córkę: – Chcesz dalej pracować w sklepie z butami?

– Bo co? – spytała.

– Tak tylko myślę. Może ci to być potrzebne.

– A na co?

– Na utrzymywanie tego faceta. Jak jego matka umrze, wykończy interes ani się kto obejrzy.

A przez cały czas Billy Doud opowiadał, jak podziwiał ojca Rhei. Mężczyźni podobni do twojego ojca, powiadał. Ciężko pracujący. Na codzienny chleb. I nigdy nie chcą niczego więcej. Tacy przyzwoici, zrównoważeni, zacni. Świat ogromnie dużo zawdzięcza podobnym mężczyznom.

Billy Doud z Rhea i Wayne z Lucille wychodzili z tańców około północy i jechali w dwa samochody na parking przy końcu bitej drogi prowadzącej na urwisko nad jeziorem Huron. Billy przycisnął radio. Zawsze miał włączone, nawet wtedy, kiedy opowiadał Rhei jakąś skomplikowaną historię. Te historie wiązały się nieodmiennie z jego życiem w college'u, przyjęciami i kawałami, jakie sobie nawzajem robili, i szalonymi eskapadami, w których niekiedy uczestniczyła policja. Nieodłącznie wiązało się to z piciem. Raz ktoś z ich towarzystwa spił się i zwymiotował przez okno samochodu, a ten alkohol okazał się tak mocny, że zlazła cała farba z drzwiczek. Rhea nie знаła żadnego bohatera tych opowieści z wyjątkiem Wayne'a. Padały niekiedy imiona dziewczyn, wtedy czasem przerywała.

Od lat widywała Billy'ego Douda, kiedy przyjeżdżał z college'u do domu w towarzystwie dziewczyn; ich wygląd, strój, sposób zachowania – pewny siebie lub powściągliwy – robił na niej ogromne wrażenie i teraz musiała pytać; czy Claire

to była ta w małym kapelusiku z woalką i miała fioletowe rękawiczki? W kościele? A która to była w płaszczu z wielbłądziej wełny, miała długie, rude włosy? A która w aksamitnych butkach z wykończeniem z baranka?

Na ogół Billy nie bardzo pamiętał, a jeśliby miał mówić coś więcej o tych dziewczynach, to mogłoby nie być dla nich pochlebne.

Kiedy już zaparkowali, a niekiedy nawet podczas jazdy, Billy obejmował ramiona Rhei i ścisnął ją. Zapowiedź. W czasie tańca też zdarzały się zapowiedzi. Pozwalał sobie muskać ustami jej policzek albo obsypywać pocałunkami jej włosy. Pocałunki w samochodzie były częstsze, a ich szybkość, rytm, w jakim następowały, drobne cmoknięcia, jakie je poprzedzały, miały ją przekonać, że to wszystko żarty albo po części żarty. Postukiwał palcami po jej skórze, kolanach, tuż nad czubkami piersi mruczając coś z uznaniem, a potem karcił sam siebie, karcił Rheę, powiadał, że musi trzymać na niej pokrywkę.

– Ale z ciebie łobuziak! – Przycisnął mocno usta do jej ust, jakby miał za zadanie pilnować, żeby oboje trzymali usta zamknięte. – Jak ty mnie podniecasz – powiedział nie swoim głosem, ale głosem jakiegoś eleganckiego, rozleniwionego aktora filmowego i wsunął jej rękę między kolana, dotknął skóry nad pończochami – po czym podskoczył, roześmiał się, jakby tam było za gorąco albo za zimno. – Jak tam idzie naszemu Wayne’owi? – spytał.

Zasada była taka, że po pewnym czasie albo on, albo Wayne naciśnie klakson, a wtedy ten drugi musi odpowiedzieć. Ta gra – Rhea nie rozumiała, że to są zawody, a w każdym razie

nie wiedziała, na czym polegają te zawody – zaczynała po pewnym czasie pochłaniać coraz więcej jego uwagi.

– Jak myślisz? – pytał, spoglądając w noc na ciemny kształt samochodu Wayne’a. – Jak myślisz, czy powinienem już mu zatrzeć?

Podczas powrotnej jazdy do Carstairs, do Monka, Rhei zbierało się na płacz, bez przyczyny, ręce i nogi miała takie, jakby w nie wiano cement. Gdyby została sama, pewno by twardo zasnęła, ale nie mogła zostawać sama, ponieważ Lucille bała się ciemności, a kiedy Billy i Wayne szli do Monka, Rhea musiała zostawać z Lucille.

Lucille była chudą jasnowłosą dziewczyną z wymagającym żołądkiem, nieregularnymi okresami i wrażliwą cerą. Fascynowały ją kaprysy własnego ciała, traktowała je jak kłopotliwego, ale cennego domowego ulubieńca. Zawsze nosiła w torebce oliwkę dla niemowląt i wklepywała ją w twarz, którą przed chwilą podrażnił twardy zarost Wayne’a. W samochodzie pachniało oliwką i pod nią był jeszcze jeden zapach, jakby chlebowy zaczyn.

– Mam zamiar go zmusić, żeby się golił po ślubie – powiedziała Lucille. – Zaraz przed tym.

Billy Doud powiedział Rhei, że Wayne mu się zwierzył, iż jest cały czas z Lucille i ożeni się z nią, ponieważ będzie dobrą żoną. Mówił, że na pewno nie jest najładniejsza na świecie i z pewnością nie najbystrzejsza, ale właśnie dzięki temu on będzie się zawsze czuł bezpieczny w tym małżeństwie. Lucille nie ma wysokiej pozycji przetargowej – tak uważał. Poza tym nie przywykła do bogactwa.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że takie podejście jest cyniczne – ciągnął Billy. – Ale znowu inny powie, że realistyczne. Syn pastora musi być realistą, musi sam dawać sobie radę w życiu. Tak czy inaczej, Wayne to Wayne.

– Wayne to Wayne – powtórzył z uroczystą satysfakcją.

Kiedyś Lucille zapytała Rheę:

– A jak ty? Zaczynasz się do tego przyzwyczajać?

– Och, tak – odpowiedziała Rhea.

– Powiadają, że bez osłony lepiej. Sama sprawdzę po ślubie.

Rhea nie przyznała się, że nie zrozumiała od razu, o czym mowa; była zbyt zakłopotana.

Lucille powiedziała, że po ślubie będzie stosowała galaretki i gąbki. Rhea pomyślała, że to brzmi jak nazwy ciastek, ale się nie roześmiała, bo wiedziała, że Lucille obrazi się za takie żarty. Lucille zaczęła opowiadać, jaki konflikt powstał w związku z jej weselem, z tym, czy druhny mają mieć na głowach staroświeckie kapelusze z wielkim rondem, czy wianki z różanych pąków. Lucille wolała różane pąki i myślała, że wszystko już jest ustalone, kiedy siostra Wayne'a zrobiła sobie trwałą, która nie wyszła, i teraz ta siostra chce mieć kapelusz, żeby wszystko zakryć.

– To nawet nie jest przyjaciółka – będzie na ślubie tylko dlatego, że jest siostrą i nie mogłam jej pominąć. Egoistka!

Samolubstwo siostry Wayne'a doprowadzało Lucille do białej gorączki.

Opuściły szyby w oknach samochodu, żeby przewietrzyć. Na zewnątrz była noc i rzeka znikająca z oczu, bo woda stała teraz najniżej, i wielkie białe kamienie, i żaby, i świerszcze, i bite trakty polśniewające lekko w drodze donikąd,

i rozsypująca się trybuna na terenie starego. jarmarku sterząca jak szkielet jakiejś szalonej wieży. Rhea wiedziała, że to wszystko jest, ale nie mogła skupić na tym uwagi. Przeszkadzało jej coś więcej niż gadanie Lucille – więcej niż ślubne kapelusze. Była szczęściarą: wybrał ją Billy Doud, zwierzała się jej zaręczona dziewczyna, życie układało się przed nią pewno lepiej, niżby ktokolwiek mógł przewidzieć. Ale w tej chwili czuła się opuszczona i oszołomiona, jakby coś straciła, a nie zyskała. Jakby została wypędzona. Skąd?

Wayne podniósł ku niej rękę z przeciwnej strony sali, jakby pytał, czy nie chce czegoś do picia. Przyniósł następną butelkę coca-coli i osunął się na podłogę przy Rhei.

– Muszę usiąść, nim padnę – powiedział.

Natychmiast, gdy poczuła smak, albo raczej zaraz, gdy poczuła zapach, albo może jeszcze przed tym wiedziała, że w jej drinku jest coś jeszcze oprócz coli. Najpierw powiedziała sobie, że nie wypije wszystkiego, ani nawet połowy. Będzie ot tak popijać trochę od czasu do czasu, pokaże Wayne'owi, że mu się nie udało jej oszukać.

– Odpowiada ci? – spytał Wayne. – Lubisz tego rodzaju drinki?

– Bardzo. Lubię drinki wszelkiego rodzaju.

– Wszelkiego rodzaju? To dobrze. Wyglądasz na właściwą dziewczynę dla Billy'ego Douda.

– Czy on dużo pije? – spytała. – Billy?

– Postaw może pytanie w ten sposób: czy Papież jest Żydem? Nie. Czekaj. Czy Jezus był katolikiem? Nie. Dalej. Nie

chciałbym, żebyś odniosła niewłaściwe wrażenie. A również nie chciałbym mówić o tym zbyt precyzyjnie. Czy Billy to pijak? Czy alkoholik? Czy pijus... to znaczy czy moczymorda? Nie, znowu źle. Zapomniałem, do kogo mówię. Wybacz, proszę. Wykreśl. Psieprasiam.

Wypowiedział to wszystko dwoma różnymi głosami – jeden był sztucznie wysoki, śpiewny, ten drugi szorstki i poważny. Rhea nigdy nie słyszała, żeby tyle mówił jakimkolwiek rodzajem głosu. Na ogół to Billy gadał. Wayne rzucał od czasu do czasu jakieś słowo, nieważne słowo, które wydawało się ważne ze względu na ton, jakim zostało powiedziane. A jednak ten ton był często pusty, nijaki, twarz bez wyrazu. To drażniło rozmówcę. Czuł hamowaną pogardę. Rhea była świadkiem, jak Billy próbował rozciągać jakieś opowiadanie, przekręcać, zmieniać tonację – wszystko po to, żeby zdobyć potakujące chrząknięcie Wayne'a, rozgrzeszające parsknięcie śmiechem.

– Nie powinnaś wyciągać z tego wniosku, że nie lubię Billy'ego – mówił Wayne. – Nie, nie. Nie chciałbym nigdy, żebyś tak myślała.

– Ale ty go nie lubisz – stwierdziła Rhea z satysfakcją. – Wcale a wcale.

Jej satysfakcja brała się z tego, że odcinała się Wayne'owi. Patrzyła mu w oczy. I tylko tyle. Ponieważ on także ją wprawiał w pomieszenie. Należał do tych ludzi, którzy robią o wiele większe wrażenie, niżby to mogło wynikać z ich wzrostu i wyglądu razem wziętych. Nie należał do szczególnie wysokich, a krępe ciało mogło w dzieciństwie wydawać się nieco pulchne – w przyszłości będzie mu to również groziło.

Kanciasta twarz była biała z wyjątkiem niebieskawego cienia zarostu, który tak drapał Lucille. Czarne włosy, proste i gęste, padały mu często na czoło.

– Nie lubię? – powtórzył ze zdumieniem. – Nie lubię? Jak to możliwe? Przecież Billy to taki uroczy człowiek. Spójrz tylko na niego, pije i gra w karty z prostymi ludźmi. Nie uważasz, że jest miły? A czy nie przyszło ci kiedyś do głowy dziwić się, że ktoś potrafi być zawsze miły? Zawsze! Tylko w jednym wypadku łapię go na niedoróbce, a to wtedy, kiedy go przymuszasz, żeby opowiadał o byłych panienkach. Nie mów, żeś nie zwróciła na to uwagi.

Trzymał rękę na pałaku fotela Rhei. Bujał nim.

Roześmiała się, czując zawrót głowy od tego bujania, a może od tego, że trafił w sedno. Zgodnie z tym, co mówił Billy, dziewczyna w weloniku i z fioletowymi rękawiczkami miała oddech zatruty nikotyną, a inna dziewczyna zaczynała być wulgarna, jak tylko się napiła, a jeszcze inna miała infekcję skórą, *fungus*, pod pachami. Billy opowiadał to wszystko Rhei z przykrością, ale kiedy wspomniał o grzybie, zaczął chichotać. Chichotał mimo woli, z grzeszną satysfakcją.

– Wytyka tym biednym dziewczynom, co się da – mówił Wayne. – Owłosione nogi. Przykry oddech. Nigdy się o to nie martwiłaś? Ale ty jesteś taka zadbana i czysta. Założę się, że golisz nogi co wieczór. – Przesunął ręką po jej łydce, na szczęście ogoliła nogi przed pójściem na tańce. – A może je smarujesz tym czymś, co rozpuszcza włosy? Jak się to coś nazywa?

– Neet.

– Neet. Właśnie to. Tylko czy to nie ma przykrego zapachu? Trochę jak pleśń albo drożdże? Drożdże. Czy to również nie jest coś, czego się dziewczyny nabawiają? Czy ja cię wprawiam w zakłopotanie? Powiniennem się zachowywać jak dżentelmen i przynieść ci coś do picia. Jeśli potrafię wstać i się ruszyć, przyniosę ci następnego drinka.

Wręczając jej kolejną coca-colę, powiedział:

– W tym nie ma ani kropli whisky. Nic ci nie zaszkodzi.

Uznała, że pierwsze stwierdzenie jest zapewne kłamstwem, ale to drugie jest na pewno prawdą. Nic jej nie może zaszkodzić. I nic nie umyka jej świadomości. Wcale nie była pewna dobrych intencji Wayne'a. A mimo to świetnie się czuła. Cała ta konsternacja, poczucie niewyraźności, jakie jej towarzyszyło przy Billu – spopieliła się. Chciała się śmiać z wszystkiego, co powie Wayne, albo co ona sama powie. Czuła się bezpieczna.

– To śmieszny dom – powiedziała.

– W jaki sposób śmieszny? – pytał Wayne. – Powiedz, w czym on jest śmieszny? To ty jesteś śmieszna.

Rhea spojrzała w dół na jego czarną kiwającą się głowę i parsknęła śmiechem, bo przypominał coś... jakby psa. Był rozumny, ale też miał w sobie upór graniczący z głupotą. Jakiś psi upór, ale też i jakaś bieda kryły się w tym stukaniu czołem o jej kolano, podrywaniu głowy i odrzucaniu z oczu czarnych włosów.

Wyjaśniła mu, z licznymi przerwami na wyśmiewanie się z możliwości wyjaśnienia, że zabawna jest ta zasłona z cynfolii w kącie pokoju. Powiedziała, że jej zdaniem za tą zasłoną znajduje się winda, która zjeżdża do piwnicy.

– Moglibyśmy się skulić na półce – zaproponował Wayne. – Chcesz spróbować? Moglibyśmy poprosić Billy’ego, żeby odblokował sznur.

Popatrzała na białą koszulę Billy’ego. Ani razu, odkąd usiadł, nie obejrzał się, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje. Wayne siedział teraz dokładnie naprzeciwko niej i gdyby się Billy obejrzał, nie mógłby zobaczyć, że Rhea ma pantofel dyndający na jednym palcu, a Wayne wsuwa palce pod jej stopę. Powiedziała, że musi iść najpierw do łazienki.

– Odprowadzę cię – powiedział Wayne.

Chwycił się jej nóg, żeby wstać.

– Jesteś pijany – powiedziała Rhea.

– Nie ja jeden.

Dom państwa Monków miał ubikację – w gruncie rzeczy: łazienkę – w sieni od podwórza. Wanna pełna była skrzynek z piwem – nie tyle tam chłodzonych, ile po prostu składowanych. Woda w klozecie spływała jak należy. Rhea miała co do tego wątpliwości, widząc, co zostało po wizycie poprzedniego gościa.

Przyjrzała się własnej twarzy w lusterku nad zlewem i powiedziała jej z lekkomyślną aprobatą: – Pozwól mu – powiedziała. – Pozwól mu. – Zgasiła światło i wyszła do sieni. Natychmiast zajęły się nią ręce, poprowadziły ją i wyprowadziły spiesznie na zewnątrz, na podwórze. Tam, pod ścianą budynku, obłapywali się, ściskali i całowali, ona i Wayne. Miała poczucie wtedy, w tym momencie, że zostaje rozwierana i zaciskana, rozwierana i zaciskana jak harmonia. Nadchodziło też ostrzeżenie – coś z daleka, niezwiązane z tym,

co ona i Wayne robili. Coś wzbierało i pochrząkiwało, w niej i poza nią, napraszało się o zrozumienie.

Pies Monków podszedł i zaczął węszyć wokół nich. Wayne znał jego imię.

– Leżeć, Rory! Leżeć! – krzyczał, szarpiąc halkę Rhei.

Ostrzeżenie pochodziło z żołądka, przyciskanego właśnie z całych sił do ściany. Drzwi domu się otwarły, Wayne powiedział jej coś wyraźnie do ucha – nie wiedziała, jaka była kolejność zdarzeń – nagle została oswobodzona i zaczęła wymiotować. Nie chciała wymiotować, póki to nie przyszło. A wtedy osunęła się na czworaki i wymiotowała, póki jej żołądek nie zrobił się jak wyżęta stara ścierka. Potem zaczęła się trząść, jakby dostała gorączki, jej wyjściowa suknia i sztywna halka były mokre od wymiocin.

Ktoś inny – nie Wayne – pomógł jej się podnieść i wytarł twarz skrajem sukienki.

– Trzymaj usta zamknięte i oddychaj przez nos – rozległ się głos pani Monk. – A ty wynocha stąd – powiedziała albo do Wayne’a, albo do psa. Wydawała im wszystkim rozkazy takim samym tonem: ani współczującym, ani oskarżycielskim. Pociągnęła Rheę naokoło domu do półciężarówki męża i niemal wepchnęła do szoferki.

– Billy – powiedziała Rhea.

– Powiem twojemu Billy’emu. Powiem, że byłaś zmęczona. Nie próbuj gadać.

– Nie mam czym więcej wymiotować – powiedziała Rhea.

– Nigdy nie wiadomo – odparła pani Monk, wycofując samochód na drogę. Zawiozła Rheę na wzgórze i na podjazd jej

domu, nie mówiąc już ani słowa. Kiedy zawróciła samochód i zahamowała, powiedziała tylko: – Uważaj przy wysiadaniu. Tu wyżej niż w osobowym.

Rhea znalazła się w domu, zaszła do toalety, nie zamykając drzwi, rzuciła w kuchni pantofle, weszła po schodach, ściągnęła sukienkę i halkę i wsunęła je głęboko pod łóżko.

Ojciec Rhei wstał wcześniej rano, żeby zebrać jajka i przyzwykować się do wyjazdu do Hamilton, jak to robił co drugą niedzielę. Chłopcy jechali z nim – mogli siedzieć na otwartej platformie. Rhea nie jechała, bo nie byłoby dla niej miejsca w szoferce. Ojciec zabierał panią Carey, której mąż leżał w tym samym szpitalu co matka Rhei. Kiedy zabierał panią Carey, zawsze wkładał koszulę i krawat, bo w drodze powrotnej mogli zajechać do restauracji.

Przyszedł i zapukał do drzwi Rhei, zawiadamiał ją, że wyjeżdżają.

– Jak ci się będzie czas dłużył, to oczyść jajka, leżą na stole.

Doszedł do schodów, potem zawrócił. Zawołał do niej przez drzwi:

– Pij bardzo, bardzo dużo wody.

Miała ochotę krzyczeć, żeby się wynosili z domu. Musiała przemyśleć kilka spraw, które siedziały w jej głowie i nie mogły się wydobyć spod ciśnienia wywołanego cudzą obecnością. To stąd ta straszna migrena. Kiedy usłyszała, jak dźwięk motoru cichnie w oddali, wyszła ostrożnie z łóżka, zeszła na dół, zażyła trzy aspiryny, wypila tyle wody, ile tylko mogła, i nie patrząc w dół, odmierzyła kawę do dzbanka.

Jajka leżały na stole, w koszykach, po dwa tuziny. Przylepione na nich resztki kurzych odchodów i strzępy słomy czekały, żeby je oczyścić stalową wełną.

Jakie sprawy? Przede wszystkim słowa. Słowa, które Wayne jej powiedział, kiedy pani Monk wychodziła przez kuchenne drzwi.

„Chętnie bym cię zerznął, gdybyś nie była taka brzydka”.

Ubrała się, a kiedy kawa była gotowa, nalała sobie kubek i wyszła na zewnątrz na boczną werandę, skrytą jeszcze w głębokim cieniu. Aspiryna zaczęła działać i teraz, zamiast migreny, Rhea miała w głowie przestrzeń, jasną i niebezpieczną pustkę, którą otaczało lekkie bzyczenie.

Nie była brzydka. Wiedziała, że nie jest brzydka. Ale skąd można wziąć pewność, że się nie jest brzydką?

Ale gdyby była brzydka, to, po pierwsze, czy Billy Doud chodziłby z nią? Billy Doud szczylił się tym, że jest dobry.

Ale Wayne był całkiem pijany, kiedy to mówił. Pijani mówią prawdę.

Jak to dobrze, że nie pojechała dzisiaj do matki. Gdyby matka z niej wyciągnęła, o co poszło – a Rhea sądziła, że matce pewnie by się to udało – to jak dwa razy dwa chciałaby ukarać Wayne’a. Byłaby zdolna zatelefonować do ojca Wayne’a, pastora. Słowo „zerznąć” zawstydziłoby ją bardziej niż słowo „brzydka”. Istota rzeczy umknęłaby jej całkowicie.

Reakcja ojca byłaby bardziej skomplikowana. Miałby pretensje do Billa, że zabiera ją do takich miejsc jak Monk. Billy i ta jego kompania. Byłby, oczywiście, wściekły o to rżnięcie,

ale naprawdę wstydziłby się za Rheę. Wstydziłby się, że jakiś mężczyzna nazwał ją brzydką.

Nie należy pozwalać rodzicom wkraczać w krąg twoich prawdziwych upokorzeń.

Wiedziała, że nie jest brzydka. Skąd mogła wiedzieć, że nie jest brzydka?

Nie myślała o Billym i Wayne ani co to wszystko może oznaczać między nimi. Jeszcze nie interesowali jej inni. Ale myślała, że kiedy Wayne mówił te słowa, to mówił swoim prawdziwym głosem.

Nie chciała wracać do domu, nie chciała patrzeć na te koszyki pełne brudnych jajek. Ruszyła ścieżką, mrużąc oczy w słońcu, pochylając głowę między jedną a drugą wyspą cienia. Każde drzewo, jakie tu roślo, było inne, każde stanowiło słup milowy, kiedy pytała matkę, jak daleko wolno jej wyjść na spotkanie ojca, który wracał z miasta. Aż do głogu, aż do buka, aż do klonu. Zatrzymywał się i pozwalał Rhei jechać na stopniu samochodu.

Ktoś zatrąbił na drodze. Ktoś, kto ją znał, albo może tylko przejeżdżający kierowca. Chciała zejść z ludzkich oczu, poszła więc na skos przez pole wydziobane przez kury i pokryte ich śliskimi odchodami. Na krańcu pola, na jednym z drzew, jej bracia zbudowali leśny domek. Była to zwykła platforma z przybitymi do pnia deszczułkami, żeby ułatwić wspinanie. Rhea skorzystała z nich – wspięła się i usiadła na platformie. Stwierdziła, że jej bracia wycięli okienka w gęstym listowiu gałęzi, żeby móc podglądać. Patrzyła na drogę, po chwili zobaczyła kilka samochodów wiozących do miasta wiejskie

dzieci na wczesną szkółkę niedzielną w kościele baptystów. Ludzie w samochodach nie mogli jej widzieć. Billy i Wayne nie mogliby jej zobaczyć, gdyby tu przypadkiem przyszli z wyjaśnieniami, oskarżeniami czy przeprosinami.

Po drugiej stronie domu rozciągał się widok na błyski rzeki i część terenów starego jarmarku. Ślady dawnej bieźni znały się wyraźnie w wysokiej trawie.

Zobaczyła jakąś postać idącą po tych śladach. To była Eunie Morgan, która miała na sobie piżamę. Szła po bieźni w jasnokolorowej piżamie, chyba jasnoróżowej, mniej więcej o wpół do dziesiątej rano. Szła po bieźni aż do jej łuku i zesła z niej w kierunku nadrzecznej ścieżki. Zakryły ją krzaki.

Eunie Morgan ze sterczącymi na głowie białymi włosami – słońce rozświetlało i piżamę, i włosy. Niby anioł w piórach. Ale szła taka jak zwykle, spokojna, pewna siebie – głowa do przodu, ręce swobodnie wzdłuż bioder. Rhea nie miała pojęcia, co Eunie może tam robić. Nic nie wiedziała o jej zniknięciu. Widok Eunie wydał się jej zarówno osobliwy, jak i zwyczajny.

Pamiętała, jak w upalne letnie dni włosy Eunie przypominały jej kulę śnieżną albo lodowe igły zachowane od zimy i jak miała ochotę wytrzeć w nie twarz dla ochłody.

Przypomniała sobie tę rozgrzaną trawę i czosnek, i to uczucie, jakby człowiek wyskakiwał ze skóry – kiedy się przemieniały w Tomów.

Wróciła do domu i zatelefonowała do Wayne'a. Liczyła na to, że będzie w domu a reszta rodziny w kościele.

– Chcę cię o coś zapytać, ale nie przez telefon – powiedziała. – Tatuś i chłopcy pojechali do Hamilton.

Wayne zastał ją na ganku; czyściła jajka.

– Chcę wiedzieć, co przez to rozumiałeś.

– Przez co? – zapytał.

Rhea spojrzała na niego i nie spuszczała wzroku, trzymając w jednym ręku jajko, a stalową wełnę w drugiej. Jedną nogą stał na najniższym stopniu. Ręka na poręczy. Chciał wejść na ganek, zejść ze słońca, ale ona zagradzała mu drogę.

– Byłem pijany – powiedział Wayne. – Nie jesteś brzydka.

– Wiem, że nie jestem.

– Czuję się podle.

– Nie z tego powodu – powiedziała Rhea.

– Byłem pijany. To miał być żart.

– Nie chcesz się z nią ożenić. To znaczy z Lucille – powiedziała Rhea.

Przechylił się przez barierkę. Pomyślała, że może zbiera mu się na wymioty. Ale opanował się i próbował przybrać ten zniechęcający uśmiech, z uniesieniem brwi.

– Naprawdę? Nie żartujesz? Więc co mi radzisz?

– Napisz kartkę – odparła Rhea tak, jakby zadał poważne pytanie. – Wsiądź w samochód i jedź do Calgary.

– Ot tak?

– Jeśli zechcesz, pojedę z tobą do Toronto. Możesz mnie tam zostawić, a ja się zatrzymam w Ymce, póki nie dostanę pracy.

Tak właśnie postanowiła. Zawsze później przysięgała, że tak właśnie postanowiła. Czuła się w tym momencie bardziej

pewna siebie i bardziej z siebie zadowolona niż wczoraj wieczorem, kiedy była pijana. Zaproponowała takie wyjście, jakby to była najłatwiejsza rzecz na świecie. Trzeba będzie dni – może tygodni – żeby ogarnąć rozumem wszystko, co powiedziała i co zrobiła.

– Czy spojrziałś na mapę? – spytał Wayne. – Nie możesz jechać do Calgary przez Toronto. Musisz jechać przez granicę w Sarnii, potem przez Stany do Winnipegu i dopiero stamtąd do Calgary.

– Dobrze. Zostaw mnie wobec tego w Winnipegu. Tak nawet lepiej.

– Jedno pytanie – powiedział Wayne. – Czy badałaś ostatnio stan swoich władz umysłowych?

Rhea nie drgnęła ani się nie uśmiechnęła.

– Nie – powiedziała.

Kiedy Rhea ją zobaczyła, Eunie wracała do domu. Była zaskoczona, stwierdzając, że ścieżka wzdłuż brzegu nie jest gładko wydeptana, ale zarośnięta jeżynami. Kiedy się przedarła do swojego ogrodu, miała czoło i ramiona we krwi, a we włosach pełno liści. Na jednym policzku ślady błota, jakby przyciskano ją do ziemi.

W kuchni znalazła matkę, ojca, ciotkę Muriel Martin i Normana Coombsa, szefa policji, oraz Billy'ego Douda. Kiedy matka zadzwoniła do ciotki Muriel, ojciec zebrał się w sobie i powiedział, że dzwoni do pana Douda. Pracował u Douda w młodości i pamiętał, że jak był kłopot, to się dzwoniło do pana Douda, ojca Billy'ego.

– On umarł – powiedziała matka Eunie. – A co ci z niej przyjdzie?

(Miała na myśli panią Doud, którą łatwo ponosiły nerwy. Ojciec Eunie jednak zadzwonił i Billy Doud się odezwał. Nie kładł się do łóżka).

Ciotka Muriel, jak tylko przyszła, zadzwoniła do szefa policji. Powiedział, że przyjedzie, jak się tylko ubierze i zje śniadanie. To mu zajęło trochę czasu. Nie lubił sytuacji zagadkowych czy wprowadzających zamęt, zmuszających go do podejmowania decyzji, za które mógł być potem skrytykowany albo wyjść na idiotę. Z wszystkich zebranych w tej kuchni on chyba najbardziej się ucieszył na widok Eunie całej i zdrowej, a potem na wiadomość, co jej się przydarzyło. To wszystko było poza jego kompetencjami. Żadnych dalszych poszukiwań, żadnych oskarżeń.

Eunie powiedziała, że tam, w jej własnym ogródku, podeszła do niej w środku nocy trójka dzieci. Powiedziały, że muszą jej coś pokazać. Zapytała, co to takiego i co one tu robią tak późno. Nie pamiętała, co odpowiedziały.

Została przez nie zabrana, chociaż nie zgodziła się iść. Zaprowadziły ją przez dziurę w ogrodzeniu, tam, przy końcu ogrodu, i potem ścieżką nad rzeką. Zaskoczyło ją, że ścieżka rozwarła się przed nią tak gładko – od lat tamtędy nie chodziła.

Te dzieci to było dwóch chłopców i dziewczynka. Mogły mieć po dziewięć, dziesięć albo jedenaście lat i wszystkie nosiły takie same ubranka – kompleciki plażowe z piki, z karczkiem z przodu i na szelkach. Wszystko czyste i świeże, jak

spod żelazka. Włosy ciemnoblonde, proste i lśniące. To były najczystsze, najgrzeczniejsze i najsympatyczniejsze na świecie dzieci. Ale skąd ona wiedziała, jakiego koloru miały włosy czy też że nosiły ubranka z piki? Przecież kiedy wychodziła z domu, nie brała latarki. Musiały mieć ze sobą jakieś światło – tak jej się wydawało, ale nie potrafiła określić, co to było.

Poprowadziły ją ścieżką i potem w bok, na teren dawnego jarmarku. Zabrały ją do swojego namiotu. Ale jej się zdaje, że nie widziała tego namiotu z zewnątrz. Po prostu nagle znalazła się w środku i zobaczyła, że jest biały, bardzo wysoki i biały i że drży jak żagle na łodzi. Był również oświetlony, i znowu nie miała pojęcia, skąd się bierze to światło. I wydawało się, że niektóre części tego namiotu czy budynku, cokolwiek to było, są ze szkła. Tak. Zdecydowanie, zielonego szkła, bardzo jasnego, tak jakby tafle tego szkła zostały wsunięte między żagle. Może i podłoga była ze szkła, ponieważ ona szła na bosaka po czymś gładkim i chłodnym – z całą pewnością nie po trawie i na pewno nie po żwirze.

Później, w gazecie, artysta przedstawił na rysunku coś, co wyglądało jak żaglowiec na spodku. Ale Eunie nie nazywała tego latającym spodkiem, przynajmniej nie wtedy. Również nic nie mówiła o tym, co się później ukazało w druku, w książce na temat takich zdarzeń, opisujących porwanie i badanie jej ciała, pobranie próbek krwi i płynów, możliwości, że jedno z jej jajeczek zostało niepostrzeżenie uprowadzone, że w kosmicznych przestrzeniach nastąpiło zapłodnienie – że

dokonały się subtelne czy też gwałtowne, tak czy inaczej wręcz nieprawdopodobne gody, które wessały geny Eunie w strumień życia najeźdźców.

Posadzono ją na siedzeniu, którego dotąd nie zauważyła, nie wiadomo, czy to było zwykłe krzesło, czy tron, a te dzieci zaczęły tknąć wokół niej zasłonę, coś w rodzaju siatki na komary, jakiejś takiej materii, lekkiej, ale mocnej. Wszyscy troje bez przerwy tkali siatkę i motali w nią Eunie, i ani razu na siebie nie wpadli. Przestała już wtedy myśleć o zadawaniu takich pytań, jak: „Co wy tu wyrabiacie” albo „Skąd się tu wzięliście?”, albo „Gdzie są dorośli?” – to wszystko gdzieś umknęło, nie wiadomo gdzie, nie potrafiła tego opisać. Być może towarzyszył wszystkiemu jakiś śpiew czy nucenie, coś uspokajającego i cudownego, co przenikało jej do głowy. I to wszystko wydawało się zupełnie normalne. Równie dobrze można by pytać: „Co tu robi ten imbryk?”.

Kiedy się obudziła, nie było nic – ani obok niej, ani nad nią. Leżała w gorącym słońcu już dobrze za dnia. Na twardej jarmarcznej ziemi.

– Cudowne! – powtórzył kilka razy Billy Doud, patrząc na Eunie i słuchając jej słów. Nikt nie rozumiał, co on właściwie chce przez to powiedzieć. Jechało od niego piwem, ale wydawał się trzeźwy i uważnie nadstawiał ucha. Bardziej niż uważnie – można by powiedzieć: z zachwytem. Tak jakby wszystko – niezwykła opowieść Eunie, jej poczerwieniała, brudna buzia, nieco arogancki ton głosu – sprawiało mu największą przyjemność. Cóż za ulga, cóż za błogosławieństwo – mógł

sobie mówić. Znaleźć w świecie, i to tuż obok, za miedzą, tę spokojną, z księżycą wziętą osobę. Cudowne.

Jego miłość – ta, na jaką było go stać – mogła się niespodziewanie rozbudzić w odpowiedzi na mieszkającą w Eunie potrzebę, o jakiej nie wiedziała.

Ciotka Muriel oznajmiła, że czas dzwonić do prasy.

– Bill Proctor jest pewno w kościele – powiedziała matka Eunie. Miała na myśli wydawcę pisma „Argus”, miejscowego tytułu ukazującego się w Carstairs.

– Bill Proctor może się schować – powiedziała ciotka Muriel. – Dzwonię do „Free Press”, do London.

Zadzwoiła, ale nie połączono jej z właściwą osobą, tylko z jakimś poślednim dyżurnym, bo to niedziela.

– Pożaluję – powiedziała. – Pójdę wyżej. Dzwonię do Toronto, do „Star”.

Przejęła dowództwo nad całą sprawą. Eunie nie protestowała. Wyglądała na zadowoloną. Kiedy skończyła opowiadać, siedziała z miną zubożonej satysfakcji. Nie przyszło jej do głowy prosić kogokolwiek, by się nią zajął, by próbował ją chronić, ofiarował jej szacunek i opiekę na czas, jaki jest przed nią. Ale Billy Doud właśnie postanowił to zrobić.

Eunie miała swoje pięć minut. Przyjeżdżali reporterzy. Przyjechał powieściopisarz. Fotograf robił zdjęcia terenów jarmarcznych, zwłaszcza bieżni, która była jakoby śladem pozostawionym przez statek kosmiczny. Zrobiono również zdjęcie trybun, napisano, że zostały zburzone przy lądowaniu pojazdu.

Zaciekawienie historiami tego rodzaju osiągnęło apogeum przed laty, potem stopniowo przygaszło.

„Kto tam wie, jak było naprawdę? – pisał ojciec Rhei w liście do Calgary. – Jedno jest pewne, że Eunie nigdy nie zarobiła na tym ani centa”.

Pisał ten list do Rhei. Wkrótce po przyjeździe do Calgary, Rhea i Wayne wzięli ślub. Wtedy, żeby wynająć razem mieszkanie, trzeba było mieć ślub – przynajmniej w Calgary – a oni doszli do wniosku, że nie chcą żyć osobno. Będą tak na ogół myśleli w przyszłości, chociaż czasem poddadzą tę sprawę pod dyskusję – to znaczy życie osobno – będą sobie tym grozić, a nawet zrobią kilka krótkich prób.

Wayne odszedł z gazety i przeniósł się do telewizji. Można go było latami oglądać w wieczornych wiadomościach, czasem w deszczu i śniegu na Wzgórzu Parlamentarnym, kiedy podawał jakieś pogłoski czy informacje. Później wyjeżdżał do obcych miast i robił tam to samo, a jeszcze później stał się jedną z tych osób, co to wspólnie siedzą i dyskutują nad tymi wiadomościami i zastanawiają się, kto tu kłamie.

(Eunie ogromnie polubiła telewizję, ale nigdy nie oglądała Wayne'a, ponieważ nie cierpiała programów, w których ludzie tylko gadają – zawsze zmieniała kanał na taki, gdzie się coś działo).

Podczas krótkich odwiedzin rodzinnego Carstairs i spaceru po cmentarzu, by sprawdzić, kto się tu ostatnio wprowadził, Rhea widzi na kamieniu wyryte imię Lucille Flagg. Ale wszystko w porządku, Lucille żyje. To jej mąż umarł,

a Lucille kazała wyryć swoje imię i datę urodzenia obok niego, na wyrost. Wielu ludzi to robi, bo koszty robót kamiennych bardzo idą w górę.

Rhea przypomina sobie te różane pączki i kapelusze z wielkim rondem i zalewa ją czułość dla Lucille, jakiej nie sposób odwzajemnić.

Rhea i Wayne przeżyli już razem ponad połowę swojego życia. Mają troje dzieci i, sumując, pięć razy tyle romansów. I teraz nagle, gwałtownie, zaskakująco, kończy się cały ten zamęt, czas rodzenia i niepewnego, ale żywego oczekiwania, i Rhea zdaje sobie sprawę, że zaczyna się starzeć. Tam, na tym cmentarzu, mówi głośno:

– Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

Zaglądają do Doudów, którzy są w jakiś sposób ich tutejszymi przyjaciółmi, i obie pary jadą za miasto, na stare tereny jarmarczne.

Rhea powtarza w tym miejscu to samo.

Domy nadrzeczne zniknęły. Dom Morganów, dom Monków – wszystkie te pozostałości pierwszego, źle usadowionego osiedla. Teren jest teraz przestrzenią zalewową pod zarządem Władz Rzeki Peregrine. Nie wolno tu niczego budować. Obszerny teren parkowy, wystrzyżone, ucywilizowane nadbrzeże – nic nie zostało, oprócz kilku rosnących wokół starych drzew o liściach wciąż jeszcze zielonych, ale przygiętych ciężarem złocistej wilgoci wiszącej w powietrzu, tu, w to wrześnie popołudnie, na kilka lat przed końcem wieku.

– Nie mogę się do tego przyzwyczaić – mówi Rhea.

Są teraz siwi, cała czwórka. Rhea jest szczupłą, bystrą kobietą; żywe, ujmujące obejście bardzo się jej przydaje w pracy – uczy angielskiego jako drugiego języka. Wayne jest również szczupły, ma piękną białą brodę i łagodny sposób bycia. Kiedy się go ogląda poza telewizją, może przypominać tybetańskiego mnicha. Przed kamerą staje się kostyczny, nawet brutalny.

Doudowie to ludzie rośli, dostojni, rumiani, z lekkim podkładem zdrowego tłuszczu.

Billy Doud uśmiecha się rozbawiony gwałtowną reakcją Rhei i spogląda wokół z roztargnioną aprobatą.

– Czas idzie naprzód – powiada.

Poklepuje żonę po szerokich plecach w odpowiedzi na cichy pomruk, którego pozostali nie dosłyszeli. Mówi jej, że za chwilę będą wracać do domu i na pewno nie straci tego programu, który ogląda każdego popołudnia.

Ojciec Rhei miał rację, mówiąc, że Eunie nic nie zarobi na swoich przeżyciach, miał też rację, przepowiadając, co się przydarzy Billy’emu Doudowi. Po śmierci matki problemy się spiętrzyły i Billy sprzedał fabrykę. Wkrótce ci, którzy ją od niego kupili, również ją sprzedali i fabryka została zamknięta. Nie robiono już więcej fortepianów w Carstairs. Billy wyjechał do Toronto i dostał pracę w czymś, co według ojca Rhei miało związek ze schizofrenikami albo narkomanami, albo chrześcijaństwem.

W rzeczywistości Billy pracował w ośrodkach resocjalizacji i domach grupowych, o czym wiedzieli i Rhea, i Wayne.

Billy utrzymywał tę przyjaźń. Zachowywał również szczególny rodzaj przyjaźni z Eunie. Zatrudnił ją do opieki nad swoją siostrą, Beą, kiedy ta zaczęła tak pić, że nie była już w stanie zadbać o siebie. (Billy przestał pić całkowicie).

Po śmierci siostry Billy odziedziczył dom i przerobił go na coś w rodzaju domu opieki dla ludzi starych, zniedołężniałych, którzy nie byli jeszcze aż tacy starzy i zniedołężniali, by wciąż leżeć w łóżkach. Chciał, żeby to było miejsce, w którym znaleźliby wygodę i życzliwość, a także odrobinę przyjemności i rozrywki. Wrócił do Carstairs, osiadł w tym domu i zarządzał nim.

Poprosił Eunie Morgan, żeby wyszła za niego za męża.

– Tylko nie chciałabym, żeby tam się coś działo ani w ogóle – powiedziała Eunie.

– Och, moja kochana! Och, moja kochana, kochana Eunie – odparł.

Wandale

I

Kochana Lizo, nie podziękowałam Ci jeszcze za wyprawę do naszego domu (biedny stary Ponurak, pewno dziś naprawdę zasługuje na swoją nazwę) w związku z lutowym sztormem, a raczej w związku z jego następstwami, i za relację z tego, co tam zastałaś. Podziękuj mężowi, że Cię tam zawiózł śnieżnym skuterem, a także za to, że (przypuszczam, że to on) zabił deską wybite okno, dzięki czemu nie dostanie się do wnętrza żaden dziki zwierz. Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza, nie mówiąc o różnych smarkaczach, zniszczą go. Słyszę, że jesteś chrześcijanką, Lizo, to cudowne! Czy narodziłaś się ponownie? Jak mi się zawsze podobał sam dźwięk tych słów!

Och, wiem, że wydaję się nudna, ale wciąż myślę o Tobie i biednym małym Kennym jak o ładnych, spieczonych słońcem dzieciakach, które wyskakiwały zza drzewa i próbowały mnie straszyc, skakały i nurkowały w stawie.

Ladner nie przeczuwał śmierci w wieczór przed operacją – a może to był poprzedni wieczór, wtedy, kiedy do Ciebie dzwoniłam. Nieczęsto się dzisiaj zdarza, żeby ludzie umierali przy bajpasach, poza tym on naprawdę niewiele myślał o śmiertelności.

On się tylko martwił o takie sprawy jak niezakręcona woda. Co-raz obsesyjniej skupiał się na drobiazgach. W tym się przejawiał jego wiek. Chociaż, myślę teraz, to wcale nie drobiazg, popękane rury to byłoby nieszczęście. Ale nieszczęście i tak przyszło. Ja pojechałam tam tylko raz, żeby spojrzeć, a zdziwiło mnie jedynie to, że wszystko wydało mi się naturalne. Poza tym, że Ladner umarł, reszta wyglądała tak, jak powinna. Nienaturalne wydaje mi się jedno – trzeba się tam wziąć do roboty i posprzątać, ale obawiam się, że będę to musiała zrobić sama albo nając kogoś. Kusi mnie, żeby zapalić zapałkę i puścić wszystko z dymem, ale myślę, że gdybym to zrobiła, toby mnie zamknęli.

Trochę teraz żałuję, że nie dokonałam kremacji Ladnera, ale nie przyszło mi to do głowy. Wsadziłam go tylko do grobu Doudów, niespodzianka dla ojca i macochy. Ale muszę Ci powiedzieć, że miałam wczoraj sen! Śniło mi się, że stoję przy tej wielkiej składnicy Canadian Tire, a oni tam rozłożyli taki ogromny plastikowy namiot, jaki stawiają co roku na wiosnę w sezonie sprzedaży sadzonek. Poszłam i otworzyłam kufer samochodu, jak zawsze, kiedy kupuję coroczną roszadę szatwii i niecierpków. Oprócz mnie czekali również inni kupujący, do namiotu wchodzili i wychodzili z niego mężczyźni w zielonych fartuchach. Jakaś kobieta zwróciła się do mnie i powiedziała: „Siedem lat przelatuje jak wiatr”. Wydawało się, że ona mnie zna, ale ja jej nie znałam i pomyślałam: „Czemu wciąż się tak dzieje? Czy dlatego, że jakiś czas uczyłam w szkole? Czy może przez to, co mogłabyś elegancko nazwać moim sposobem życia?”

Potem zrozumiałam, co oznacza te siedem lat i co ja tutaj robię, i co inni tu robią. Przyszli po kości. Ja przyszłam po kości

Ladnera, bo w tym śnie upłynęło siedem lat od jego pogrzebu. Zastanawiałam się, czy tego, co tutaj robimy, nie robią również w Grecji i gdzie indziej? Zapytałam jakichś ludzi: „Czy groby są przepiękne? Dlaczego przyjęliśmy taki zwyczaj? Czy to jest zwyczaj pogański, chrześcijański, czy jakiś inny?”. Ludzie, do których się zwracałam, patrzyli na mnie spode łba, jakby trochę urażeni, więc pomyślałam: „Co ja znowu takiego zrobiłam? Spędziłam tu całe życie, a ciągle spotyka mnie ten wzrok – czy ten wzrok powiada: poganka?”. Jeden z mężczyzn wręczył mi plastikowy woreczek, przyjąłam go z wdzięcznością i trzymałam, myślałam o silnych kościach nóg Ladnera, szerokich łopatkach i inteligentnej czaszce, umytych i wysuszonych jakimś aparatem, skrytym w plastikowym namiocie. To miało jakiś związek z oczyszczeniem moich uczuć do niego i jego uczuć do mnie, ale sama myśl zdawała się o wiele bardziej interesująca i subtelna. Mimo to byłam taka szczęśliwa, że dostałam to, co dostałam, inni też wyglądali na szczęśliwych. Prawdę mówiąc, niektórzy zaczęli się zwyczajnie bawić i podrzucali swoje woreczki. Jedne woreczki były jasnoniebieskie, ale większość zielona, mój należał do tych zwykłych, zielonych.

– O – powiedział do mnie ktoś. – Dostała pani małą dziewczynkę?

Zrozumiałam, o co chodzi. Kości małej dziewczynki. Zrozumiałam, że mój woreczek był za mały i zbyt lekki, by mogły się w nim znajdować kości Ladnera. „Jaka mała dziewczynka?” – pomyślałam, ale już mi się trochę mąciło w głowie i zaczynałam podejrzewać, że to tylko sen. Wtedy przyszło mi na myśl, że może chodzi o małego chłopca. Zaraz po przebudzeniu pomyślałam

o Kennym i zaczęłam się zastanawiać, czy to już siedem lat od wypadku? (Mam nadzieję, że nie sprawiam Ci bólu, Lizo, i dobrze wiem, że Kenny nie był już małym dzieckiem, kiedy tamto się stało). Obudziłam się i pomyślałam, że muszę spytać o to Ladnera. Zawsze, jeszcze nim się obudzę, wiem, że nie ma przy mnie ciała Ladnera i że wrażenie jego wagi, ciepła i zapachu to tylko wspomnienie. Ale wciąż mi się zdaje – kiedy nie śpię – że jest w sąsiednim pokoju, że mogę go zawołać i opowiedzieć mu swój sen czy co tam. I potem muszę sobie uświadamiać, że tak nie jest, każdego ranka, i przechodzi mnie chłód. Czuję skurcz. Czuję się tak, jakby mi leżało na piersi kilka drewnianych desek, a to nie zachęca do wstawania z łóżka. Pospolite doświadczenie. W tej chwili jednak nie doświadczam go, tylko opisuję i prawdę mówiąc, całkiem mi jest dobrze, kiedy tu sobie siedzę przy butelce czerwonego wina.

Tego listu Bea Doud nigdy nie wysłała i w gruncie rzeczy nigdy nie skończyła. Wkroczyła teraz w okres rozmyślań i picia w swoim wielkim zapuszczonym domu w Carstairs. Wszystkim wydawało się, że to okres powolnego upadku, ale dla niej był to czas żałośnie błogi, jak rekonwalescencja.

Bea Doud poznała Ladnera podczas niedzielnej przejażdżki z Peterem Parrem. Peter Parr był nauczycielem fizyki i matematyki, a także dyrektorem liceum w Carstairs, gdzie Bea przez jakiś czas uczyła w zastępstwie za jedną z nauczycielek. Nie ukończyła studiów pedagogicznych, ale miała magisterium z angielskiego, zresztą w tamtych czasach przepisy nie były tak ściśle przestrzegane. Wzywano ją też do pomocy

podczas wycieczek szkolnych, pędziła jakąś klasę do Królewskiego Muzeum Ontario czy do Stratfordu na doroczną dawkę Szekspira. Ale od czasu, kiedy zainteresowała się Peterem Parrem, unikała podobnych zależności. Chciała, aby ze względu na niego wszystko odbywało się zgodnie z procedurami. Żona Petera Parra leżała w domu opieki – chorowała na stwardnienie rozsiane – a on ją sumiennie odwiedzał. Wszyscy mieli o nim jak najlepszą opinię i większość była zdania, że zasługuje na stałą przyjaciółkę (potworne określenie, zdaniem Bei), niektórzy jednak uważali, że wybór zrobił marny. Bea wlekła za sobą coś, co sama nazywała zróżnicowaną przeszłością. Ale ustatkowała się przy Peterze – jego przyzwoitość, ufność i pogoda ducha sprawiły, że w jej życiu nastał ład i myślała, że jej z tym dobrze.

Kiedy Bea mówiła o swojej zróżnicowanej przeszłości, przyjmowała sarkastyczny, lekceważący ton, który wcale nie oddawał tego, co naprawdę sądziła o swoim życiu w miłych związkach. To życie zaczęło się, kiedy wyszła za mąż. Jej mężem był lotnik angielski stacjonujący w pobliżu Walley podczas drugiej wojny światowej. Po wojnie wyjechała z nim do Anglii, ale wkrótce się rozwiedli. Wróciła do domu i robiła różne rzeczy: prowadziła macosze dom i ukończyła studia. Ale romanse były główną treścią jej życia i wiedziała, że nie jest uczciwa, jeśli wyraża się o nich lekceważąco. Bywały słodkie, bywały cierpkie, bywała w nich szczęśliwa, bywała zrozpaczona. Wiedziała, co to znaczy czekać w barze na mężczyznę, który nie przychodzi. Czekać na listy, płakać przy ludziach, jak również znosić natręctwo mężczyzny, którego ma dość.

(Była zmuszona zrezygnować z uczestnictwa w Towarzystwie Przyjaciół Lekkiej Opery z powodu wariata, który kierował ku niej barytonowe arie solowe). Wciąż jednak przyjmowała pierwszą oznakę zbliżającego się romansu jak ciepły promień słońca na skórze, jak muzykę zza drzwi albo ten moment, który często wspominała, kiedy to czarno-białe reklamy telewizyjne buchnęły kolorem. Nie uważała, że zmarnowała czas. Nie uważała, że ten czas został zmarnowany.

Ale uważała, i to musi przyznać, że była próżna. Lubiła hołdy i uznanie. Drażniło ją na przykład, że kiedy Peter Parr zabierał ją na przejażdżkę na wieś, nigdy nie robił tego wyłącznie dla jej towarzystwa. Był człowiekiem ogólnie lubianym i sam lubił ludzi, nawet świeżo poznanych. Zawsze się te ich wspólne wyjazdy kończyły jakimś niespodziewanym spotkaniem albo godzinną rozmową z byłym uczniem, który pracował na stacji benzynowej, albo przyłączeniem się do wyprawy, której pomysł się wykuł podczas spotkania z ludźmi poznаныmi przypadkiem w wiejskim sklepiku, kiedy poszli kupić sobie lody w rożku. Zakochała się w nim, bo otaczała go atmosfera smutku, aura elegancji i samotności, bo miał taki uśmiech na zaciśniętych wargach, w rzeczywistości jednak był człowiekiem nałogowo towarzyskim, takim, co to nie jest w stanie minąć rozgrywanej partii siatkówki przed czyjś domem bez tego, by chciał wyskoczyć z auta i przyłączyć się do grających.

W pewne niedzielne majowe popołudnie, w olśniewający, świeżo zielony dzień, powiedział jej, że chce wpaść na kilka minut do człowieka, który się nazywa Ladner. (Peter Parr

wpadał zawsze na kilka minut). Bea pomyślała, że musiał gdzieś go poznać, skoro mówi o nim tylko „Ladner” i tak dużo o nim wie. Powiedział, że Ladner przyjechał tutaj zaraz po wojnie, że służył w Royal Air Force (tak jak jej mąż!), został zestrzelony i miał spalony cały jeden bok. Postanowił więc żyć jak pustelnik. Odwrócił się plecami do zgniętego, skłóconego społeczeństwa konkurencyjnego, kupił czterysta akrów nieużytków, w większości bagno i zarośla, w północnej części hrabstwa, w kantonie Stratton, i stworzył tam coś niezwykłego, jakby rezerwat przyrody, z mostami, szlakami i strumieniami spiętrzonymi w rozlewiska, bo zbudował tamy, a wzdłuż ścieżek ustawił eksponaty ptaków i zwierząt w naturalnych pozycjach. Bo ten człowiek zarabiał na życie jako preparator zwierząt, pracował na ogół dla muzeów przyrodniczych. Nie brał pieniędzy od ludzi za chodzenie po tych szlakach i oglądanie eksponatów. Był to człowiek zraniony, w najstraszniejszy sposób odarty ze złudzeń, który uciekł od świata, ale zwracał mu, ile mógł, okazując troskę o naturę.

Większość tego okazała się nieprawdą albo częściową nieprawdą, jak później stwierdziła Bea. Ladner nie był żadnym pacyfistą – popierał wojnę w Wietnamie i wierzył, że broń nuklearna to środek odstraszący. Sprzyjał społeczeństwu konkurencyjnemu. Oparzoną miał tylko twarz i szyję, z boku, od wybuchu pocisku podczas walk naziemnych (nie był w lotnictwie) pod Caen. Nie wyjechał z Anglii zaraz po wojnie, ale pracował tam przez lata, w muzeum, dopóki nie wydarzyło się coś – Bea nigdy się nie dowiedziała, co to takiego – co odrzuciło go i od pracy, i od kraju.

Natomiast wszystko o zakupie ziemi i tym, co z nią zrobił, było prawdą. Prawdą też było to, że zajmuje się preparowaniem zwierząt.

Bea i Peter mieli trochę kłopotu ze znalezieniem domu Ladnera. Był to prosty dom w kształcie litery A, typowy w tamtych czasach, skryty w drzewach. Odkryli wreszcie wjazd, zaparkowali i wysiedli z samochodu. Bea spodziewała się najpierw prezentacji, potem nudnego spaceru, który potrwa godzinę albo i dwie, a jeszcze później wspólnej herbaty czy piwa, podczas gdy Peter Parr będzie utrwał przyjaźń.

Ladner wyszedł zza domu i stanął przed nimi. Wydawało się Bei, że ma przy sobie groźnego psa. Ale nic podobnego. Ladner nie miał psa. Sam był groźnym psem.

Pierwsze jego słowa brzmiały:

– Czego tu chcecie?

Peter Parr powiedział, że zaraz wszystko wyjaśni.

– Tyle słyszałem o tym wspaniałym miejscu, jakie pan stworzył. I powiem od razu: jestem wychowawcą. Uczę dzieci w liceum, w każdym razie staram się uczyć. Staram się wpoić im kilka myśli, które powstrzymają ich od rozwalenia tego świata czy wysadzenia go w powietrze, kiedy nastanie ich czas. Cóż oni widzą naokoło? Same straszne wzorce. Niemal nic pozytywnego. I dlatego ośmieliłem się zwrócić do pana. Przyjechałem z prośbą, żeby rozważył pan...

Wycieczki w teren. Wybrani uczniowie. Świadomość, ile może dokonać jednostka. Szacunek dla natury, współpraca ze środowiskiem, sposobność zobaczenia na własne oczy.

– Nie jestem wychowawcą – powiedział Ladner. – W dupie mam pańskich uczniów, a ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to gromada gówniarzy włóczących się po moim terenie, palących papierosy i gapiących się jak półgłówki. Nie wiem, skąd panu przyszło do głowy, że to, co tu jest, zrobiłem dla publicznego dobra, ponieważ ono mnie nie interesuje. Czasem pozwalam się komuś przejść, ale to mój wybór.

– A w naszym przypadku? – spytał Peter Parr. – Czy byłby pan skłonny pozwolić nam dzisiaj spojrzeć, tylko nam?

– Dzisiaj odpada. Mam robotę na szlaku – odparł Ladner.

Już w samochodzie, kiedy wracali zwirowanym podjazdem, Peter Parr zwrócił się do Bei:

– Myślę, że lody zostały przełamane, nie uważasz?

To nie był dowcip. Nie żartował w ten sposób. Bea rzuciła mu jakieś słowa pociechy. Ale zdała sobie sprawę – albo zrozumiała to przed kilkoma minutami na podjeździe przed domem Ladnera – że ona należy do innego gatunku niż Peter Parr. Miała dość jego miłego usposobienia, szlachetnych intencji, jego rozważań i wysiłków. To wszystko, co ją w nim pociągało, co jej dodawało otuchy, teraz rozsypało się w gruzy. Teraz, kiedy zobaczyła go obok Ladnera.

Mogła to sobie inaczej tłumaczyć, oczywiście. Ale nie taka była jej natura. Nawet po latach dobrego sprawowania, nie taka była jej natura.

Miała wtedy kilkoro przyjaciół, do których pisała i rzeczywiście wysyłała listy, starając się zbadać i wyjaśnić ten zwrot w swoim życiu. Pisała, że nie chciałaby myśleć, iż poleciała za Ladnerem, ponieważ był ordynarny, szorstki i trochę dziki,

i z tą plamą na policzku, która świeciła jak metal w słońcu prześwietlającym między drzewami. Nie chciałyby tak myśleć, bo przecież na tym się zasadzają wszystkie ponure romanse – brutal budzi dreszcze w kobiecie i żegnaj, szlachetny rycerzu!

Tak pisała, natomiast myślała – a wiedziała, że to jest anachroniczne i źle brzmi – naprawdę myślała, że niektóre kobiety, takie jak ona, zawsze szukają jakiegoś szaleństwa, zdolnego je pochłonąć. Bo czymże jest życie z mężczyzną, jeśli nie życiem wewnątrz jego szaleństwa? Mężczyzna może mieć zwyczajne, mało widoczne szaleństwo, takie jak oddanie drużynie piłkarskiej. Ale ono może nie być wystarczające, niewystarczająco wielkie – a szaleństwo, które nie jest wystarczająco wielkie, sprawia, że kobieta staje się małostkowa i czuje się zawiedziona. Na przykład Peter Parr okazywał dobroć i optymizm do granic fanatyzmu. Ale w końcu, pisała Bea, mnie to szaleństwo nie wystarczało.

Jaką więc przestrzeń dawał jej do życia Ladner? Nie chodziło jej o to, czy zdoła uznać konieczność zapoznania się z obyczajami jeżozwierzy i słania bojowych listów na ich temat do pism, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Chodziło jej również o to, czy będzie zdolna żyć w obliczu nieustępliwości, dawkowej obojętności, które mogą się niekiedy wydać drwiną.

Tak opisywała swoją sytuację przez pierwsze pół roku.

Kilka innych kobiet również sądziło, że będą do tego zdolne. Znajdowała ślady po nich. Pasek – rozmiar 26 – słoik masła kakaowego, ozdobny grzebień. Żadnej z nich nie pozwolił zostać.

– Czemu im, a nie mnie? – pytała Bea.

– Bo żadna z nich nie miała pieniędzy – powiedział Ladner.

Dowcip. „Jestem cała poraniona dowcipami”. (Odtąd pisała listy już tylko w myślach).

Ale co nią naprawdę kierowało, kiedy kilka dni później, w dzień powszedni, jechała do Ladnera? Strach i pożądanie. Współczuła samej sobie, w tej jedwabnej bieliźnie. Szczękała zębami. Było jej żal, że jest ofiarą takich apetytów. Miewała je już wcześniej – nie będzie udawała, że nie. To jeszcze nie różniło się tak bardzo od tego, co czuła kiedyś.

Bez trudu znalazła jego posiadłość. Musiała poprzednio dobrze zapamiętać drogę. Wymyśliła sobie pretekst. Zgubiła się. Szukała w okolicy pewnego gospodarstwa, w którym sprzedają sadzonki krzewów. Pora roku właściwa. Ale Ladner był na dworze, przed swoimi drzewami, poprawiał coś przy przepuszczeniu wody i pozdrowił ją tak swobodnie, bez zdziwienia czy niechęci, że nie potrzebowała uciekać się do pretekstów.

– Proszę poczekać, póki nie skończę – powiedział. – To potrwa z dziesięć minut.

Nic nie mogło bardziej odpowiadać Bei – nic nad patrzenie na mężczyznę przy ciężkiej pracy fizycznej, kiedy zapomina o tobie i robi, co trzeba, porządnie i systematycznie, nic w tym podniecającego. Żadnego marnotrawstwa, przesadnego czy zbędnego wysiłku i na pewno najmniejszej ochoty do wyrafinowanej konwersacji. Miał bardzo krótko przycięte siwe włosy, fryzura z czasu jego młodości – czubek głowy polśniwał srebrzyście jak ta łata na twarzy, przypominająca metal.

Bea powiedziała, że zgadza się z nim, jeśli idzie o młódzież.

– Pracowałam zastępczo w szkole i jeździłam z uczniami na wycieczki. Bywały chwile, kiedy z przyjemnością poszczu-
łabym ich dobermanami i utopiłabym w szambie. Nie są-
dzi pan, mam nadzieję, że przyjechałam pana przekonywać.
Nikt nie wie, że tu jestem.

Zwlekał nieco z odpowiedzią.

– Przypuszczam, że chciałaby pani zwiedzić całość – powie-
dział wreszcie. – Chce pani? Chce pani zwiedzić całość?

To powiedział i to myślał. Zwiedzanie. Bea miała nieodpo-
wiednie buty – w tym okresie życia nigdy nie miała butów,
które by się okazały odpowiednie. Nie zwalniał dla niej kroku
ani nie próbował jej pomagać przy przejściu przez strumień
czy podejściu na urwisko. Nie podawał jej ręki, nie zapro-
ponował, żeby usiedli i odpoczęli na najbliższym kamieniu,
skale czy stoku.

Puścił ją przodem na zbity z desek pomost prowadzący
przez bagno do stawu, w którym osiedliło się kilka gęsi kana-
dyjskich i krążyły wokół siebie dwa łabędzie, tułowia łagodne,
ale szyje swarliwe, z dziobów wydobywały się ostre skrzeki.

– Czy to para? – spytała Bea.

– Najwidoczniej.

Nieopodal tych żywych ptaków stała oszklona gabłota,
w której znajdował się wypchany złoty orzeł z rozpostarty-
mi skrzydłami, sowa mszarna i sowa śnieżna. Rolę gabłoty
pełniła stara wypatroszona zamrażarka z osadzonym w boku
oknem i kamuflażem z szarych i zielonych smug farby.

– Pomysłowe – powiedziała Bea.

– Korzystam, z czego się da.

Pokazał jej łąkę bobrów, czubate pniaki drzew ściętych przez bobry, pagórkowate niechlujne budowle i dwa bobry o gęstym futrze w gablocie. Potem po kolei oglądała rudego lisa, złotą norkę, białą łasiczkę, uroczą rodzinę skunksów, jeżozwierza oraz kunę, która, jak powiedział Ladner, była tak śmiała, że potrafiła zabić jeżozwierza. Szopy pracze, wypchane i wyglądające jak żywe, wczepiały się w pnie drzew, wilk stał w pozycji do wycia, a baribal zdążył właśnie podnieść wielki miękki łeb, ukazując melancholijne oblicze. Ladner powiedział, że to jest młody niedźwiedź. Nie stać go było na zachowywanie dużych – zbyt wiele można za nie dostać.

No i masa ptaków. Dzikie indyki, para nastroszonych kuropatw, bażant z wielką czerwoną otoczką wokół oka. Na tabliczkach wypisane były ich siedliska, łacińskie nazwy, ulubione pożywienie i obyczaje. Niektóre drzewa miały też tabliczki. Ścisłe, dokładne, skomplikowane informacje. Były też tabliczki z cytatami.

Natura nic nie czyni bez celu.

Arystoteles

Przyroda nie oszukuje nas nigdy; to tylko my się mylimy.

Rousseau

Kiedy Bea stanęła, żeby je przeczytać, odniosła wrażenie, że Ladner ma już dość, że jakby spochmurniał. Przestała komentować to, co ogląda.

Nie bardzo się orientowała, w jakim kierunku szli, ani nie potrafiła sobie wyobrazić rozkładu posiadłości. Czy przechodzili przez kilka strumieni, czy ten sam kilka razy. Las mógł się ciągnąć jeszcze wiele mil dalej albo tylko do szczytu wzgórza. Wczesne liście nie osłaniały przed słońcem. Nieskończona ilość trójlistów pod nogami. Ladner podniósł liść stopowca i pokazał jej schowany pod spodem kwiat. Grube skręcone liście paproci gotowe do wystrzelenia w górę, żółty tulejnik amerykański wychylający się z bagiennych dziur, cała ta mnogość soków roślinnych, słońca i zdradzieckiego próchna pod nogami, i nagle znaleźli się w starym sadzie jabłkowym otoczonym lasem, a on pokazał jej, gdzie może szukać smardzy. Sam znalazł pięć, ale nie zaproponował, że się z nią podzieli. Wzięła je za zeszłoroczne zgniłe jabłka.

Przed nimi wznosił się stromy pagórek okryty drobnymi krzakami głógów osypanych kwiatami.

– Dzieci nazywają to Lisią Górką – powiedział. – Jest tutaj nora.

Bea stała bez ruchu.

– Ma pan dzieci?

Roześmiał się.

– O ile mi wiadomo, to nie. Mam na myśli dzieci z naprzeciwka. Proszę uważać na gałęzie. Kolczaste.

Teraz pożądanie zniknęło całkowicie, chociaż zapach kwitnących głógów wydał jej się znajomy, jakby zaciągał stęchłą czy drożdżami. Już dawno przestała się wpatrywać w to miejsce między łopatkami, pragnąc, by się odwrócił i wziął ją w ramiona. Przyszło jej do głowy, że ten cały obchód, tak

wyczerpujący fizycznie i psychicznie, to mogła być kpina, żart, kara za to, że jest – wszystko razem wzięwszy – kłopotliwym wampem i oszustką. To pobudziło jej dumę i zaczęła się zachowywać tak, jakby naprawdę przyszła tu po informacji. Zadawała pytania, była zaciekawiona, nie okazywała zmęczenia. Również potem – ale jeszcze nie tego dnia – naczy się mu dorównywać w podobnej nieco dumie z zapamiętałej siły seksu.

Nie oczekiwała, że ją zaprosi do domu. Ale zapytał: – Czy nie chciałaby pani herbaty? Mogę zrobić filiżankę – i weszli do domu. Przywitał ją zapach skór, boraksu, strużyn drzewa, terpentyny. Skóry leżały w stosach, krwawą stroną na zewnątrz. Na stojakach – głowy zwierzęce o pustych oczodołach i paszczach. To, co wzięła z początku za odarte ze skóry ciało sarny, okazało się tylko drucianym szkieletem z przyczepionymi kępkami czegoś, co wyglądało jak przyklejona słoma. Powiedział jej, że ciało będzie z papier mâché.

W domu były książki – niewielka część o preparowaniu zwierząt, pozostałe na ogół usystematyzowane, w działach. Historia drugiej wojny światowej. Historia nauk ścisłych. Historia filozofii. Historia cywilizacji. Wojna hiszpańska. Wojny peloponeskie. Wojny francusko-indyjskie. Bea pomyślała o jego długich zimowych wieczorach – uporządkowanej samotności, regularnych lekturach i jałowym zadowoleniu.

Wydawał się trochę zdenerwowany, kiedy szykował herbatę. Sprawdził, czy filiżanki są czyste. Zapomniał, że już wyjął mleko z lodówki, i zapomniał, że już mówiła, iż nie słodzi.

Patrzył na nią, kiedy spróbowała herbaty, i zapytał, czy jej odpowiada. Czy nie za mocna? Czy nie trzeba dolać trochę wrzątku? Zapewniła go, że jest jak trzeba, podziękowała za oprowadzenie jej po terenie i wspomniała o tym, co jej się szczególnie spodobało. „Oto mężczyzna – myślała – nie jakiś dziwny mężczyzna, nic w nim szczególnie tajemniczego, może nawet nic szczególnie interesującego. Magazyn informacji. Wojny francuskie i indyjskie”.

Poprosiła o jeszcze trochę mleka do herbaty. Chciała ją jak najszybciej wypić i ruszać w drogę.

Zaprosił ją, żeby ponownie wpała, jeśli się znajdzie w okolicy i nie będzie miała nic specjalnego do roboty. Albo przyjdzie jej ochota na spacer. O każdej porze roku jest coś do obejrzenia. Mówił o ptakach zimowych i śladach na śniegu i spytał, czy ma narty. Zrozumiała, że nie chce, żeby odeszła. Stali w otwartych drzwiach, a on opowiadał jej o narciarstwie w Norwegii, o tramwajach, które mają na dachu mocowania na narty, i o górach na skraju miasta.

Powiedziała, że nigdy nie była w Norwegii, ale na pewno by się jej spodobało.

Wspominała tę chwilę jako prawdziwy początek. Oboje wydawali się nieswoi i powściągliwi, nie tyle niechętni, ile zakłopotani, wręcz żal im było siebie nawzajem. Zapytała go później, czy w tym momencie czuł coś ważnego, a on powiedział: tak – zdał sobie sprawę, że jest kobietą, z którą mógłby żyć. Zapytała, czy nie mógłby powiedzieć: z którą chciałby żyć, a on powiedział: tak, mógłby tak powiedzieć. Mógłby powiedzieć, ale nie powiedział.

Musiała nabyć wiele umiejętności niezbędnych do prowadzenia tego domu, a także związanych ze sztuką preparowania zwierząt, musiała się na przykład nauczyć barwienia warg, powiek i czubków nosów skomplikowaną mieszaniną farby olejnej, oleju lnianego i terpentyny. To, czego się dodatkowo musiała dowiedzieć, to tego, co on powie i czego nie powie. Wyglądało na to, że musi się wyleczyć z próżności, oduczyć gadania o byle czym i wyzbyć wszystkich dawnych pojęć o miłości.

„Pewnego wieczoru wsunęłam się do jego łóżka, a on nie odjął wzroku z książki ani nie poruszył się i nie powiedział słowa, nawet kiedy się wyczołgałam i wróciłam na swoje posłanie, gdzie natychmiast zasnęłam, bo nie mogłam znieść wstydu, że nie śpię.

Rano przyszedł do mojego łóżka i wszystko było jak zawsze. Stanęłam wobec bloku skamieniałej ciemności”.

Uczyła się, zmieniała się. Wiek okazywał się pomocny. Drinki również.

Kiedy do niej przywyknął albo czuł się przed nią bezpieczny, poprawiał mu się nastrój. Chętnie z nią rozmawiał o tym, co go interesowało, i znajdował w jej ciele życzliwszą pociechę.

W noc przed operacją leżeli obok siebie na obcym łóżku, przytuleni całą dostępną powierzchnią nagiej skóry – rąk, nóg i bioder.

II

Liza powiedziała Warrenowi, że pewna kobieta, Bea Doud, zatelefonowała z Toronto i poprosiła, żeby oni – to znaczy

Warren i Liza – pojechali na wieś do domu, w którym mieszkała ze swoim mężem. Chodziło o sprawdzenie, czy woda jest zakręcona. Bea z Ladnerem (tak naprawdę to nie jest jej mąż) wyjechali do Toronto, czekają tam na operację Ladnera. Bajpas. „Ponieważ rury mogłyby popękać” – powiedziała Liza. Była niedziela wieczór w lutym, podczas jednej z najgorszych zamieci śnieżnych.

– Znasz ich – powiedziała Liza. – Na pewno. Pamiętasz tę parę, z którą cię poznałam? Pewnego dnia zeszłej jesieni na skwerze, za sklepem Radio Shack? On miał bliznę na policzku, a ona długie włosy, czarno-siwe. Powiedziałam ci, że on jest preparatorem zwierząt, a ty spytałeś: „A co to takiego?”.

Warren przypomniał sobie teraz. Starsza – ale nie stara – dwójka ludzi we flanelowych koszulach i spodniach wypchanych na kolanach. On z blizną i brytyjskim akcentem, ona z tymi dziwnymi włosami i jakaś taka życzliwa. Preparator to taki, co wypycha martwe zwierzęta. To znaczy – skóry zwierząt. Również martwe ptaki i ryby.

– Co się stało z twarzą tego faceta? – zapytał.

– Druga wojna – odpowiedziała.

– Wiem, gdzie jest klucz – tłumaczyła Liza. – Dlatego do mnie zadzwonili. Ten dom jest w kantonie Stratton. Mieszkałam tam.

– Chodziliście do tego samego kościoła czy coś? – spytał Warren.

– Bea i Ladner? Nie żartuj. Po prostu mieszkali po przeciwnej stronie drogi.

– To właśnie ona dała mi trochę pieniędzy – ciągnęła, jakby to było coś, co powinien wiedzieć. – Żeby poszła do college’u. Ja jej nie prosiłam. Nagle, ni stąd, ni zowąd telefonuje i powiada, że chce mi dać. No, dobra, ma ich dużo.

W dzieciństwie Liza mieszkała w kantonie Stratton z ojcem i bratem, Kennym, na farmie. Ojciec nie uprawiał ziemi – wynajmował tylko dom. Był dekarzem. Matka nie żyła. Kiedy Liza dorosła do liceum – Kenny był rok młodszy, ale chodził o dwie klasy niżej – ojciec przeniósł ich do Carstairs. Poznał tam kobietę, która miała przyczepę kempingową, i później się z tą kobietą ożenił. Jeszcze później przeniósł się z nią do Chatham. Liza nie była pewna, gdzie teraz mieszka ją – w Chatham, Wallaceburgu czy w Sarnii. Kiedy się przeprowadzali, Kenny już nie żył – zginął jako piętnastolatek w jednym z tych straszliwych wypadków samochodowych, jakie się zdarzają niemal każdej wiosny, a których przyczyną są pijani kierowcy, często bez prawa jazdy, skradzione samochody, świeży żwir na wiejskich drogach i szalona prędkość. Liza skończyła szkołę i poszła do college’u w Guelph na rok. Nie lubiła college’u, nie lubiła tamtejszych ludzi. W tym czasie została chrześcijanką.

Tak poznał ją Warren. Jego rodzina należała do Bractwa Zbawiciela przy Kaplicy Biblijnej w Walley. Całe życie uczęszczał do Kaplicy Biblijnej. Liza zaczęła tam przychodzić po przeprowadzce do Walley, kiedy dostała pracę w państwowym sklepie monopolowym. Pracowała tam w dalszym ciągu, chociaż ją to uwierało i czasem myślała, że powinna wymówić. Nie brała teraz do ust ani kropli alkoholu, nawet

wyrzekła się cukru. Nie chciała, żeby Warren jadał na przerwie kupne rogaliki drożdżowe, więc pakowała mu placuszki owsiane domowej roboty. Prała co środa wieczór, liczyła pchnięcia szczotki podczas mycia zębów i wstawiała bardzo wcześnie, żeby zdążyć wykonać przysiady i przeczytać wersy Biblii.

Myślała o tym, żeby się zwolnić, ale potrzebowali pieniędzy. Sklep z małymi silnikami, w którym Warren pracował, został zamknięty, a on sam przekwalifikowywał się na sprzedawcę komputerów. Pobrali się przed rokiem.

Pogoda rano zapowiadała się dobrze, wyruszyli na skuterze śnieżnym tuż przed południem. Liza miała poniedziałki wolne. Pług czyścił autostradę, ale boczne drogi pokrywał śnieg. Na ulicach miasta od wczesnego świtu ryczały śnieżne skutery, kładąc ślady na otwartych płaszczyznach i zamarzniętej rzece.

Liza powiedziała Warrenowi, żeby jechał rzeką aż do autostrady 86, potem skręcił na północny wschód i łukiem okrążył bagno. Wszędzie na rzece znaczyły się tropy zwierząt, w liniach prostych, w kołach, w pętlach. Warren znał się dobrze tylko na psich śladach. Zamarznięta na trzy stopy rzeka, pokryta śniegiem, stanowiła znakomity tor jazdy. Zamieć przysła z zachodu, jak zwykle przychodzą zamiecie w tej krainie, i wszystkie drzewa wzdłuż wschodniego brzegu stały pokryte, obetkane śniegiem, wystawiając rozczapierzone gałęzie, jak wiklinowe kosze śniegowe. Na zachodnim brzegu zasy kłębiły się niby znieruchomiałe fale, olbrzymie

porcje śmietany. Jakie to fascynujące znajdować się na dworze wśród tego wszystkiego, tych skuterów wyrzynających szlaki i gwałcących dzień kłębami ryku i hałasu.

Bagno z daleka wydawało się czarne, długa plama na północnym horyzoncie. Ale z bliska przyduszała je śnieg. Na białym tle czarne pnie pomykały z mdlącą regularnością. Liza skierowała Warrena lekkimi klepnięciami w tyłkę na boczną drogę wypchaną śniegiem jak pierzyna i wreszcie uderzyła mocniej, by stanął. Ta odmiana – z hałasu do ciszy i z ruchu do bezruchu – była jak upadek z wysoka, z lejących się chmur, na twarde podłoże. Tkwili w konkretnym środku zimowego dnia.

Po jednej stronie drogi stała rozsypująca się stodoła, z której wyglądało zleżałe, szare siano.

– Tu mieszkaliśmy – powiedziała Liza. – Nie, żartuję. Tak naprawdę stał tutaj dom. Już go nie ma.

Po przeciwnej stronie drogi znajdowała się tabliczka z napisem: „Mniejszy Ponurak”, a za nim drzewa i spory dom w kształcie litery A, pomalowany na jasnoszary kolor. Liza powiedziała, że gdzieś w Stanach Zjednoczonych było bagno zwane Wielkim Ponurym Bagnem – i że to jest nawiązanie do tamtej nazwy. Taki żart.

– Nigdy o tym nie słyszałem – odparł Warren.

Inne znaki mówiły: „Wstęp wzbroniony”, „Polowanie wzbronione”, „Przejazd skuterem śnieżnym wzbroniony”, „Zakaz wstępu”.

Klucz do drzwi kuchennych leżał w dziwnym miejscu. W plastikowym woreczku schowanym w dziupli drzewa. Przy kuchennych schodkach stało kilka starych powyginanych

drzew – pewno owocowych. Dziupła w drzewie osmarowana była smołą – Liza powiedziała, że po to, żeby wiewiórki do niej nie wchodziły. Dziuple w innych drzewach też lepily się od smoły, tak że ta z kluczem niczym się od nich nie różniła.

– Więc jak ją odnalazłaś?

Liza pokazała profil – łatwo się go było dopatrzeć z bliska – podkreślony nożem wzdłuż pęknięć na korze. Długi nos, skośne oczy i skrzywione w dół usta oraz wielka kropla – to była właśnie osmolona dziura – tuż pod czubkiem nosa.

– Zabawne? – spytała Liza, wsuwając plastikowy woreczek do kieszeni i obracając klucz w zamku kuchennych drzwi. – Nie stój tak. Wchodź! Rany! Ale tu zimno i ponuro! – Zawsze bardzo się pilnowała z okrzykami, zmieniała „Rany boskie” na „Rany”, zamiast „Jezu” wołała: „O jejkę”, tak jak się powinno robić w bractwie.

Przeszła wzdłuż ścian, przekręcając termostaty, by grzanie na parterze ruszyło.

– Nie będziemy tu długo siedzieć, co? – spytał Warren.

– Posiedzimy, póki się nie zagrzejemy.

Warren odkręcał kurki kuchenne. Nie skapnęła nawet kropla.

– Woda zakręcona – powiedział. – Wszystko w porządku.

Liza znajdowała się już we frontowym pokoju.

– Co? – zawołała. – Co jest w porządku?

– Woda. Główny zawór zakręcony.

– Naprawdę? To dobrze.

Warren stanął w drzwiach pokoju.

– Czy nie powinniśmy zdjąć butów? To znaczy, jeśli mamy tu chodzić?

– A po co? – Liza tupnęła mocno w dywan. – Komu szkodzi dobry, czysty śnieg?

Warren nie był osobą, która by zwracała uwagę na pokój ani co w nim jest, zauważył jednak, że znajdują się w nim przedmioty zwyczajne i niezwykłe. Były dywaniki i krzesła, i telewizor, i sofa, i książki, i wielkie biurko. Ale były również półki pełne wypchanych i ustawionych na podstawkach ptaków, małych i kolorowych, a także dużych, drapieżnych. I jeszcze gibkie brązowe zwierzątko – łasiczka? – i bóbr, którego poznał po ogonie przypominającym wiosło.

Liza otwierała szuflady biurka i grzebała wewnątrz, w papierach. Myślał, że szuka czegoś, o co prosiła ją ta kobieta. Potem zaczęła wyciągać całe szuflady, do końca, i rzucała je razem z zawartością na podłogę. Wydawała przy tym dziwne odgłosy – zachwycone cmoknięcia, jakby te szuflady wypadały same z siebie.

– Chryste Panie! – zawołał. Był członkiem bractwa całe życie i dlatego nie pilnował języka tak bardzo jak Liza. – Liza! Co ty wyrabiasz?

– Nic, co by mogło cię obchodzić – odpowiedziała. Ale mówiła to pogodnie, nawet życzliwie. – Odpocznij sobie i obejrzyj telewizję.

Brała po kolei wypchane ptaki i zwierzęta i rzucała na ziemię, dodając następną warstwę do bałaganu, jaki zrobiła.

– Używa drzewa balsamowego – dodała. – Lekkie i ładne.

Warren odszedł i włączył telewizor. Białoczarne obrazy, na wszystkich kanałach śnieżyło. Jedyne, co udało mu się złapać, to scena ze starego serialu z blondynką w stroju z haremu – to

była czarownica – oraz J.R. Ewingiem, aktorem, wówczas jeszcze tak młodym, że nie mówiło się o nim J.R.

– Popatrz tylko! Jakby się człowiek cofał w czasie.

Liza nie spojrzała. Siedział na grubej poduszce tyłem do niej. Starał się być tym dorosłym, który nie widzi. Nie zwracaj na nią uwagi, to przestanie. Mimo to słyszał dochodzące zza pleców odgłosy darcia papierów i książek. Książki zrzucane z półek, rozrywane i ciskane na ziemię. Słyszał, jak przechodzi do kuchni i wyszarpuje szuflady, wali drzwiczkami szafek, tłucze talerze. Po chwili wróciła do pokoju od frontu i powietrze napełniło się białym pyłem. Musiała wysypać mąkę. Kaszłała.

Warren również zaczął kaszleć, ale się nie odwrócił. Po chwili doszedł go odgłos wylewanego z butelek płynu – cienki plusk wodnistej cieczy i gruby glug-glug – czegoś gęstszego. Doszedł go zapach octu, syropu klonowego i whisky. Polewała tym mąkę, książki, dywaniki, pióra, futra i zwierzęce truchła. Coś trzasnęło o kominek. Gotów był się założyć, że to butelka whisky.

– Trafione w dziesiątkę – zawołała Liza.

Warren się nie odwrócił. Całe jego ciało drżało z wysiłku, żeby się nie odwrócić, doczekać, aż to się skończy.

Pewnego razu poszedł z Lizą na chrześcijański koncert rockowy i tańce w St. Thomas. W bractwie wiele dyskutowano na temat chrześcijańskiego rocka – zastanawiano się, czy coś podobnego w ogóle może istnieć. Dla Lizy to stanowiło problem, dla Warrena nie. Już kilka razy był na tańcach i koncertach rockowych, które nawet nie określały się jako chrześcijańskie. Kiedy jednak zaczęli tańczyć, to właśnie Liza

poddała się rytmom, to Liza przyciągnęła wzrok – czujny, zrozpaczony wzrok – przywódcy młodzieżówki, który stojąc wśród widzów, szczyrzył niepewnie zęby i klaskał. Warren nigdy nie widział Lizy tańczącej; zdumiał go ten szaleńczy, opętańczy duch, który nią zawładnął. Bardziej był dumny niż skłopotany, wiedział jednak, że to, co on czuje, nie ma najmniejszego znaczenia. Liza tańczyła, a on mógł tylko czekać, podczas gdy ona przedzierała się przez muzykę, ubłagiwała ją i upraszała, owijała się wokół niej i odrywała gwałtownie, ślepa na wszystko wokół.

Coś takiego w nią włązi – chciałby im powiedzieć. Wydawało mu się, że o tym wie. Wiedział od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył w bractwie. Było lato, a ona miała malutki słomkowy kapelusik i sukienkę z długimi rękawami, bo wszystkie dziewczęta z bractwa musiały nosić długie rękawy, ale ona miała skórę zbyt złotą i ciało zbyt smukłe jak na dziewczynę z bractwa. I nie to, żeby wyglądała jak dziewczyna z tygodnika ilustrowanego albo modelka, albo żeby chciała zwracać na siebie uwagę. Na pewno nie Liza, z jej szerokim, półokrągłym czołem, głęboko osadzonymi piwnymi oczyma, wyrazem zarówno dziecięcym, jak i groźnym. Wyglądała niezwykle i była niezwykła. Dziewczyna, która nie powie „Jezu!”, ale która w momencie pełnej satysfakcji i umyślowego rozleniwienia powie: „O, kurwa!”.

Mówiła mu, że nim stała się chrześcijanką, bywała szalona.

– Jeszcze jako dziecko.

– W jaki sposób szalona? – pytał. – Z chłopakami?

Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: – Nie bądź głupi.

Poczuł, że coś mu cieknie z boku, po czaszce. Liza ukradkiem stanęła za nim. Podniósł rękę do głowy, wróciła zielona, kleista, pachnąca pepermintem.

– Łyknij sobie – podała mu butelkę. Łyknął, mocny miętowy trunek niemal go zadławił. Liza odebrała mu butelkę i cisnęła nią w wielkie frontowe okno. Nie przebiła szyby na wylot, ale szkło pękło. Butelka też się nie rozbiła – leżała na podłodze, a z jej wnętrza wypływał strumień cudownego płynu. Ciemnozielona krew. Szkło okienne wypełniło się tysiącem świetlistych bryzgów i stało się białe jak aureola. Warren wstał, łapał oddech po alkoholu. Przez jego ciało przepływały fale gorąca. Liza poruszała się zręcznie pośród podartych, porozrzucanych książek, rozbitego szkła, podeptanych, pobrudzonych ptaków, między kałużami whisky, syropu klonowego i kawałkami osmalonego drewna, które wyciągnęła z pieca, żeby rysować czarne znaki na dywanikach, wśród popiołów i mąki sklezionej z piórami. Poruszała się zgrabnie, mimo ciężkich butów, zachwycona tym, czego dokonała, co jej się dotąd udało.

Warren podniósł poduchę, na której siedział, i cisnął na kanapę. Przetoczyła się górą; nic złego się nie stało, ale Warren włączył się do akcji. Nie po raz pierwszy brał udział w demolowaniu czyjegoś mieszkania. Dawno temu, kiedy miał dziewięć albo dziesięć lat, wszedł razem z kolegą do pewnego domu, wracając ze szkoły. Był to dom ciotki jego przyjaciela. Nie było jej – pracowała w sklepie jubilerskim. Mieszkała samotnie. Warren z kolegą włamali się, bo byli głodni. Zrobili sobie kanapki z krakersów i dżemu i wypili parę łyków piwa imbirowego. Ale coś ich opętało. Wylali pełną butelkę

keczupu na obrus, maczali w nim palce i pisali na ścianie: „Strzeż się! Krew!”. Tłukli talerze i rozrzucali jedzenie.

Mieli niebywałe szczęście. Nikt nie widział, jak wchodzili do domu, i nikt nie zobaczył, jak wychodzili. Ciotka przypisała całą winę kilku nastolatkom, którym niedawno kazała się wynosić ze sklepu.

Wspomniawszy to, Warren ruszył do kuchni, rozglądając się za butelką keczupu. Nie znalazł, czego szukał, ale zobaczył i natychmiast otworzył puszkę sosu pomidorowego. Ten sos nie był tak gęsty jak keczup i mniej się nadawał do pisania, ale Warren próbował nabazgrać na drewnianej ścianie kuchni: „Strzeż się! To jest twoja krew!”.

Sos wsiąkał w drewno lub spływał po deskach. Liza podeszła bliżej, żeby przeczytać słowa, zanim litery się rozpułną. Roześmiała się. Gdzieś na tym pobojuwisku znalazła flamastr. Włazała na krzesło i napisała nad fałszywą krwią: „Albowiem zapłata za grzech jest śmierć”⁴.

– Powinnaś tu przywlec jeszcze więcej – powiedziała. – Tam, w jego pracowni, jest pełno farb i klejów, i najróżniejszych bzdetów. Tam, w tym bocznym pokoju.

– Chcesz, żebym przyniósł? – spytał Warren.

– Niespecjalnie – odparła. Opadła na sofę, jedno z nielicznych miejsc w pokoju, gdzie jeszcze można było usiąść. – Liza Minnelli – powiedziała spokojnie – Liza Minnelli, diabli cię wzięli!

Czy to dzieci w szkole tak ją przedrzeźniały? Czy też sama to sobie wymyśliła?

⁴ List do Rzymian, 6,23.

Warren usiadł przy niej.

– Więc co oni zrobili? – spytał. – Co oni zrobili, żebyś się tak wściekła?

– Kto jest wściekły? – Liza dźwignęła się na nogi i poszła do kuchni. Warren ruszył za nią i zobaczył, że wystukuje jakiś numer telefonu. Czekwała dobrą chwilę. Potem spytała: – Bea? – cichym, obolałym, niepewnym głosem. – Och, Bea! – Dała Warrenowi znak ręką, żeby wyłączył telewizor.

Słyszał, jak mówi:

– Okno przy drzwiach kuchennych... tak myślę. Nawet syrop klonowy, och, nie do wiary, naprawdę... Och, i to piękne frontowe okno, musieli w nie czymś rzucić i wyciągnęli z pieca drewna i ten popiół... i te wszystkie ptaszki, co tam siedziały naokoło, i ogromny bóbr. Nie jestem w stanie opisać tego wszystkiego...

Wszedł do kuchni, a ona zrobiła do niego minę – podniosła brwi i ułożyła wargi w ciup, nasłuchując, co mówi głos po tamtej stronie. Potem opisywała dalej stan kuchni i pokoju, ze współczuciem, głos jej drżał litością i oburzeniem. Warren nie chciał na to patrzeć. Wszedł i rozglądał się, szukając ich kasków.

Gdy skończyła rozmawiać, podeszła i chwyciła go za ramię.

– To ona – powiedziała. – Mówiłam ci już, co mi zrobiła. Posłała mnie do college'u. – Zaczęli się oboje śmiać.

Ale Warren patrzył na ptaka leżącego na podłodze w tym bałaganie. Zmoczone piórka, łeppek zwisający bezwładnie, ukazując jedno boleśnie czerwone oczko.

– Cudaczne, robić coś takiego dla zarobku – powiedziała. – Ciągle mieć coś martwego koło siebie.

– To są cudaki – powiedziała Liza.

– Będziesz się martwiła, jak wyciągnie kopyta?

Liza zaczęła udawać, że wyciąga kopyta, chciała go otrząsnąć z tego zamyślenia. Potem dotknęła jego szyi zębami, wysuniętym językiem.

III

Bea zadawała Lizie i Kenny'emu mnóstwo pytań. Pytała o ich ulubione programy telewizyjne, kolory, smaki lodów i jakimi zwierzętami chcieliby zostać, gdyby mogli, i jakie jest ich najwcześniejsze wspomnienie. „Jak zjadałem swoje smarki” – powiedział Kenny. Wcale nie chciał być zabawny.

Wszyscy się roześmieli, Ladner, Bea i Liza – Liza najgłośniej. Wtedy Bea powiedziała:

– Wiecie, to jest jedno z moich najwcześniejszych własnych wspomnień.

„Kłamie – pomyślała Liza – kłamie ze względu na Kenny'ego, a on nawet o tym nie wie”.

– To jest panna Doud – powiedział Ladner. – Postarajcie się zachowywać wobec niej przyzwoicie.

– Panna Doud – powiedziała Bea, jakby przełykała coś dziwnego. – Bea. Bzzzz. Mam na imię Bea.

– Kto to jest? – zapytał Kenny, kiedy Bea z Ladnerem poszli przodem. – Czy ona będzie z nim mieszkać?

– To jego dziewczyna – odparła Liza. – Pewno się pobiorą.

Po tygodniu mieszkania Bei u Ladnera Liza nie mogła ścierpieć myśli, że Bea mogłaby kiedykolwiek stąd odejść.

Liza i Kenny znaleźli się po raz pierwszy na terenie Ladnera, przeczłógawszy się pod ogrodzeniem, ponieważ wszystkie znaki – oraz ich własny ojciec – zakazywały im tego. Kiedy znaleźli się tak głęboko w lesie, że Liza nie była pewna, której z powrotem, usłyszeli ostry gwizd.

Ladner zawołał:

– Hej, wy dwoje! – Wychynał jak morderca w telewizji, zza drzew, z siekierą w ręku. – Umiecie czytać?

Mieli wtedy po sześć czy siedem lat. Liza powiedziała:

– Tak.

Kenny tłumaczył słabym głosem:

– Tu biegł lis.

Kiedyś, kiedy jechali z ojcem, zobaczyli rudego lisa, który przeleciał im drogę i zniknął między drzewami. Ojciec powiedział:

– Drań mieszka u Ladnera w krzakach.

Lisy nie mieszkają w krzakach, wyjaśnił im Ladner. Zaprowadził ich tam, gdzie mieszka lis. W norze, tak to nazywał. Kopczyk żółtego piasku usypany był pod jamą na pagórku porośłym suchą szorstką trawą i malutkimi białymi kwiatkami. Niedługo zrobią się z tego truskawki, powiedział Ladner.

– Z czego? – spytała Liza.

– Para tępych dzieciaków. Co wy robicie całymi dniami? Oglądacie telewizję?

Tak się zaczęły ich wspólne soboty, a kiedy przyszło lato – to całe dni spędzane z Ladnerem. Ojciec powiedział, że się zgadza, jeśli Ladner jest na tyle głupi, że może z nimi wytrzymać.

– Ale go lepiej nie denerwujcie, bo was żywcem obedrze ze skóry – dodał. – Tak jak wszystko inne. Widzieliście?

Widzieli, co Ladner robi. Pozwalał im patrzeć. Widzieli, jak oczyszcza czaszkę wiewiórki i mocuje zręcznie ptasie pióra, posługując się cienkim drucikiem i szpilkami. Kiedy miał już pewność, że okażą się dostatecznie staranni, pozwalał im osadzać szklane oczy w oczodołach. Przyglądali się, jak skóruje martwe zwierzęta, skrobie, soli i wystawia do wyschnięcia skórę przed odesłaniem do garbarni, gdzie zostanie nasycona trucizną, dzięki której ani nie będzie się łamać, ani łysieć.

Ladner oblekał tymi skórami ciała, w których nic nie było prawdziwe. Ptasia tuszka mogła być zrobiona z drzewa, z jednego kawałka, ale korpusy większych zwierząt powstawały jako wspaniała konstrukcja z drutu, juty, kleju, tektury i gliny.

Liza i Kenny brali w ręce te oskórowane ciała, mocne jak sznur. Dotykali wnętrzości, które przypominały plastikowe rurki. Gniętli gałki oczne na galaretę. Powiedzieli o tym ojcu.

– Ale nie złapiemy żadnych chorób – tłumaczyła Liza. – Myjemy ręce boraksem.

Nie wszystkie otrzymanywane informacje dotyczyły martwych rzeczy. Co powiada czerwonoskrzydły kos? „Kup-to-miii!”. A co mówi mały strzyżyk? „Piii-piii-daj mi pić!”.

– Naprawdę? – spytał ojciec.

Wkrótce wiedzieli o wiele więcej. Przynajmniej Liza. Znała ptaki, drzewa, grzyby, skamieliny, system słoneczny. Wiedziała, skąd się wzięły niektóre skały, a również i to, że w zgrubieniu łądygi nawłoci mieszka malutki biały robak, który nie może żyć nigdzie indziej na świecie.

Wiedziała też, że nie trzeba za wiele mówić o wszystkim, co wie.

Bea stała na brzegu stawu w swoim japońskim kimonie. Liza już pływała. Zawołała:

– Wchodź, Bea, wchodź!

Ladner coś robił w najdalszej części stawu, wycinał trzciny i wywlekał wodorosty, które dusiły wodę. Kenny udawał, że mu pomaga. „Jak w rodzinie” – pomyślała Liza.

Bea zrzuciła kimono i stanęła w żółtym jedwabnym kostiumie kąpielowym. Była to drobna kobieta o ciemnych, lekko siwiejących włosach, które opadały jej ciężko na ramiona. Ciemne, gęste brwi w kształcie łuku, podobnie jak słodki, nadąsany grymas ust napraszały się o życzliwość, dodanie otuchy. Słońce osypało ją bladymi cętkami i wydawała się po prostu wszędzie zbyt miękka. Kiedy pochylała brodę, wzdłuż jej szczęki i pod oczyma zbierały się malutkie woreczki. Stawała się ofiarą drobnych woreczków i obwisłości, wgnieceń i fałdek na skórze czy mięśniach, słonecznych oparzeń wzdłuż drobnych fioletowych żył, niewielkich przebarwień we wgłębieniach skóry. I w gruncie rzeczy Liza właśnie to uwielbiała – te wszystkie skazy, to postępujące chyłkiem zniszczenie. Kochała również tę wilgoć, która zbierała się

często w oczach Bei, drzenie i droczenie się, i żartobliwą prośbę w jej głosie, chropowatym i nieco sztucznym. Liza nie oceniała i nie mierzyła Bei tak, jak to robili inni. Ale to nie znaczy, że miłość Lizy do Bei była prosta i kojąca – jej miłość była oczekiwaniem, ale Liza nie bardzo wiedziała, czego oczekuje.

Bea weszła do wody. Robiła to etapami. Decyzja, krótki podbieg, przerwa. Gdy była w wodzie po kolana, skuliła się i zaczęła piszczeć.

– Wcale nie jest zimna! – wołała Liza.

– Wiem! Po prostu wspaniała – odpowiedziała Bea. I w dalszym ciągu pokrzykiwała z zadowolenia, póki nie weszła po pas. Odwróciła się twarzą do Lizy, która podpływała, żeby ją ochlapać. – Och, proszę, nie! – wołała Bea. I zaczęła podskakiwać w miejscu, przesuwając dłońmi po wodzie, rozsunawszy palce, jakby zgarniała płatki. Chlapnęła na Lizę, ale bezskutecznie.

Liza przewróciła się na plecy i delikatnie pchnęła stopami wodę w kierunku twarzy Bei. Ta podskakiwała i przysiadła, uchylając się od tej fali, a przy tym nuciła jakąś taką bez trosko głupią piosenkę: *O... hop, ooo... hop, o... hop*. Coś w tym rodzaju.

Chociaż płynęła na plecach, Liza zdała sobie sprawę, że Ladner przestał wyciągać wodorosty. Stał w wodzie po pas po przeciwnej stronie stawu, za plecami Bei. Przyglądał się jej. Potem zaczął sam podskakiwać. Tułów trzymał sztywno, ale głowę obracał gwałtownie to w jedną, to w drugą stronę, zgarniając lub głaszcząc wodę trzepotliwymi dłońmi. Prężył

się nerwowo, jakby w nadmiarze uwielbienia dla własnej osoby.

Małpował Beę. Powtarzał jej ruchy, ale głupio i wstrętne. W sposób celowy i oczywisty robił z niej idiotkę. Popatrzcie tylko, jaka ona jest próżna, mówiły sztywne podskoki Ladnera. Popatrzcie, co za oszustka. Udaje, że się nie boi głębokiej wody, udaje, że jest szczęśliwa, udaje, że nie wie, jak nią pogardzamy.

To było przejmujące i straszne. Twarz Lizy drżała od tłumionego śmiechu. Jedna jej połowa chciała, żeby Ladner przestał, przestał natychmiast, zanim dokona się zło, a druga pragnęła tego właśnie zła, tego ostatecznego ciosu i wesołości, jaką wzbudzi.

Kenny śmiał się głośno. On nie miał wycucia.

Bea zauważyła zmianę wyrazu twarzy Lizy, potem usłyszała Kenny'ego. Odwróciła się, żeby sprawdzić, co się za nią dzieje. Ale Ladner już zanurzył się w wodzie i wyciągał wodorosty.

Liza natychmiast wzniciła wodny gejzer dla odwrócenia uwagi. Widząc, że Bea nie reaguje, popłynęła do najgłębszej części stawu i zanurkowała. W dół, w dół, głęboko, tam, gdzie ciemno, gdzie w mule mieszkają karpie. Pozostawała w głębi, jak długo mogła wytrzymać. Wypłynęła tak daleko, że omotały ją wodorosty przy przeciwległym brzegu, i wynurzyła się, łapiąc oddech, tuż obok Ladnera.

– Oplątały mnie wodorosty – oznajmiła. – Mogłam utonąć.

– Niestety, nie wyszło – powiedział Ladner. Udawał, że chce ją złapać, chwycić między nogami. Jednocześnie

przybrał minę świątobliwego zgorszenia, jakby ktoś mieszkający w jego głowie zachnął się na samą myśl o tym, co ręka gotowa była zrobić.

Liza udawała, że tego nie widzi.

– Gdzie Bea? – spytała.

Ladner spojrział na przeciwległy brzeg.

– Może wróciła do domu. Nie widziałem, żeby szła. – Był znowu zwykłym, ciężko pracującym człowiekiem, który ma już trochę dość ich wygłupów. Ladner to umiał. Umiał zmieniać osobowość i mieć obserwowanemu za złe, że tę zmianę dostrzegł i zapamiętał.

Liza popłynęła najszybciej jak potrafiła, prosto, przez całą szerokość stawu. Otrząsnęła się z wody i wylazła ciężko na brzeg. Przeszła obok sów i orła wyglądających zza szyby. Obok napisu „Natura nic nie czyni bez celu”.

Nigdzie nie mogła dojrzeć Bei. Ani przed sobą na szerokiej kładce nad bagnem. Ani na otwartej przestrzeni między sosnami. Wybrała ścieżkę prowadzącą do kuchennych drzwi. W połowie ścieżki rósł buk, który trzeba było obejść, a na jego gładkiej korze wyryto inicjały. Jedno „L” dla Ladnera, drugie dla Lizy i „K” dla Kenny’ego. Stopę niżej ktoś wyciął litery: „P.D.”. Kiedy Liza pokazywała Bei te inicjały po raz pierwszy, Kenny zaczął w nie bić pięściami. „Pokaż dupę” – wrzeszczał, podskakując. Ladner trzepnął go ostrzegawczo i całkiem mocno w głowę.

– Proszę dalej – wyjaśnił i pokazał wyciętą w korze strzałę owijającą się wokół pnia. – Nie zwracaj uwagi na zdemoralizowaną młodzież – zwrócił się do Bei.

Liza nie mogła się zdobyć na to, żeby zapukać do drzwi. Czula się winna i miała najgorsze przeczucia. Wydawało się jej, że Bea będzie musiała wyjechać. Jakże mogłaby tu zostać po takiej zniewadze? Jak mogłaby ich znosić? Bea nie rozumiała się na Ladnerze. Jak mogłaby? Sama Liza nie potrafiłaby nikomu opisać, jaki on jest. W tym tajemnym życiu, jakie z nim prowadziła, to, co straszne, było zawsze zabawne, zło mieszało się z błazenadą, należało się zawsze włączać w krąg głupawych twarzy i głosów, udawać, że on jest potworem z filmu rysunkowego. Nie można się było z tego wydobyć, ani nawet się nie chciało, tak jak nie można powstrzymać nawałnicy szpilek i igieł.

Liza okrążyła dom i wyszła z cienia drzew. Na bosaka przebiegła przez rozgrzany żwir drogi. Tam, na końcu krótkiego podjazdu, stał na polu kukurydzy jej dom. Drewniany, malowany od góry do połowy na biało, od połowy do dołu na jaskraworóżowy, jak ostra szminka. To był pomysł ojca Lizy. Może myślał, że to ożywi całość. Może sądził, że dzięki tej różowości będzie wyglądało, jakby mieszkała w domu ko bieta.

W kuchni straszny bałagan – płatki owsiane rozsypane na podłodze, kałuże mleka na stole. Stos bielizny z pralki piętrzy się na fotelu w kącie, a ścierka do zmywania – Liza wie o tym, nie patrząc – razem ze śmieciami w zlewie. Do niej należy przywrócenie wszystkiego do porządku i lepiej, żeby to zrobiła, nim ojciec wróci.

Ale teraz jeszcze się tym nie martwi. Idzie na górę, gdzie pod spadzistym dachem jest strasznie gorąco, i wyjmuje ma lutki woreczek swoich największych skarbów. Ten woreczek

trzymać schowany w samym czubku starego kalosza, z którego dawno wyrosła. Nikt o tym skarbie nie wie. A już na pewno nie Kenny.

W woreczku jest wieczorowa sukienka lalki Barbie, skradziona dziewczynce, z którą Liza się kiedyś bawiła (Liza już nie darzy tej sukienki uwielbieniem, ale ona jest ważna dlatego, że skradziona), niebieski zatrzasakiwany futerał z okularami matki, drewniane malowane jajko, nagroda w konkursie rysunkowym w drugiej klasie (wewnątrz jest mniejsze jajko, a w nim, w środku, jeszcze mniejsze). Oraz kolczyk z górskiego kryształu, znaleziony na drodze. Liza długo wierzyła, że te kryształy to diamenty. Kolczyk ma skomplikowany i wdzięczny wzór, łezki kryształów zwisają z krążków i półkrążków zrobionych z drobniejszych kamyczków i sięgają Lizie od ucha niemal do ramienia.

Liza ma na sobie tylko kostium kąpielowy, więc musi przenieść w stulonej dłoni kolczyk niby płonący węzeł. Głowa jej pęka od żaru, od pochylania się nad tym woreczkiem skarbów, od przyjętego postanowienia. Myśli z utęsknieniem o cieniu pod drzewami Ladnera, jakby to był czarny staw.

Wokół jej domu nie ma ani jednego drzewa, jedyny krzew to bez o schnących, zbrązowiałych na krawędziach liściach, rosnący przy kuchennym wejściu. Wokół domu tylko kukurydza, a w oddali pochylona stara stodoła, do której dzieciom nie wolno wchodzić, bo może się w każdej chwili zawalić. Nie ma tu nic osobnego, żadnych sekretnych miejsc – wszystko jest nagie i proste.

Ale kiedy się przejdzie na drugą stronę drogi – co w tej chwili robi Liza, która przebiega po żwirze – kiedy się wkroczy na terytorium Ladnera, to jakby się wkraczało w świat odmiennych i różniących się między sobą krain. Jest kraina bagna, głęboka i zarośnięta, gdzie są gzy, rosną niecierpki i tulejnik amerykański. Poczucie tropikalnych zagrożeń i komplikacji. Potem plantacja sosen, uroczystych jak kościoły, o wysokich gałęziach i z dywanem igieł, skłaniająca do znizienia głosu. I mroczne komnaty pod zwisającymi ku ziemi gałęziami cedrów – całkowicie zaciemnione, tajemnicze komnaty z podłogą z gołej ziemi. Słońce różnie pada w różnych miejscach, w niektórych w ogóle go nie ma. Tu powietrze jest gęste i stojące, tam znowu czuje się życiodajny powiew. Zapachy są ostre albo kuszące. Niektóre ścieżki wymagają powagi, a na innych kamienie ułożone są tak daleko od siebie, że skłaniają do szaleństw. To są tereny poważnych lekcji z Ladnerem, który uczył ich, jak odróżnić drzewo hikorowe od szarego orzecha i gwiazdę od planety, a także miejsca, gdzie biegali i wrzeszczeli, i czepiali się gałęzi, i wyrabiali jakieś dzikie wariactwa. I miejsca, w których, wydaje się Lizie, jest na ziemi jakiś siniak, jakieś łaskotanie i wstyd w trawie.

P.D.

Chłopaczek do wycieraczek.

Raz – dwa – trzy.

Kiedy Ladner chwycił Lizę i zwałił się na nią, czuła, że tam, w nim, głęboko tkwi coś niebezpiecznego, jakiś

mechanizm, który charkocze, jakby miał się wyczerpać z jednym pstryknięciem światła i nic po nim nie zostanie, tylko czarny dym, zapach spalenizny i skręcone druty. Ale on opadł ciężko, jak skóra zwierzęcia, ściągnięta z ciała i kości. Leżał tak bezwładny i bezużyteczny, że Liza i nawet Kenny czuli przez chwilę, iż przyglądanie mu się byłoby grzechem. Musiał wyciągać głos z jęczących wnętrzości, żeby im powiedzieć, że są źli.

Mlasnął językiem, a oczy świeciły mu z ukrycia, twarde i okrągłe, jak szklane oczy zwierzęcia.

„Źli-źli-źli”.

– Prześliczny – powiedziała Bea. – Powiedz, Lizo, czy to twojej matki?

Liza powiedziała, że tak. Uprzymiotniła sobie, że prezent w postaci jednego kolczyka może się wydać dziwny i wzruszający – może rozmyślnie wzruszający. Nawet przechowywanie go jako skarbu może się wydać głupie. Ale jeśli by należał do matki, wszystko by się stało zrozumiałe i byłby to prezent o pewnym znaczeniu.

– Mogłabyś go powiesić na łańcuszku – powiedziała. – Mogłabyś go wtedy nosić na szyi.

– O tym właśnie pomyślałam. Właśnie pomyślałam, że ślicznie by wyglądał na łańcuszku. Na srebrnym łańcuszku, nie sądzisz? Och, Lizo, taka jestem dumna, że mi go dałaś!

– Mogłabyś go sobie przypiąć na nosie – powiedział Ladner. Ale powiedział to łagodnie. Teraz był już łagodny,

odegrał swoje. Mówił o nosie Bei, jakby to był miły temat do rozważań.

Ladner i Bea siedzieli tuż za domem, wśród śliw. Siedzieli w wiklinowych fotelach, które Bea przywiozła z miasta. Nie sprowadziła tu wiele – tyle, żeby porobić małe wyspy pośród skór i przyrządów Ladnera. Te fotele, kilka filiżanek, poduszkę. Kieliszki do wina, z których właśnie pili.

Bea przebrała się w ciemnoniebieską suknię z bardzo cienkiego i miękkiego materiału, spływającą z ramion, długą i swobodną. Bawiła się kryształkami, przebierała między nimi palcami, przyglądała się ich iskrzeniom na niebieskiej sukni. Przebaczyła widać Ladnerowi albo postanowiła zapomnieć.

Bea mogłaby dawać bezpieczeństwo, gdyby zechciała. Na pewno by mogła. Musiałaby tylko zmienić się w kobietę innego rodzaju, twardą i szybką, taką, co potrafi jasno zakreślać granice, utrzymywać porządek, energiczną i nietolerancyjną. „Dość tego. Nie wolno. Bądź grzeczna”. W kobietę, która mogłaby ich uratować – która mogłaby ich wszystkich uczynić – mogłaby ich zachować w dobroci.

Bea nie zdaje sobie sprawy, do czego została posłana.

Tylko Liza to wie.

IV

Liza zamknęła drzwi tak jak należy, z zewnątrz. Włożyła klucz do plastikowego woreczka, a woreczek do dziupli w drzewie. Ruszyła w kierunku skutera, a widząc, że Warren jej nie towarzyszy, spytała:

– Co się z tobą dzieje?

– Co z oknem przy kuchennych drzwiach? – spytał Warren.

Liza głośno wciągnęła powietrze.

– Och, co za idiotka ze mnie. Idiotka do dziesiątej potęgi.

Warren wrócił do okna i kopnął w dolną szybę. Potem sięgnął po szczapę drewna ze stosu obok blaszanej komórki i wybił szkło.

– Wystarczy, żeby się dzieciak przecisnął.

– Jak ja mogłam być taką idiotką? Uratowałeś mi życie!

– Uratowałem nam życie – powiedział Warren.

Blaszana szopa była otwarta. Znalazł wewnątrz jakieś kartonowe pudła, trochę desek, proste narzędzia. Oderwał odpowiedniej wielkości kawał kartonu. Z ogromną satysfakcją ostonił nim dziurę, jaką wytłukł chwilę temu.

– Żeby tu żadne zwierzę nie weszło – wytłumaczył Lizie.

Kiedy skończył, zobaczył, że Liza weszła w śnieg między drzewa. Poszedł za nią.

– Ciekawa jestem, czy jest jeszcze niedźwiedź.

Chciał jej powiedzieć, że jego zdaniem niedźwiedzie nie wędrują tak daleko na południe, ale nie zdążył.

– Potrafisz rozpoznać drzewa po korze? – spytała.

Odparkł, że nie potrafi ich rozpoznać nawet po liściach.

– No, pewno klony. Klony i sosny.

– Cedry – powiedziała Liza. – Powinieneś umieć rozpoznać cedry. To jest cedr. To jest dzika wiśnia. A tam, tam są brzozy. Te białe. A to, z korą jak szara skórka? To buk. Widzisz, są na nim wycięte litery, ale się rozciągnęły i wyglądają teraz jak plamy.

Warrena to nie interesowało. Chciał tylko wracać do domu. Było trochę po trzeciej, ale czuło się już wzbierającą ciemność, która podnosiła się między drzewami, jak zimny dym powstający ze śniegu.

Spis rzeczy

Za daleko	7
Prawdziwe życie	67
Albańska dziewczica	105
Jawne tajemnice	167
Hotel Jack Randa	209
Postój w głuszy	247
Wylądowały statki kosmiczne	293
Wandale	337